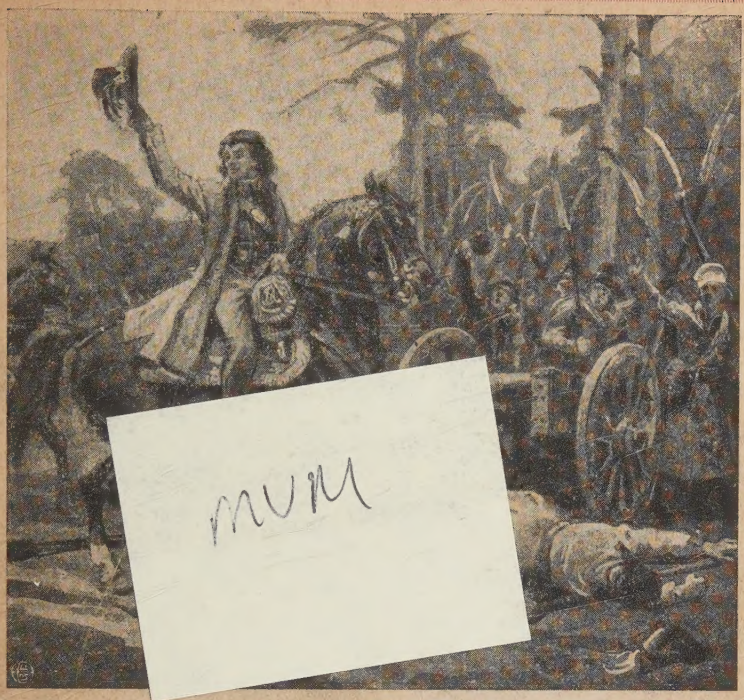

OD DUBIENKI DO RACŁAWIC

NAPISAŁ

JERZY ORWICZ

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/oddubienkidoracl0000jerz

732.

«WODZA NARODU» CZĘŚĆ II

JERZY ORWICZ

OD DUBIENKI DO RACŁAWIC

Z RYSUNKAMI ST. BAGIENSKIEGO

WYDANIE DRUGIE

1924

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

Printed in Poland

M. ARCT — ZAKŁADY WYDAWNICZE
Sp. Akc. w Warszawie.

WARSZAWA, Księgarnia, Nowy Świat 35.

ODDZIAŁY I PRZEDSTAWICIELSTWA:

DROHOBYCZ, Księg. Naukowa, Gmach Sokoła.
KATOWICE, Księgarnia Polska, Poprzeczna 2.
KRAKÓW, Księgarnia Jagiellońska, Wiślna 3.
LIDA, Księgarnia Wojskowa, Suwalska 46.
LUBLIN, M. Arct i S-ka, Krak.-Przedm. 17.
LWÓW, Księgarnia Naukowa, Zimorowicza 17.
ŁODŹ, M. Arct i S-ka, Piotrkowska 105.
POZNAŃ, M. Arct, Księgarnia, plac Wolności 7.
RÓWNE, Księgarnia Naukowa, Szosowa 27.
WILNO, Księg. Stow. Naucz. Pol. Królewska 1.

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 41.

WE WŁOCŁAWKU.

Generał Kościuszko siedział przy stole w kwaterze swej we Włocławku.

Plika papierów leżała przed nim.

Wsparł głowę na ręku i dumał. Jakiś smętek straszny żarł mu duszę. Czuł się jakby na uwięzi.

Wicher i szaruga podnosiły jeszcze bardziej ciężki wewnętrzny nastrój.

Zmrok zapadał. Dolatujące zdala dźwięki hulaszczej żołnierskiej piosenki drażniły ucho. Generałowi natłok myśli nie daje spokojnie przejrzeć rachunków za dostawy wojskowe. Włocławek wydaje mu się ponurem więzieniem.

Rozpiął mundur. Zagryzł wargi. Odrzucił bujne, na czoło spadające włosy.

Ogarniało go zniechęcenie, że tak wszystko nieskładnie idzie.

Żołdu niema czem płacić. Pustki w kasie.

Już od kilku miesięcy dostał nominację na generał-majora dywizji I-ej Malczewskiego w Wielkopolsce, lecz z komendantem trudno dojść do ładu.

Lekkomyślność, płochość i hulanki ustawiczne młodzieży kujawskiej raziły skupioną, do poważnych rozmyślań skłonną naturę Kościuszki.

— Szlachta litewska rządna jest i gospodarna, a wam jeno ekscesy jakieś, napaści, burdy w głowie! — upominał

nieraz rozhukanych kawalerzystów, gdy lada młodzik brał się wnet do szabli, by sobie rzekomą sprawiedliwość wymierzyć.

Dziś, znużony całodzienną mustrą i przyjmowaniem dostaw, pozostawszy sam ze swojemi myślami, odczuwał bezmierną tęsknotę i osamotnienie.

Kochany dwór siechnowicki, służba wierna i przywiązana, siostra Estkowa, która świeżo przywdziała żałobę po mężu — wszystko to stanęło mu żywo w pamięci.

Do Litwy biegła myśl z utęsknieniem. Ta kraina, mgłą szarej melancholji zasnuta, wydawała mu się w tej chwili wymarzonym rajem.

— Nie strzymam dłużej!—wyrwało mu się naraz z piersi mimowoli.

Był w tem głęboki ból człowieka, nienawykłego do skargi i ubolewań nad swym losem.

Zrzucił uciskający go mundur, ręce wyciągnął.

— Litwo moja!—zawołał, jakby chcąc ową Litwę, ukochanie swe, ująć w ramiona i do serca przycisnąć.

Zebrawszy rozwichrzone myśli, chwycił za pióro i jął pisać z zapałem list długi, gorący o przeniesienie do wojska litewskiego.

— Tam mógłbym odrazu stanąć na posterunku i działać z pożytkiem dla ojczyzny, tu od nieudolnej władzy zależeć muszę! Ducha rycerskiego brak, tylko warcholstwo i pycha!

Od Komisji Wojskowej otrzymał odpowiedź odmowną. Tłumaczono się, że nominacji, przez sejm zatwierdzonej, narazie zmienić niesposób. Ufał jednak, że wpływowi przyjaciele rychło zdołają przeprowadzić translokację.

Skrzypiało pióro gęsie, niecierpliwą wiedzione ręką.

Kościuszko pisał szybko, co chwila kreśląc zbyt ostre, pod pióro cisnące się wyrazy.

...„Chciejcie mnie powrócić na Litwę — kończył pismo — chyba się wyrzekacie mnie i niezdolnym widzicie do służenia wam? Złość mnie bierze, abym tu służył, gdy wy nie macie

i trzech generałów! Kiedy was nizać będzie na sznurku przemoc, wtenczas chyba ockniecie się i o siebie dbać będziecie!" [1])

Wiedział Kościuszko, że wojna z Rosją jest nieunikniona.

Złożył list, zapieczętował. Potem do siostry słał pociechy słowa.

Ulżyło mu. Nieco ciężaru spadło z serca. Przecież musi nastąpić jakaś pożądana zmiana! Zawre bitwa, polski duch rycerski wskrześnie, ludzi opamięta, zespoli!

Zerwał się od stołu, przeciągnął, pełną piersią zaczerpnął powietrza.

Zawołał ordynansa, który drzemał wyprostowany na stołku w przyległej izbie.

Stanął przed generałem, otwierając szeroko szare, wypełzłe oczy, jakby przenigdy ich nie mrużył.

— Listy te mają być wysłane niezwłocznie — rzekł Kościuszko.

— Według rozkazu, panie generale.

— Co słychać, Macieju?

— Ano, źle słychać. Te „nowe", melduję posłusznie, żadnej subordynacji nie znają! Włóczą się po mieście, prochu jeszcze nie wąchali, a takie fanaberyjne, że tylko nosa drą do góry i brewerje wyprawiają, rezoluty! Straganiarkom dziś powywracali stragany. Do jajek się dorwali na rynku i nuż ciskać niemi do muru, niby kulami! Sądny dzień, gwałt, rwetes! Żydówy wrzeszczały, jakby je żywcem ze skóry odzierał!...

— Którzyż to byli?

— A kaduk ich wie! melduję posłusznie, znikli, jak kamfora bez pieprzu! Tylko wiele było krzyku, hałasu i przeklinania!

---

[1]) Wyjątek z listu Kościuszki do generała Niesiołowskiego, pisanego d. 7 lutego 1790 r.

— Głuptasy! Sowizdrzały! Gaskony! [1]) — zżymał się generał. — Drapieżne to a niesforne. Biedę gnębić poczytują sobie za godziwą rozrywkę!

— Przychodzili tu znowu mieszczanie ze skargą, że za żywność nie płacone, że słoniny całkiem zbrakło, wszystko żołnierze na borg zabrali, a z piwnicy Kolasińskiemu wina beczułkę samowolnie wytoczono. Prawować się niesposób, bo tam pono i bratanek pana sędziego do raptusu należał.

— Gdzież są ci ludzie?

— Nie dopuścił ja ich do pana generała; powiedziałem im grzecznie: Idźcie na złamany łeb, nasz generał ma pilne sprawy; niech ta innym razem! i zatrzasnąłem drzwi, że wylecieli stąd, jak z procy!

— To źle! Rządzisz się, jak szara gęś! Powiedziałem raz: zameldować masz każdego, kto się do mnie zgłasza. Siła złego z nieposłuszeństwa płynie!

Odprawiwszy zasępionego zburczeniem ordynansa, Kościuszko rzucił się na swe twarde, żołnierskie iście łoże.

— Ach, tych skarg, lamentów, słusznych utyskiwań mam już po same uszy! — zawołał, chwytając się za głowę. — Podołać niesposób! Kładziesz im we łby od świtu do nocy, jakimi być powinni, ale to groch o ścianę! Statku uczyć dorosłych ludzi, co zaciągają się do szeregów, aby ojczyźnie służyć, a na bezrozumnej swawoli czas trawią, tyle z tego pożytku, co gąsiorem czerpać morze! Brak im całkiem jasnego zrozumienia sprawy.

Znowu fala czarnych myśli zaszumiała mu w głowie.

Uchwała Sejmu Wielkiego sformowania stutysięcznej armji bez obowiązującego rekruta była wspaniałym porywem

---

[1]) Gaskonja, prowincja francuska, której ludność ma smutną sławę kłamców i samochwalców. Kościuszko nazywał Gaskonami ludzi, z którymi musiał obcować we Włocławku. «Bóg widzi, słowa nie mam do kogo przemówić... Co za Gaskony!» pisał do Niesiołowskiego.

patrjotycznym, ale wykonanie jej przedstawiało trudnośc niezmierne. Rotmistrzom kazano w ciągu sześciu miesięcy powiększyć swe szwadrony do liczby stu pięćdziesięciu ludzi swoim kosztem „pod karą utraty stopnia" w razie niewypełnienia rozkazu. Następnie dopiero mieli dowódcy otrzymać pieniądze na utrzymanie szwadronów.

Początkowo zapał był wielki. Chorągwie nadspodziewanie prędko zostały skompletowane. Młodzież garnęła się do wojska, ale więcej zajęta była ekwipowaniem się, niż ćwiczeniami wojskowemi. Rygoru nie uznając, nowozaciężna kawalerja narodowa dopuszczała się nadużyć z krzywdą ubogiej ludności [1]).

Z podatków, na utrzymanie wojska ustanowionych, a przyjętych jednogłośnie na sejmie, jako „dobrowolna, wieczna ofiara, z własnej chęci obywatelstwa pochodząca", wpływały tak nieznaczne sumy, że nawet w setnej części nie odpowiadały potrzebom armji. W wielu miejscach bogaci ziemianie, uchylając się sami od opłat, podatkiem owym samowolnie obarczyli włościan, co zapalonego obrońcę i przyjaciela ludu, generała Kościuszkę, najwyższym przejmowało wstrętem.

Buntował się w nim duch republikański na widok krzywdy i uciemiężenia. Bolał też niezmiernie nad brakiem organizacji, paraliżującym najlepsze zamiary. Oddziały werbownicze chwytały częstokroć ludzi przemocą, stąd chaos i nieład [2]).

W czterech brygadach armji koronnej liczono dziewięćdziesiąt sześć chorągwi kawalerji narodowej. Wielu rotmi-

---

[1]) Szeroko o tem piszą: *Kalinka* «Sejm Czteroletni», tom I, str. 418—427. Koźmian, «Pamiętniki», tom I, str. 207. Ks. Kitowicz, «Pamiętniki».

[2]) Z wyjątkiem dawnych pułków, w tym czasie wojsko koronne była to zbieranina «goła, bosa i głodna», jak się wyraża naoczny świadek, ks. Kitowicz: «Widziałem sam w Łowiczu rekrutów regimentu generała Raczyńskiego, po ćwierć roku w służbie będących, chodzących bez obuwia i sukien, tylko w kitlach i szlafrokach». (*Ks. Kitowicz*, Pamiętniki, tom I, str. 157).

strzów, nie otrzymując przyobiecanego dla nowozaciężnych żołdu, wolało ich rozpuścić, lub, opłacając z własnej kieszeni, nie uznawało żadnej subordynacji. Stąd pobłażliwość na popełniane przez szeregowych nadużycia [1]).

Kościuszce przypadło w udziale urządzić kresy od Włocławka do Kłodawy i od Koła do Świerczyny, gdzie mieściła się główna kwatera dywizyjna. Obowiązki były ciężkie, a środki pomocnicze bardzo ograniczone. Nie dziw, że w tym przykrym niezmiernie stanie rzeczy Kościuszko czuł się smutnym i przygnębionym. Nie miał nawet przy sobie ani jednej bratniej duszy, któraby podzielała jego troski o zagrożony byt kraju. Bawiono się, ucztowano na potęgę.

Ponieważ w koniach, siodłach, a nawet uzbrojeniu panowała wielka rozmaitość, młodzi oficerowie trawili czas na zamianach broni lub dopasowywaniu świeżych mundurów. Cieszyły ich, jak dzieci nowe cacko, owe szlify, pasy, pendenty, patrontasze, z czystego srebra odrobione, albo posrebrzane bogato. Bale i reduty włocławskie były szeregiem triumfów dostatniej, dziarskiej, a skorej do uciech młodzi.

Błyszczące źrenice nadobnych dziewoi patrzyły z upodobaniem na ich rwący oczy strój granatowy z karmazynowemi wyłogami, na te konfederatki z białem piórkiem, ze srebrną sprzączką i sznurem.

---

[1]) «W kawalerji narodowej dowódcą chorągwi był rotmistrz, mający w armji stopień jenerał-majora. Dawał chorągwi swoje nazwisko. Byli to zazwyczaj więksi panowie i przy chorągwi nie przebywali. Rotmistrza zastępował w chorągwi porucznik, ten miał pod swemi rozkazami chorążego, namiestnika, wachmistrza i kapralów. Pierwszy szereg chorągwi tworzyli towarzysze, opatrzeni w lance, pałasze i pistolety. W drugim stawali pocztowi, czyli szeregowi, zbrojni w pałasz, pistolety i karabinek. Towarzysz kawalerji narodowej musiał być szlachcicem. Jak dawny rycerz ze swymi giermkami, przystawał on do chorągwi ze swoim szeregowym i luzakiem o trzech własnych koniach, ze swoją bronią i mundurem; w armji miał rangę oficerską» (*Kalinka* «Sejm Czteroletni», tom I, str. 419 i 494).

Na każdym oficerze mundur, jak ulany, a w tańcu nikt im nie mógł sprostać. Aż grzmiało od krzesańców i hołubców w mazurze, który tańczony był na prowincji, chociaż w stolicy anglez i kadryl był w modzie. Biły serduszka w rytm zawrotnej ochoczej muzyki.

Kościuszko nie zawierał znajomości wśród okolicznych obywateli. Nie pociągały go huczne zabawy, ani też szukał rozrywki przy kartach i kieliszku, jak większość starszych jego towarzyszy.

W tej chwili właśnie samotnego rozmyślania usłyszał za oknem brzęk szabli i gwar młodzieńczych głosów.

Do ucha jego wpadł urywek głośno prowadzonej rozmowy:

— Parol szlachecki, że panna Malwina ma oczy fiołkowe.

— A ja powiadam waszeci: czarne, jak aksamit!

— Mylisz się, waszmość, panie chorąży!

— Jak mi Bóg miły! Jak pragnę dziś jeszcze ujrzeć pannę Malwinę!

— Jutro tańczę z nią pierwszego mazura. Jeśli sama przyzna, że waszmość ma słuszność, kasztanka mego oddaję.

— Znarowiony! — zabrzmiał przekornie głos trzeci.

— No, to siodło stawię! Pal go sześć!

— A ja moje pistolety.

— Zgoda! Idziemy pod „Czerwonego Kogutka" oblać zakład.

Pomknęli, jak wicher.

Kościuszko uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Oj, dzieciuchy, dzieciuchy! A wszyscy trzej dziś ode mnie dostali pochwałę za gorliwość w służbie! Zuchy! Kawalerzyści urodzeni! Jak to konia umie zażyć ten chorąży świeżo upieczony! Ha! Niech wyszumi młode piwo! — szepnął do siebie. — Gdy przyjdzie prawdziwa potrzeba, musimy pustakom mocno ściągnąć cugle... Od siedemdziesięciu zgórą lat Polska nie prowadziła żadnej wojny! Wojsko było tylko

na pokaz, od parady. Zgiełk walki może te młode siły z krótkowzroczności uleczy, myśli płoche przegoni!...

Zamarzyła mu się wojna wielka, któraby, jak burza wiosenna, oczyściła powietrze, pobudziła nowe soki, dźwignęła Polskę i pchnęła ją na nowe tory.

Wszak Ameryka dała przykład, co znaczą we wspólnym celu zjednoczone siły.

Wojna w imię wolności ma w sobie grozę, hartującą dusze. W boju, w huku armat, w grzmocie karabinowym, w przelewie krwi naród odzyskuje swoje prawa, poszanowanie swego imienia.

Junacy przestaną spierać się o barwę oczu panny Malwinki, gdy im łuna pożarna łyśnie w ślipia, a syk kul karabinowych grać będzie szalonego drabanta... [1]).

Uczuł się Kościuszko w tej chwili nerwowego podniecenia, a zarazem wielkiego duchowego osamotnienia powołanym do dokonania jakiegoś potężnego dzieła.

Nie zdawał sobie sprawy, jak i kiedy to nastąpi, pewnym był wszelako, że los go na widownię szerszą wysunąć musi.

Ten błysk jasnowidzenia jakimś nieznanym przejął go dreszczem. Zapragnął, bądź co bądź, poufnie z kimś pogwarzyć.

Składało się właśnie dobrze, że miał interes służbowy do załatwienia w Warszawie.

— Nie poślę tam! Sam pojadę — odpowiadał sobie w myśli. — Z Niemcewiczem poufnie pogadać, Kołłątaja, Ignacego Potockiego posłuchać. Odświeżyć się w tej odmiennej atmosferze! Oni tam nową Polskę kują, nowe prawa!...

Zakrzątnął się żywo, kazał konie gotować do drogi.

O świcie wyruszył do stolicy.

*

* *

---

[1]) Taniec, składający się z marsza i oberka czyli wyrwasa.

W oknach drugiego piętra na Podwalu błyszczało światło. Sień była obszerna, sklepiona.

Kościuszko przebiegł szybko kilkanaście schodów, drewnianych wprawdzie, lecz czysto wymytych, i zapukał mocno do drzwi bocznych, wiodących wprost do pokoju Niemcewicza.

— Kto tam u licha tak wali?

— Otwórz, to zobaczysz!

Dały się słyszeć przyśpieszone kroki. Drzwi skrzypnęły. Niemcewicz stanął w progu, ubrany, jak do wyjścia.

— Generał Kościuszko?

— Nie kto inny. Cóżeś waszmość taki wylękniony?

— Cóż znowu! Rad jestem wielce, ale wyznaję, nie spodziewałem się tak miłego gościa!

— O tak spóźnionej porze, dodaj, przyjacielu. Ano, tęskność mię wzięła. Posła inflanckiego nawiedzić zapragnąłem!

— Wolne żarty, generale! Z duszy, z serca wdzięcznym za wizytę.

— Przenocujesz mię u siebie, kochany Juljanie?

— Służę, służę.

— Niemcewicz począł uwijać się i wołać na służbę o posiłek.

— Nie potrzeba. Nic jeść nie będę. Daj sługom spocząć. Pogawędzić wolę z tobą. Ale, być może, przerwałem poetyckie natchnienie?

— Bynajmniej. Dziś nic pisać nie miałem zamiaru — odrzekł Niemcewicz z pewnem wahaniem.

Kościuszko obrzucił go bystrem spojrzeniem. Strój staranny i wytworny zdradzał, że poseł inflancki ma zamiar wyjść lub dopiero przed chwilą powrócił.

— Byłeś na jakim asamblu, Juljanie?

— Nie, generale. Dziś rano na naradach sejmowych, a teraz...

Uciął naraz.

— Masz jakie spotkanie?

— To mówiąc, Kościuszko położył mu rękę na ramieniu i rzekł wesoło:

— To niech imć pan poseł inflancki co prędzej wyrusza, dokąd go wiedzie serce lub przeznaczenie. Ja zostaję tu na gospodarstwie, do jutra. Zgoda?

— Zabawię pewno godzinę, nie więcej — odparł gospodarz zakłopotany, gościnność bowiem kazała mu pozostać, pomimo to, z widocznym niepokojem rzucił okiem ukradkiem na zegar, stojący na kominku.

Opuścił na chwilę głowę, jakby namyślając się, co ma uczynić.

— Idź, idź, Juljanie — zawołał żywo Kościuszko, wciskając mu kapelusz trójgraniasty do ręki.

— Pozwól, generale, że przygotować każę litewskiego krupniku.

— Dajże mi pokój — ofuknął go po przyjacielsku Kościuszko. — Zresztą, jak widzę, dałeś służącemu abszyt na dzisiaj, by samemu wymknąć się z domu niepostrzeżenie. Szczęście, żem cię przyłapał na wylocie, bobym się i nie dostukał do tego parnasu! Krupnika nie dawaj, gdyż na wstępie spotkałem rotmistrza Starzeńskiego, który mię zaprosił do austerji na poczęstunek i opowiadał o swych sukcesach.

— Starosta brański bardzo jest czynny w Komisji Wojskowej.

— Mówił mi właśnie, że w swem starostwie szwadron swoim sumptem [1]) do porządku przywiódł, że napływ ochotników przeszedł oczekiwania i że oddział ten domaga się, aby, skoro wypadnie potrzeba, pierwszy w ogień był wysłany. Takich więcej!

— Widzisz, generale, że pomnożenie wojska idzie szparko. A przecież zagraniczni posłowie przepowiadali ogromną

---

[1]) Kosztem.

kompromitację. Zobaczysz, jakie nowe w niedalekiej przyszłości gotują się dla nich niespodzianki! Ale o tem jeszcze nikomu ani słowa — dodał Niemcewicz, głos zniżając.

— Suponuję, że mi ufasz?

— Jak nikomu na świecie!

— Więc opowiesz mi, co tylko masz pocieszającego, bom zgryzot syt, a dobrych wieści spragniony. Ale nie zatrzymuję cię dłużej. Później obszerniej pogadamy.

Niemcewicz nachylił się do ucha Kościuszki i szepnął tajemniczo:

— Idę do Piattolego.

Kościuszko spojrzał z niedowierzaniem.

— Ksiądz Piattoli, sekretarz królewski do włoskiej ekspedycji? Znam go. Człowiek światły. Król w nim ufność wielką pokłada. Ale dlaczego te ostrożności?... Pewno będziesz mu czytał jakiś nowy swój utwór. Może satyrę?

— Wszystko opowiem za powrotem. Wybacz, generale, alem wielce spóźniony, a być tam muszę. Dałem słowo. Rzecz niezmiernej wagi.

Pożegnawszy serdecznie drogiego gościa, Niemcewicz śpiesznie wyszedł.

Kościuszko tymczasem usiadł w wygodnym fotelu przy kominku, drewka sam dorzucał, przyglądając się z upodobaniem czerwonym iskierkom, wzbijającym się wysoko i gasnącym zwolna, jak rzucone w przestrzeń race.

Z zaciekawieniem oczekiwał powrotu pełnego młodzieńczej werwy przyjaciela, który w tym czasie odgrywał już dość znaczną rolę, jako mąż stanu, zdolny poeta, wreszcie redaktor pisma p. t. „Gazeta Obca i Narodowa", cieszącego się wielką poczytnością.

— Co tu książek, szpargałów, rozpoczętych wierszy, manuskryptów! Juljanek nie na żarty wykierował się na wielkiego człowieka! — czynił w duchu uwagę Kościuszko.

Znali się oddawna, a chociaż Niemcewicz o lat dwanaście młodszy był od Kościuszki, jednakże w poglądach swych i zapatrywaniach zgadzali się najzupełniej. Obaj kochali Ojczyznę, pragnęli jej dobra, trafnie oceniali wady i zalety swego społeczeństwa i radziby widzieć Polskę silną, niezależną i od podstaw odrodzoną.

Niemcewicz powrócił istotnie w niespełna godzinę.

Wpadł rozweselony, promieniejący i, rzucając się w objęcia generała, wołał radośnie:

— Zwyciężamy! Zwyciężamy!

— Kto kogo? Gadajże statecznie, bo wyglądasz, jakby ci się mąciło w głowie!

Niemcewicz ręce zacierał i biegał wszerz i wzdłuż po pokoju, nie posiadając się z ukontentowania.

— Opowiem teraz wszystko, jak należy—rzekł, siadając naprzeciw Kościuszki. — Sprawa się tak przedstawia: Dotąd poczynione w rządzie naszym zmiany przyrównać można do głazu marmuru, w którym snycerz tylko przedniejsze części zgruba ociosał. Pamiętasz, generale, mówiliśmy o tem niegdyś szeroko u Kołłątaja, że tylko ogólna ustawa konstytucyjna może nadać dziełu całość i życie. Domyślasz się, generale, kto jest duszą tego dzieła?

— Wiem, Ignacy Potocki. Wysoce go cenię!

— Marszałek Małachowski, Kołłątaj oraz inni dopomagają mu i wspólnie radzą. Przypuszczony do tajemnicy Piattoli zdołał przeciągnąć króla na naszą stronę. Z początku król był wystraszony śmiałością planu, lecz gdy mu jęli przekładać, jak wielkie z nowej ustawy spłynie dobrodziejstwo dla kraju, jaką zyska władzę, jak imię swe drogiem Polakom, nieśmiertelnem w potomności zostawi, dał się skłonić.

— Można-li mieć pewność, że nikt przed czasem się nie dowie, nikt nie zdradzi?...

— Chyba sam król...

— I to możliwe! Gdzież macie z nim spotkania? Suponuję, że nie na królewskich pokojach?

— Właśnie w zamku królewskim, w skromnem mieszkaniu księdza Piattolego. Zbieramy się tam wieczorami. Król wymyka się ze swych komnat cichaczem, bocznemi korytarzami i spuszcza się na dół w największej tajemnicy. Towarzyszy mu tylko kasztelanic wiski.

— Ten głuchy i niemy?

— Tak, tak, dworzanin Wilczewski, który zapalone dwie świece, schylone ku ziemi, przed królem niesie. Sprzysiężeni nad każdym paragrafem ustawy deliberują [1]). Król, pomny na bezustanne zrywanie sejmów za panowania Augusta III, nieraz powiadał: „Lepiej ja od was znam naród mój, to nie przejdzie!" Myśmy twierdzili, że teraz większość sejmujących inne ma przekonania, niż ich ojcowie. I oto dziś rzekł nam: Zgoda! Jeśli uważacie, że tak trzeba, przystaję.

— Sądzicie, że to już wszystko?... Że, króla mając za sobą, już zwyciężyliście? Król nasz lękliwy, jak trzcina wiatrem kołysana, to w tę, to w ową stronę się kłoni. Obrońcy złotej wolności szlacheckiej będą wichrzyli. Nie dopuszczą. A ów potwór północy?... Wszak ambasador rosyjski zawiadomił, że „najjaśniejsza" nie zniesie najmniejszej zmiany w ustroju Polski, uznając ją za pogwałcenie traktatów.

— Stoczymy śmiertelną walkę, ale zwyciężymy.

— Niechże cię uściskam, mój Juljanie, za ten twój zapał szlachetny i wiarę w przyszłość szczęśliwą — zawołał Kościuszko, tuląc do piersi Niemcewicza. — A tożeś mnie uraczył dobremi nowinami! Nie napróżno śpieszyłem tutaj! Było mi tak nieswojo we Włocławku, że pasja mię brała!.. Dręczy mię, że tak leniwie wpływają pieniądze, potrzebne na utrzymanie wojska! Na bale, kuligi, na prawowanie się z sąsiadami sypią krocie, a z podatkiem na żołnierza ocią-

---

[1]) Naradzają się, rozważają.

gają się! Cała energja szlachty skierowana na ubieganie się o urzędy, ordery i dostojeństwa. Rozchwytują je z jakąś gorączkową łapczywością. A to pieniactwo, ta stronniczość, z jaką wymierzają w trybunałach sprawiedliwość! Biedota nic tam nie wskóra, a chłop skarżyć się nie ma prawa!

— Temu wszystkiemu nowa ustawa zaradzić musi. A przytem rokowania o sojusz obronny z rządem pruskim są na najlepszej drodze. Poseł Lucchesini zapewnia, że jego monarcha szczerze pragnie pomyślności i niepodległości naszej ojczyzny i zobowiązuje się dostarczyć trzydzieści tysięcy wojska w razie wojny z Rosją.

— Będziemy teraz mieli możność zasilenia arsenału świeżemi zapasami broni; dotąd ościenne państwa nie dopuszczały przywozu. Bardzo to w obecnej chwili ważne dla nas. Wojna nas uzdrowi, ale musi być dobrze przygotowana — zauważył Kościuszko.

— Partja przeciwna ośmiesza ciągle usiłowania nasze. Czy znasz, generale, ten wierszyk bezimienny, choć wszystkim wiadomo, kto go ułożył. Brzmi tak:

Chcesz wiedzieć, co są dzisiaj Zgromadzone Stany?
Ja ci słowem odpowiem, że to są organy,
Gdzie każdy klawisz tknięty swą powinność czyni,
Organistą zaś na nich teraz — Lucchesini [1]).

— To wcale udatne! Nie wszystkie jednakoż klawisze brzmią wyraźnie. W tem sęk, czy tu do zgody kiedy przyjdzie. My sami jeszcze niedość zdajemy sobie sprawę z własnej siły i wciąż oglądamy się na sąsiadów. A tych nianiek i opiekunów już za dużo!

— Najsmutniejsze dla nas, że tyle osób wpływowych pobiera stałe pensje z kasy ambasady rosyjskiej! Co za hańba! Czyś był natenczas w Warszawie, generale, gdy na początku

[1]) Bezimienny (Krasicki) «Opisanie sejmu teraźniejszego». Warszawa, 1790.

obrad sejmowych pieczętarze, marszałkowie konfederacji, deputaci z senatu i ze stanu rycerskiego, przyzywani zkolei, przysięgali: *jako pensji zagranicznej nie brałem i brać nie będę?* Odsłonił się smutny obraz stosunków naszych! Słusznie Staszic powiada: „Zaprzestańmy używać przysiąg, one w Polsce już nie odkryją prawdy, tylko potępią dusze". Na krzywoprzysiężców palcami dziś wskazują [1]).

— Tfu!—splunął Kościuszko ze wstrętem – cóż boleśniejszego nad podeptaną godność narodową! Ten trąd sprzedajności musi być krwią zmyty! Spróchniałe owoce niech giną marnie!

— To też stronnictwo nasze silne jest uczciwością nieposzlakowaną. Nikt z kasy pruskiej złamanego szelągaby nie tknął. Pragnieniem szczerem dobra kraju pociągniemy wszystkich za sobą!

— Obyż słomiany ogień zapału polskiej społeczności zamienić w wiecznotrwałe ognisko; naród nasz mocną ręką ująć za bary, wskazać mu cel wielki, święty: Polska ma być niepodległa i jednolita! i wysoko podnieść nasz sztandar narodowy — zawołał Kościuszko z mocą.

— Tak nam, Boże, dopomóż! — dodał Niemcewicz, kładąc rękę na sercu.

— Tak nam, Boże, dopomóż! — powtórzył generał, ściskając serdecznie dłoń przyjaciela.

Zapanowała chwila podniosłego milczenia.

Przerwał je Niemcewicz, mówiąc ze wzruszeniem:

— Generale! Z ciebie moc jakaś ku mnie idzie! Mówiłeś przed chwilą, żem ja dodał otuchy, a ja czuję, iż mógłbyś wszystkich nas podnieść na duchu i zawieść, dokąd będzie potrzeba! Pozostań jeszcze dni kilka. Pojutrze właśnie

---

[1]) Kalinka «Sejm Czteroletni». Przedajność w Polsce, str. 277. Wyliczone są tam nazwiska i sumy, pobierane od rządów obcych przez dostojników polskich.

zbierzemy się my, sprzysiężeni: Ignacy i Stanisław Potoccy, Kołłątaj, Mostowski, Weyssenhoff, Śniadecki, Staszic. Będziemy radzili.

Kościuszko odrzekł skromnie:

— Jam nie polityk ani dyplomata. W sprawach wojskowych rzecz inna. Praktykę mam, nie przeczę, przydać się na coś mogę. Jeśli ci kiedyś ochota przyjdzie, mój Juljanie, pióro na oręż zamienić — dorzucił z uśmiechem — służyć będę radą i pomocą.

— Pomysły twe, generale, są wielkiej wagi! Czytałem twój projekt o potrzebie uformowania milicji narodowej [1]), któraby w razie potrzeby wzmacniała liczebnie siły obronne kraju, bez kosztów na utrzymanie jej w czasie pokoju. Żądasz włączenia mieszczan i chłopów do szeregów. Wzorując się na amerykańskich urządzeniach, mógłbyś tu wiele pożytecznych zmian dla salwowania ojczyzny wprowadzić.

— Dajcież mi pole do działania! Rozwiążce ręce! Nic przedsiębrać nie mogę w tej opresji, dopóki mię do innej nie przeniosą dywizji.

— Zapewne słyszałeś już, generale, że książę Adam [2]) stara się usilnie, aby zięcia jego generałem dywizji mianowano, chciałby, jak mówi, dopomóc córce do osiedlenia się w Warszawie. Książę Wirtemberski otrzymał już indygenat i jest szlachcicem polskim. Lada chwila nominację dostanie, a wówczas bez wątpienia i ty się, generale, dostaniesz pod jego dowództwo. Wszak Czartoryscy niezmiernie cię wenerują!

Długo jeszcze w noc przeciągnęła się rozmowa, pełna dobrych nadziei i szerokich planów na przyszłość.

Niemcewicz liczne miał stosunki i dużo bywał w świecie. Umiał też barwnie opowiadać różne dykteryjki, a jego dar

---

[1]) *Tad. Kościuszko.* Uwagi (o potrzebie milicji narodowej). Rękopis przechowuje się w Bibl. Akad. Um. w Krakowie.

[2]) Czartoryski.

spostrzegawczy dawał mu możność czynienia bardzo trafnych uwag o różnych osobach, stojących podówczas na widowni.

Kościuszko, załatwiwszy pilne sprawy służbowe, położywszy jakby na chwilę rękę na pulsie tętniącej życiem stolicy, powrócił znów do swej kwatery, rzeźwiejszy i pokrzepiony.

*

* *

Wietrzno było, wilgotno; śnieg, tając, tworzył grząskie błotne jeziora.

Brnęli w nich po kostki zapóźnieni mieszkańcy Włocławka, śpieszący do swych siedzib.

Pusto prawie było na ulicach, ale w wielu możniejszych domach świeciło się w oknach i dolatywały dźwięki skocznej muzyki.

Kościuszko szedł ulicą w zamyśleniu. Podążał na rynek do austerji mieszczanina Kolasińskiego, którego krzywda spotkała, chciał bowiem sprawdzić na miejscu, kto mianowicie brał udział w grabieży wina. Miał w podejrzeniu kilku oficerów, którzy ustawicznie byli pijani i kilkakrotnie odsiadywali karę za burdy uliczne.

W dusznej izbie siedziało grono kawalerzystów, zabawiających się wesoło przy kieliszku. Starali się prześcignąć jeden drugiego w hałaśliwych toastach, dających „asumpt" do otwierania coraz nowej butelki.

Kościuszko wszedł do sklepionego przedsionku i, skinąwszy na pachołka, kazał wywołać gospodarza.

Chłopak jakoś długo nie wracał. Przez uchylone drzwi słychać było wyraźnie podniesione głosy, krzyk i wrzawę.

— Rozniesiemy na szablach chorążego Prawdzica — wołał jeden z biesiadujących, uderzając ręką w stół. — Jak śmie bronić łyków? Co on lepszego od nas? Klnę się na honor, że szablą mu kratkę wyrysuję na liczku! Popamięta Rudowskiego!

— Już i ta czeczotka Malwinka nie zechce spojrzeć na pokiereszowaną fizys! Tak, tak, dać mu nauczkę! Fircyk! Będzie nam tu morały prawił!...

— A sam tylko po balach się szasta!...

— Imć pan podkomorzyc Prawdzic obstawał według sprawiedliwości, iżby wielmożne panowie nie czynili mi ukrzywdzenia — żalił się pochylony pokornie gospodarz. — Toć kredyt kredytem, uczciwie mówię, że nie odmówiłem jeszcze nikomu, ale antałki bez zezwolenia wytaczać z piwnicy, to już... Boże, zmiłuj się! To waszmość panom kawalerzystom armji narodowej nijak nie przystoi!

— Patrzcie go, jaki śmiałek! Będziemy się z nim tu w jakie kordjaczne sentymenta bawili!

— To dla waści jest zaszczyt niemały, że chcemy pić taką podłą lurę, jaką nam waść tu podajesz!

— Święta prawda! — odhuknęli kołem.

— Bez długich ceregieli, nauczyć łyków moresu! Kolasa spuścim do piwniczki na całą noc, niech się tam trochę wysapie, a natomiast...

— Tak, tak! Kolasa w dół, antałek w górę! Niech pachołek wywinduje nam owe delicje, które dla innych chowa ten skner a!

Z głośnemi okrzykami i śmiechem chwycili szamocącego się i wyjącego ze strachu gospodarza i jęli go ciągnąć ku żelaznym drzwiom otwieranej wprost z izby piwnicy.

W tej chwili stanął w progu generał Kościuszko, o którego przyśpieszonym powrocie z Warszawy nikt z biesiadujących nie był uwiadomiony.

— Baczność, mości panowie! — zawołał spokojnym, donośnym głosem.

W jednej sekundzie opuściły się ręce, trzymające mocno Kolasińskiego w uwięzi; każdy z oficerów wyrznął gracko ostrogami, aż szyby zadrżały, poczem zaległa grobowa cisza.

— Na odwach, marsz! Zameldują się waszmościowie na trzy dni! — cisnął im rozkaz dowódca.

— Podług rozkazu!—odpowiedzieli jednym tchem i, jak niepyszni, wynieśli się z austerji, klnąc w duchu niefortunną przygodę.

— A kanalja! Prawdzic to niechybnie był tu na przeszpiegi i nam, trafunkiem niby, generała sprowadził! Nie daruję, jakem Rudowski, takiej deszkepcji nie daruję!

— Jakem Szeliski, zrobię mu na gębie kresę od ucha do ucha!

— Hamuj się waść! A może i niewinien? — wtrącił inny, nieco wytrzeźwiony. — Spenetrować wprzód trzeba!

— Jakto niewinien? Pić z nami nie chciał, za łykami ciągnie. Licho przebiegłe, jak kot! Jak się jął do panny Malwiny zalecać, toć dziś, kiedy go zoczy, taki karmazyn ma na liczku, że i rakby się takiej barwy nie powstydził!

— Waszmość z zazdrości zielenieje! Rozumiem teraz, skąd taki rankor nagły do Prawdzica!

— Mniejsza, skąd! Winien, nie winien, równa racja! Naznaczę go, bo mi się to jego chłopięce, różowe pysio nie podoba! — odburknął Rudowski.

*

* *

Kościuszko pozostał w austerji, by wysłuchać skarg przerażonego Kolasa. Cierpliwie milczał, gdy pokrzywdzony śmiesznym dyszkantem wywodził swe żale.

— O to mi chodzi—jęczał, że kiedy podkomorzyc Prawdzic, obecnie chorąży, którego pomnę od tyluśkiego dziecka, bo i teraz jeszcze chyba dwudziestu lat nie ma, kiedy chorąży powiedział, że pić nie będzie z nimi, bo gotówki mu zbrakło, a zaprzysiągł ojcu nigdy nic w kredyt nie brać, tedy rotmistrz Rudowski powiada: „Pij waść, do krocset, boć Kolasowi czy tak, czy tak złamanego szeląga nie damy!" A on na to: „Krzywda ludzka nie tuczy! Maleparta do czarta!"

— Waćpan będzie miał wszystko, co do grosza zapłacone — rzekł generał. — A nie kredytuj waść tym żółtodziobom! Za gwałt uczyniony spotka ich kara zasłużona.

— Ścielę się do stópek imć pana generała — wołał opasły Kolasiński swym cienkim, piskliwym głosem, pochylając się na sposób wieśniaczy, by objąć nogi Kościuszki i rękę jego ucałować.

— Bez uniżoności, bardzo proszę—żachnął się generał.— Nie znoszę tego! Wszyscyśmy obywatele jednej ziemi, każdy pracuje, jak może. Jam nie ksiądz, ani panna, aby mię w rękę waść całował!

Wyszedł szybko podrażniony i chmurny.

Dochodząc już prawie do swej kwatery, zatrzymał się nagle.

Oczy jego uderzył dziwny widok. Przez błotnistą ulicę barczysty żołnierz niósł na plecach młodziutkiego oficerka. Przecinał właśnie wpoprzek drogę, pełną lśniących w blasku księżycowym kałuży.

Ujrzawszy Kościuszkę, ułan drgnął i szybko zeskoczył, oddając cześć dowódcy.

Dźwigający go przed chwilą drab stanął też wyprostowany z głupkowatym, jakby zastygłym na ustach uśmiechem.

Widok był tak komiczny, że Kościuszko miał ochotę parsknąć śmiechem. Ale się powstrzymał.

Przypomniały mu się dawne czasy, gdy koledzy jego kadeci w podobny sposób podążali na zabawy, aby nie zbrudzić świeżego, jak z igły, stroju [1]).

---

[1]) Niemcewicz w «*Pamiętnikach z moich czasów*» opowiada: «Wydający bale zwykli byli przysyłać karety swe po tuzin lub pół tuzina kadetów; dobrze, gdy przysłano karetę, lecz gdy zapomnienie lub przypadek jaki przeszkodził, kłopot wielki w takim razie, jedyna ucieczka do służących obok żołnierzy gwardji litewskiej; każdy kadet dawał żołnierzowi 15 groszy, ten, wziąwszy go na barana na plecy, zaniósł, gdzie należało. Napowrót już była pewna kareta». (Rozdz. III, str. 32).

I teraz miał przed sobą śliczne cacko, dziewiętnastoletniego zaledwie oficera, wyglądającego na lat szesnaście co najwyżej.

— Czy chorąży Prawdzic władzę w nogach postradał?— zapytał generał surowo, z odcieniem szyderstwa w głosie.

Chorąży spuścił oczy. Z bólem serca zauważył, że są już obryzgane błotem jego nowiutkie, dziś dopiero od szewca odebrane buty.

Westchnął smutnie.

Wolałby się zapaść pod ziemię, niż spotkać się oko w oko z generałem.

— Czy chorąży Prawdzic i władzę mowy też postradał? — ciągnął dalej Kościuszko, a nie otrzymawszy odpowiedzi, zawołał gniewnie:

— Odpraw waść natychmiast swego ordynansa. Żołnierz o tej godzinie spoczywać powinien.

— Łaski, generale! — odważył się wykrztusić Prawdzic pozostawszy sam na sam z Kościuszką. — Nieraz zdarzało się w korpusie, że nas przenosili na ręku żołnierze i nie otrzymywaliśmy za to nagany...

— Mogło być, ale dziś nie może tak być i nie powinno. Zrozumiane? Trzeba szanować godność człowieka. Szeregowy to nie bydlę robocze; „nie jest sługą towarzysza, ale żołnierzem Rzeczypospolitej" [1]). Co za ohydny sposób traktowania ludzi!".

— Mieszkam stąd o trzy kroki — starał się usprawiedliwić zmieszany i zarumieniony po białka chorąży.

— Trzy kroki możesz waść iść na własnych nogach. Takiemu dobremu kawalerzyście nie przystoi siadać, jak dzieciak, na barana! Czy w bitwie każesz się też waszmość nosić na plecach?...

---

[1]) Tak brzmiało rozporządzenie z r. 1785: «*O zmniejszeniu towarzystwa i zwiększeniu poczłowych czyli szeregowych w chorągwiach kawalerji*».

— Generale! Melduję posłusznie, iż wybiegłem na chwilę z balu po zapomniany sztambuch panny sędzianki... Miałem natychmiast być z powrotem — szepnął żałośnie.

— Zakonotuj waść sobie, że służysz Rzeczypospolitej, a nie żadnym ichmościankom! Obowiązek przedewszystkiem. Jutro mustra o świcie. Gdzież sumienie trzymać całą noc na nogach żołnierza, aby czuwał, czy nie wypadnie waści pędzić po sztambuch jakowyś. Wstyd! Chciałem waszmość przedstawić do nagrody za dobrą jazdę, pochwalić, żeś w gronie kolegów ujął się za pokrzywdzonym, a teraz waszmość sam pokpiłeś sprawę z tem jeżdżeniem na ludzkim grzbiecie! A wszystko to dla panny Malwiny z fiołkowemi oczyma!

— Panny Malwiny?... Z fiołkowemi oczyma? — powtórzył odruchowo chorąży, pełen zdumienia. — Co zacz? czarodziej, czy co?... Serce przenika — przewinęło mu się w myśli lotem strzały. Gotów był wysłuchać stokroć gorszej reprymendy, odsiedzieć choćby trzy dni na odwachu, konia z rzędem ofiarować z rozkoszą, byleby co rychlej powrócić na balową salę i zdążyć na czas, nim zaczną kontredansa, którego tańczyć ma z panną Malwiną.

Błagalne spojrzenie wpił w twarz generała.

— Nie zapomnij waść, że jutro mamy ćwiczenia z nowozaciężnymi. Na mustrze sam będę — rzekł Kościuszko. — Mam jeszcze dla waści niektóre zlecenia.

— Podług rozkazu — wyszeptał chorąży głosem skazańca, któremu wnet odczytają wyrok.

A jeśli generał każe mu iść z sobą?...

Kościuszko śledził bystrem okiem wyraz twarzy młodzieńczej, na której czytać można było myśl każdą, jak w otwartej księdze.

— A teraz na lewo marsz! Pannie pięknie się pokłonić, wręczyć sztambuch i przetańczyć z nią ochoczo mazura!

Gdy generał wypowiedział ten rozkaz żartobliwy, Prawdzic tak był uszczęśliwiony, że głośno zaczerpnął powietrza,

jak człowiek tonący, znalazłszy się nagle nad powierzchnią wody.

Kościuszko uśmiechnął się serdecznym swym, pełnym wyrozumiałości dla młodych uśmiechem, a po chwili przyjacielskim tonem zapytał:

— Także ci te fiołkowe oczęta nad wszystko miłe?...

A chorąży Prawdzic, kładąc rękę na piersi, zawołał bez wahania:

— Bóg i Ojczyzna przedewszystkiem! A panna Malwina...

Tu głos mu się załamał.

— Panna Malwina — dodał ciszej — to pierwsze w życiu moje ukochanie!...

Powiedział to tak prosto i szczerze, że Kościuszkę za serce chwycił. Powiało nań wiośnianem tchnieniem.

— Słusznieś rzekł. Bóg i Ojczyzna przedewszystkiem. A dla onej panny Malwinki jeśli masz waszmość afekt siarczysty, szczęść, Boże! Ruszaj więc do niej, zwinnie się przeprawiaj przez te błyszczące smugi, ale pamiętaj asan na karkach ludzkich nie jeźdź, bo to honorowi żołnierskiemu ujmę przynosi.

To rzekłszy, Kościuszko oddalił się, a na odchodnem rzucił jeszcze:

— Zajdź do mnie waść jutro o szarówce, pogadamy!

Prawdzic zwinnie, jak kot, przedostał się w paru skokach na drugą stronę ulicy, przyczem strój jego nie poniósł najlżejszego szwanku; rad był ze swej zręczności, z powrotu na zabawę tańcującą, jak również z uprzejmego wyróżnienia, jakie go najniespodziewaniej spotkało, wiedział bowiem, że generał rzadko kogo do siebie zaprasza, a bytność u dowódcy w godzinach nieurzędowych za osobliwszy zaszczyt sobie poczytywano.

NA KRESACH RZECZYPOSPOLITEJ.

Upłynęło kilka miesięcy.

Kościuszko czekał — rozglądał się, nasłuchiwał.

Wypełniał jednocześnie z nieposzlakowaną sumiennością wszystko, co wchodziło w zakres jego obowiązków, a nawet czynił daleko więcej: pracował za dziesięciu. Coraz bardziej wprowadzał ład i rygor do szeregów.

Nastąpiło wreszcie oczekiwane przeniesienie z wielkopolskiej do małopolskiej dywizji, która powierzona została ks. Ludwikowi Wirtemberskiemu.

Lato wypadło spędzić w Lublinie.

I tu znów mustry, egzercerunki, próby ataków bagnetowych, a przytem ustawiczna troska o zaopatrzenie nowozaciężnych, o lenungi i furaże [1]) zaprzątały myśl Kościuszki i nie dawały mu spoczynku.

Tymczasem dochodziły wieści, że wojna Rosji z Turcją ma się ku końcowi, że pomiędzy Potemkinem, bawiącym w Jassach, i wielkim wezyrem w Szumli zaczęły się już przedwstępne układy pokojowe, a główne siły armji rosyjskiej rozłożono ponad granicami województwa podolskiego i kijowskiego, aż do Białorusi, w zupełnej gotowości wkroczenia na dany znak do Polski.

Wśród żaru sierpniowego południa otrzymał Kościuszko rozkaz gotowania się w marsz długi, by bronić ziem kresowych.

---

[1]) Żołd i zapasy.

Zbliżała się chwila oczekiwana. Zwiększały się zastępy; rosły bataljony. Wśród dziarskiej młodzi, pozostającej teraz pod komendą Kościuszki, dawał się odczuwać radosny dreszcz oczekiwania.

Niektórzy z oficerów dosięgali myślą prawdziwie rycerskich wyżyn, gdyż Kościuszko zdołał już dobrać sobie ludzi, przejętych, również jak i on, duchem patrjotycznym. Nigdy nie przemawiał zbyt surowo, upominał łagodnie, lecz stanowczo, głównie zaś przykładem własnym zagrzewał i skłaniał do sumienności. Buta i animusz staropolski w łączności z wprowadzoną do szeregów subordynacją wojskową nadawały osobliwy wdzięk i odrębność polskim zastępom zbrojnym.

Do dywizji, której naczelne dowództwo powierzone zostało zięciowi poważanego ogólnie ks. Adama Czartoryskiego, oraz bracławskiej i kijowskiej pod komendą ks. Józefa Poniatowskiego, garnęła się młodzież ochoczo, przeważnie ze sfer ziemiańskich. Napływ ochotników na kresach był większy jeszcze, niż w innych stronach kraju.

Zapowiadano wielkie manewry pod Warszawą, następnie w Gołębiu, w okolicy Puław i w Bracławiu nad Bohem. Kościuszko po raz pierwszy miał poznać bujną Ukrainę, oraz pełne czaru wołyńskie i podolskie łany. Droga, którą przebywał, wiodła przez szereg miejscowości, pełnych wspomnień historycznych, zwycięskiemi bojami przodków wsławionych.

Przed oczyma wodza roztaczały się coraz piękniejsze krajobrazy: jaskrawe łuny zachodu i te cudne opalowe świty na stepach, bystre rzeki, dębowe lasy. Naraz wyłaniała się gdzieś na wzgórzu wspaniała siedziba magnacka, wieńcem niebotycznych topoli okolona, a poniżej tulące się wśród wierzb rosochatych białe chaty wieśniacze, słomianą strzechą kryte.

Na polach uwijał się lud roboczy w swych barwnych strojach: gibkie postacie kobiece w jaskrawych zawojach, rzekłbyś, makowe kwiecie; koszule ich, bogato na rękawach

szerokich zahaftowane, moc korali i paciorków wszelakich na szyi; samodziałowe krótkie spódnice, pasem kraśnym kilka razy w stanie okręcone; mężczyźni w świtach czarnych i zielonych pasach, rośli, ogorzali, z wyrazem zaciętości w twarzy, lecz do roboty skorzy, a przy pracy w polu pieśnią rzewną słodzący dolę niewolniczą.

Kościuszko musiał zatrzymywać się po drodze dla przeglądu różnych regimentów. Miał sobie wskazany Niemirów, jako punkt dogodny dla przebywania tam czas dłuższy ze swym sztabem.

Jedną z milszych wycieczek w tych nowych dla siebie stronach, zanim stanął kwaterą, było odwiedzenie dawnego kolegi i przyjaciela, obecnie komendanta Kamieńca, Józefa Orłowskiego.

Powitanie było nad wyraz serdeczne. Tyle wspomnień, tyle dobrych chwil razem przeżytych łączyło ich z sobą.

Orłowski zagospodarował się już potrosze na nowej siedzibie. Pomimo wielu trosk i utrapień z doprowadzeniem do porządku w bardzo opłakanym stanie pozostającej fortecy, miał humor doskonały. Wysokiej był i zręcznej postawy. Wyraz szlachetnej pogody, goszczącej stale na jego twarzy, wytworność obejścia w połączeniu z wielką swobodą, dowcip bez cienia złośliwości jednały mu życzliwość zarówno mieszkańców Kamieńca, jak też okolicznych obywateli.

Żarliwość w służbie nie przeszkadzała komendantowi pozawierać licznych stosunków w województwie, najchętniej wszelako wyruszał do Ostapkowiec, własności starostwa Grabianków, lub też do Międzyboża, gdzie starościna z córką spędzały letnie miesiące.

Kościuszko, jako doskonale z fortyfikacjami obznajmiony, czynił bardzo trafne uwagi i dał przyjacielowi wiele cennych wskazówek co do odnowy warowni kamienieckiej.

Gdy przechodzili raz obok fortyfikacyj, zwanych Ruską Bramą, Orłowski wskazał małe, zakratowane okienka i rzekł:

— Spójrz-no, Tadeuszu, oto tam, w nędznych celach, przebywają uwięzieni od 1774 roku Peszyński i Frankenberg, skazani na dożywotnie więzienie za udział w porwaniu króla. Pierwszy z nich leśniczy, drugi ślusarz z zawodu. Kuźma wydał naówczas wszystkich spiskowców: Pułaskiego, Strawińskiego, Łukawskiego i tylu innych konfederatów. Cybulskiego i Łukawskiego ścięto, reszta skryła się, jak ci wiadomo, boć z Kazimierzem Pułaskim razem w Ameryce walczyłeś, a Kuźma pono i teraz na wygnaniu stałą pensję od króla za ocalenie go pobiera. Wiesz, że zawsze z litością i współczuciem spoglądam w te okna i myślę, czy nie lepiej jest zginąć odrazu, choćby pod katowskim mieczem, niż takie beznadziejnie marne wlec życie! [1]).

Kościuszko wzniósł oczy w górę we wskazanym przez przyjaciela kierunku.

— W istocie — rzekł po chwili - trudno wynaleźć smutniejszy do odsiadywania kary zakątek! Patrzą tylko na plac pusty, za nim Smotrycz toczy swe mętne fale, brzeg drugi skalisty, bez najmniejszej zieleni... Co za los okrutny! Gdyby było w mojej mocy, zniósłbym wszelkie więzy i niewole! I pomyśleć, że ci nieszczęśni działali w dobrej wierze, dobro ojczyzny mając na względzie! I teraz, mój Józiu, jest partja silna w stolicy, która wierzy święcie, że król będzie iść odtąd ręka w rękę z narodem, że uda się im zreformować

---

[1]) Król Stanisław August, sam już pozbawiony tronu, czynił w r. 1795 starania o uwolnienie związkowych, pomawianych o królobójstwo. — «Starania moje o ich uwolnienie — pisał do Repnina — były zawsze daremne; nigdy nie chciano zrozumieć, że cierpienia ich zatrują ostatnie chwile mojego życia. Błagam cię, mości książę, byś się wstawił o ich oswobodzenie. Nazwiska skazanych: Peszyński i Frankenberg». Dopiero jednak w r. 1796, po 23 latach niewoli, wypuszczono ich na rozkaz Pawła I w tymże dniu, gdy uwolniony został Kościuszko wraz ze wszystkimi innymi więźniami stanu.

prawa, obudzić w Ciołku [1]) szczere uczucia patrjotyczne, odciągnąć od moskiewskich wpływów.

— Mnie się widzi, Tadeuszu, że na tym sejmie jest dużo poczciwego krzyku, ale warcholstwa jeszcze więcej!

— Są tam teraz tacy, na których kraj oprzeć się może. Liczba ich wzrasta, ale są i szalone pałki, jak Suchorzewski, którzy zawsze bróździć gotowi i rebelje w imię złotej wolności czynić będą.

— Jak myślisz, Tadeuszu, będziemyż koniec końców wojowali, czy też chcą nam tylko oczy zamydlić, a w tajemnicy z carycą północy znów będą się wiodły układy?... Toć pycha hetmana Branickiego i Szczęsnego Potockiego nie zna miary... Bies im dmuchnął w duszę!

Kościuszko zamyślił się.

— Głodne to wszystko chwały i złota. Choćby po trupie ojczyzny iść wypadło, pójdą wprost, by osiągnąć jak najwięcej. Sakryfikować własne cele dla dobra kraju nie zechcą. A zresztą u nas każdy na swój sposób Polskę miłuje, a przynajmniej sentyment dla niej głosi. Dla mnie to jasne, że zarówno król, jak Branicki i Szczęsny lękają się otwartego przeciw Rosji wystąpienia. Kto wie, może każą nam jeno uśmierzać bunty chłopskie na kresach; toć było już o tem na sejmie tyle czczej gadaniny! Omal pospolitego ruszenia nie powołano z racji tych pogłosek.

— Bajki, mój kochany, nowe strachy na stare dzieci! Nasłuchasz się jeszcze o tych bredniach dosyta, bo tu szlachta wciąż jeszcze ma stracha, „perelaki", jak mówią Rusini.

— Książę Adam zapewniał też, że z jego dóbr kresowych żadne zatrważające nie dochodzą wieści. Ale w Koronie gadają, że tu gotują się znów mordy krwawe, jak przed laty. Nie mogę pogodzić się z myślą, aby oficerowie, miast pilnować swych powinności, zmuszani byli do indagacji [2])

---

[1]) Herb Poniatowskich. [2]) Badania.

osób, o bunt pomawianych. Od czegoż sądy grodzkie, trybunały? Katów robić z ludzi, którzy oręż powinni tylko dobywać na wroga!

— Ano, widzisz, ty waszmość republikaninie, pokropiony warem amerykańskich swobód, ostrzegają tutejsi ziomkowie, że w razie wojny z Moskwą, możemy napotkać we własnych poddanych materjał zapalny. Byle kto lont przyłoży i rzeź gotowa. Chłop uciemiężony zawsze do buntu skory. A jak wyrzną herbowych, tak, jak się Francja coraz głośniej odgraża?... A jak postronków nie starczy, aby tak, fiut! wszystkich karmazynów na gałąź?...

— Wstydź się, Józefie, wyrywać z niewczesnemi żartami, gdy mowa o rzeczach wielkiej wagi. Nam dziś dążyć całą siłą należy do zrównania stanów, do zatarcia nienawiści pomiędzy kmieciem a panem, do pobudzenia uczuć obywatelskich wśród ludu. O ile masz tu znajomości i wpływy, powinieneś również działać w tym duchu.

— Podzielam twe zdanie, ale ja tam na apostoła nie stworzony! Są tu zresztą takie niektóre mamuty, że nikt z nimi do ładu nie dojdzie. Poznasz zapewne wkrótce niejakiego Żurowskiego, człeka starej daty, ten ci ma animozję do wszelkich powiewów z Zachodu! Tego spróbuj przekonać, że chłop i pan z jednej gliny ulepieni! Aż się trzęsie ze złości i pieni, gdy mu niekiedy kasztelan Morski oponuje i w obronie włościan staje. U niego każdy cham to już zbrodniarz urodzony.

— Zabójcze jest dla narodu to klasowe zaślepienie! — zawołał Kościuszko. — Słusznie wyraził się ten filut Lucchesini, że „imaginacja ma więcej władzy u Polaków, niż rozum zdrowy".

Dochodzili właśnie do mieszkania komendanta.

Tam oczekiwał go młody, smukły oficer z regimentu Ilińskiego. Wręczył Orłowskiemu liścik, kobiecą ręką pisany.

— Przedstawiam ci, Tadeuszu, chorążego Chłopickiego, syna moich dobrych przyjaciół. Chłopak sprawny i pilny.

Złamawszy pieczątkę, przebiegł pismo z uśmiechem zadowolenia.

— Bardzom wdzięczny waćpanu za spełnienie polecenia i wręczenie nut pannie Annie — rzekł uprzejmie, ściskając dłoń młodzieńca.

Chwilę porozmawiawszy na stronie, pożegnał przybyłego, gdyż znowu młodziutki artylerzysta, o dziecinnych jeszcze rysach twarzy, stanął przed nim, salutując.

— Godność waćpana? — rzucił krótko Orłowski.

— Seweryn Bukar, podporucznik artylerji z komendy majora Napiórkowskiego. Przybywam z Połonnego po odbiór pięćdziesięciu tysięcy złotych na żołd dla komendy.

Wypowiedział te słowa jednym tchem, nie mogąc ukryć pewnej dumy i zadowolenia, że mu dano tak ważne zlecenie.

— To je waćpanu z kasy wyliczą.

— Już otrzymałem całą sumę. Dziś wyruszam zaraz w drogę. Mam być w Zielińczu u podkomorzyny Gawrońskiej, bo mnie wielce o to syn jej, a mój towarzysz, obligował.

— Pokłońże się waćpan i ode mnie pani podkomorzynie i podkomorzankom.

— A oto list i ukłony piękne dla imć pana komendanta od sztabskapitana Gawrońskiego.

— Jakże się tam cnej Ambrozji powodzi?—zaśmiał się Orłowski, przebiegając pośpiesznie list kapitana. — Podobno, jak mi pisze, mieszkacie z Ambrożym razem? Wesoły chłop z niego, na ochocie do zabawy i figlów nigdy mu nie zbywa, woli to, niż egzercerunki.

Bukar jął opowiadać żywo o wspólnym znajomym. Pomimo bardzo młodego wieku miał widocznie duże obycie się towarzyskie i staranne wychowanie domowe.

— Waćpan jesteś synem pana sędziego Adama Bukara z Januszpola?

— Tak, właśnie.

Młodzikowi w oczach rozbłysły iskierki radości na wspomnienie rodzinnego domu.

Komendant zapraszał go uprzejmie, aby spoczął u niego chwilę, ale Bukar podziękował pięknie, mówiąc, że śpieszyć musi, a przeszło godzinę czekał, aby osobiście list doręczyć.

— Przypominam sobie, że pułkownik Sierakowski i kilku innych polecali moim względom tego młodzika — rzekł Kościuszko, gdy Bukar się oddalił. — Rodzina mu protekcjami drogę toruje. Chłopak ładny, dorzeczny, w korpusie brał nagrody; szkoda będzie, jeśli go pociągną do kart i hulanki!... Na tych najmłodszych naszych towarzyszy najbaczniejszą należy zwracać uwagę i otaczać ich braterską prawdziwie opieką. Radbym, aby komendanci codziennie, zebrawszy do siebie oficerów, parę godzin czasu poświęcali na czytania pożyteczne lub pogadanki o rzeczach, ze stanem wojskowym styczność mających. Mało bowiem który z młodych, przedwcześnie z korpusu wypuszczonych oficerów pracuje pilnie nad sobą z własnej ochoty, tak, jak mój adjutant, Staś Fiszer, rówieśnik niemal i kolega Bukara. Podziw wprost budzi jego zamiłowanie do nauki.

— Dość tych gawęd na sucho — zawołał komendant Orłowski, zapraszając Kościuszkę do nakrytego już stołu. — Musisz być djablo głodny, Tadeuszu! Rozpoczniemy zaraz od przedniego bigosu i wino wcale niezłe dostaję od pewnego Ormianina. Pokrzepimy się nieco, a nad wieczorem wyruszymy do Międzyboża.

— Byle nie dziś. Jestem niedyspozyt i upadam ze znużenia.

— Ty i znużenie?... Jakoś mi to nie idzie w parze.

— Dlaczego dziś tak uplanowałeś?

— Wrócił właśnie stamtąd chorąży Chłopicki i przywiózł mi bardzo uprzejme zaprosiny od dobrych znajomych.

— Więc jedź sam.

— Bez żadnych rebelij! Jedziemy razem i basta! Odwiedzisz Bernatowicza, Morskiego, z którymi się dawniej spotykałeś w Warszawie. Wielcy twoi admiratorzy! Poznam cię ze starościną liwską i ze starościanką... One tam są na kuracji.

— Także mi gadaj! Starościanka! Anetka! Już mi o niej pisałeś. Tuś mi, bratku!—zaśmiał się Kościuszko. — Nie o Bernatowicza poczciwotę, nie o kasztelana chodzi, ale o nadobną Grabianczankę, do której smalisz cholewki.

— Nic podobnego! Walory starościanki uznaję; ma główkę nie dla proporcji; dużo podróżowała z ojcem, zajmuje ją sztuka, a nawet studja filozoficzne. W rozmowie z nią prawdziwą przyjemność znaleźć można. Ale gdzie mi tam myśleć o miłości w takich opresjach, jakie mię teraz trapią! Rozumiesz, kolego, że klasztor Franciszkanów, w obrębie fortecy pozostający, musi być oddany w posiadanie garnizonu. Biskup Krasiński sam tak zadecydował. Armaty wkrótce będą ustawione w tych oknach, skąd jeszcze wyglądają zakonnicy. Musisz tu do mnie zjechać na dłużej i być rozjemcą w tej sprawie [1]).

— Już wy mi tu za dużo rozlicznych materyj w głowę wtłoczyć chcecie! Książę Józef zabawia się jeszcze w stolicy, i za siebie więc, i za niego trzeba będzie obowiązki sprawować.

— Zanim ściągniecie na kwaterę do Niemirowa, radziłbym ci szczerze rozbić na jakiś czas namioty w Międzybożu. Punkt to dogodny wielce będzie dla komendanta polowego. Musisz przecież włóczyć się, jak Tatar, nigdzie miejsca nie zagrzawszy, aby utrzymać komendę swoją w karności. Jest też na miejscu słynny medyk, który ci lepiej od twego ulubionego Müllera [2]) zdrowie podreperuje.

---

[1]) Po kampamencie pod Bracławiem Kościuszko istotnie zjechać musiał z hetmanem Ogińskim do Kamieńca i pracę rozjemczą sumiennie wykonał. Dr. Antoni I. (Rolle) «Obrazy z przeszłości».

[2]) Dr. Müller praktykował w Brześciu Litewskim i cieszył się wielkiem zaufaniem Kościuszki.

— Możeby to było niezgorzej. Wojska nasze tą drogą właśnie ciągnąć będą. Co do mego sztabu, mam zupełne prawo wyboru i, gdzie uznam za stosowne, tam się na czas pewien umieszczę.

— W Międzybożu z woli ks. Adama już ci Bernatowicz kwaterę na zamku wygotował. Wszystkie damy oczekują z biciem serca twego przybycia. Ujrzeć chcą co rychlej to amerykańskie dziwo — dodał wesoło, uderzając kolegę po ramieniu — choć starałem się oczernić cię, ile się dało!

— Bodajby mi nigdy innego oczerniania w życiu nie zaznać! — uśmiechnął się Kościuszko, obejmując towarzysza serdecznem spojrzeniem. — Gorzej będzie, jeśliś mi tam zbytek cnót wszelakich przypisał. Może takiemu chlubnemu ciężarowi nie sprostam.

— Skromności, tyś wielkich mężów cnotką umiłowaną! — zadeklamował Orłowski z humorem.

Nie udało się komendantowi Kamieńca namówić Kościuszki na wycieczkę do Międzyboża, ale stanęło na tem, że czasowo miasteczko to będzie jego siedzibą aż do nowych zarządzeń z Warszawy, główna bowiem władza wojskowa pozostawała przy królu.

*

* *

W całem województwie podolskiem, osobliwie zaś w dobrach ks. Adama Czartoryskiego, zapanowało wielkie ożywienie i radość z powodu przybycia tak licznych zastępów armji narodowej. Wszędzie niemal przeciągające wojsko doznawało radosnego przyjęcia.

Międzybóż, położony przy ujściu rzeki Bożka do Bohu, wraz z czterdziestu trzema wioskami, stanowił własność Czartoryskich. Cennym zabytkiem z lat dawnych był tam murowany, wspaniały zamek. Przyozdabiały go bastjony, przez Turków niegdyś na wschodni sposób przerobione. Wytrzymał zamek ów szturm niejeden i przez Tatarów kilkakrotnie

był oblegany. Oddawna jednak spokojnie płynęły dni w tym uroczym zakątku Podola.

Bernatowicz, administrator dóbr książęcych, na zamku gospodarzył.

Miasteczko przedstawiało się powabnie, tonąc w zieleni bujnych sadów. Pełno było drzew owocowych dokoła białych domków z filarkami. Złote renety, czerwone cyganki, śliwki węgierki, morele i brzoskwinie nęciły mile oko. Na rynku wznosiło się kilka kamienic murowanych, ratusz i piękny kościół o smutnych, gotyckich wieżycach. Mieściły się tam również liczne kramy i gospody, z pewnym wykwintem urządzone, gdyż Międzybóż od pewnego czasu pozyskał sobie sławę miejsca kuracyjnego. Zwłaszcza podczas letnich miesięcy zjeżdżało się tu obywatelstwo z okolicy. Stałych mieszkańców liczono też niemało.

Znakomity doktór Hackenszmit obrał sobie Międzybóż za miejsce pobytu i zyskał wkrótce wziętość niebywałą. Miasteczko skorzystało na tem wielce, stało się bowiem celem wędrówek nawet ze stron dalszych napływających gości. Leczenie się u Hackenszmita weszło w modę w całem województwie podolskiem. Jedni przybywali dla pozbycia się przeróżnych dolegliwości, inni korzystali z okazji zabawienia się wesoło w miłem i doborowem otoczeniu.

Nadworna kapela ks. Czartoryskich przygrywała na zabawach sielankowych, a młodzież tańczyła ochoczo. Urządzano wycieczki do pobliskiego lasu; w niskiej chatce leśnika, zwanej pustelnią, spożywano podwieczorek; skromny przysmak podolski, pierogi z wiśniami i ze śmietaną, smakowały wytwornemu towarzystwu, jak najwykwintniejsze potrawy.

Ulubionem miejscem spotkania był młyn w dolinie nad Bożkiem i malownicza, wysoką słomianą strzechą pokryta chałupa mielnika, „ustroniem dumania" przezwana. Nad brzegiem Bohu powstało jeszcze jedno miejsce przechadzek, pro-

menadą lub *promenade du beau monde* [1]) żartobliwie mianowane. Kąpiele rzeczne, grzybobrania, wyścigi na łódkach, teatry amatorskie, strzelanie do celu, różne festyny z okazji imienin lub jakiejbądź przypadającej w tym czasie uroczystości urozmaicały kuracjuszom pobyt w Międzybożu.

Jednym z najbardziej ożywionych domów, noszących cechę prawdziwie staropolskiej gościnności, a zarazem europejskiego iście obyczaju, był dwór obszerny, murowany, który zajmowała pani Teresa Grabianczyna, starościna liwska.

Matka jej, pani Stadnicka, nie cieszyła się dobrem zdrowiem, a miła, pełna wdzięku córka, Anetką z francuska zwana, wątła była i potrzebowała, jakby jaka cieplarniana roślina, starannego pielęgnowania i ustawicznej opieki lekarskiej. Z tej to przyczyny pani starościna chętniej przebywała w Międzybożu, niż w majętności swej na wsi, widząc, jak dobrze pobyt ten działa na osoby bliskie jej i drogie.

Starościna przyjmowała u siebie całe kółko ziemiańskie; miała w tych stronach dużo krewnych, powinowatych lub oddawna z rodziną jej i męża zaprzyjaźnionych znajomych. Chętnie zawsze słuchała rozmów o sprawach Rzeczypospolitej; miała umysł otwarty, zmysł spostrzegawczy, wysoko rozwinięty, wiele taktu i sprytu, co dawało jej możność brania żywego udziału w rozprawach politycznych. Musiała też z konieczności uczestniczyć w zebraniach towarzyskich i wycieczkach w okolice, mając na względzie uprzyjemnienie kuracji swej ukochanej Anetce.

Był piękny, pogodny poranek wrześniowy. Słońce rzucało złotą poświatę na bystre fale Bohu, odbijało się w szybach białych dworków, wyjaskrawiało żółknące liście klonów i muskało dorodne owoce na drzewach, jakby na pokaz rozwieszone.

W komnatach starościny liwskiej panował ruch niezwykły. Dobrze przyuczona służba uwijała się, zajęta przy-

[1]) Przechadzka wielkiego świata.

gotowaniami do wielkiej fety, zapowiedzianej na dzień następny ku uczczeniu generała Kościuszki, przybywającego ze swym sztabem do Międzyboża.

Pani domu dawała dyspozycje ochmistrzyni, aby wszystko było w należytym porządku. Anetka układała kwiaty w pięknych wazach z saskiej porcelany. Przy stojącej obok szpinetu arfie rozłożyła kilka zeszytów nut, świeżo z Kamieńca nadesłanych. Na jednym z nich podpisane było u góry: *A ma charmante élève* — „mojej uroczej uczennicy". Był to dar generała Orłowskiego, który zawsze był pełen uprzejmej galanterji dla starościanki i dziś również miał z Kościuszką tu przybyć.

Zapach świeżo zerwanych kwiatów łączył się z wonią ciast, andrutów i różnych przysmaków, zalatującą z głębi mieszkania. Do stołowego pokoju wniósł właśnie kucharz, biało przybrany, tort wspaniały, misternie koronką z cukrów ozdobiony, na którego wierzchu tkwił orzeł biały, a poniżej lukrem wypisane były wyrazy: „Obrońcom ojczyzny ku osłodzie".

Obszerny salon starościny, kosztownemi makatami i kilku sczerniałemi portretami rodzinnemi przybrany, wyglądał odświętnie, rozjaśniony wiązankami róż przepysznych, astrów i lewkonij. Anna miała wiele dobrego smaku, umiała artystycznie dobierać kolory i wywoływać niemi wrażenie pożądane. Najwspanialej przedstawiała się olbrzymia waza na ciężkim mahoniowym stoliku, przed kanapą umieszczona, zapełniona białemi i czerwonemi różami w barwach narodowych.

Anna przyglądała się im ze szczególnem upodobaniem, dwie róże wpięła sobie we włosy, a potem, nucąc wesoło, zajęła się ostrożnem okurzaniem filigranowych figurek na kominku.

Sędziwa babcia, siedząca w głębokim, skórą obitym fotelu, śledziła z niepokojem wdzięczną postać wnuczki, uwijającej się z niezwykłem ożywieniem.

— Nie trudź się zbytecznie, Anetko! – upomniała z łagodnym uśmiechem — wszak służba może cię wyręczyć; po co tyle zadajesz sobie pracy? Doktór zaleca ci spokój, powinnaś stosować się ściśle do jego rady.

— Ależ, babciu droga, dziś dzień wyjątkowy; musimy przecież przyjąć odpowiednio niezwykłych gości! Niechże mi imć pan doktór raczy pofolgować nieco, bo mam już dość tej ustawicznej kurateli! Jeśliby nadszedł niespodzianie—dodała żywo—niech mu babcia powie, że mnie niema w domu, że wyszłam na przechadzkę lub że jestem u Tekluni Żurowskiej, bo wcale nie jestem usposobiona do rozprawiania z nim o zdrowiu! Gotów mi kazać leżeć, a jabym za żadne skarby świata nie zgodziła się na to.

— Srodze mnie smuci, że mało dbasz o siebie—strofowała babcia — rumieńce ci na twarz uderzają, rozszerzone masz mocno źrenice; obawiam się, czy nie jest to stan gorączkowy, uchowaj Boże! Zażyj przynajmniej łyżkę tej mikstury, którą doktór przepisał.

Starościanka wzruszyła ramionami pogardliwie.

— Ani mi się śni! — zawołała. — Czuję się rześką, jak nigdy. Niechże babunia pamięta, że dzisiaj pana Hackenszmita widzieć nie chcę. Może go babcia całkiem zaakaparować i dyskursem o dolegliwościach własnych zająć. Moją uwagę pochłaniają dziś całkiem inne sprawy! Czyż i babci serce mocniej nie uderza na myśl, że oto wkroczy tu nasze wojsko z IMĆPanem Kościuszką na czele? Wszak to bohater, o którym rozpisywano się w *Monitorze* i różnych też zagranicznych gazetach. Cały świat wie o naszym generale! Pan Orłowski opowiada o nim zawsze z zachwytem, że takiego drugiego, jak on, nie spotkać!

— Dziwaczycie doprawdy obie z matką — szepnęła staruszka niechętnie. — Głowy potracili wszyscy w całym Międzybożu! Co do mnie, akceptuję myśl przyjęcia z należnym respektem, ale uważam za niewłaściwe całkiem, aby niewiasty

miały spotykać wojskowych! Nasz doktór, człowiek taki światły i bywalec przy wiedeńskim dworze, zupełnie podziela moje zdanie i ma też awersję do takiego wyrażania sentymentów! Co innego mężczyźni, im przystoi stawić się w komplecie, ale damom?... Kto to widział stać na rynku z pospólstwem, a może jeszcze kwiaty rzucać, jak zwycięzcom. Do czego to podobne?...

— *Maman* z panią kasztelanową i z panią chorążyną tak ułożyły, a przecież *maman* ogromnie form przestrzega i nigdyby nic niestosownego nie uczyniła, ma bowiem wiele światowej eksperjencji, tego babciunia nie zaprzeczy? — dodała Anna z przymileniem.

— Za późno już nad tem deliberować, jeśli już taka decyzja zapadła — westchnęła pani Stadnicka — suponuję, że żadne stąd nie wynikną ambaje [1]).

— O tak, tak, decyzja zapadła na niewieścim sejmiku! Idziemy wszyscy przyjrzeć się naszym rycerzom choć zdaleka. Taka niezwykła uroczystość w tym naszym kącie! — mówiła starościanka z przejęciem. — Ale co to znaczy, że ich dotąd niema? Czyżby jaka przygoda w podróży? Wszak efekta [2]) wojskowe już wczesnym rankiem przytransportowano na zamek. Pan Bernatowicz uwija się bezustanku; kwaterę dla generała Kościuszki pono już w zamku przysposobił, jego oficerowie mają wyznaczone mieszkania w dworkach oficjalistów księcia. Kasztelan Morski okrutnie się już niecierpliwi, że na traktament tak długo czekać wypadnie.

W tej chwili mignęło coś przed oknami; dwie postacie dziewczęce w białych sukienkach, jak dwa białe gołębie, przefrunęły przez furtkę ogrodową i szybko wbiegły na ganek.

— Tecia i Teklunia. Bardzom wam rada! — zawołała starościanka, podążając na ich spotkanie. — Czy są jakie wieści?

---

[1]) Plotki. [2]) Rzeczy.

— *Primo*, melduję JMĆPannie Starościance — trzepała Tecia Orlewska, przykładając dwa palce do skroni, jakgdyby oddając honory wojskowe dowódcy—że wuj dobrodziej jest w tak zielono-kwaśnym humorze, jakby, Bóg wie, jakie nieszczęście spaść miało! Ani przystępu niema do niego! Fuka, irytuje się, zrzędzi, słowa rzec w domu nie pozwala. Już i mnie się dziś porządnie dostało.

Orlewska była bliską krewną chorążanki Żurowskiej. Lubiona przez wszystkich za swój humor i wesołość nigdy nie zmąconą, zwana była w miejscowem gronie „słoneczkiem międzyborskiem".

— Ojciec dobrodziej nie tyle gniewa się i fuka, jak powiadasz — dodała Teklunia Żurowska, chcąc złagodzić słowa, przez kuzynkę rzucone — tylko dworuje sobie z naszych zachwytów i uniesień. Żadnej animozji do przybyłych nie żywi, czego dowodem, że będzie też na przyjęciu w zamku, pomimo iż niebardzo zdrowym się czuje.

— Żebyś widziała, Anetko, minę kasztelana, tobyś, tak samo, jak ja, musiała chusteczkę do ust przyciskać, aby nie wybuchnąć śmiechem. Wpadł dziś do nas zadyszany — ciągnęła Tecia Orlewska — wspina się wciąż na palce, aby wyższym się wydać nieco, snać jakąś oracyę w myśli układa, bo podpatrzyłam, gdy sam na chwilę został w bawialni, że przed zwierciadłem się zginał w ukłonie, rękę do serca przykładał z gestem rozłożystym, jakby inwitację jakowąś gotował. Mityguje go kasztelanowa, ale to się na nic nie przyda.

— Menażuj siły, kasztelanie, pewno powiada—zaśmiała się Anna, znająca dobrze osoby, o których była mowa.

— Sierdziści są nasi panowie — dodała Teklunia — że frykasy, na śniadanie w zamku przygotowane, zostały niespożyte. Teraz mówiono, że pan Bernatowicz wydał nowe dyspozycje i kucharze obiad przygotowują; jeśli jednak generał Kościuszko dopiero późnym wieczorem przybędzie,

wszystkie oracje i smakołyki sakryfikować wypadnie, i to im wielką turbację sprawia.

— Jużbym i ja rada, żeby się to wszystko prędzej skończyło — zawołała Tecia Orlewska, poprawiając włosy przed zwierciadłem — może i w domu się nieco uciszy. Ciotunia dobrodziejka łagodzi, jak może, po Hackenszmita posłała, żeby co dał na uśmierzenie wujkowych cierpień wątrobianych, ale doktorek, który zawsze uspokajająco działał na wuja, teraz, jak na złość, jeszcze dolewa oliwy do ognia! Dziw, doprawdy, że człek taki mądry i gładki nie umie skryć pewnej zawiści, jaką w nim budzi ogólna cześć dla generała Kościuszki! Chodzi mu w gruncie rzeczy o to, że wraz z generałem przybędzie sporo oficerów i który z nich mógłby mu jego skryte sentymenta zamącić i szyki popsuć.

To mówiąc, Tecia filuternem spojrzeniem ogarnęła kuzyneczkę, która zapłoniona, napróżno starała się ukryć swe pomieszanie.

— Nieznośna jesteś z tem gadulstwem bez miary! — zawołała chorążanka, spuszczając oczy, aby nie spotkać się ze spojrzeniem Anny. — Tecia plecie androny, jedno drugiego się nie trzyma! Doktorowi żadne afekta nie w głowie, nie ma na to czasu!

— Nie zdradzam żadnej tajemnicy stanu — broniła się Tecia. — Nie tylko tak spostrzegawcza i domyślna osoba, jak nasza kochana starościanka, ale nawet wszystkie wróble w Międzybożu wiedzą o tem, że pewna nadobna chorążaneczka zakłóciła spokój ducha pewnego eskulapa i ten zżyma się i zębami zgrzyta na samo wspomnienie, że sztab tu kwaterować będzie, a do pana Kościuszki ma żal, że tak wszystkich uwagę akaparuje!

Teklunia zapłoniła się jeszcze bardziej, gdyż nawet w najpoufniejszem kółku nie umiała przemóc swej nieśmiałość wrodzonej. Tym razem jednak zawołała ze szczerem oburzeniem w głosie:

— Chyba doktór niesłusznie do polskiej krwi rości prawo i lubi się tem popisywać, jeśli może obojętnie, a nawet z przekąsem, wyrażać się o generale Kościuszce! Drażni go, że tak kopje kruszymy o nieznanego nam, jakby o kogo najbliższego. Pewno więc to nie rankor żaden — dodała po chwili — ale tylko chęć przekomarzania się tak go unosi!

— Teklunia już omdlewa z ciekawości ujrzenia na własne oczy bohatera, o którym komendant Orłowski tyle wciąż opowiada—trzepała Tecia—i ja też, Bogiem a prawdą, chciałabym się przekonać, czy ci, co posiadają order Cyncynata, inaczej wyglądają, niż zwykli śmiertelnicy.

— Orłowski jest kolegą generała ze szkolnej ławy i serdecznym przyjacielem—wtrąciła starościanka—ten się żadną zawiścią nie rządząc, zawsze utrzymuje, że nikt, tak jak Kościuszko, serc niewolić nie umie.

Pani Stadnicka, której dokuczliwe muchy i gwar głosów dziewczęcych, dolatujących z ganku, drzemkę przerwały, stanęła nagle w progu, w szal tyftykowy otulona. Dość chłodno przyjmując powitanie przybyłych panien, śpieszących ucałować jej rękę, rzekła cierpkim tonem:

— I znowu Kościuszko, Kościuszce, dla Kościuszki, wciąż tylko to jedno słyszę! Już niech waćpanny o tem serc niewoleniu nie rozgadują się, jak jakie czeczotki, boć nikt lepiej ode mnie nie wie, jak to przed laty imć pan Kościuszko do wojewodzianki Sosnowskiej, poślubionej teraz Lubomirskiemu, cholewki smalił. Wcale to nie było godziwie tak gwałtem sięgać wysoko! Spotkał go też despekt, który zuchwałego młodzika aż za morza wygnał i bić się za obcą sprawę zniewolił.

— Ach, grandmerciu, jak można tak mówić! — zaprotestowała Anetka. — Całkiem inaczej rzecz się miała! Babcia słyszała jakieś bajania przyjaciół wojewody, a mnie pan Orłowski czytał listy Kościuszki z owej doby i wierzę święcie, że kłamstwa tam niema ani cienia.

— Cały świat o sukcesach jego na polu walki o wolność Amerykanów głosi — szepnęła Teklusia — dlaczegożby tylko u nas, na podolskiej ziemi, spotkać się miał z niechęcią i dawno minioną sielankę młodości darować mu nie chciano?

— Waćpannom się tylko o bohaterach roi — machnęła ręką pani Stadnicka. — Nie żywię doń żadnej animozji, powtarzam raz jeszcze, rada jestem, że będzie miał sposobność popisać się swym kunsztem na rodzinnej ziemi, ale za wielki to splendor dla niego, że się nim tak wyłącznie zajmujecie.

Panny uśmiechnęły się porozumiewawczo, spojrzawszy na siebie, a Tecia Orlewska, pochylając się do ręki poważnej matrony, zrobiła tak pokornie rozbrajającą minkę, że i babcia, udobruchana, pogładziła ją po twarzy.

— Już widać taki dzień feralny, że same reprymendy wysłuchiwać nam wypada — rzekła Tecia, udając wielce strapioną.

Anetka zaś, otulając szalem babkę, dodała z przymileniem:

— Zobaczymy jutro, jak się tu u nas wszyscy zbiorą, babcia sama wieniec z wawrzynu generałowi na szczęśliwą wróżbę poda.

— Patrzcie! Kozak dworski pędzi cwałem — przerwała żywo Teklunia—pewno z doniesieniem na zamek. O! Słychać już tętent na gościńcu.

— Jadą już, jadą!—rzekła pani starościna, wchodząc na ganek — czas jest śliczny, przejdziemy pieszo do kasztelanowej, tam pojazd nas dogoni.

Na rynku zgromadził się liczny zastęp obywateli, przybyłych z włości okolicznych. Panie przeważnie w jasnych strojach, w kapeluszach, formą budek pod szyją wstążkami związanych, w szalach, zarzuconych na ramiona, mężczyźni rośli, barczyści, ogorzali, w barwnych kontuszach, pokręcali sumiaste wąsy i wiedli głośne rozmowy. Młode panny, zebrane nieco na uboczu, wybuchały chwilami tłumionym chi-

chotem, owym bezprzyczynowym śmiechem młodości, który nieraz, w najmniej nawet odpowiedniej chwili, musi dać ujście wrodzonej radości życia duszyczek, nie znających troski.

Kilku dorodnych młodzieńców rzucało w ich stronę ciekawe spojrzenia, niekiedy uprzejme słówko, dowcip błyskotliwy, lecz naogół wszyscy starali się utrzymać nastrój odpowiedni do chwili. Dokoła pani starościny i kasztelanowej Morskiej zebrała się cała śmietanka miejscowego towarzystwa przy wejściu do kościoła.

Wciąż przybywali jeszcze jacyś maruderzy, toczyły się z hałasem poszóstne karoce, ze służbą w liberji, na wysokich kozłach usadowioną; piękne siwosze i kasztany miały na sobie uprząż suto srebrem nabijaną. Wyprzedzały je lekkie karjolki, ciągnęła też na skromnych bryczuszkach drobna szlachta w zakurzonych mocno rogatywkach. Wysokie lisie czapy i atłasowe, lśniące w słońcu chałaty zgromadziły się pod oknami oberży Arona, kupca, znanego z zamożności i „delikatnego rozumu", jak powiadali jego współwyznawcy. Przechadzał się on wolnym krokiem pomiędzy zebranymi, w białych pończochach, w długim, przepasanym kaftanie; gładząc rudą brodę lub gestykulując żywo, opowiadał swej pejsatej braci przeróżne najświeższe nowiny, które pantoflową pocztą przedostawały się do Międzyboża.

Wtem zadrgała ziemia pod nogami, zatętniało głucho, jakby na długim drewnianym moście; chmara wróbli szarych zerwała się z głośnem ćwierkaniem i wzniosła w górę, poczem skryła się w gęstwinę liści.

Oczy wszystkich zwróciły się na drogę, skąd przybywał oczekiwany poczet.

— To on! to on pewno na przodzie — szepnęła Teklunia Żurowska, wspinając się na palce, aby lepiej dojrzeć.— Komendant Orłowski pochylił się ku niemu, coś mu szepnął do ucha.

Orkiestra zamkowa huknęła naraz z takim impetem, że niektóre panie drgnęły przelęknione. Przegrawszy marsza, umilkła, gdy dały się słyszeć dźwięki muzyki pułkowej, idącej przodem.

Na granatowych mundurach wojskowych błyszczały w słońcu srebrne guziki; spienione konie szły raźno, wyrzucając nogami w rytm marsza.

Generałowie Kościuszko i Orłowski jechali obok siebie; za nimi Pouppart, Wielowiejski, Potocki, Manget, Fiszer, Kniaziewicz, cały sztab dywizji i bataljon piechoty, mający pozostać w Międzybożu.

— Wiwant! Wiwant! Niech żyją! – rozlegały się okrzyki na rynku.

Dowódcy uprzejmym ukłonem dziękowali za uroczyste przyjęcie.

W zwartym tłumie co chwila odzywały się głosy pełne zachwytu dla doborowej polskiej armji. Wymieniano nazwiska znaczniejszych naczelników i oficerów.

— Oto regiment pieszy szefostwa generała Brodowskiego.

— A teraz idą fizyljerzy wojewody Szczęsnego Potockiego.

— Tego nieszczęsnego Szczęsnego?

— Jako żywo! Podąża za nimi piechota Raczyńskiego!

— A dalej?

— Malczewskiego.

— Bah, bah! Widzicie, jak walą kanonierzy Napiórkowskiego? Co za pyszne mundury. Aż za oczy chwyta!...

— Wicebrygadjer Adam Walewski wiedzie pułk jazdy Jana Potockiego!

— Wszak to on sam jechał przed chwilą na ślicznym arabczyku?

— On sam, jak malowanie!

— A mnie tam ze wszystkich najwięcej się nasz komendant Orłowski podoba! Zacności człowiek i humor przedni i prezencja niezgorsza!

— Wivant! Wivant! Niech żyją! — rozlegały się okrzyki na rynku. (str. 48)

— Płacimy dziesięć procent od dochodów na powiększenie armji, ale, jak mi Bóg miły, jest na co spojrzeć!

— Zauważyliście, jak niezmiernie ujmujący ma wyraz Kościuszko, gdy się uśmiecha?

— Oczy ma mądre, a takie dziwne! Niby smętkiem przysłonięte, a wymowne!

— Mówią, że na zdrowiu szwankuje. Na zamku jeszcze pewno długo go przytrzymają oracjami i ucztowaniem, nim spocząć dadzą.

— Morski oracyjkę z ferworem kropnie; lubi się popisywać wymową!

— Radby już co prędzej dorwać się do miodu lub wina, to się pewno z gadaniem pokwapi.

Wojsko przeciągnęło przez rynek we wzorowym porządku i podążało dalej na miejsce swego przeznaczenia. Ci, co pozostać mieli w Międzybożu, odłączyli się, czekając rozkazu.

Kasztanek Orłowskiego, jakby zgadując myśl swego pana, zatrzymał się przed starościną i starościanką i jął parskać z zadowoleniem.

Uśmiechnęli się obecni, gdyż nikomu nie było tajne, że pan komendant do starościanki się zaleca, że dla niej struny do arfy aż z Wiednia sprowadzał.

Stojąca nieopodal Teklunia Żurowska, wpatrzona w skromną i niepozorną postać Kościuszki, zaciskała mocno drobną rączką szal, na ramiona zarzucony, jakby zarazem gwałtowne bicie serca stłumić chciała. Nagle, nie czekając na znak umówiony, rzuciła pęk róż pod stopy dostojnego jeźdźca.

Wnet posypały się inne kwiaty, któremi rozentuzjazmowane panie obsypały dowódcę i sztab cały.

Kościuszko uśmiechnął się z wyrazem wdzięczności i rozczulenia. Nie przyjmował tych owacyj na swój własny rachunek, ale jako uznanie sprawnego i pośpiesznego wykonania zarządzeń sejmowych, powiększenia armji do stu tysięcy regularnego wojska na obronę zagrożonej ojczyzny.

Miło mu było widzieć, że Podole podziela ogólny zapał, że mężczyźni i kobiety dają dowody swych uczuć patrjotycznych, a przygnębiającą obojętność na sprawy krajowe zastąpić ma ogólna, czynna samoobrona przeciw wrogim zamysłom.

Na krótkie mgnienie oka spotkały się rozpromienione radością oczy Kościuszki z nieśmiałem, jakby pokornem, spojrzeniem Tekluni.

— Jaka urocza! — szepnął do Orłowskiego — wszak to starościanka, twoja elewa?... Pieścidełko!

— Gdzie zaś! Nie utrafiłeś wcale! Nie masz czuja! — wzruszył lekko ramionami Orłowski, którego kasztanek, ściągany mocną dłonią komendanta, kręcił się niespokojnie i grzebał nogą. — Ta mała to chorążanka Żurowska, elewka mojej elewy — dodał wesoło. — Pani kasztelanowej dobrodziejce, pani starościnie i łaskawym waćpannom mam honor przedstawić mego przyjaciela najmilszego i towarzysza broni—rzekł głośno i dobitnie—generał Tadeusz Kościuszko!

Kościuszko salutował, Orłowski zaś, zwróciwszy się do starościanki, rzekł z filuternie patetycznym wyrazem, przykładając rękę do serca:

— Wiem, że nie dla mnie były jej róże przeznaczone, ale że się wplotła ta jedna w grzywę mojego kasztanka, może ją raczy starościanka sakryfikować dla pokornego swego sługi.

To mówiąc, podniósł kwiat ostrożnie i trzymał w ręce, jakby czekając aprobaty.

Lekkiem skinieniem głowy i życzliwym uśmiechem upoważniła go Anna do zatrzymania róży.

Kasztelan Morski tymczasem witał Kościuszkę serdecznemi słowy. Spotykali się podczas sejmu w Warszawie. Kasztelan należał do grona, uznającego potrzebę jak najszerszych reform. Miał on swe dziwactwa, ale grunt poczciwy i zapał do spraw publicznych budziły poszanowanie.

— Po raz to pierwszy mamy sposobność widzieć tak pokaźny przemarsz wojsk naszych na ziemiach podolskich — mówił, przyglądając się z dumą napływającym wciąż szeregom. — Ofiar na zaciąg nie szczędzimy, Bóg widzi; miło też spojrzeć, że miny gęste, chłopy, jak dęby, że ich płynie taka chmara.

— Rad jestem wielce z serca dziękuję za zgotowane nam przyjęcie — odrzekł Kościuszko. — Wielka mię już we Włocławku opresja dręczyła, czas się dłużył niepomiernie. Teraz rozpocznie się inne życie — dodał z pogodnym spokojem człowieka czynu, nienawykłego do próżnowania, którego jedynie brak określonego zajęcia wytrąca z równowagi.

— Nie zbraknie roboty, nie zbraknie, dopraszać się jej nie będzie potrzeba — zapewniał Morski, mrugając zalanemi tłuszczem oczkami i przestępując z nogi na nogę. Mały, przysadkowaty, wyglądał, jak beczułka z winem, do którego miał inklinację wyraźną. — Knują się tu rzeczy niedobre; ludzie, do aljansu z carycą skorzy, rapty uczynić gotowi — szepnął tajemniczo.

— Nie zabawiaj dyskursem generała i nie akaparuj go wyłącznie, bo będziecie z nim dziś zabawiali się na zamku, a my, niewiasty, do jutra czekać musimy na dłuższą konwersację — rzekła ze słodkim uśmiechem kasztelanowa.

— Miło nam, niezmiernie miło widzieć wśród nas człowieka, cieszącego się na obu półkulach estymą i konsyderacją — mówiła starościna. — Jutro proszę uprzejmie ichmość panów do siebie dla zabrania bliższej znajomości z całą naszą sosjetą.

Kościuszko, uprzedzony już zgóry przez Orłowskiego o zaprosinach Grabianczyny, dziękował wielce za zaszczytną dlań „inwitację".

— Nic w nim nie znajduję osobliwego; nie ma żadnej prezencji, wcale nie pokaźny — szepnął pacjentowi swemu, Żurowskiemu, doktór Hackenszmit, przyglądający się bacznie

generałowi i, jakby nawiązując myśl swą do prowadzonej przedtem na ten temat rozmowy, dodał z przekąsem: — Nasze panie gotowe mu jeszcze wieniec laurowy gwałtem na skroń wtłoczyć! Żadnego umiaru w swych zachwytach nie mają! Starościna i kasztelanowa, miast hamować młodszą generację, jeszcze same zachęcają do składania hołdów osobliwych, jakby istotnie witano wielkiego bohatera!

— Ano, widzisz asan dobrodziej, z babami, jak świat światem, nikt do ładu nie dojdzie! Ja tam mojej w domu pozostać kazałem — odrzekł chorąży — krzywiła się, ale nie napierała gwałtem. Zato te sroczki obie—dodał, wskazując na córkę i siostrzenicę — starościanka z sobą przywiodła. Starościna strasznie tu rządzi po swojemu. Gadaj im, tłumacz, przekładaj, na nic się nie zda. Rebelje urządzają te „mocne głowy", wszystko na swoje kopyto przerobić rade— gderał chorąży, a marsowa twarz jego wyrażała zgryźliwość i ustawiczne niezadowolenie. — Zakonotuj sobie asan, co mówię. Parol szlachecki, że taki nowator, co się po wywalczenie swobody jakowychś durniów zamorskich trudził, może nam i tu kaszy nawarzyć i chamom w głowach poprzewracać! Na kiego licha Międzybóż sobie na kwaterunek obrał? Przewiduję, mospanie, że z tego niejedna wyjdzie chryja!

— To już widocznie mu tak pan komendant kamieniecki doradził — objaśnił doktór, chmurnem okiem wodząc po dziarskiej młodzi, otaczającej generała.

Bernatowicz jął naglić, aby pośpieszono na zamek, gdyż posilić się czas już wielki, czemu chętnie przyklasnęli dobrym apetytem odznaczający się ziemianie. Morski mlasnął językiem z uradowania, czyniąc uwagę, że na wiór zeschnie, jeśli nastąpi jeszcze zwłoka w owym oczekiwanym od godzin kilku traktamencie.

Tecia Orlewska, którą przez cały czas hamowała Teklusia, aby się nie wyrwała po swojemu z jakimś niewczesnym

żartem, nie mogła się powstrzymać, aby, żegnając Orłowskiego, nie zapytać ukradkiem:

— Jak się nazywa ten adjutant, co rozmawia w tej chwili z tym sympatycznym porucznikiem?

— Z Kniaziewiczem?

— Aa! To Kniaziewicz?

— Pytała waćpanna o Fiszera.

— Nie o niego. Właśnie chciałam wiedzieć, kto jest ten drugi.

— Forteli mościapanna zażywa, forteli!—pogroził jej komendant wesoło.—Karolek gładki kawaler, ani słowa, a przytem serce złote. Dobry gust aprobuję. Na asamblu jutrzejszym zuchów wszystkich waćpannom przedstawię.

Tecia zapłoniła się i ukryła za innemi pannami, aby uwagi jowialnego komendanta nie zostały przez kogoś dosłyszane i komentowane.

Gdy orszak wreszcie ku zamkowi wyruszył, poczęto rozchodzić się, rozprawiając jeszcze długo o wrażeniach dnia dzisiejszego, o możliwości rychłej wojny z Rosją i różnych bieżących sprawach.

Towarzystwo rozdzieliło się. Mężczyźni, zaproszeni przez Bernatowicza, podążali na zamek, inni odjeżdżali do domów. Szlachta szaraczkowa posilała się w gospodzie Arona. Panie wracały do siebie. Kasztelanowa, lubująca się niezmiernie w przedstawieniach amatorskich, projektowała już jakieś doraźne widowisko na leśnej polance, korzystając jeszcze z pogodnej jesieni. Panny nie posiadały się z radości, że teraz *asamble* międzyborskie będą niezmiernie ożywione.

* * *

Pani starościna liwska lubiła urządzać wystawne recepcje, pomimo że wciąż utyskiwała na braki, dające się uczuć w małej mieścinie, i niemożliwość przyjęcia, jak należy, „na biwaku", jak się żartobliwie wyrażała. Niemniej jednak umiała nadać ton wytworny swym zebraniom.

Obie z córką posiadały dar niezwykły zajęcia gości miłą rozmową, unikając plotek i „komeraży", będących uprzywilejowanym tematem gawęd prowincjonalnych. W domu pani Grabianczyny nigdy nie zaznawano nudy.

Zbierało się tam często towarzystwo liczne i doborowe. Tym razem starościna zaprosiła na fetę krewnych swoich Stadnickich, sąsiadów Markowskich, Lipińskich, Starzyńskich, kasztelanostwa Morskich i Żurowskich oraz Bernatowicza.

Z Kościuszką i Orłowskim przybył Stanisław Fiszer, porucznik regimentu pieszego szefostwa Gorzyńskiego, Karol Kniaziewicz, porucznik od fizyljerów, Jan Potocki, brygadjer kawalerji narodowej, pułkownik Szerer, komendant regimentu generała Brodowskiego. Nadjechał też z Kamieńca młodziutki chorąży Chłopicki, dawniej już paniom znany. Zjawił się nieco później i doktór Hackenszmit, wyświeżony i uroczysty, ze znakiem honorowym, otrzymanym na wiedeńskim dworze.

W wypełnionym po brzegi salonie starościny bawiono się wesoło.

Ujmujący sposob obejścia się Kościuszki wywołał jak najlepsze wrażenie. Zdawało się wszystkim, że go już znają oddawna. Orłowski czuł się zawsze u Grabianków, jakby u siebie. Dowcipkował z pannami, dworując sobie z nieśmiałego, smukłego blondynka Chłopickiego, rumieniącego się po same białka, ile razy która z pań zagadnęła go znienacka.

Starsze damy otoczyły Kościuszkę, chcąc od niego dowiedzieć się, co się dzieje na szerokim świecie. Czy książę Józef Poniatowski nie przybędzie do Międzyboża? Czy prawdą jest, że król skłania się wielce do zaprowadzenia zmian jakichś niezwykłych i że o zredagowaniu nowej konstytucji jest mowa? Kościuszko odpowiadał zwięźle, lecz nie tając wcale swych osobistych przekonań i wyraźnej skłonności do jak najdalej idących reform. Gdy przytaczał jakiś szczegół,

powołując się na swe wspomnienia z za oceanu, i z ożywieniem opowiadał o smutnym losie murzynów, wzrok mu się zaognił blaskiem, a głos drżał oburzeniem:

— Nastać musi wreszcie ta chwila upragniona, gdy nie będzie już na ziemi upokarzającej niewoli — zawołał z głębokiem przekonaniem.

— Tak dużo dziś o tem piszą, czytałam wielce gorące artykuły w gazetach francuskich — rzekła kasztelanowa, która wychowana była zagranicą i wszystko, co francuskie, uznawała bez zastrzeżeń.

— Rozsądek sam dyktuje, że niewola tworzy zawsze dwóch niewolników: tego, który sznur trzyma, i tego, który jest na obroży — zauważył Kościuszko.

— Możeż to być, generale, aby i u nas wszyscy jednakowych praw zażywali? — mówiła kasztelanowa, podnosząc brwi z naiwnem zaciekawieniem.—Czyż nie wynikłoby stąd straszliwe zamieszanie?

— A któżby tam dopuścił do tego, mociumdzieju—wtrącił chorąży Żurowski, mieszając się z impetem do rozmowy.— Jako żywo, nie było tak i nie będzie, żeby pierwszy lepszy cham miał się równać z nami! Mieszczan i wszelkich łyków też zbytnio głaskać nie należy, bo zaraz poczną porastać w pierze i wyprawiać brewerje. U nas, tu na kresach, chłopi sami powiadają: *Ne bude z Iwana pana, a z Maryjki dobrodzijki.*

Tu Morski odezwał się:

— Już to, jeśli w naszem województwie wybuchną jakie rozruchy, to szlachta sama będzie temu winna, bo bata i rózeg nie szczędzi, czy trzeba, czy nie trzeba.

— A kasztelan chciałby obejść się bez bata? Poddanym popuścić cugli? Toćby rychło pójść nam wszystkim na żebry wypadło. Suponuję, że imć pan kasztelan dla facecji jeno tak powiada, gdyż rebelij żadnych nie zniesie! Tu i tak przyczaiło się tylko licho. Szatański podmuch od stepów

bieży! Do wojewody Stempkowskiego doszły już słuchy, że jakieś bunty chłopskie przed zimą jeszcze wybuchnąć mogą.

— Wszystkiemu winna ciemnota, w jakiej lud wiejski jest trzymany — odezwała się starościanka, której dobre serduszko bolało nieraz nad uciemiężeniem włościan.

Kościuszko spojrzał na nią po raz pierwszy z wyrazem wielkiej życzliwości i jakby jakiegoś bratniego porozumienia. Nie spodziewał się może spotkać się w tem wytwornem gronie ze zdaniem tak śmiałem na owe czasy. Odsłoniło mu ono naraz głębię duchową myślącej i zastanawiającej się nad życiem starościanki.

— Anetka chciałaby szkoły nawet dla chłopów zakładać; gdyby płeć niewieścia miała jaki głos w Komisji Edukacyjnej, onaby tam rej wodziła! — zażartowała starościna, patrząc z upodobaniem na rozjaśnioną w tej chwili i pełną dziewiczego wdzięku twarz córki.

— Szkoda, że tu niema między nami pana Juljana Niemcewicza—zawołała kasztelanowa—ten jest zapalonym obrońcą uciśnionych i radby, aby nad kmieciami roztoczono opiekę.

— Słusznie, całkiem słusznie — dodał kasztelan, znajdujący wielką przyjemność w irytowaniu Żurowskiego i Markowskich, będących innych zgoła przekonań. Zresztą wiadomem było wszystkim, że, jako poseł, na sejmie wyrażał się o rozruchach chłopskich bardzo oględnie, nie podnosząc i nie zaostrzając sprawy.

— Trzebaby wieków na to, by doprowadzić ogół do oświaty—rzekł Kościuszko z westchnieniem—u nas niełatwo z tem pójdzie; tu bowiem kmieć odetchnąć nawet bez woli swych panów nie ma prawa. Zmiana miejsca pobytu, a chociażby pokuszenie się o obronę przed tyranją i okrucieństwem jest mu za występek poczytane.

— Oni dyszą nienawiścią dla szlachty, wytępić nas radzi; w każdym chłopie Gonta i Żeleźniak [1]) siedzi przyczajony. Czy podobna, mosanie, mówić w takich warunkach o popuszczeniu im wodzy? — oburzył się chorąży żydaczewski i piorunującem spojrzeniem zmierzył Kościuszkę, jakby widząc w nim podżegacza do buntu. — Okiełznać ich raczej jeszcze bardziej należy; po sto bizunów z okładką wyliczyć od czasu do czasu dla przykładu, aby nauczyć moresu i konsyderacji dla stanu szlacheckiego.

— Tak, tak! — potakiwał Markowski, szlachcic do wybitki i wypitki — tłumić rozruchy w zarodku, bo inaczej, do kaduka, niewiadomo, co z nami stać się może!

— Co do mnie — rzekł Kościuszko z powagą i mocą — oddycham zawsze duchem wolnego obywatela wolnego kraju. Uważam, że od nas samych zależy poprawa rządu, ustaw, a głównie obyczajów naszych. Gdy będziemy podli, chciwi, samolubni, nie dbający o kraj swój, słusznie, abyśmy potem mieli kajdany na szyjach i tego warci będziemy! Powszechna edukacja musi też stać się powszechnem dążeniem. Musimy wyzbyć się przesądów, musimy nauczyć się obejmować bystrem okiem cały okrąg ziemi, aby co najlepsze z innych prawodawstw sobie przyswoić i postawić Polskę w rzędzie najlepiej zorganizowanych mocarstw.

Kościuszko, zazwyczaj małomówny i zrównoważony, ożywiał się i wybuchał potokiem wymowy, gdy chodziło o sprawy publiczne, interesujące go najbardziej. Wówczas wzrok jego ciskał błyskawice, czuć było głębokie i jasnowidzeń pełne przywiązanie do rodzinnej ziemi. Niesprawiedliwość każda bolała go tak silnie, jakgdyby sam stawał się jej ofiarą,

---

[1]) Żeleźniak, setnik zaporoski, połączywszy się z Gontą, setnikiem nadwornym kozaków wojewody Potockiego, zdobył w 1768 r. Humań i mieszkańców w pień wyciął, poczem ogłosił się hetmanem kozaczyzny i księciem śmilańskim, a Gonta ks. humańskim.

a może bardziej jeszcze, gdyż osobiste urazy zwykł był puszczać płazem, i słowo przebaczenia, rychlej niż gniewu, na usta mu się cisnęło.

Rozmowa przeszła na mniej drażliwe tory.

Bernatowicz zagadnął komendanta Orłowskiego o Kamieniec:

— Czy też udało się już doprowadzić nieco do porządku ten ważny posterunek graniczny, który Witt opuścił, nie zdawszy nawet rachunków wyższej władzy?

— Ciężko idzie — odrzekł Orłowski — od pół roku biedzę się, żeby jaki taki ład zaprowadzić. Towarzysz broni, Kościuszko, zaświadczyć może, że zrobiło się już dość w tym względzie, ale do końca jeszcze daleko. Są wielkie braki. Forteca wymaga gruntownej poprawy, a funduszów na to nie starczy.

— Kamieniec zajmuje położenie strategiczne bardzo doniosłe — dodał Kościuszko — nie liczyli się z tem ci komendanci, którzy, jak piłkę, przerzucali go z rąk do rąk, mało dbając o ulepszenia.

— A za to dbają o własne kieszenie! — podchwycił Morski.

Istotnie generał artylerji Brühl odstąpił za pieniądze swoje stanowisko Szczęsnemu Potockiemu, Lubomirski znów Wittowi, który rad był pozbyć się go za pewną kwotę, wreszcie opuścił samowolnie powierzony sobie posterunek. Sejm wyznaczył na jego miejsce Orłowskiego.

— Minęły bezpowrotnie dobre czasy, gdy obronę Kamieńca powierzyć można było Smotryczowi [1]) i Opatrzności Bożej, jak to było w 1621 roku — odezwał się adjutant Kościuszki, Stanisław Fiszer, siedzący obok panien na uboczu.

---

[1]) Kamieniec, położony na wzgórzu, otoczony jest rzeką Smotryczem.

— Sułtan Osman snać był tchórzem podszyty — zaśmiał się tuż przy nim stojący Kniaziewicz, a brygadjer Potocki, zwracając się uprzejmie do Teci Orlewskiej, przysłuchującej się uważnie rozmowie, dodał:

— Waćpanna, jako z krwi i kości kresowa niewiasta, musi znać ową, powtarzaną często w tych stronach opowieść.

— Wiem, wiem! — odrzekła rezolutnie, rada popisać się znajomością historji Tecia — pono Osman, stanąwszy pod murami zamczyska, zadumał się i zafrasował. „Kto wystawił tę warownię?" zapytał. „Allach, odpowiedziano, sam taką utworzył". „To niechże ją sam zdobywa!" zawołał gniewny. Zagrały surmy i sułtanisko, jak niepyszne, cofnęło się do odwrotu.

— Znakomicie nam waćpanna ten raport zdała — odrzekł porucznik Kniaziewicz, rad z zawiązania znajomości z panną zarówno powabną, jak miłą i oczytaną.

— Gorsze wszelako nastały czasy — mówił brygadjer Jan Potocki, pokręcając płowy wąsik — gdy wypadło przyjąć kondycje za smutnej pamięci panowania króla Michała Korybuta i komisarze, wysłani dla pertraktacji z „władcą świata", „królem królów", dumnym i nieugiętym Mahometem IV, przynieśli odpowiedź, iż miasto nie będzie rabowane, mieszkańcy z życiem ujść mogą, lecz Kamieniec.... „na sułtana po wieki wieków!"

— I nasz dzielny Jan III nie mógł nic wskórać — zawołał komendant Orłowski. — Dwadzieścia siedem lat niewoli gród ten przetrwać zdołał.

— Dopiero po traktacie karłowickim w 1699 r. zwrócony został Rzeczypospolitej — odezwała się Anna. — Kamieniec był natenczas wyludniony, nędzny, doszczętnie zrabowany, aż serce bolało, gdy się patrzało na to spustoszenie.

Komendant spojrzał z zajęciem w wymowne oczy starościanki, która mówiła o tych odległych czasach z takiem

przejęciem, jakgdyby sama oglądała pozostałą po Turkach ruinę.

— A ja, ilekroć mi się zdarzy stanąć w tem miejscu, gdzie Marcin Kątski, jak drugi Mucius Scewola, bohaterstwo swe okazał, aż mię ciarki przechodzą i radbym mieć okazję wywołać ów okrzyk muzułmanina: „Giaurze przeklęty! Lew w tobie drzemie!..."

— W każdym z nas, być może, lew drzemie, a w potrzebie zęby ostre ukaże — rzekł porucznik Kniaziewicz, patrząc jakby wdal i marząc o zwycięstwach.

Kościuszko, któremu te słowa wpadły do ucha, uśmiechnął się z zadowoleniem, polubił bowiem wielce swego młodego adjutanta i rad był słyszeć, gdy młodzież wyrażała swe zdanie.

Wyciągnięty, jak struna, Chłopicki przyglądał się zdaleka, uważnie wpatrzony w mówiących, nie śmiał sam przy starszych ust utworzyć, widać jednak było, że interesuje się ogólną rozmową, a w jasnych jego, myślących oczach malowało się żywe zaciekawienie.

Zupełnie prawie to samo możnaby powiedzieć o Teklusi Żurowskiej, która chwilową swą śmiałość rzucenia na rynku kwiatów pod nogi Kościuszce starała się okupić zdwojoną jeszcze powściągliwością w mowie i powagą w zachowaniu.

Filuterna Tecia tak manewrowała, żeby koniecznie usadowić podczas wieczerzy milczącego porucznika obok Teklusi.

— Jak oni się ubawią doskonale! — szepnęła do starościanki — mogę zaręczyć, że nie przemówią do siebie ani słowa! Zresztą nasza Teklusia zawsze w obecności ojca jest „trusia". Będzie mogła zato z tego bocznego miejsca przyglądać się dowoli IMĆ Panu Kościuszce, nie będąc widzianą. To ją niezmiernie ucieszy!

Pani starościna usadowiła Kościuszkę pomiędzy kasztelanową Morską a chorążyną Żurowską.

Generał zabawiał obie swe sąsiadki z jednaką galanterją. Stanowiły one typy najzupełniej odmienne. Żurowska, domatorka, przez męża nieco zahukana i potulna, przypominała generałowi litewskie niewiasty i tą swojskością więcej mu przypadła do serca. Kasztelanowa natomiast, jako bardzo obyta w świecie, miała dużo tematów do konwersacji. Okazało się, że wiele wspólnych znajomych posiadali w Warszawie, rozmowa więc nie ustawała ani na chwilę. Ze śmiechem opowiadała Morska, jak to przed paru laty bawił u nich w Rajkowcach przyjaciel generała, Niemcewicz. Grano komedję p. t. „Bliźnięta", przełożoną z francuskiego przez młodego księcia Adama Czartoryskiego.

— Niemcewicz i Malczewski grali rolę owych braci bliźniąt, ja zaś byłam Arymeną, bohaterką sztuki. Mąż mój ofiarował się być suflerem. Imaginuj sobie, generale, jak uciążliwe było przy jego tuszy siedzenie w budce suflerskiej! Mordował się srodze, aliści przywidziało mu się, że pan Niemcewicz jakieś tkliwe słowa własne do dialogu z Arymeną dorzucił. Nie wiele myśląc, wysuwa się nawpół z budki i chwyta nagle podczas spektaklu pana Niemcewicza za nogę. Ten omal, że nie stracił równowagi i nie padł, jak długi. Widzowie pokładali się od śmiechu. Przedstawienie, choć zamącone tym niespodzianym epizodem, powiodło się w zupełności.

— Nie dziwię się, że kasztelan z takim ferworem swego skarbu broni — uśmiechnął się Kościuszko, na co kasztelanowa, uderzając go lekko wachlarzykiem po ręku, szepnęła:

— Komplemencista!

Po chwili, wracając znów do ulubionego tematu, ciągnęła dalej:

— Musimy i tu koniecznie widowisko jakie urządzić. Tyle dziarskiej młodzi, tyle panien mamy teraz w Międzybożu. Znajdzie się dość wolnego czasu do tej imprezy.

Nieprawdaż, generale, że nie odmówisz nam światłej rady i pomocy?

Kościuszko wzruszył ramionami, poczem rzekł pobłażliwie:

— Bardzo aprobuję i aplauzu chętnie udzielę, ale co do mnie, nie mogę zaliczać się do rzędu ludzi, rozporządzających swym czasem według swej woli. Poważne czekają mnie obowiązki. Mamy czternaście tysięcy ludzi w naszej dywizji. Komenda moja zajmuje województwa: podolskie, bracławskie, kijowskie i część wołyńskiego. Będę zmuszony ustawicznie robić wycieczki dla przeglądów wojska. Gdzież czas na spektakle, gdy, być może, lada chwila będziem mieli spektakl krwawy na polu walki. Przysłani jesteśmy, aby tu być na czatach. Komendę w karności i regularności utrzymywać toć jest z tem trudu niemało! Zdrowie mi też jakoś niedobrze służy.

— Na to się zaradzi; nasz doktorek wnet generała uzdrowi. Panie konsyljarzu — zawołała, przechylając misternie utrefioną główkę w stronę Hackenszmita, któremu Bernatowicz, przybrany w kontusz o barwach województwa, coś w tej chwili z ferworem opowiadał — panie konsyljarzu, musi pan nam generała jakąś cudowną miksturą odrazu wyleczyć.

— O tak, tak! — wtórowała chorążyna — nasz konsyljarz jest nieoceniony! Nie było przypadku, aby nie przyniósł ulgi choremu.

Doktór zerwał się z miejsca i poskoczył ku kasztelanowej.

— Jestem na usługi. O co chodzi?

Gwar zmieszanych głosów nie pozwolił mu dosłyszeć słów kasztelanowej zoddali.

Gdy panie objaśniły, że mu oddają nowego pacjenta pod szczególną opiekę, uśmiechnął się słodko, skłaniając głowę.

— Niezmiernie zaszczycony będę pokładanem we mnie zaufaniem pana generała—rzekł, poprawiając żabot, z wdziękiem na piersiach ułożony. — Przynosić pomoc cierpiącym jest moim obowiązkiem i najmilszem zadaniem.

Morski wzniósł w tej chwili kielich i wygłosił toast za pomyślność Rzeczypospolitej, jej walecznych obrońców oraz „naszej przezacnej pani starościny liwskiej", która dziś owych obrońców kresów gościnnie w swym domu podejmować raczy.

Wszyscy wychylili kielichy do dna, nastąpiły wnet inne przemowy okolicznościowe, dające impuls do wypróżnienia jeszcze kilkunastu butelek przedniego wina, poczem, gdy wstano już od stołu, pułkownik Szerer, komendant pułku Brodowskiego, usiadł do klawikordu i zagrał marsza własnego układu, tego samego właśnie, który wykonała muzyka pułkowa przy wejściu do Międzyboża. Następnie Anna, uproszona przez całe grono, dała się namówić do zagrania na arfie, wykonywając kilka melodyj bardzo subtelnie i artystycznie.

Orłowski stał, jedną ręką oparty o klawikord, drugą założoną trzymał na piersiach. Od czasu do czasu przewracał karty nut, rozłożonych na pulpicie, z których grała starościanka. Zasłuchany był i wdzięczny, że wybrała na popis te pieśni, które świeżo dla niej sprowadził.

Fiszer i Kniaziewicz podczas wieczerzy zabawiali ożywioną gawędą Tecię Orlewską i następnie nie odstępowali jej ani na chwilę. Chłopicki milczał istotnie przy stole z wytrwałością wzorową, nie zachęcony wcale, co prawda, do rozmowy przez nieśmiałą sąsiadkę. Zagadnął go o coś znienacka generał Kościuszko po wieczerzy, przechodząc obok porucznika, który wyprostował się nagle, pokraśniawszy, jak wiśnia, lecz odpowiedział głosem pewnym i wyraźnym, jak na dobrego służbistę przystało.

Dało to możność Teklusi usłyszeć wnet potem z ust generała nad wyraz miłe dla niej słowa:

— Kwiatki waćpanny spadły wczora na strudzonego ożywczą rosą. Bóg zapłać za nie! Myślą ukląkłem i stópki ucałowałem! — rzekł z serdecznym wielce wyrazem, który

Teklusię tak dalece onieśmielił, że stała przed nim w ponsach, ze spuszczonemi oczętami i rączkami, zwisłemi bezwładnie w fałdach sukienki, jakby skamieniała w radosnem wzruszeniu.

To zalęknienie dziewczęce miało swój urok wielki i wywarło na Kościuszce jak najlepsze wrażenie.

— Matusi dobrodziejce zapowiedziałem już, że w tych dniach pośpieszę złożyć waćpaństwu moje uszanowanie — dodał generał z uprzejmym ukłonem. — Mam nadzieję, że waćpanna chorążanka raczy zaszczycić mię odrobinką życzliwości swego anielskiego serduszka.

O, gdybyż mógł dojrzeć, jak owo anielskie serduszko biło w tej chwili przyśpieszonem tętnem!...

Teklusia podniosła swe chabrowe oczęta i spotkała się ze spojrzeniem tkliwem bohatera swych marzeń, którego wyobraźnia jej postawiła na niedostępnym piedestale.

I to on sam, we własnej postaci, stoi przed nią, zbliżył się naumyślnie, jakby szukając okazji, by do niej przemówić, i tak pięknie, tak jakoś niezwykle myśl swą wyraził.

Teklusia miałaby ochotę podskoczyć w górę, klasnąć w dłonie z zachwytu, krzyknąć, rozpłakać się ze zbytku szczęścia, a zarazem gotowa była zapaść się pod ziemię w tym momencie, aby nie być zmuszoną coś odpowiedzieć, bo myśli jej wirowały bezładnie, krew cała zbiegła do serca. Czuła, że nie potrafi wydobyć z siebie ani jednego słowa, a jednocześnie zdawała sobie sprawę z tego, że przedłużające się milczenie może być jej poczytane za zupełny brak wychowania, za jakąś ordynarną parafiańszczyznę, że da tem o sobie jak najokropniejsze wyobrażenie.

Aż naraz, zmógłszy trwogę, wyciągnęła dziecinnie obie rączki ku niemu i głosem, w którym drgała tłumiona łezka, szepnęła:

— Waćpan chyba odczuć musiał, żeśmy go życzliwością nawet jeszcze przed zapoznaniem się z nim udarowali!

Zdobyła się na tak pięknie zaokrąglony frazes i, jak sarenka spłoszona, radaby zemknąć co tchu, do matulki się przygarnąć i zapytać, czy dobrze panu Kościuszce odpowiedziała? Ale matka była już w drugim pokoju; obok siebie miała tylko sztywnego i milczącego młodziutkiego porucznika, niemego świadka tej sceny, a przed sobą wyśnionego bohatera, który wpatrywał się w nią z coraz większem zajęciem.

Na szczęście zbliżał się właśnie Orłowski, którego znała dobrze i lubiła szczerze.

Kościuszko rzucił się ku niemu, składając dłonie:

— Zmiłuj się, kolego, towarzyszu, druhu serdeczny, czyż godziło się zamilczeć przede mną, że tu, w Międzybożu, są takie cudne boginki?... Można oczy wypatrzeć, świat cały objechać, a takiego objektu do uwielbienia pod słońcem nie znaleźć!

— Hola, hola! nie przesadzaj, mój Tadeuszu, bo jeszcze pannie Teklusi zdawać się będzie, że naprawdę jest czem tak bardzo się zachwycać! Wcale nic osobliwego w tych szafirach, ukrytych za długą rzęsą, nie dostrzegam — żartował komendant, chcąc skłonić Teklusię do podniesienia utkwionych uparcie w ziemię oczął.— A pan, mości poruczniku — zwrócił się naraz do Chłopickiego — wyglądasz na znużonego zbytniem gaworzeniem. Straszny z niego gaduła!—dworował sobie z nieśmiałego młodzieniaszka Orłowski — ale chwali mu się jego sprawowanie. Nigdy opieszałością w służbie nie zgrzeszył. Silentium! — dodał, kładąc tajemniczo palec na ustach — widzę, że chorąży z konsyljarzem swym dąży w tę stronę. Nie wolno dłużej z tym „objektem uwielbienia" rozmawiać tak na uboczu — szepnął do ucha Kościuszce. — Chorąży to Kato, etykiety przestrzega, musisz się z tem liczyć, mój kochany.

Teklusia dygnęła z wielką gracją i zniknęła, zanim ją dostrzegli stojący w progu ojciec i doktór.

— Na ten raz udało się szczęśliwie ujść czujnego oka rodzica — zaśmiał się komendant, biorąc pod rękę towarzysza broni i uprowadzając go z sobą na ganek, by tam swobodnie lulkę zapalić — ale zakonotuj sobie, Tadeuszu, że, mając przebywać czas jakiś w małej mieścinie, żyć będziesz, powiedzmy, jak w latarni. Każdy twój krok będzie śledzony i komentowany. Ty zawsze sobie swą zbytnią otwartością w życiu szkodzisz. Już na wstępie gadaniem o chłopach kilku ziemian sobie naraziłeś, a pomiędzy nimi, sądzę, i ojca tego nadobnego dziewczęcia.

— Nic sobie z niczyich dąsów nie robię; nikomu nigdy, mój Józefie, schlebiać nie potrafię, ani też do żadnych okoliczności się nie nagnę! Wolnym obywatelem wolnego kraju nazywać się mam prawo i wolno mi mieć własne o rzeczach zdanie. Jedni się będą srożyć i zżymać, innym, być może, w sposobnej chwili powiedziana prawda oczy otworzy. Taki byłem, taki jestem i takim już pozostanę do końca!

— Wiem, wiem, Tadeuszu, że z ciebie harda sztuka i republikaninem jesteś szczerym, ale widzisz, kochanie, że w tem sarmackiem kresowem otoczeniu niesposób propagować gwałtownie nowatorskich zasad.

— Można i należy — odrzekł Kościuszko, ściągając brwi chmurnie. — Nie trzeba być ciepłym, ale gorąco brać każdą sprawę do serca! Inaczej zginiemy!

Rozmowę koleżeńską przerwało ukazanie się nowego gościa. Spóźniony wielce, ale zato wyświeżony, jak z igiełki, przybył Bartłomiej Giżycki, adjutantem księcia Józefa świeżo mianowany, młodzian bardzo zamożny i skoligacony, odznaczający się dobrą prezencją i humorem; przytem doskonałą mimiką umiał on ubarwić każde opowiadanie. Zwano go powszechnie Barcio.

Towarzystwo w salonie zabawiało się, podzielone na grupy. Starościna odczytała głośno artykuł z ostatniego nu-

meru pisma, wydawanego w Warszawie pod tytułem *Gazeta narodowa i obca.* [1])

Były tam sprawozdania z obrad sejmowych, wyjątki z przemówień godniejszych uwagi, słowem, gazeta stanowiła nowość wielce pożądaną, zwłaszcza w stronach od stolicy oddalonych rozchwytywano ją, niekiedy nawet przepisywano ważniejsze ustępy, aby je dalej w kurs puścić.

Starościanka z zajęciem rozmawiała na stronie o muzyce z pułkownikiem Szererem; Teklusia przysunęła się do Teci Orlewskiej, przysłuchując się, jak Kniaziewicz opowiadał o generale Kościuszce, o jego talentach nie tylko wojskowych, ale i towarzyskich: jak naprzykład udatnie umie wycinać sylwetki osób znajomych, [2]) jak ślicznie w wolnych chwilach rysuje.

— Poprosimy pana generała, aby i nas kiedykolwiek sportretować raczył — zawołała Tecia, uradowana.

Giżycki, przywitawszy dwornie damy, jął opowiadać Morskiemu na stronie jakieś krotochwilne nowinki.

— Barciu kochany, będziesz mógł rychło iść o lepsze z wojewodą wileńskim w swych bajdach z tysiąca i jednej nocy — śmiał się kasztelan podochocony. — Masz fantazji moc i prawdę niebardzo masz w estymie, ale prezencją i urodą, coprawda, zakasowałbyś Radziwiłła Panie Kochanku.

— Wymawiam sobie wszelkie niewczesne żarty z mojej persony! Parol kawalerski, że mówię zawsze bez żadnych koloratur—protestował Barcio, pokręcając wąsik i, rzuciwszy ukradkiem okiem w zwierciadło, uśmiechnął się z zadowoleniem, wiedział bowiem, że postawą swą wytworną budzi ogólny podziw.

---

[1]) Redagowali ją: Tadeusz Mostowski, kasztelan raciąski, Józef Weyssenhoff i Juljan Ursyn Niemcewicz, posłowie inflanccy.

[2]) W rodzinie Grabianków przechowuje się dotąd sylwetka Anny Grabianczanki, ręką Kościuszki z czarnego papieru wycięta.

— Jakież tam nowe koncepty księcia Karola?—zagadnęła kasztelanowa, chcąc wciągnąć kuzyna do rozmowy.

— Ostatnio zakładał morze w Nieświeżu i musiał z tego powodu, sejm porzuciwszy, do domu śpieszyć. A zresztą — ciągnął Barcio z udaną powagą — na sznurze do nieba się winduje, za kuchtę u pana Gałeckiego służy i na polowanie z nim chadza. W drodze z Triestu do Wenecji, burzą zaskoczony, okręt na własnych barkach podźwignął, Gibraltar zdobywa, czemu już i Morawski, stale mu przytakujący, przyświadczyć nie może, bo, jak sam powiada, w pierwszym szturmie go zabito.

Wśród zwolenników Czartoryskich i całej tak zwanej „familji" królewskiej chętnie zawsze dworowano z Radziwiłła.

— Widziałem sam — rzekł Morski — jak zwiedzając sklep Jaszewicza,[1]) wszystko zachwalał, poczem, zakreśliwszy ręką szerokie koło, do połowy półek sklepowych sięgające, powiada: „Póty moje! Upakować i odesłać zaraz". „Jeszcze piwo angielskie mam przednie", zachęcał kupiec. Książę kazał dać do spróbowania i wnet ze dwieście butelek wypito na miejscu, bo Radziwiłł nawet obcych, będących naówczas w sklepie, utraktował. Znalazł, że piwo niezgorsze, kazał więc odesłać cały transport do swego pałacu. — „A ile tego masz?", zapytał od niechcenia. — „Cztery tysiące butelek". — „Fraszka! Zda się dla Radziwiłła!" To ci pańska fantazja! Ale ma z czego czerpać. Byłem tam w zeszłym roku na świętą Katarzynę na balu w radziwiłłowskim pałacu, kiedy to książę Karol na pamiątkę unji Litwy z Koroną dawał wielką fetę w Warszawie. Pięć olbrzymich sal zastawiono stołami. Przybory były ze złota i saskiej porcelany przy stole, gdzie zasiadł król, księżna kurlandzka i dwadzie-

---

[1]) Kupiec warszawski, który założył magazyn angielski, podczas sejmu czteroletniego bardzo będący w modzie.

ścia dwie damy z najpierwszych rodzin. W środku ustawiono misternie wyrobione naczynie, z fabryki saskiej pochodzące, które przedstawiało zdobycie Gibraltaru. Ten Gibraltar to istny konik księcia! Dla króla umyślnie pocztą z Hamburga na kilku brykach sprowadzono ostrygi. Radziwiłł podchodził do każdego stołu i wciąż zachęcał: „Nie jecie, nie pijecie, panie kochanku, nie łaskawiście, snać nie smakuje!" Ta uczta pono dwa miljony złotych kosztowała. Hojny on, ze szlachtą się brata, ale plecie koszałki opałki i w łgarstwie umiaru nie ma!

— Oglądałem ten pyszny zaprząg: karjolkę, czterema niedźwiedziami ugłaskanemi zaprzężoną—wtrącił brygadjer Potocki—którą podarował wojewoda włoskiemu książątku, karłowi. Synowcem on jest nuncjusza papieskiego.

Rozmowa ogólna weszła na temat przeróżnych opowieści prawdziwych i zmyślonych, dotyczących osób, zajmujących wysokie stanowiska. Opowiadano o wspaniałych darach, jakie Piotr Potocki, wysłany w poselstwie, wiózł do Stambułu, z których to darów urządzona była w Warszawie wystawa; o Adamie Rzewuskim, kasztelanie witebskim, którego większość obecnych na zebraniu u starościny dobrze znała. Jako poseł do Danji, wybrał się on w pięknym stroju narodowym, w orszaku okazałym, z niezwykłym przepychem gotując się do długiej podróży. Pozwożono różne dawne wzory, portrety, aby zachować styl staropolski. Kontusze i żupany sporządzono mu z lamy, złotogłowia, aksamitu i atłasu, zaszytego srebrem i złotem; cenne kulbaki, pałasze, rzędy i drogie klejnoty budziły podziw zarówno w kraju, jak i zagranicą. Niefortunna wszakże była ta wyprawa, król duński bowiem cierpiał na pomieszanie zmysłów.

Niepodobna było dojść do jakiego bądź porozumienia z nieszczęśliwym monarchą, który miał np. zwyczaj stawać w progu, gdy służba wnosiła światło do królewskiej komnaty i komenderował natenczas, jak dowódca wojskiem. Przytem miał

jeszcze dziwne zamiłowanie rysowania kotów, gdzie się tylko nadarzyła sposobność. Kiedy więc kasztelan, w pyszny karmazynowy kontusz odziany, stanął przed królem, ten, zaszedłszy go znienacka, jął szybko mu na plecach kredą kota rysować. Rzewuski zachował spokój, nie okazał najlżejszego zdziwienia, jakgdyby rysowanie posłom kotów na plecach należało do dworskiego ceremonjału.[1])

Panny chichotały w kątku, rozbawione opowiadaniami, a figlarna Tecia udawała, że węglem rysunkowym kreśli na białej sukience Tekluni wielką kocią głowę.

Nazajutrz postanowione zostało ogólne spotkanie po południu nad rzeką przy młynie, a następnie kasztelanowa zaprosiła do siebie na podwieczorek i gawędkę. Pannom szepnęła, że, być może, tańce zakończą zabawę.

Pomimo że godzina była późna, towarzystwo ociągało się nieco z rozejściem do domów, a uprzejma starościna zatrzymywała gości, każąc służbie jeszcze na pożegnanie roznosić owoce i lody.

Panie przysłuchiwały się pilnie, gdy Giżycki opowiadał o przepysznej stajni księcia Józefa, o przyjęciach w pałacu „Pod blachą", o wytwornym zaprzęgu księcia, który świeżo oglądał w Warszawie.

— Nic piękniejszego, mości pani kasztelanowo, nad ten ekwipaż wymarzyć trudno! — zachwycał się młodzian. — Angielska bastarda w pięć arabczyków najlepszej rasy, powożonych z konia. Pocztyljon w ponsowym żylecie, łosiowych inekspymablach i butach palonych. Książę, sam przez się bogaty, obsypywany podarunkami przez króla stryja, w całej pełni używa radości życia. Co za szlachetność, szczodrość, co za ułożenie! Stał się odrazu dla nas wszystkich wzorem mody i najwykwintniejszej maniery!

---

[1]) Opowiada o tem S. Bukar w swych „Pamiętnikach".

To rzekłszy, piękny Barcio rzucił mimochodem spojrzenie w stronę Kościuszki, zajętego rozmową z chorążyną, jakby czyniąc w duchu porównanie. Snać w oczach rozmiłowanego w polorze i blasku paniczyka nie wypadło ono na korzyść obecnego tu generała, gdyż uśmiechnął się trochę ironicznie pod wąsem i szybko zmienił temat.

— A wiecie, mości panowie, jak się ów groźny Potemkin w Jassach zabawia? — zaczął z innego tonu. — To ci dopiero bajki z tysiąca i jednej nocy! Urządził sobie pyszny podziemny pałac, rzęsisto oświetlony i bale tam w biały dzień wyprawia. Rozmiłowany jest w drogich kamieniach, których ma pono ilość niezliczoną. Stawia więc przed sobą szkatułę, napełnioną diamentami, perłami, szafirami, rubinami, i pełną garścią przesypuje je, jak dziecko, bawiące się piaskiem.

— Iście kobiece gusta! — zauważyła starościna.

— Przydałaby się nam ta szkatuła na żołd dla wojska, nieprawdaż, Tadeuszu? — wtrącił komendant Orłowski.

— Toć przysłał tysiąc sztuk broni i cztery działa na wieść o powiększeniu naszego wojska. Indygenatem polskim się pyszni! Dziwna w tym barbarzyńcy mieszanina — mówił Morski — ale jasne jest, że mu się korony polskiej zachciewa. Chciałby zagniewanej na króla Stanisława Katarzynie kazać ową koroną swój łeb rozczochrany przyozdobić!

— Taki król nie potrzebowałby ostryg, ani innych smakołyków — żartował Bernatowicz. — Surowe warzywa pożera bez miary, jak nierogacizna!

Opróżnił się wkrótce salon starościny. Kościuszko oddalił się wraz ze swoimi adjutantami, nasłuchawszy się wielu uprzejmych słówek na pożegnanie. Nie mógł wymówić się od jutrzejszego podwieczorku u kasztelanowej, Żurowskim miał też złożyć swe uszanowanie, słowem, od pierwszych chwil przybycia swego do Międzyboża został porwany, wbrew woli i zamiarom, w wir ruchliwego i gwarnego życia obywatelskiego w tym uroczym zakątku Podola.

* * *

Nastąpił teraz szereg dni jasnych. W cudnych barwach jesieni polskiej odżyły znów dla Kościuszki szczęśliwe chwile wiosny.

Bogactwo przyrody, ożywcze prądy nadziei dla kraju, grono życzliwych przyjaciół, wysoką czcią otaczające generała, sprawiało na nim niezmiernie kojące wrażenie.

Częste spotkania z Teklusią Żurowską pozwoliły mu poznać bliżej i ocenić to dziewicze serduszko, które zabiło dlań gorącem, pierwszem uczuciem, nie umiejąc nawet utrzymać w tajemnicy swych wrażeń.

Każdy rumieniec przy spotkaniu, każdy uścisk dłoni mówił wymownie o tem, że dziewczątko przylgnęło całą duszą do dojrzałego już wiekiem, lecz pełnego młodzieńczej świeżości uczuć Tadeusza. Najniespodzianiej w świecie wpadł ten ciepły promyk świetlany w szarą dolę Kościuszki. Nie szukał go. Sam przyszedł.

I naraz zrobiło się słonecznie w duszy. Wiedział, że jest ktoś bardzo dobry, bardzo miły, bardzo kochany, co myśli o nim nieustannie. To przeświadczenie napawało go radością i dumą. Teklunia wiodła za nim wzrokiem, modliła się na jego intencję, gdy wyjeżdżał na egzercerunki; wyszywała dlań w wielkiej tajemnicy drobniuchnemi paciorkami na jedwabnej kanwie śliczny bukiecik, który oprawiony miał być na okładce notabenki [1]) i ofiarowany w dniu imienin. Tecia Orlewska zdradziła ją z sekretu. Opowiedziała Kniaziewiczowi, a ten znów wygadał się przed ukochanym generałem, któremu całem sercem był oddany.

Orłowski, ile razy wpadł do Międzyboża, uśmiechał się, dowodząc żartobliwie, że doktora Hackenszmita nie napróżno tak zachwalał koledze.

---

[1]) Notes.

— Czyż nie cudownie uleczył cię z melankolu, ty zbereźniku? Przyznaj, Tadeuszu, że w Międzybożu począłeś patrzeć na świat przez szkła różowe. Jedynie Hackenszmitowi całą zasługę przypisać należy — mówił, mrugając wesoło w stronę Teci i Teklusi. — Któżby bowiem brał w rachubę te maleństwa, te chichotki, te dzierlatki, te utrapieństwa międzyborskie!... Od was, mościapanny, coprawda, wiosenką zawiewa, jakbyś bzów i lip rozkwitłych wdychał wonie; a te lotne słówka ichmościanek to jakby barwne motyle!... Cóż, Tadeuszu kochany, czy nie przyznasz, że mam inwencje poetyckie, nie chwalący się, jak sam szambelan Trembecki, tylko mi się jakoś to wszystko w wiązaną mowę nie składa!

Panienki śmiały się, rumieniły, spuszczały oczki, niby obrażone, że ich komendant tak przezywa i, jak dzieci, traktuje, ale niemniej rade były, że przypisuje im dobroczynny wpływ na humor generała.

Pani starościna, a zwłaszcza panna Anetka, oraz kasztelanowa Morska bardzo życzliwem okiem patrzały na afekt Teklusi. Pani chorążyna również niezmiernie lubiła słuchać opowiadań generała Kościuszki i sprzyjała mu wielce.

W małej mieścinie towarzystwo widywało się codziennie prawie. Coraz bardziej skłaniały się ku sobie dwa serca, coraz większa łączność i harmonja zapanowały pomiędzy przypadkowo zbliżonem gronem.

Nawet pani Stadnicka zupełnie pozbyła się swych uprzedzeń i uważała, że generał jest bardzo stateczny i dobrze ułożony kawaler, a Teklusia powinna Panu Bogu dziękować, że jej się zdarza taka dobra partja.

Innego całkiem zdania był pan chorąży. Ten chodził wciąż chmurny i zasępiony od czasu, gdy Kościuszko przeniósł się z zamku do miasteczka i wynajął dworek w bliskiem sąsiedztwie ich mieszkania.

— Będą nam ci kobylarze [1]) kręcili się ustawicznie przed nosem! — mruczał niechętnie, poprawiając pasa i odrzucając wtył wyloty niecierpliwym ruchem! — Czy to już mało miejsca na zamku, żeby się tu translokować! Proszę cię, pani matko, dawaj pilne baczenie na dziewczęta, na żadne komitywy i dyskursy przez okna z oficerami nie pozwalaj! Mamci ja inne dla naszej Teklusi zamysły. Mieć będzie męża zamożnego obywatela, dobrego rodu. Z Chwalibogami radbym wejść w parantelę. Niechże sobie dziewczyna galonami głowy nie zaprząta!

Chorążyna smutnie zwiesiła głowę. Wiedziała, że mąż jest zawzięty i gdy sobie coś uroi, niełatwo mu wyperswadować. Zmilczała więc i, zagadawszy o czem innem, zdołała uwagę chorążego odwrócić.

Kościuszko narzucać się nie chciał. Widząc coraz wyraźniejszą skłonność ku sobie chorążanki, począł unikać spotkania. Przytem zmuszony był wyjeżdżać często, chorąży więc mniej miał powodów do niepokoju.

Jednakże przed Hackenszmitem się żalił:

— Niechby już sobie zupełnie wyjechał z Międzyboża! Ten amerykański nowator tak jakoś wszystkich skaptować sobie potrafił, że młodzi i starzy potracili głowy. Rewolucyjne tu sieje doktryny! Za chłopami ciągnie i z ferworem to gałgaństwo broni! Kobiety, że to tkliwe a głupie, łatwo dają sobie przewrócić w głowie. Już mi się raz moja Teklusia ni w pięć, ni w dziewięć wyrwała z obroną, gdym kazał obić rózgami baby, co się ekonomowi memu w Ignatowcach hardo stawiły. Wiem ci, że on ostry jest, sierdzisty, być może, kańczuka czasem nadużyje, ale to jedyne remedjum na niesforność chłopską. Co tam zresztą Teklusi do tego? Aliści, jak nie zacznie płakać, molestować, mówić, że tak się nie godzi. Na złość wydałem przy niej rozkaz,

[1]) Kobylarzami zwano ironicznie kawalerzystów.

mospanie, dodać babom jeszcze po dziesięć łóz, niech do panienki po protekcję nie łażą! Aż tutaj to się przywlokło, jedna z nich za niańkę kiedyś we dworze służyła.

Doktór Hackenszmit patrzył przenikliwie na pacjenta.

— Czy też on wie już, co się dzieje w sercu córki, czy też tylko przewiduje niebezpieczeństwo? — pomyślał sobie.

Urocza Teklusia podobała mu się niezmiernie. Kto wie, możeby się udało pozyskać jej wzajemność, gdyby nie ów zachwyt gorący dla Kościuszki. On też widocznie jej sprzyja.

Nieraz zlekka starał się doktór wybadać stan jego serca. Nie zdradzał się generał z osobistemi uczuciami, ale też nie zaprzeczał, że ze wszystkich panien w Międzybożu i okolicy najmilszą wydaje mu się chorążanka.

Znając słabą stronę Żurowskiego, łatwo było doktorowi podsycać umiejętnie iskrę niechęci.

— Generał Kościuszko jest wysokiej wartości pod względem charakteru, ani słowa! — cedził zwolna, jakby ważąc każdy wyraz. — Ale istotnie nie wiem, do czegoby mógł doprowadzić, gdyby miał daną sobie władzę dyktowania prawa. Demokrata i rewolucjonista zdecydowany, z tych, co chcą zburzyć wszystko, aby znów od podstaw budować. O jakiejś równości zupełnej wszystkich stanów mu się marzy! Uwolniłby wnet włościan od pańszczyzny, a to jakby szalonemu dał miecz w rękę, nieprawdaż, panie chorąży? Suponuję, że imć pan Kościuszko, tak jak i Kołłątaj, stanowi żywioł burzycielski w Polsce, szlacheckim przywilejom wrogi. Na szczęście, jego zdanie nie może wywierać przeważnego wpływu na losy kraju.

— Konsyljarzu, jesteś człek mądry i przenikliwy — zawołał chorąży, chwytając doktora za rękę.—Jakbyś mi z ust wyjął te słowa! Obawiam się konspiratorów, jak zarazy morowej! Widzi mi się, że on jest jakby z innej ulepiony gliny. Ma wpływ ogromny na swych podwładnych, kobiety też wszystkie trzymają jego stronę, a w dzisiejszych czasach

podwiki strasznie przewodzą! Nie mogę przenieść na sobie, aby się tu na naszych oczach jakoweś jakobińskie maksymy szerzyć miały!... Toć w Galetach, majątku, sąsiadującym z moim, odkryto spisek, uknuty przez chłopów. Trzeba się mieć na baczności, a najwłaściwiej będzie usunąć się stąd co rychlej, zanim krwawa pożoga ogarnie całe województwo. Gdyby wkroczyli Moskale, chłopi z nimi trzymać będą.

— Do tego nie dojdzie—uspokajał konsyljarz, zażywając szczyptę tabaki z emaljowanej złotej tabakierki — uciekać niema potrzeby.

— Już kilka razy ten litewski Amerykanin ośmielał się gadać mi w oczy, że my, obywatele, nie rozumiemy, w czem zbawienie ojczyzny leży. Żyło się lat tyle bez tych zagranicznych mądrości i było nam dobrze, a tu naraz, masz, babo, redutę! Awersję mam do nowatorów! Proszę cię, konsyljarzu, abyś zalecił mojej małżonce i Teklusi wyjazd stąd, jako że dla zdrowia zmiana miejsca jest potrzebna. Ja ze swej strony uczynię, co należy. Trzeba to gładko przeprowadzić, aby się nie spostrzeżono, co jest właściwie powodem tego wyjazdu.

Doktorowi nie uśmiechał się wcale ten sposób załatwienia sprawy. Utracić naraz dobrze płatnego pacjenta, a zarazem wyrzec się widoku Teklusi, byłoby dla niego zbyt dotkliwą stratą. Kalkulował, że uda się poróżnić tak dalece chorążego z Kościuszką, że obejdzie się bez wywiezienia nadobnego dziewczątka za kordon, to jest do Galicji, gdzie Żurowscy posiadali też swą posiadłość. Przedewszystkiem dręczyła go ciekawość, czy Teklusia miłuje pana Kościuszkę, czy tylko pochlebia jej to wyróżnianie z pośród innych wielu. Postanowił wybadać ją, udając sprzyjającego związkowi. O sposobność nie było trudno, gdyż doktór częstym u Żurowskich był gościem.

Pewnego dnia, gdy pani chorążyna, czując się niezupełnie zdrową, zasięgnęła jego rady, a nikogo, prócz niej i Te-

klusi, w domu nie było, począł doktór Hackenszmit podżartowywać z Teklusi, że częściej, niż dawniej, przy robótce w oknie przesiaduje i dziw! w tem właśnie okienku, z którego widać, jak na dłoni, okno i ganek pana Kościuszki.

— Nad armją całą stoi król jegomość, a u nas na partykularzu są nadobne królewny, które na rycerzy mają oko — rzekł doktór, pochylając się nad haftem Teklusi i z uśmiechem badając wyraz jej twarzy. — Cóż to za pracowite esy floresy nasz generał na tym muślinie wyrysował! Widziałem bowiem, jaki tu waćpanny przypuściły atak, aby go o wzorek jakowyś prosić. Oczki będą bolały spozierać wciąż to na te ściegi, to znów w szybki, słońcem zalane!

Trudno było doktorowi coś wyczytać na spłonionem liczku dziewczęcia, gdyż pochyliła się jeszcze bardziej nad robotą, nie mówiąc ni słowa.

— Tak, córuchno, zbytecznie już ślęczysz nad krosnami i pan konsyljarz tak wielkiego ferworu nie aprobuje — wtrąciła matka.

— Te nagle pojawiające się na twarzy rumieńce, które zastępuje wnet wielka bladość, są dowodem braku krwi i złego jej obiegu — objawił doktór — a być może, i jakiejś serdecznej troski.... Ale dziś właśnie imć pan Kościuszko powrócił, spotkałem go przed chwilą.

— Czy podobna? — wyrwał się nagle z ust Teklusi okrzyk, pełen radosnego zdumienia.

Wnet jednak dorzuciła, kręcąc główką:

— Nie mógł dziś powrócić! Dopiero za dwa tygodnie przybędzie.

Westchnęła mimowoli. Doktór roześmiał się.

— Tak dobrze panna chorążanka jest o wyjazdach i przyjazdach dowódcy poinformowana? — zapytał.

— Oczywiście, lepiej snać od pana konsyljarza, jeśli mu się przywidziało, że widział generała, gdy ten wczoraj dopiero wyjechał z Międzyboża.

— Chciałem wypróbować, zali mocniej zabije serduszko na wieść o powrocie ukochanego! Już wszystkie sroczki i wróble międzyborskie świegocą, że mościapanna chorążanka jest z panem Kościuszką po słowie.

— Suponuję, panie konsyljarzu, że więcej ludzie, niż ptaki, lubią się wtrącać do nieswoich rzeczy — odrzekła Teklusia, a pani chorążyna, poprawiając okład na głowie i patrząc ze współczuciem, jak córka rumieni się, to znów blednie, dodała:

— Jesteś, konsyljarzu, naszym przyjacielem i znasz lepiej od innych przykre stosunki domowe. Możemy więc mówić zupełnie szczerze.

— O tak, co do sentymentu mego dla szanownych waćpaństwa, nie ulega on najmniejszej wątpliwości. Z duszy i serca życzę jak najlepiej—pośpieszył zapewnić doktór, całując rękę chorążyny.

— Konsyljarz ma wpływ na mego męża; ufa on waćpanu i w życzliwość jego wierzy. Otóż chodzi o przekonanie chorążego, że związek córki naszej z generałem Kościuszką jest zewszechmiar pożądany, że ustawiczna obawa gniewu ojca i docinki bardzo źle wpływają na zdrowie Teklusi. Dziecko niknie mi w oczach, a ja nic zaradzić temu nie mogę!

Doktór słuchał zdumiony i skonfundowany.

— Więc pani chorążyna dobrodziejka w zasadzie jest za tem połączeniem? — zapytał, głos zniżając.

— Nic nie mam przeciw związkowi, opartemu na szczerem przywiązaniu — odrzekła matka, obejmując córkę tkliwem spojrzeniem. — Teklusia pokochała pana Kościuszkę i wzajemność jego serca posiada. Różnica wieku nie stanowi o szczęściu. Stanowisko, imię nieskalane, sława zasłużona, rozum i serce złote, wszystko to przemawia za nim. Ale mąż mój mówić sobie o tem nie da! Niechęć jakąś tajoną ku niemu żywi. Nic moje słowa nie znaczą, a tylko

złość podniecają. Bądźże, konsyljarzu, medjatorem w tej drażliwej sprawie!

Teklusia podniosła na doktora oczy łez pełne.

— Jeśli w samej rzeczy konsyljarz dobrodziej nam dobrze życzy, niechże mi pomocą swą usłuży i ojczulka przejednać się stara! Recepta najlepsza, jaką przepisać mi można, jest: „Miłuj waćpanna tego, kto cię miłuje". Niechże mi ojciec dozwoli być z nim szczęśliwą, osłodzić mu życie! — Złożyła rączki modlitewnie.

Doktór czuł się zakłopotany wielce, stając się naraz powiernikiem dwóch przeciwnych sobie obozów. Gryzła go zawiść.

Teklusia wydała mu się dziś powabniejsza, niż kiedykolwiek bądź, z tą łezką wzruszenia w oku, z tem szczerem, prostem wyznaniem na ustach.

Ma więc wyrzec się jej bezpowrotnie, utracić wszelką nadzieję, a na dobitek samemu jeszcze nakłaniać do zmiany postanowienia tego zgorzkniałego i zagniewanego ojca?

Próbował jeszcze perswazyj:

— Czy aby waćpanna chorążanka nie łudzi się co do stałości uczuć, jakie wzbudziła w generale? On może tak bardzo gorąco do serca tej sprawy nie bierze. Odjedzie, zapomni, bo to wojskowym zazwyczaj co z oczu, to i z myśli.

— O nie, nie! — protestowała żywo Teklusia. — On nie taki, jak inni! Pan Tadeusz umie tak żywo czuć, tak cierpienie każde rozumie! Prosiłam go, by rozmowami o doli uciśnionych nie drażnił ojca. Ostatnim razem, gdy mówiono o buntach i ojciec sam wyciągał generała na słowo, spojrzał tylko na mnie i zmilczał, choć widziałam, ile go to kosztowało. Ale przyrzekł i dotrzymał. [1]) A teraz przez pana

[1]) ...„Czynić będę, co chcesz, i jak najgrzeczniej obchodzić się będę, a jeśli powie co przeciw memu przekonaniu, ugryzę się w język, ale nic nie powiem". Z listu Kościuszki do Teklusi. Nr. 91 str. 200. W zbiorze listów, zebranych przez Siemieńskiego.

Kniaziewicza mi powiedział, że usunie się i całkiem bywać u nas przestanie. Napisał do mnie tylko. Tu wyjęła list z zanadrza i czytała ze wzruszeniem: „Nigdy a nigdy o tobie nie zapomnę! Mocno jesteś w mem sercu wrażona, aby odmiana sprawić się mogła przez czas lub odległość. Prędzej twoje uczucie zmieni się widokiem młodszych, grzeczniejszych i bogatszych, jak ojciec ma nadzieję. Ale żartuję; twoje serce, wiem, że tchnie duchem przywiązania. Twój umysł daleki jest od rządzenia się powierzchownością. Chcesz tylko szczerego serca i masz je we mnie".

Teklusia odczytała te pierwsze słowa listu, zapisanego na cztery strony, i szybko złożyła go znów, ukrywszy przy sobie.

— I jakże ja teraz będę żyć bez niego! — zawołała, płacząc rzewnie.

W oczach doktora zamigotały iskierki hamowanego oburzenia. Zacisnął zęby, ale układny, jak zazwyczaj, zbliżył się do Teklusi, ujął gorące dłonie dziewczęcia i począł przemawiać miękkim, pieszczotliwym głosem:

— Pocóż się tak agitować! Wszystko będzie dobrze! Ojcu się powie, co należy. Niechże waćpanna łez napróżno nie roni! Takie śliczne oczęta! Zdrowia szkoda!...

W duchu zaś kombinował:

— Aż tak daleko zaszły sprawy, że piszą do siebie poufale *per* ty, i matka o wszystkiem jest powiadomiona. Nic z tego, mościapanno! Nie dopuścimy do marjażu! Już ja w tem! Wiem, że mi jej nie dadzą, bo u tych zaśniedziałych obywateli z dziada pradziada tylko posesjonat ma prawo o pannę konkurować. Reszta u nich łyki! Nauka, sława, eksperjencja, wszystko u nich złamanego szeląga nie warte. Ale i imć pan Kościuszko pójdzie z kwitkiem! Chorąży musi przyłapać jakiś karteluszek, do córki pisany. Byleby go szlag nie trafił, bobym najgorzej na tej aferze się złapał. Panniebym wolną drogę do ołtarza otworzył. W moim planie leży

pozostać na stronie, jako widz bierny, ale tak zręcznie rzecz całą poprowadzić, żeby się ta miłość w zawiązku zerwała.

Kobiety, wierząc, że pozyskały w doktorze wiernego sprzymierzeńca, bardzo serdecznie go żegnały, on zaś odszedł uradowany, że tak bez trudu zdobył tajemnicę, a Teklusia, trzymająca się zazwyczaj od niego zdala, sama będzie teraz szukała sposobności dłuższej z nim rozmowy.

Całe grono, sprzyjające uczuciom Teklusi, nie przypuszczało nawet zbyt wielkich trudności i zawikłań. Liczono na Morskiego, który był natenczas nieobecny. Kasztelanowa napisała do męża list, aby zaraz po powrocie swym ze Lwowa wziął na siebie rolę swata i oświadczył się w imieniu Kościuszki panu chorążemu, który zawsze z wielką atencją był dla kasztelana.

Starościna przy każdej sposobności wychwalała przed chorążym generała, któremu miała to jedno do zarzucenia, że nigdy nie starał się stosunków swych wyzyskać dla siebie, że przez zbyteczną „modestję" na plan drugi się usuwał, poprzestając na orderze Cyncynata, o żadne odznaczenia się nie dobijał.

Chorąży ręką machał, czasem odburknął niechętnie, że damskie zachwyty nie przydadzą temu farmazonowi waloru, a tylko rozbałamucą obieżyświata, co na wędkę amerykańskiej sławy radby złowić jaką rybkę podolską.

Kniaziewicz i Tecia Orlewska, czułem na siebie spoglądający okiem, sprzyjali gorliwie zakochanym. Pan Karol odgrażał się, że na pojedynek wyzwie każdego, ktoby zamysłom generała opór stawił.

Aliści pewnego razu, pod nieobecność Kościuszki, zjechał znów do Międzyboża piękny Barcio Giżycki i u kasztelanowej jął wobec chorążego opowiadać z właściwym sobie humorem o romantycznem usposobieniu generała, o rzekomem zajściu z wojewodą Sosnowskim, o wykradaniu jego córki

Ludwiki i tym podobnych niedorzecznych plotkach, kursujących w kółku hulaszczej, złotej młodzieży, do której się Giżycki zaliczał. Będąc adjutantem księcia Józefa i przebywając wciąż w arystokratycznem gronie, uważał Kościuszkę, pomimo wszystkich jego zalet, za skromnego szlachetkę, który może być zupełnie odpowiedni w obozie, ale nigdy w wykwintnym salonie.

Żurowski nie posiadał się z radości, że wreszcie znalazł się choć jeden głos, pochodzący ze sfer wojskowych, nieprzychylny Kościuszce. Miał ochotę uścisnąć Barcia za te złośliwe docinki i krotochwilne opowiadania, które sypał, jak z rękawa, gdy tymczasem panie zgodnym chórem brały w obronę nieobecnego.

— Niedobry jesteś, kuzynie — wołała kasztelanowa, robiąc minę zadąsaną — chcesz koniecznie osłabić nasz gorący zachwyt dla tego nieocenionego imć pana Tadeusza! To człowiek odmiennego autoramentu! Tak olśniony jesteś blaskiem księcia Józefa, że każdy inny wódz blednie w twych oczach wobec tej nowej gwiazdy! Uważam — dodała, grożąc mu palcem — że od chwili otrzymania orderu św. Stanisława ogromnie zhardziałeś i na zewnętrzność dajesz przedewszystkiem baczenie.

Barcio rzucił okiem na swój znak honorowy, przypięty u boku, i uśmiechnął się z zadowoleniem. Zapłacił zań dość słono, ale na głuchej prowincji zwłaszcza order wszystkich w podziw wprawiał.

— Mam wysoką konsyderację dla spartańskich cnót generał-majora, ale widzę, że pod nieobecność księcia Józefa on tu na kresach uważany jest za wielkość pierwszorzędnej miary. A przecież jakiś tam szaraczek litewski nie może się równać z Jaśnie Oświeconym księciem generał-lejtenantem! Podobno żadnej własności ziemskiej nie posiada, bieda biedę pogania, zadłużony po uszy i człek to zupełnie niskiej kondycji.

Chorąży nadstawił uszu z zaciekawieniem.

— Tak waćpan powiadasz? Nie dziw mi teraz, że tak chamstwa zawzięcie broni; musi być sam niskiego pochodzenia! Cham, jak Bóg Bogiem! I nazwisko brzmi jakoś cudacznie! Nie karmazyn żaden, to zaraz poznać, choć się niby Rochem pieczętuje.

— W każdym razie gusta ma niewybredne, kucharza wcale nie trzyma. Czarny chleb, kapusta, szklanka piwa zupełnie mu wystarczają. Widziałem to sam w Niemirowie — ciągnął Barcio z miną wyniosłą. — Może umyślnie chce w ten sposób zaznaczać, że mu się wystawność życia oficerów ze sztabu księcia nie podoba! Ale nas ten przykład wcale nie wzrusza! Spotkałem się z nim u pewnej Greczynki w Niemirowie. Zajadał sobie skromnie konfitury, popijając wodą, w tym właśnie czasie, gdy u Wincentego Potockiego, ożenionego z księżną de Ligne, zgotowane było wspaniałe przyjęcie, na które generał był zaproszony. Jakby umyślnie unika arystokratów, a szuka parwenjuszowskich rozrywek. Godzinami całemi gotów słuchać, gdy mu pułkownikowa Szererowa na skrzypeczkach rzępoli, zamiast zasiąść w dobranem kółku do faraona, [1]) jak się to dzisiaj praktykuje w wielkim świecie.

Teklunię dławiły łzy.

Na szczęście, zwrócona była plecami do światła i nikt, prócz matki, nie dostrzegł, że bliska prawie jest omdlenia.

Tylko siedząca obok niej starościanka objęła ją ramieniem i uścisnęła mocno jej rękę.

— Miarkowałam—rzekła chłodno—że panowie wojskowi mają teraz tak wiele pracy, iż czasu brak na szamerowanie bliźnich. Toć babska rzecz pono! A dla panów gra to jest hazardowniejsza od faraona. Honor własny i cudzy stawiąc na kartę, nieraz krwią takie igraszki opłacić można.

---

[1]) Gra hazardowna w karty.

Barcio stropił się i brwi ściągnął. Zrozumiał przymówkę, snać bowiem doszła tu już wieść o pojedynku, jaki miał niedawno z powodu swej niepowściągliwości w mowie.

— W każdym razie zapewnić mogę pannę starościankę, że ni szabla, ni język wojaka ostrości niewieściego języka sprostać nie jest w stanie! — zaśmiał się swobodnie i zręcznie sprowadził rozmowę na inny temat.

Chorąży, powróciwszy do domu, wybuchnął gwałtownie:

— Ładnieby mię urządziła moja magnifika! — zawołał, stając przed żoną i mierząc ją gniewnem spojrzeniem. — Gdybym tak był uległ twoim perswazjom i pozwolił na zrękowiny Teklusi z tym, mospanie, jakobinem. Co?...

Chorążyna milczała, czekając, aż pierwszy impet przeminie. Teklusia płakała w kątku.

Tylko Tecia ośmieliła się wtrącić uwagę:

— Co tam, wuju dobrodzieju, zwracać uwagę na gadaniny takiej kukły, pustaka, fanfarona, jak Barcio! Order dostał, a ciekawam wiedzieć, za jakie zasługi?...

— Tobie nic do tego! — żachnął się chorąży. — Powtarza, co ludzie gadają, a to już dla mnie wystarcza, aby sobie opinję wyrobić. Słuchajno, ty mała — krzyknął naraz ochrypłym z wściekłości głosem, zwracając się do Teklusi — jeśli mi się ważysz napisać choć słowo do tego gagatka, albo od niego odbierać jakieś piśmidła pokryjomu, o czem mam już instrukcje pewne, to jakem chorąży żydaczewski, pachołka, co list przyniesie, rózgami obić każę, a ciebie z panią matką sakum pakum, do kolasy z zapiętemi szczelnie firankami wsadzę i marsz za kordon bitym gościńcem, aby i śladu was tu nie było, zanim ów wasz Kościuszek z objazdów powróci. Dość już wam rej wodzić nade mną. Nie dam się wystrychnąć na dudka!

— Macieju, mój Macieńku! — próbowała uspokoić go chorążyna, ale on coraz więcej się unosił:

— Będziecie mi tu jeszcze robiły fochy, to znajdę waćpannie takie schowanie w klasztorze, że już cię stamtąd żadna siła nie wyrwie!...

Chorążyna ciężko się rozchorowała. Przy okazji przesłała Kościuszce krótkie zawiadomienie o tem, co zaszło, a otrzymała odpowiedź, napisaną pismem drżącem, nerwowem; snać bardzo dotknięty czuł się generał otrzymanemi wieściami.

„Nie mogę, Bóg widzi, nie mogę zamilczeć — pisał on— to co słyszę, czytam, piorun we mnie uderzył! Względem plotek można się zaspokoić. Rotmistrz Potocki, który jest z tegoż województwa ze mną, może zaświadczyć, że mam dziedzictwem wieś i sam trzymam ją. Nie każesz już mi pisać, moja matuniu, znać, że już po wszystkiem, znać, żeś się nakłoniła do perswazyj, znać, że już i od niej oddalony na zawsze zostaję, znać, żeś prędko o swej przyjaźni zapomniała! Czynię z rozkazu matki zawsze mojej i jej, która zawsze w mem sercu będzie. Już nie będę pisywać, nie będę i bywać, aby trucizną wzrok jej dla mnie nie był. Nie będę już w domu waszym, bobym sobie przypomniał okrutność losu mego. Niechże was zawsze jednak Opatrzność Najwyższa błogosławi, a więcej już i pisać nie mogę. T. Kościuszko".

Istotnie; oburzony do żywego, gryzł się i humor stracił. Ubodło go, że lada niedorzeczna plotka mogła wpłynąć na jego losy. Ludzie, którym nigdy nic złego nie zrobił, starają się mu szkodzić, ośmieszać i gnębić. Doświadczał uczucia wstydu za własne społeczeństwo, widząc, że tak wiele zła i przewrotności w niem się mieści. Wyjechał na kilka tygodni do Kamieńca, w Połonnem i w Niemirowie kolejno przebywał, gorliwą pracą czas skracał.

W ten sposób zeszła zima i część wiosny.

Chorąży uspokoił się nieco i przestał narazie mówić o wyjeździe żony i córki do Galicji, doktór bowiem potrafił mu wytłumaczyć, że lepiej samemu czuwać nad kobietami,

bo kto wie, czy w razie nagłego i przymusowego wyjazdu Tekli nie nastąpiłby jakiś raptus w drodze. Może Kościuszko, zawiadomiony zawczasu, postarałby się ze swoimi przyjaciółmi porwać w tej podróży chorążankę, a powolna jej woli i nazbyt tkliwa matka nie stawiłaby żadnego oporu.

Przebiegły doktorek tak umiał przedstawić rzecz całą, że chorąży był niemal pewien, iż plan podobny musiał już być ukartowany. Aby więc temu zapobiec, nawet do Ihnatowiec obawiał się wysłać żonę i córkę i pozostał z niemi w Międzybożu, nie zdając sobie sprawy, że czyni to wszystko, co Hackenszmitowi najwięcej było na rękę.

Z Warszawy tymczasem dochodziły raz po raz tak niezwykłe wieści, że mogły odwrócić uwagę od wszelkich spraw osobistych.

Ustawa Trzeciego Maja została uchwalona, ogłoszona i zaprzysiężona.

Niemcewicz opisał wnet Kościuszce i kasztelanowej szczegółowo przebieg sesji sejmowej:

„Gdy przyszła godzina zaczęcia sesji — opowiadał pod wrażeniem świeżo przebytych wzruszeń — senat i posłowie zgromadzili się licznie, na galerjach dla arbitrów, w każdem pozostałem miejscu mnóstwo ciekawych tak ważnego zdarzenia. Gdy król zasiadł na tronie i marszałek sejmowy sesję zagaił, postrzegłem Branickiego, otoczonego rębaczami swymi; żem ztyłu niedaleko siedział, słyszałem, jak jeden z najpoufalszych jego, zbliżywszy się do ucha, rzekł mu:—„A cóż, panie Ksawery, machniemy?...” Branicki, pomieszany, tem tylko odpowiedział mu słowem: „Wara!”

„Wezwał marszałek deputację spraw zagranicznych, by dała sprawę o położeniu i związkach naszych z obcemi mocarstwami, lecz nie dopuścił tego Suchorzewski, poseł kaliski, sam domagając się głosu, a gdy mu przeczono, mówiąc, że pierwszeństwo deputacji się należy, wyszedł Suchorzew-

ski z miejsca swego, a wpośród izby sejmowej padłszy, jak długi, na ziemię i, machając nogami i rękami, jakgdyby pływał, zbliżał się do tronu, wrzeszcząc do króla, aby nie dopuszczał gwałcić świętych Rzeczypospolitej wolności; porwawszy się potem na nogi i chwyciwszy dziewięcioletniego syna za rękę, rzecze: „Wiem ja, że nie tylko na Rzeczpospolitą, ale i na najpierwszego jej obrońcę jest sprzysiężenie", kończąc, że sobie i synowi śmierć zadać gotów, gdyby wolność szlachecka zginąć miała. Zapewniono go, że nikt ani na wolność, ani na jego życie nie dybie.

„Wyszedł więc Suchorzewski, a nazajutrz ruszył do Wiednia do Szczęsnego i Rzewuskiego.

„Deputacja spraw zagranicznych doniosła, że Moskwa zawarła już pokój ze Szwecją i z Turcją wkrótce pokój uczynić może, że cesarz Leopold też z Portą rokowania zaczyna, a przezorność i przykłady uczą, że na sprzymierzeńcach nie zawsze polegać można, że nakoniec niewierni Ojczyźnie swej ziomkowie przeciw ustawom sejmowym praktykują z obcymi. Natenczas Ignacy Potocki prosił króla, aby podał środek wobec niebezpieczeństwa. Król wskazał za najlepszy przyjęcie gotowej już konstytucji. Opierali się niektórzy jej odczytaniu. Odezwały się głosy zwolenników moskiewskich. Wkońcu Michał Zabiełło, poseł inflancki, który przez cały ciąg sejmu nie odezwał się ani razu, powstał i zawołał:

— Mości królu, prosimy Waszą Królewską Mość, abyś wezwał stany do zaprzysiężenia całej konstytucji.

Powszechny okrzyk nie tylko sejmujących, ale i arbitrów głos ten powtórzył. Senat i posłowie ruszyli do tronu, król natychmiast wezwał biskupa krakowskiego, Turskiego, ten z ewangelją zbliżył się do tronu, król i my z niewymownym zapałem poprzysięgliśmy wszyscy, ręce do góry podnosząc. Ruszył wraz sejm cały z królem do katedry św. Jana, odśpiewano *Te Deum* przy huku dział i radosnych okrzykach niezliczonego ludu".

Z opisu tego, z „Gazety Narodowej", z opowiadań wreszcie naocznych świadków dowiedziano się wkrótce o najdrobniejszych szczegółach wielkiego święta narodowego.

Nie wszystkim zarówno trafiały do przekonania główne punkty tej ustawy, według której berło polskie dziedzicznem się stawało, wszystkie wyznania religijne zostały dozwolone, a służba cywilna, zarówno jak wojskowa, otwierała mieszczanom drogę do szlachectwa. Włościanie mieli prawo udawać się ze skargą do sądu w razie niesprawiedliwości i ucisku panów.

Te dwa ostatnie punkty były wielce nie po myśli kresowym ziemianom.

— To mi rewolucją pachnie! — wykrzykiwał chorąży, ściągając brwi krzaczaste i chmurnym dokoła wodząc wzrokiem. — Farmazony tam rej wodzą, mospanie!

— Słyszane rzeczy — przytakiwał mu Markowski, sąsiad i przyjaciel — żeby nie tylko mieszczanie przypuszczonymi byli do prerogatyw i zasług obywatelskich, ale szlachcie dozwolono zajmowanie się handlem. Dawne prawo zabraniało nam kupczenia, a teraz łokieć i miarę ta nowa konstytucja panom braciom w rękę wtyka! Horendum!

— Snać z Francji i z Ameryki przyszły do nas te lube nowinki — zasyczał chorąży. — Pamiętasz waszmość panie Janie, jak to przed dziesięciu jeszcze laty pan Kazimierz Pułaski pisał do siostry z Ameryki, że handlem się trudnić zacznie, „bo to jest tu najużyteczniejsze". Taka korupcja [1]) zasad szlacheckich! Barszczanin z łokciem w ręku! To nas bolało, boć srom wielki stąd był dla całej okolicy. A teraz każdy szlachcic może sobie iść o lepsze z naszym Aronem albo Ejzykiem, nazwisko swe po szyldach szargać! Co za profanacja tarczy herbowej! Tfu!...

Splunął chorąży. Żółć w nim się burzyła.

---

[1]) Zepsucie.

— Opowiadał mi tu jeden, co z wojewodą Stempkowskim podczas tej całej hecy był w stolicy — rzekł Markowski — że trzeciego dnia po ogłoszeniu nowej formy rządu, kiedy to właśnie ów projekt „o miejskiem" jednomyślnie był przyjęty, bez żadnych nad onym deliberacyj, po solwowaniu sesji sejmowej, król, wyliczywszy pożytki, jakie stąd na kraj spłyną, rzekł: „Jestem nagrodzon za wszystkie cierpienia panowania mego tym zapałem i jednomyślnością narodu mego!" Rozrzewniło się biedaczysko, a tu, jak nie hukną ze wszystkich stron: „Wiwat król! Wiwat Stanisław August! Wiwat Małachowski! Wiwat Sapieha!" I znowuż: „Król z narodem, naród z królem!" Darli się tak nie tylko w izbie, ale poszedł huczek po całej Warszawie. Potem obaj marszałkowie sejmowi, senatorowie, wszystko to pociągnęło na rynek Starego Miasta do ratusza. Małachowski, Sapieha i wszyscy prawie, co tam byli, podali deklarację, że z mocy nowego prawa przyjmują *miejskie*. Ciżba podobno była taka, że docisnąć się niesposób. Za każdym położonym podpisem z okien ratusza obwieszczano imię podpisującego, a tłum wykrzykiwał: „Wiwat!" Straż marszałkowska musiała wszystkie karety i powozy z rynku wyprowadzić na Krakowskie, bo już tam i szpilki wetknąć nie było można! Około piątej z bramy krakowskiej pokazał się marszałek Małachowski, otoczony senatorami i posłami. Zawołano na karetę, a tu już od niej konie odprzężono i, kto żył, rzucił się ciągnąć, jakby jakiego triumfatora. Tak go zaciągniono aż do jego pałacu. Marszałek Sapieha był również przedmiotem owacyj nieskończonych, a nazajutrz pokazał się w bandolecie skórzanym, lakierowanym na kontuszu, mając na nim zawieszony pałasz. Blacha owalna na piersiach nosiła też napis: „Król z narodem, naród z królem!" Tak samo przystrojeni byli niektórzy posłowie z Litwy. Teraz cała Warszawa wciąż takąż urządza maskaradę. Złotnicy, siodlarze, bronzownicy dniami i nocami bandolety takowe spo-

rządzają i nastarczyć zapotrzebowaniom nie mogą. W Saskim ogrodzie damy, z Tyszkiewiczową na czele, ukazały się ze wstęgami u kapeluszy i przepaskami niebieskiemi, na których czarnemi literami wybity był napis: „Król z narodem, naród z królem".

— A słyszałem, że już starościna i kasztelanowa kazały sobie sprowadzić te modne fiufiuty, pewno też będziemy i tu wkrótce mieli z tej okazji asamble i fety, bo to zaraz za panią matką pacierz! Co zrobi stolica, to i Międzybóż naśladuje w te pędy! — irytował się chorąży.

— A na św. Stanisława, że to w jednym dniu przypadają imieniny króla Jegomości i marszałka Małachowskiego, jakie to łuki triumfalne wystawiło miasto! Jeden podle Zygmuntowej kolumny, drugi naprzeciw pałacu marszałka. Na pierwszym z nich genjusz, trzymający ogromną cyfrę królewską, a po czterech rogach figury, przedstawiające: Mądrość, Cnotę, Sprawiedliwość i Męstwo. Na drugim dwa posągi: Polska, dzierżąca wieniec i księgi nowych praw, oraz Minerwa z portretem Małachowskiego. Pod wieńcem herby wszystkich województw; między nimi księga praw, nadanych mieszczanom, godła kupieckie z napisem *Wolność handlu*, godła rolnictwa wokoło pergaminu, na którym napis brzmiał *Prawo dla włościan*, obok drugi zwitek: *Porównanie stanów*. Wszystko to w rzęsistem oświetleniu przedstawiało się wspaniale. U prezydenta starej Warszawy, Łukaszewicza, odbył się obiad, na którym było z pięćdziesięciu posłów, dużo szlachty, bankierów, kupców i mieszczan. Karski, poseł sandomierski, wzniósł toast: „Braci naszych dostojnego stanu miejskiego!"

— A niech ich tam tych dostojnych kruki zadziobią; ja z łykami nigdy się bratać nie będę! — wołał chorąży. — Póki życia mego, do Warszawy nie pojadę!

— A było na co spojrzeć, panie Macieju!—ciągnął Markowski. — Na domach transparanty, cyfry królewskie, herby

Małachowskich. Był ci jeszcze nazajutrz wielki festyn w Radziwiłłowskim pałacu, przez mieszczan dla braci szlachty, co się w księgi miejskie wpisała, wydany, na którym ukazał się też król i pani krakowska, ale odjechali przed wieczerzą. Huczna zabawa trwała do rana. Fetowano szlachtę u bankierów, kupców i bogatych mieszczan z taką spezą, że niczem uczta Wierzynka! Miljony trwonili na to zbratanie się, boć chodziło tej hołocie o wprawienie w podziw karmazynów!

— Koniec świata! Koniec świata! — utyskiwał chorąży, a z nim wielu innych ziemian starego autoramentu.

Inni natomiast radowali się, że nowa, nieznana dotąd Polsce era wschodzi.

* * *

Kościuszko, oprócz prywatnych relacyj, dochodzących zewszechstron obficie, otrzymał urzędowe zawiadomienie od Komisji Wojskowej z nakazem powołania podwładnych swoich do przysięgi na konstytucję.

Z radosnem sercem przystępował do tego uroczystego aktu w Międzybożu.

Przysięgę, wykonaną na czele całej brygady, stwierdził jeszcze na piśmie wraz z całym swym sztabem. Chociaż przejęty do głębi zasadami republikańskiemi, nie zawahał się zaprzysiąc na dziedziczność tronu, a więc na utrwalenie rządu monarchicznego w Polsce. Wiedział jednak, że dla wyjścia z bezrządu, dla ratowania ojczyzny od upadku niema w danej chwili innego sposobu nad uznanie konstytucji bez zastrzeżeń, choćby „z tronem sukcesyjnym", wprowadzała ona bowiem jednocześnie cały szereg reform pożytecznych, wiodących do odrodzenia narodowego bez zamętu i przelewu krwi bratniej, jakiemi w tymże czasie Francja zaznaczyła swe dążenia rewolucyjne.

Kasztelan Morski wygłaszał toasty na cześć twórców konstytucji, zapowiadał w Rajkowcach wspaniałe przyjęcie, ścią się ostro z dawnym przyjacielem swym, Złotnickim, który występował przeciw reformom i namawiał kasztelana, aby się przyłączył do przeciwnej partji.

Na zamku w dniu złożenia przysięgi Bernatowicz podejmował gości z Kościuszką na czele. Wszystkie panie, należące do wyższego towarzystwa międzyborskiego, wystąpiły w szarfach i przepaskach według ostatniej mody, z napisem nieodzownym: *Król z narodem, naród z królem.* Hasło to spotykało się nieustannie na transparantach, wstęgach, wszelakich dekoracjach przygodnych, było też na ustach wszystkich. Kościuszko jednakże i wierni jego adjutanci, Fiszer i Kniaziewicz, zdawali się mieć pod tym względem pewne wątpliwości i, wymawiając te słowa, zapowiadające mir stały pomiędzy władzą i ludem, dodawali z niedowierzaniem:

— Czy tylko ten sojusz istotnie będzie trwały.... Czy moskiewskie pieniądze i wpływy nie przeważą?

Teklusia Żurowska wyglądała prześlicznie w swym nowiuteńkim, na patrjotyczną modę wykombinowanym przez starościankę stroju.

Nawet chorąży, zasadniczo przeciwny konstytucji, przywdział na tę fetę kontusz i żupan galowy w barwach województwa. Uroczysta przysięga, przez wojsko wykonana, i ogólny radosny nastrój wywarły na nim silne wrażenie.

— Nowe prądy, nowi ludzie... nam już z drogi ustąpić wypadnie! — powtarzał jakby zupełnie zrezygnowany.

U Morskich przy spotkaniu z Kościuszką rozmawiał z nim nawet uprzejmie o sprawach bieżących i nie pożegnał tak chłodno i wyniośle, jak to czynił od pewnego czasu.

Teklusia promieniała.

Zaledwie udało się jej parę słów na tym podwieczorku u kasztelanostwa zamienić z Tadeuszem, wiedziała bowiem,

że każdy krok jej śledzono. Chwilę pozostali sami na ganku, ukryci wśród gęstych splotów bluszczu.

Szepnęła mu więc mimochodem:

— Ojciec jest dla waćpana jakby łaskawszy. Skorzystaj waćpan z tego, że animozja stajała i listownie przedstaw swą prośbę. Matulka powiada, że tak będzie najlepiej. Niech ojciec dobrodziej wie, iż waćpan stateczne żywi zamiary i nie myśli mię porywać za morza, ani zachęca do schłopienia w jakiej puszczy—zaśmiała się wesoło.—Dla uniknienia ciężkiego frasunku oświadczyn ustnych i długich dyskursów, napisz waćpan krótko i jasno, jak wiele ci na błogosławieństwie ojcowskiem zależy. Niech się już raz wszystko wyjaśni, niech mogę głośno wyznać, żem twoja na wieki!

— Wdzięcznym jest nieskończenie, pani serca mojego— odrzekł Kościuszko, tuląc serdecznie do ust kochane rączyny dziewczęcia. — Uczynię, jak radzicie; da Bóg, będziemy jeszcze szczęśliwi! Jakoś wszystko teraz dokoła na lepsze się odmienia, może i dla nas przyszłość jasna zaświta!

Kościuszko już nieraz myślał, że trzeba się bądź co bądź z ojcem panny rozmówić, aby położyć koniec dręczącej niepewności. Szczera i prawa jego natura poczytywała to sobie za najświętszy obowiązek; ale ani Teklusia, ani jej matka nie chciały dopuścić do ostatecznej rozmowy, w obawie aby skłonny do uniesień chorąży nie uraził ostrem słowem generała. Gdyby zaś do tego doszło, nie darowałyby sobie nigdy tak przykrej konkluzji.

Teklusia, zauważywszy wielką radość w głosie Tadeusza, odczuła, jak mu jest droga, z filuternym więc uśmiechem i ślicznym błyskiem swych jasnych oczu zagadnęła go naraz:

— Nosiszże waćpan zawsze przy sobie mój koral z szyi, na szczęście ci dany?

— Noszę, noszę, kochanie ty moje! Kniaziewicz mi wręczył ten dar, przeze mnie uproszony. To mój talizman, z którym nigdy się nie rozstanę!

— Nigdy? — szepnęła Teklusa, a jej oczęta zamgliła łza wdzięcznego wzruszenia.

— Nigdy, nigdy, ty mój niebiański lnu kwiecie — zapewnił Kościuszko, obejmując serdecznem spojrzeniem wiotką postać swej bohdanki.

— Panna chorążanka tak na osobności? Ach! przepraszam! Jest asysta! — zabrzmiał tuż obok nich słodko-ironiczny głos d-ra Hackenszmita. — Jakże tam kuracja, generale? — zwrócił się natychmiast do Kościuszki, wchodząc w rolę troskliwego o pacjenta eskulapa. — Trzeba będzie pewno powtórzenie na recepcie przepisanej podpisać. Pan generał mało dba o siebie i jakoś niezbyt nam dobrze wygląda. Być może inne przyczyny...

Urwał nagle, jakby nie chcąc powiedzieć za wiele, a mimo to zaznaczając wyraźnie, że widzi dokładnie, co się święci.

— Zupełnie dobrze się czuję, wdzięcznym za troskliwość, panie konsyljarzu — odrzekł Kościuszko głosem, w którym drżało pewne zniecierpliwienie — snać wielce waćpan zawodowi swemu oddany, jeśli nawet w ten piękny wieczór majowy receptami sobie głowę zaprzątasz!

Doktór zrozumiał zręcznie w tych słowach ukryte: „A idźże waćpan do licha!", skłaniając się więc w przesadnym ukłonie, rzucił pośpiesznie:

— Nie przeszkadzam! — i cofnął się do salonu.

— Nie możemy już tu pozostać dłużej ani chwili — szepnęła Teklusia, łącząc się co prędzej z całem zebranem gronem.

Tegoż wieczora przez otwarte okno pokoju chorążanki wraz z silną wonią bzów i jaśminów, jakby na promieniu księżycowym wpadła kartka, nićmi, niby kłębek, dla niepoznaki omotana. Wraz z serdecznem „dobranoc" przyłączył Tadeusz bruljon listu do chorążego, a u góry stało napisane:

„Powiedz swoje zdanie, Teklusiu".

Do chorążego pisał:

...„Od JWPana zawisł mój los, w jego ręku uszczęśliwienie moje. Zapewne poznajesz, że kocham chorążankę, a że chciałbym być jej przyjacielem dozgonnym, Jemu się zwierzam. Znam sentymenta Jego, charakter i sposób myślenia, spuszczam się całkowicie na Jego wolę..."

Listu tego jednak chorąży nie otrzymał.

Teklusi wydał się zbyt zimnym. Postanowiła postąpić inaczej.

Oto padnie do nóg ojcu, serce swe przed nim otworzy, powie, że żyć bez pana Tadeusza nie potrafi.

Skorzystała z chwili, gdy ojciec udobruchany siedział z nią sam na sam przy wieczerzy, pani chorążyna bowiem, chora na ból głowy, wcześniej udała się na spoczynek, a Tecia pozostała u kasztelanowej.

— Cóż tam moja Teklusia taka jakaś osowiała?—zagadnął chorąży — czy i waćpannie co dolega?...

Ta troskliwość ojcowska dodała Teklusi odwagi.

— Dziś, albo nigdy — powiedziała sobie w duchu.

A gdy chorąży pogładził ją po głowie i pocałował w czoło, przytuliła się do jego ramienia i zawołała żywo:

— O tak, strapienie mam wciąż jedno, a pocieszenie tylko w mocy Bożej i ojca dobrodzieja!...

— Jeno mi mała o amorach jakich nie gadaj!...—zachmurzył się stary.

Teklusia spuściła oczy i zamilkła. Opuściła ją chwilowa odwaga. Postawiony przez ojca warunek zmroził zamiary.

Westchnęła głęboko.

— To ty, makolągwo, nie wybiłaś sobie jeszcze z głowy imć pana Kościuszka?—zapytał naraz tonem zmienionym.— Mówiłem już pani matce, że nigdy a nigdy na związek twój z tym zapalonym sprzymierzeńcem chamów nie dozwolę! I ty sobie te głupstwa wybij z głowy! Ani on dla ciebie mąż, ani ty dla niego żona! Wara nim sobie myśl zaprzątać!

Teklusi nagle tchu zbrakło, w oczach pociemniało.

— Ja, ojcze, nie mogę, nie mogę żyć bez Tadeusza! Umrę, jeśli mi ojciec słowa danego dotrzymać zabroni!...

— Wolę cię widzieć na marach, niż jego żoną! Rozumiesz? — zawołał z furją, następując wprost na dziewczę, które nagle, śmiertelną bladością okryte, do nóg mu się zwaliło bez czucia.

Chorąży się przeraził. Zdało mu się, że już wszystko skończone.

— Serce córki mi odebrał, dziecko mi zabił! — krzyczał Żurowski głosem ochrypłym i, padłszy przy Teklusi na kolana, gorzko zapłakał.

W progu jadalni, blada i wystraszona, w czepeczku nocnym i szlafroczku, narzuconym na ramiona, stanęła chorążyna.

— Matko Najświętsza! Rany Boskie! Co się tu dzieje?— zawołała przerażona.

— To twoja wina! Mówiłem: strzeż mi dziecka od tego przeklętego miłowania i nie ustrzegłaś! Sama jeszcze rozdmuchiwałaś iskrę i oto masz!...

Chorąży pochylił się nad Teklusią i wpatrywał rozpacznie w jej twarz jakby woskową.

Wszczął się lament i rwetes w całym domu.

W tej chwili przed gankiem zatrzymał się powóz.

Kasztelanowa i starościanka odwiozły właśnie Tecię Orlewską w towarzystwie Orłowskiego i Kniaziewicza, i służący oznajmił im na wstępie, że panienka zasłabła i pani kazała natychmiast sprowadzić doktora.

Kasztelanowa uprzejmie zaproponowała swe konie, mówiąc, że chętnie powróci pieszo do domu.

Teklusia tymczasem ocknęła się z omdlenia. Wylęknionym, jakby szklanym wzrokiem patrzała przed siebie, nie zdając sobie dokładnie sprawy, dlaczego otaczający przyglądają się jej z niepokojem, pełnym współczucia.

Komendant i porucznik pozostali na ganku, panie zaś weszły na chwilę, chcąc przekonać się, czy dziewczęciu nie grozi jakie niebezpieczeństwo.

Chorąży obrzucił je chłodnem spojrzeniem, jakby podkreślając wzrokiem swe zdumienie, że znalazły się tu zupełnie niepotrzebne o spóźnionej dość porze.

— Nie ma człek chwili spokoju pod własnym dachem!— mruczał pod nosem. — Wszystko to łazi na przeszpiegi, czy tyran ojciec dziecku rodzonemu krzywdy nie czyni? Plotkować potem będą babska i przedstawiać mię za jakowegoś raroga! Tfu!... A wszystko to twoja robota — docinał żonie, która już i bez tego, przerażona i zgnębiona chorobą, ledwie się na nogach trzymała.

— Nie trzeba doktora, nie trzeba! — szeptała Teklusia, leżąc wyciągnięta nawznak na łóżku, trupio blada. — Już mi lepiej! Spać będę, spać! Matuleńko! Teciuniu! Niech mię pozostawią samą. Nie chcę doktora!

— Dobrze, dziecino, można wnet posłać, aby się doktór z przybyciem nie kwapił; jutro go wezwiemy, gdyby zaszła potrzeba — uspokajała córkę chorążyna.

A Teklusia, przyciągnąwszy ku sobie główkę pochylone nad nią Teci Orlewskiej, szepnęła jej do ucha:

— Niech Karol powie Tadeuszowi, że niema nadziei przejednania ojca! Zapomnąć musi o mnie i wyrzeć się nazawsze!

Ukryła głowę w poduszki i zapłakała rzewnie.

*

* *

Kniaziewicz powtórzył natychmiast generałowi usłyszane od Orlewskiej słowa.

Zachmurzył się Kościuszko. Żal mu było serdecznie biednego dziewczęcia, które cierpiało z jego przyczyny.

— A to zacięta sztuka ten Żur stary! I z czego to się pyszni? Co się w tym łbie łysym roi? — uniósł się generał

i, przechadzając się szybkim krokiem po izbie, co chwila rzucał okiem w stronę dworku Żurowskich, skąd migało mdłe światełko, w pokoiku panieńskim płonące.

— Ach, generale!—westchnął Kniaziewicz—ileż to złego z pychy nadmiernej bierze początek! Gdyby wszyscy, jak ty, generale, mieli szeroki pogląd na życie, gdyby nie w słowach, lecz w czynie byli istotnymi chrześcijanami, wówczasby całkiem inaczej, nie tylko osobiste, ale i społeczne sprawy się układały! Obstajesz zawsze za sprawiedliwością, krzywda ludu na sercu ci leży, i oto za szlachetność przekonań już cię głupia podejrzliwość ludzka jakobinem nazywa i nawet serdecznym planom tamę stawi! Nikomu nie tajno, że chorąży to jedno ma ci, generale, do zarzucenia, że trzymasz z ludem! Wydaje mu się, jakoby zarzewie buntu nosisz w duszy. Zresztą stanowiskiem, a zwłaszcza zasługą, przewyższasz go nieskończenie; powinienby dumny być z tego, że raczyłeś zapragnąć wejść w koligacje z jego rodem.

Kościuszko machnął ręką i, zapatrzony wdal, mówił jakby do siebie:

Nie nasza rzecz eksplikować drogi, któremi Opatrzność wiedzie nas przez życie! Już snać nie sądzono mi zaznać radości domowego ogniska, wiecznym tułaczem raczej będę na ziemi! Po raz wtóry w mojem życiu powtarza się ta sama drama. Ha! Trudno! Przeznaczonego, jak to mówią, koniem nie objedziesz! Kochałem Ludwikę Sosnowską w pierwszej wiośnie lat młodych. Nie dali mi jej. Przebolałem stratę; zostało mi dobre, czyste wspomnienie i niewygasła jej przyjaźń dla mnie. Dziś mi ten jasny promyczek, Teklusię, odbierają!... Ale pozostaje mi ponad wszystko ukochana Polska, ojczyzna droga! Tego miłowania nikt mi z serca nie wydrze! W uczuciu tem czerpać będę moc wytrwania; osobiste swe krzywdy zapomnieć pragnę co rychlej, a życie swe, siły, wolę, zdolności sakryfikować dla sprawy narodowej.

Kniaziewicz, wpatrzony w mieniącą się wzruszeniem twarz Kościuszki, całem sercem mu oddany, radby był w tej chwili ugiąć przed nim kolano, do piersi jego się przygarnąć, ukoić troskę generała i wszystek smutek zwiać mu z czoła. Wrażliwa, młodzieńcza jego natura potrzebowała koniecznie jakimś zewnętrznym objawem okazać dowódcy całą głębię gorącego doń przywiązania.

— Generale! — zawołał, wyciągając ku niemu obie dłonie — rozporządzaj mną, jak ci się podoba; każ mi starego Żura uśmiercić, chorążankę wykraść i do Siechnowic szczęśliwie dostawić; Międzyboż podpalić, abyś miał sposobność bohdankę swą i jej rodziców ocalić z płomieni! Wszystko uczynię, na wszystko się ważę, bylebyś smutku się zbył i goryczy!...

Tyle było szczerości i żywego współczucia w głosie porucznika, że Kościuszko, przystanąwszy przed nim, rzekł z łagodnie pobłażliwym uśmiechem, ściskając mocno jego dłonie:

— Przebóg, co mówisz, Karolu, jakież to fantastyczne obrazy w twej bujnej imaginacji się roją! Miłość moja dla Teklusi to nie żadna wiosenna nawałnica, druzgocząca wszelkie zawady, olśniewająca deszczem błyskawic. Radbym, Bóg świadkiem, widzieć ją szczęśliwą, ale sam nieraz zastanawiałem się nad tem, czybym potrafił stworzyć jej ów raj na ziemi, jakiego to słodkie i urocze dziewczątko jest warte. Nasza wojacza dola rwie myśl coraz to w inną stronę. Pojąć młodziutką żoneczkę na to, by ją, być może, w kilka miesięcy osierocić i ciężki cios jej zgotować, zbyt samolubnem wydaje mi się nieraz pragnieniem. Zawsze się delikatnością w mych krokach wszystkich rządzę i nigdybym wbrew woli ojca nie wyrwał z domu rodzicielskiego swej ukochanej. Muszę tymczasowo pozostawić rzeczy ich biegowi; oddalę się na czaś jakiś, choć dostrzegam wyraźnie, że tu kilku nieżyczliwych oczernia mię przed chorążym. Mam w podejrzeniu doktora, który, sam skrycie kochając się w Te-

klusi, niechętnem na mnie patrzy okiem, oraz Barcia Giżyckiego, którego wielkopańskich gustów i fanaberyj nie aprobuję, a on mi się złośliwością za mą otwartość odpłaca. Łatwoby mi było zbić postawione wprost zarzuty, ale z plotkującymi, z mierzącymi ku mnie z za płotu wdawać się nie chcę. Nie mam zemsty w sobie. Jeśli będzie wolą Bożą, abym Teklusi zapewnił dolę szczęśliwą i w małżeńskie z nią wstąpił związki, wtedy żadne ludzkie gadania temu nie przeszkodzą. Pozostawię ci liścik dla mojego słoneczka; niech będzie dobrej myśli i dba o swe zdrowie. Matce jej też powiedz przy okazji, jak wysoce ją cenię.

Następnie począł Kościuszko gotować się do podróży i Kniaziewiczowi, pozostającemu chwilowo w Międzybożu, różne w sprawach służbowych dał zlecenia.

* * *

W Niemirowie miał Kościuszko stałą i wygodną kwaterę. W miasteczku tem, również jak w innych, gdzie się wojsko rozlokowało, panowało wielkie ożywienie. Podczas karnawału odbywały się reduty, latem majówki, zabawom przeróżnym nie było końca. Liczne wioski, należące do Niemirowszczyzny, własności Wincentego Potockiego, wypuszczone były wszystkie w dzierżawę, towarzystwa więc i panien do tańca nie brakło. Dużo też młodych żon i córek oficerów, kwaterujących na miejscu i w pobliżu, stanowiło zastęp chętnej do uciech młodzieży.

Pięknością i starannem wychowaniem wyróżniała się w tem kółku pułkownikowa Szererowa, darząca Kościuszkę szczerą przyjaźnią. Wszystkie panny z nietajonym zachwytem spoglądały na sympatycznego i cieszącego się sławą generała, starając się go wciągnąć w wir wesołych zebrań towarzyskich, ale grzeczny i uprzejmy zazwyczaj dla dam generał wymawiał się stale brakiem czasu. Istotnie miał go

niewiele dla siebie, oddany obowiązkom, zmuszony objeżdżać komendy i czuwać nad utrzymaniem karności w wojsku.

Nieodstępnym adjutantem Kościuszki był Stanisław Fiszer, pod którego zarządem pozostawała kancelarja wojskowa. Niezmiernie pilnie sprawował on powierzone sobie zadanie. Pomagał mu w pracy kolega z kadeckiego korpusu, podporucznik Seweryn Bukar, którego Kościuszko w Kamieńcu u Orłowskiego spotkał, a teraz miał pod bezpośrednią swą komendą.

Polubił on tego wesołego, o miłej wielce powierzchowności młodzika, który wykazywał wielką gorliwość i chęć odznaczenia się w swym zawodzie; poruczył mu nawet zrobienie mapy wszystkich naszych posterunków granicznych, z oznaczeniem, w których punktach obce wojska stoją nad granicą.

Sewerek dumny był z tej misji, a wolne od zajęć godziny spędzał w mieszkaniu generała, grywał z nim w bilard i różne poruczenia spełniał jak najdokładniej.

Bukar pochodził z zamożnej i znanej rodziny wołyńskiej. Ojciec jego, sędzia ziemski żytomierski, posiadał piękną rezydencję w Januszpolu, utrzymaną na szerokiej stopie i stanowiącą typ zarówno gościnnego, jak i zasobnego szlacheckiego dworu. Była tam własna kapela, ku uciesze gości; odbywały się w sposób wielce patrjarchalny urządzane nabożeństwa i śpiewy pod przewodnictwem pani sędziny, a cała czeladź dworska i domownicy obowiązani byli brać w nich udział. Przy suto zastawionym stole pełno było zawsze krewnych, rezydentów, nauczycieli, guwernantek oraz przygodnych gości. Państwo Bukarowie niejednokrotnie zapraszali usilnie, aby generał Kościuszko podczas częstych swych rozjazdów raczył też o Januszpol zawadzić.

Sewerek miał nadzieję, że uda mu się namówić generała, by z nim pojechał na ślub jego młodszej siostry. Właśnie na wiosnę tegoż roku Bukarowie zgodzili się wydać córkę

swą Ewunię za Antoniego Raczyńskiego, stolnika bydgoskiego. Sewerek chętnie opowiadał Kościuszce o wszystkich sprawach domowych, zwłaszcza o siostrze, którą bardzo kochał, i o konkurach stolnika, starszego od niej znacznie, panienka miała bowiem lat szesnaście, gdy narzeczony jej czterdziestkę zgórą liczył. Rozmiłowany niezmiernie Raczyński poruszył wszelkie sprężyny, aby pozyskać wzajemność Bukarówny, a zwłaszcza wpłynąć na jej rodziców, którzy związkowi temu niezupełnie byli przychylni. Użył protekcji księżny Sanguszkowej, dotarł nawet do samego króla i od niego list, popierający zamiary swe, uzyskał, co ostatecznie przeważyło szalę na jego stronę.

Wszystkie te nowiny zakomunikował Kościuszce młody Bukar jednym tchem, zaraz na wstępie, powróciwszy z urlopu do Niemirowa. Opisywał mu zaręczyny siostry, wyliczał szczegółowo cenne podarki, jakie siostra dostała. Swoją drogą znajdował, że wielce niedobrana z nich para, i wydziwić się nie mógł, jak Ewcia mogła się zgodzić wyjść za mąż za „starego dziada!"

Kościuszko słuchał tych zwierzeń z ujmującym wyrazem i przyjaznym uśmiechem, gdyż siedemnastoletni artylerzysta miał dużą swadę i obycie towarzyskie przy dziecinnym zupełnie wyglądzie. Przekonania swe wyrażał śmiało i z całem dla dowódcy swego zaufaniem, co zjednywało bardzo generała.

— Więc sądzisz, kochaneczku, że panna Ewa zły uczyniła wybór, biorąc statecznego człowieka, który tak wiele okazuje jej przywiązania? — zapytał nagle, myślą zwracając się do swej Teklusi.

— Pomyśl, generale, czy podobna, aby Ewunia mogła być szczęśliwą z człowiekiem, za którego córkę mogłaby raczej uchodzić? Żywa, jak iskra, radaby świata trochę zobaczyć, być panią u siebie, bo, co prawda, dość krótko w domu jest trzymana, ale z Raczyńskim też żartów niema. Ma silną wolę i bawić się Ewci nie pozwoli. To też, biedactwo,

płakała nieraz i ociągała się długo z daniem słowa. Według mnie, rodzice nie powinni byli na ten związek pozwolić! Mogłaby przecież poślubić młodszego i piękniejszego! Opamięta się i pożałuje po niewczasie!

Kościuszko stał w tej chwili przy oknie, odwrócony od mówiącego, zamyślony. Wydawało mu się, że słyszy w tym młodzieńczym wybuchu szczerą odpowiedź na swe wątpliwości co do pojęcia w małżeństwo Teklusi.

— Dla takich młodzików człowiek w moim wieku starym się już wydaje — pomyślał i westchnął mimowoli za czarem pierwszej wiosny.

— Może i masz słuszność, Sewerku — odrzekł smętnie— młodość do młodości lgnie, a jeśli przypadkiem młodziuchne dziewczę do starszego znacznie od siebie przywiązanie żywi, łatwo ono przeminąć może, a potem dla obojga smutek i męka....

Potarł ręką czoło, jakby chcąc cisnące się myśli odegnać.

— Pan generał wydaje się mocno znużony. Czy mam odejść? — zapytał Bukar.

— Nie, zostań, spożyjemy razem wieczerzę. Oto właśnie podali nam jakieś żołnierskie specjały. Opowiesz mi coś jeszcze o sobie — rzucił Kościuszko weselszym tonem, opanowawszy udręczające go przed chwilą wzruszenie.—A wiesz co, mości panie podporuczniku, że za kilka tygodni wybiorę się wraz z tobą do Januszpola. W tej okolicy właśnie wypadnie mi przebywać. I cóż ty na to?

Bukar aż podskoczył na krześle z wielkiego ukontentowania.

— Co za radość! — zawołał. — Rodzice moi tak bardzo tego pragną! Matka kazała zrobić dla pana generała kobierzec wzorzysty w naszej rękodzielni. Ja sam do niego szlaki skomponowałem, a kolory pan generał według swego gustu obierze. Ojciec mój podobnyż dywan królowi zawiózł w podarunku, za co nasz Opanas, kobiernik, został zaszczycony złotym medalem przez Jego Królewską Mość.

— Wdzięczny jestem niezmiernie pani sędzinie dobrodziejce za jej łaskawą pamięć o mnie; nie godzien jestem tak wspaniałego i cennego daru. Cieszę się wielce, że będę mógł osobiście rączki jej ucałować. Muszę naprzód w Lublinie przeglądu wojsk dokonać, a następnie, przed bracławskiemi manewrami, dom szanownych rodziców twoich nawiedzę. A tymczasem trzeba będzie pozałatwiać tu ważniejsze sprawy, wysłać do Warszawy raport o pułkach moskiewskich, rozpościerających się nad granicami. Oni tam wśród hucznych festynów o najgwałtowniejszych potrzebach ratowania ojczyzny pamięć zatracają! Jutro mi mapę pokażesz, którą ci wygotować poleciłem; pooznaczam sam punkta najsłabsze oraz zdatne do obrony, to się wszystko w razie potrzeby nam przyda. Jeszcze Fiszerowi mam dać dziś niektóre zlecenia. Możesz już iść spać, kochaneczku. Pomódl się na książce, którą ci dobra matka z błogosławieństwem dała, i pomnij też na dopisane poniżej moje słowa, abyś piękną Greczynką głowy sobie nie zaprzątał — dodał, klepiąc podporucznika po ramieniu i śmiejąc się serdecznie z jego zakłopotania.

— Ależ, panie generale, ja doprawdy raz jeden tylko byłem u tych Greczynek!... [1]) Przedziwne nam podały sor-

---

[1]) *Bukar* w swych *Pamiętnikach* opowiada: „Była podówczas w Niemirowie Greczynka z matką, dosyć piękna; w jakim celu przebywała, nie wiem, i jak długo bawiła, nie pamiętam. W małem miasteczku każda nowość jest ważną i ta więc Hellenka zwróciła na siebie baczność: odwiedzali ją wszyscy. Ja także w towarzystwie któregoś kolegi raz byłem w jej domu, częstowany konfiturami, według wschodniego obyczaju. Szanowny generał (Kościuszko), dla wytchnienia po pracy, dosyć tam także uczęszczał i dowiedziawszy się o mojej wizycie, wziął z niej pochop do żartów ze mnie, zwłaszcza znając skromne życie, jakie prowadziłem. Trafiło się, że generał, przechadzając się, zaszedł do kwatery mojej, a nie zastawszy mnie, przepatrywał książki moje; między niemi znalazłszy książkę do nabożeństwa (zawierającą litanję do N. Panny Berdyczowskiej, której każdy wiersz miał stosowny obra-

bety i konfitury, ale nie powtórzyła się już ta wizyta! Paroł dać mogę!—sumitował się młodziuchny wojak, zarumieniony po same białka.

— Pamiętaj, pamiętaj, abyś mi się nie rozbałamucał i na smalenie cholewek do pięknych dam czasu nie marnował! Masz jeszcze multum lat przed sobą! Teraz trzeba się uczyć i do rycerskiego rzemiosła zaprawiać, zanim ci wąsy urosną!

— Ach, panie generale, teraz ta książka z błogosławieństwem matki i wesołem napomnieniem IMĆ Pana generała jest mi nad wszystko droga i nigdy w życiu z nią się nie rozstanę! — zawołał żywo Bukar. — Codziennie na niej się modlę, z myślą o domu rodzicielskim i o panu generale, prosząc Boga, by mu się we wszystkiem wiodło!

— Bóg zapłać, kochanku; perfekcjonuj talenta swe, jako się rzekło, a z domu poczerpnięte dobre zasady niechaj ci torują nadal drogę życia. Teraz zasiądę jeszcze do pisania moich instrukcyj wojskowych. [1]) W wolnych chwilach prze-

---

zek, bardzo pięknie sztychowany, a we środku na okładce matka własną ręką napisała: „Książkę tę synowi memu, Sewerynowi Bukarowi, z błogosławieństwem ofiaruję"), dopisał na niej, poniżej słów mojej matki, następujące wyrazy: *„Aby się na niej codziennie modlił, do Greczynki nie uczęszczał, a talenta swoje perfekcjonował"*. Zostawił potem książkę, rozłożoną w tem miejscu i, pistoletami ją mojemi z wierzchu przyłożywszy, przykazał służącemu i ordynansowi mojemu, aby nie ruszyli jej, dopóki ja nie powrócę". (*S. Bukar. Pamiętniki* z końca XVIII i początków XIX w. Bibl. Dzieł Wyborowych, str. 15 i 79).

[1]) „Kościuszko, czynny około reorganizacji armji, daleki był od poprzestawania na spełnianiu wyraźnych obowiązków urzędowych, występował z inicjatywą własną. Opracowywał w r. 1791 instrukcje wojskowe. Dochowała się przyjęta przez Komisję Wojskową instrukcja dla strzelców, zdaniem znawców, wyborna. Zaznaczył się w niej wpływ poznanego w Ameryce szyku rozproszonego, który w Europie miał wejść w użycie dopiero podczas wojen rewolucji francuskiej". *Dr. Feliks Koneczny*. Tadeusz Kościuszko, Poznań 1917.

piszecie mi je, ty lub Fiszer, bo adnotacyj czynię dużo, na podrzędnych więc pisarków kancelaryjnych spuścić się nie mogę. Przyślij mi Fiszera, a sam idź na spoczynek.

* * *

Bawiła się stolica, bawiła prowincja, bawili młodzi i starzy. Szalone wydatki nie przerażały nikogo. Uczty, biesiady, festyny z powodu uchwały konstytucji i przy każdej nadarzonej okazji rozpraszały uwagę, odwracając myśl od spraw doniosłych. Przeciwne konstytucji stronnictwo ucztowało również, jednając sobie zgodnych ze swemi zapatrywaniami ludzi. Podżartowywano głośno w tych kołach z zapalonych zwolenników nowych reform, powtarzając sobie na uciechę wierszyk bezimienny, godzący złośliwie w twórców konstytucji 3-go maja.

A wiesz, co będzie z wrzasku?....
Gwałt w dziele, szumu wiele,
Budowa na piasku!....

Na co Niemcewicz odpisał zręcznie:

A wiesz, co będzie z nieprawego wrzasku?
Rząd trwały, Kościół chwały,
Łeb sporny na piasku!....

Nawet wyznaczone w tym roku przez Komisję Wojskową manewry dały pochop do niezwykle hucznych uroczystości. Zwłaszcza pod Gołębiem, w województwie lubelskiem, odbył się kampament pod dowództwem księcia Wirtemberskiego, trwający od połowy sierpnia do końca września, podczas którego księżna Adamowa Czartoryska z córkami w otoczeniu dostojnych i pięknych pań oraz przybyłej z Warszawy młodzieży urządziła szereg zabaw. Damy, przybrane już to w stroje ludowe, już za markietanki, rozdawały kwiaty, napoje, częstowały owocami, wieńczyły laurem odznaczają-

cych się w popisach wojskowych. Umyślnie na ten obchód ułożyła księżna pieśń, poczynającą się od słów:

„Ej, ej, rycerze,
Serca nasze radość bierze:..”

Nie tylko w Gołębiu, ale we wszystkich sąsiednich wioskach był tak wielki napływ gości, że z trudem zdołano ich pomieścić. Zabawy i tańce w Puławach trwały nieustannie. Nie było już tam widać fraków i peruk, lecz rycerskie wąsy i barwy narodowe. Książę Wirtemberski codziennie wieczorem przyjeżdżał z obozu na bal do Puław. Był dumny wielce i nieprzystępny. Ogólnie nie podobał się ten przybysz w wojsku polskiem.

Nowozorganizowane szeregi przedstawiały się ogromnie wytwornie, cały rynsztunek wojenny na nowo był sporządzony. W dni manewrów, poczynających się o godzinie 4-ej zrana i kończących o 10-ej, podawano następnie gościom zaproszonym śniadanie pod czterema ogromnemi namiotami. Kosztowne te przyjęcia, chociaż w imieniu ks. Wirtemberskiego urządzane, były pokrywane ze skarbnicy Czartoryskich, słynnych z gościnności i szczodrego szafowania groszem. Liczni goście cywilni korzystali z pojazdów książęcych i wierzchowców, stojących w liczbie stu ku wygodzie przybyłych.

Kościuszko nie uważał za właściwe łączenie spraw służbowych z wystawnością i szumną reklamą. To też manewry lubelskie, pod jego kierunkiem natenczas odbyte, miały ściśle wojskowy charakter. Brały w nich udział pułki piechoty Czapskiego, Brodowskiego i Buławy Wielkiej, oraz brygady jazdy narodowej Jana Potockiego i Łaźnińskiego.

Regiment piechoty, okopany między Dziesiątą a Bronowicami, oraz dwa szwadrony kawalerji pod komendą Kościuszki były atakowane przez dwa pułki piesze i brygadę kawalerji. Kościuszko dzielnie odpierał napadających, a gdy

część ich, obszedłszy lasek, ukazała się na tyłach, zakomenderował cofanie się w porządku ku miastu, odstrzeliwając z armat i ręcznej broni.

Obecni oklaskiwali gorąco ten zręczny manewr Kościuszki, a widok doborowego wojska w szyku bojowym dodawał wszystkim otuchy.

Wszelako najbardziej zwróciły uwagę i przedstawiały się najwspanialej manewry dywizji kijowskiej i bracławskiej na dawnem obozowisku Jana III pod Bracławiem, trwające od 1 września do 12 października pod główną komendą ks. Józefa Poniatowskiego.

Bratanek królewski, mając teraz ciągłą styczność z naszym amerykańskim bohaterem, pisał o nim w tym czasie do króla z uznaniem, że „posiada wiele wiadomości i skromności i jest nadzwyczajnie kochany przez korpus, którym dowodzi". Jedno zresztą bystre spojrzenie mogło przekonać księcia, że Kościuszko posiada wszystkie przymioty dobrego wodza: umie doskonale wyćwiczyć powierzone sobie szeregi, utrzymać ład, a przedewszystkiem przywiązać ku sobie swych podwładnych, budząc w nich poczucie obywatelstwa, karność i miłość dla Ojczyzny.

Placem obozu była równina nad Bohem.

Gwarno i szumno odbywały się te manewry, na które, również jak do Gołębia, przybyły całe zastępy widzów, uważających je za rozrywkę niebywałą. Przegrywały muzyki regimentowe, rewje, spacery i nowość życia obozowego bawiły ogromnie młodych oficerów. Gdy nadciągnął regiment pieszy generała Brodowskiego z Wielkopolski, rzucono dlań pontony na Bohu, po których przeszedł, pod komendą pułkownika Szerera, przy dźwiękach marsza jego utworu.

— Jakiż to widok wspaniały!... — wołały zachwycone damy, które z powozów swych patrzyły przez lornetki na dążące szeregi.

Książę Józef z całym swym sztabem przyglądał się przeprawie z wielkiem zainteresowaniem, a przybyły dla lustrowania obozu sędziwy hetman Ogiński, większy miłośnik i znawca muzyki, niż spraw wojennych, w gorących słowach winszował pułkownikowi jego talentu, a następnie wyprawił w Bracławiu kilka wystawnych obiadów dla znaczniejszych oficerów.

Radowały się oczy widokiem barwnych mundurów i dziarskiej młodzi; gdzie tylko okiem rzucić po szerokiem błoniu, widniały zastępy zbrojne. Niekiedy dawały się słyszeć głośno czynione uwagi, że kawalerja za liczna jest w porównaniu do piechoty, że dla zbytku w ubiorach i koniach przenosi możność krajową, ale gdy naraz z niezliczonych młodzieńczych piersi wzbiła się w niebiosa pełna werwy pieśń bojowa:

Dajże nam, Boże, doczekać tej pory,
By do ataku nachylić propory,
By szwadronami kazano nacierać!
Miło nam takie rozkazy odbierać.
Dajże, Boże, tylko zdrowie,
Będziem hulać!...

wnet wszelkie krytyczne spostrzeżenia ustępowały miejsca zachwytom, sypały się oklaski gorące, w oczach wszystkich obecnych błyszczał zapał, każdy gotów był ponieść największe ofiary, byle to świetne i ochocze wojsko polskie mogło co najrychlej „do ataku nachylić propory", utrzymać ojczyznę na należnem jej stanowisku, być murem ochronnym od grabicieli.

Już sama postać księcia Józefa, pociągająca nieprzepartym urokiem, i cały świetny korpus jego czyniły silne na widzach wrażenie. Kościuszko, który zawsze starał się pozostawać w cieniu i nie wysuwać na plan pierwszy, wyróżniał się w tem błyskotliwem gronie swą szlachetności pełną prostotą. Tylko piękny Barcio i kilku innych wy-

kwintnisiów wyrażało się z przekąsem, że „strasznie niepozornie wygląda ten nasz poczciwy, niestrudzony Kościuszek".

Przysłany na manewry komisarz wojskowy, Michał Starzeński, starosta brański, który miał zdać sprawę w stolicy o stanie rzetelnym wojska ukraińskiego, tak był zdumiony sprawnością wyćwiczonych przez Kościuszkę żołnierzy, że prócz pochwał, oddanych publicznie, złożył od siebie pięćset dukatów na poczęstunek dla nowozaciężnych. Książę Józef zaś znajdował, że należałoby koniecznie różne, na wzór austrjacki, wprowadzić zmiany. Pełen był jeszcze wspomnień świeżo odbytej kampanji tureckiej, a przytem działał pod wpływem przyjaciela swego, Wielhorskiego, z którym razem w wojsku austrjackiem służył i przeważnie rządził się jego zdaniem. Podczas rewji nieraz zamieniali ze sobą uwagi po niemiecku. Pewnego dnia stojący nieopodal urodziwy i butny Eustachy Sanguszko, major kawalerji narodowej, usłyszał, że dowódcy z przekąsem wyrażają się o niektórych jego kamratach. Zachmurzył się i usta zagryzł:

— Nie umieją się poznać na walecznem naszem towarzystwie, małe usterki za wielkie poczytują — szepnął do Jana Potockiego. — Generał Wielhorski tęskni wciąż jeszcze za austrjacką bronią.

— Nie dziw, że im się u nas nie wszystko podoba — odparł zagadnięty.—Mają już doświadczenie bojowe i technikę, zwłaszcza kawaleryjską, znają ekspedyte [1]). Walcząc przeciw Turkom pod Sabaczem, obaj omal głową nie nałożyli.

— Przed chwilą, gdy brygada Lubowidzkiego występowała, słyszałem, jak mówili, iż nic piękniejszego wystawić sobie nie można, a jednak przyjęta została z pewnem lekceważeniem, i kto wie, czy w ten sposób na zawsze odstręczoną nie zostanie.

Brygadjer Potocki spojrzał na Sanguszkę ze zdumieniem.

---

[1]) Doskonale.

— Sądziłem, że łączy cię, majorze, stosunek wielce serdeczny z księciem Józefem? — zauważył.

— Pokochałem go szczerze — odparł Sanguszko — co nie przeszkadza mi widzieć, że za mało jeszcze zżył się z naszym krajem i radby wraz z generałem Wielhorskim wszystkich nas na zagraniczne przerobić kopyto.

Książę Eustachy, krewki z natury, miał zwyczaj wyrażać swe myśli śmiało, nie licząc się z nikim.

Pochodził z zasłużonego i magnackiego rodu, był synem ks. Hieronima, wojewody wołyńskiego, właściciela olbrzymiej fortuny. Już w dwudziestym roku życia urzędował jako poseł lubelski na sejmie w 1788 r. Następnie zaciągnął się do armji z młodzieńczym zapałem. Konie jego z własnej stadniny były bodaj najpiękniejsze w całym obozie, współzawodnicząc nawet z doborowemi wierzchowcami ks. Józefa.

— Niema obawy, nikt Polaka przerobić w zupełności nie zdoła, a chociażby uległ chwilowym wpływom cudzoziemszczyzny, matka-ojczyzna zawsze go wkońcu do siebie przyciągnąć potrafi — zawołał dzielny brygadjer Potocki, młodszy brat Ignacego, którego duchem przejęty był do głębi.

Rozpoczynały się właśnie w tej chwili manewry z zasadzkami, uwagę widzów pochłaniając w zupełności.

Starzeński, stojący nieco na uboczu, rzucił bystrym wzrokiem dokoła i naraz zauważył czterech przybyszy, ubranych po cywilnemu, których zachowanie wydało mu się podejrzanem. Zbliżył się ku nim nieznacznie, gdy tymczasem zaskoczona niespodzianie brygada wykonywała zręczny odwrót.

— Widzisz — rzekł jeden z nieznajomych, nie podejrzewając, że go śledzą — nasza imperatorowa miała wszystkich Polaków w worku, ale zapomniała go sznurem mocno związać i oto co wyrabiają! Będziemy mieli roboty niemało, aby ich napowrót do worka zapakować.

Dość było tego dla przekonania się, co zacz byli.

Starzeński pośpieszył zawiadomić ks. Józefa, że kręcą się tu moskiewscy szpiedzy. Okazało się, iż byli to oficerowie w cywilnem ubraniu, przez feldmarszałka Rumiancewa tajemnie przysłani dla zdania sprawy z przeglądu wojsk polskich.

Książę niewiele sobie z tego robił, nawet cieszył się nieoględnie, że nieprzyjaciel mieć będzie pojęcie, jak znacznemi siłami Polska rozporządza. Był jak najlepszych myśli w tej dobie, pewien, że traktat nasz zaczepno-odporny, zawarty z Prusami, będzie dla Rosji postrachem i że przy odpowiednich dyplomatycznych staraniach nie dopuści się do zawarcia pokoju pomiędzy Moskwą i Stambułem.

Kościuszko jednakże zdawał sobie dokładnie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa i coraz bardziej wytężał myśl w celu obmyślenia środków obronnych w razie najścia wojsk nieprzyjacielskich. Chodziło mu o uzbrojenie jak najrychlejsze wszystkich zdatnych do broni rodaków, przysposobienie pospolitego ruszenia, nie czekając, aż Rosja zawrze pokój z Turcją.

Takiemi myślami zaprzątnięty, mało miał czasu biedzić się nad osobistemi sprawami, chociaż cierń dotkliwy utkwił w jego sercu.

Właśnie przed rozpoczęciem manewrów pod Bracławiem, rozpogodzony gościnnem i niezmiernie ujmującem przyjęciem, jakiego doznał w Januszpolu u Bukarów, zjechał do Międzyboża.

Oddano mu na wstępie list Żurowskiego, oskarżający go o chęć porwania ukochanej córki. Chorąży powoływał się na jakichś pewnych i oddanych sobie ludzi, którzy, przeniknąwszy zawczasu zamiary generała, uprzedzili ojca o grożącem nieszczęściu.

Każde słowo tego listu było obelgą dla prawego i czystego serca Kościuszki. Miał wrażenie, jakby go ktoś nagle obuchem w głowę raził.

Jakto? więc najlepsze jego zamiary zostały w tak ohydny sposób przedstawione? Chorąży zarzucał mu, że działał podstępnie, starając się Teklusię sobie pozyskać, bez względu, czy rodzicom związek ten jest po myśli.

Było to tak przeciwne intencjom generała, że uczuł się dotkniętym do żywego.

Zamierzał niezwłocznie wyjaśnić sprawę. Naraz wpadł kozaczek Grabianków, znany mu dobrze Iwaś, z listem ze wsi od pani starościny.

„Jaśnie Wielmożny a wielce nam miły Mości Panie Generale! — pisała Grabianczyna. — Suponuję, że dyspozycja serca skłoni Mości Pana Generała do spełnienia naszej gorącej prośby i przyjęcia inwitacji na obchód oktawy imienin kasztelanowej Morskiej. Raduję się już naprzód nadzieją dyskursu z Mości Panem Generałem. Będziemy deliberowali o wszystkiem, co nas tak żywo obchodzi. W Rajkowcach spotkać się ma całe przyjazne Mu grono. Byłaby wielka konsternacja, gdybyś, Mości Panie Generale, i tym razem nie przybył, sądzę bowiem, że w serdecznych terminach profit stąd będziesz mieć niemały!"

Ponieważ wyrazy: „całe przyjazne Mu grono", były dwa razy podkreślone, Kościuszko domyślił się, że i chorążyna z córką są w tej liczbie.

Wiedział, że bawią czasowo w Ignatkowcach. Opowiadali mu towarzysze broni, że Teklusia ze łzami w oczach uskarżała się na zobojętnienie generała i prosiła, aby choć słówkiem dał znać o sobie. Odpowiedział jej serdecznym liścikiem, pełnym słów tkliwych, prosząc o przebaczenie, ale zawsze przez wzgląd na ojca unikał podtrzymywania uczucia, niezgodnego z jego wolą, i nakłaniał do posłuszeństwa, mając nadzieję, że zczasem niechęć ta minie.

Teraz po niezasłużonej napaści pilno mu było zobaczyć się z Teklusią i pomówić z nią, zanim wystosuje odpowiedź do chorążego.

Aczkolwiek więc struty i znużony, wyruszył natychmiast, by stawić się na czas.

Żurowski jednak, jak się okazało, czujnem go śledził okiem. Dowiedziawszy się, że Kościuszko udał się do Morskich, wyjechał tegoż dnia do dóbr swoich, by przypilnować córki i nie dopuścić do spotkania.

Huczno było i tłumnie w rajkowieckim dworze. Gdy Kościuszko podjeżdżał pod ganek, kapela zagrała marsza, a kasztelan z pełnym kielichem pośpieszył na powitanie. Inni poszli za jego przykładem. Panie otoczyły barwnem kołem generała, Teklusi jednak napróżno wzrok jego szukał.

Podejmowano go z iście staropolską gościnnością, pojąc i karmiąc do przesytu, przesadzano się w grzecznościach, musiał też wysłuchać jakiejś dość ckliwej, z francuskiego tłumaczonej „bluetki" [1]), odegranej przez amatorskie siły.

Starościna i kasztelanowa, wziąwszy Kościuszkę na stronę, poczęły opowiadać mu, że chorąży ogromnie ostatniemi czasy stracił na humorze, towarzystwa unika i ciągle przebąkuje o wywiezieniu żony i córki za kordon.

— Nie umiałeś jakoś, mości panie generale, wyzyskać wpływowych osób—strofowała go pani Grabianczyna z uprzejmym uśmiechem — nie postarałeś się o protekcję takich np. Czartoryskich, coby ci łatwo przyszło. Podobno chorąży ułożył sobie projekt wydania córki w Galicji za Chwaliboga, chociaż Teklusia o nikim dziś słyszeć nie chce i nawet się odgraża, że do klasztoru wstąpi, jeśli jej połączyć się z mości panem nie pozwolą.

— Trudno, pani starościno dobrodziejko! Walczyć taką bronią, jak to czynią ludzie, mnie nieprzychylni, nie potrafię — odrzekł generał. — Sumienie mam czyste, a posądzenia niemal o zbrodnie rażą mię, jak gromem! Chorąży o rapty jakoweś mię podejrzywa. Bóg z nim! Sentyment

[1]) Jednoaktówka.

mój dla chorążanki, jako łza, czysty i takim zawsze pozostanie, choćby ją wbrew jej woli innemu oddano.

— Kto taką, jak IMĆPan generał, konsyderacją ogólną się cieszy, winien mieć przed wszystkimi pierwszeństwo — zapewniała kasztelanowa, żywo przejmująca się jego losem.— Nie mogę spenetrować, skąd ten rankor?

— Fircyki i perukarczyki u nas jeszcze w Polsce rej wodzą! Tytuł, order kupiony, nawet różne podrabiane parantele więcej znaczą, niż moje mizerne zasługi — rzekł Kościuszko z niezwykłą u niego goryczą.

— Zali masz kogo w podejrzeniu, generale, że ci ktoś, jak to mówią, stołka przystawił? — zapytała starościna z zaciekawieniem.

— Jeśliby tak było nawet, nigdybym, nie mając pewności zupełnej, imion winowajców wymienić się nie ważył gdyż wszelką obmową się brzydzę—zawołał z przekonaniem.

Na tem przerwała się rozmowa, dotycząca spraw osobistych Kościuszki, i zeszła na tematy ogólne.

Szczęsny Potocki był teraz u wszystkich kresowców na ustach. Krzyżowały się zdania „za" i „przeciw"; nikt nie mógł jeszcze dokładnie określić tej postaci, ani przewidzieć, jaką odegra w dziejach naszych rolę.

Całą noc prawie trwała zabawa, w której smutny, a tłumaczący się znużeniem i niezdrowiem Kościuszko bardzo mały brał udział. Anetka pocieszała go serdecznemi słowy, miał w niej zawsze dzielnego i przyjaznego sprzymierzeńca.

O świcie wyruszył już z powrotem do Międzyboża, a w drodze układał sobie, w jakich słowach ma odpowiedzieć na obelżywy list chorążego.

Sformułował wreszcie swe wrażenia w tych szczerych, z serca płynących słowach:

„Z objazdki mojej powróciwszy, oddano mi list JWPana Dobrodzieja. Czytając go, niepodobna wyrazić wzruszenia, jakie miałem w czułości mej wewnętrznej. Że zaś w tymże

momencie odebrałem list od JWPani Grabianczyny, upraszający mię być na obchodzie imienin JWPani kasztelanowej Morskiej, a mojej wielkiej przyjaciółki, w oktawę samego imienia, wyjechałem w godzinę potem. Powróciłem wczoraj, a przez ten cały czas byłem w niespokojności, szarpiącej wnętrzności moje z powodu zarzutu, na mnie włożonego. Mam honor i powinienem usprawiedliwić się przed osobą, której z przekonania oddawałem zawsze hołd jej cnocie, znajomości, obywatelstwu i przymiotom duszy, a przydać jeszcze pragnąłem to uszanowanie, co z wdzięcznością w sercach tkliwych wznieca okazane dobrodziejstwo.

Nie dziwię się, że JWPan Dobrodziej, uprzedzonym o mnie będąc od osób, źle mnie życzących, a może interesowanych, masz o mnie tak podłą, nikczemną i upośledzającą opinję o uczciwości, o charakterze i honorze moim, co razem z życiem zawsze ważyłem. Boże, niech padnę trupem, jeżelim kiedy przypuścił cień nawet myśli targania związku tak świętego, prawa, wlanego mu z natury, zawsze szanowanego dla mnie. Że kocham JWPannę Chorążankę, rzecz jest pewna, a że Mu odkryła to, jako ojcu, właśnie i moja chęć to była! Ale widząc chroniącym się JWPana Dobrodzieja ode mnie i usuwającym się od przyjaźni, którą dawniej zaszczycać mię raczyłeś, szukać dla siebie sądziłem przychylniejszej pory i odtąd krok mój nieśmiały był, a nawet nie wiedziałem, jak sobie mam postąpić. Nieraz przypatrywałem się twarzy Jego, ale obaczyć nie mogłem przychylnego rysu dla mnie, owszem, i coraz bardziej widziałem wzmagającą się nieprzyjaźń aż do nienawiści. Przyczyny nie zgadywałem, ale uprzedzać myśl jego chęć moja szczera była. Kilkakrotnie przedsiębrałem upaść do nóg, nie z podłości żadnej, ale z chęci pozyskania dla siebie Ojca dobrego, co zaświadczyć mogą JWPani Chorążyna i Chorążanka. Może w sposobach branych pomyliłem się, jednak czystość duszy mojej zawsze nieodmienna była i niepodobna, abyś JWPan Dobrodziej

przez dobroć serca swego i delikatność Mu wrodzoną, pomimo uprzedzenia tak wielkiego do mnie, nie mógł upatrywać staranności mojej do odzyskania łaski Jego.

Gdy nakoniec nie jesteś JWPan Dobrodziej jeszcze przekonanym i cień suspicji ma pozostać przedsięwzięcia przeze mnie kroku niewłaściwego, w przeciwnym sposobie chęci Jego, pozwól, abym w przytomności Jego mógł zaprzysiąc przed Istnością Najwyższą, a tak czerniących mnie może w inszych obaczysz kolorach, których malować nie jest moją myślą, ale oddać ich sumieniom własnym, jeśli ich nie postradali jeszcze, i może pozyskam lepszą o sobie opinję. A jeśli i to małe uczyni wrażenie i nie skłoni do odmiany szukającemu prawdy przez JWPana Dobrodzieja, pozwól czasem bywać w domu swoim. Mierz kroki moje, pozwalam, czystem swojem tylko sumieniem i rachubą karbuj wszystkie rozmowy moje, ale swojem tylko zdaniem, swoją roztropnością, swoim świetnym sposobem myślenia, gdyż wydrę serce moje dla niego do odkrycia w niem najmniejszej nieprzyzwoitej makuły, któraby się mogła znajdować. A jeśli nie pozyskam Jego łaski, nie zjednam dla siebie nadziei w pozyskaniu tej, co kocham, nie odbiorę szanownego dla mnie tytułu syna Jego i nie będę uszczęśliwionym, przynajmniej spodziewam się aprobaty uczciwego człowieka. Niech bogini szczęścia ludzkiego zdrowie Jego utwierdza z całą familją w jak najdłuższe lata, przy wszelkich pomyślnościach; niech żaden moment nie zdarza się umartwienia. Żyjcie szczęśliwi, szanowani i kochani. Te życzenia przyjmą nieba z szczerego pochodzące serca.

Z winnem uszanowaniem mam honor pisać się JWPana Dobrodzieja najniższym sługą.

T. Kościuszko".

Napisawszy ten list jednym tchem, doznał pewnej ulgi. Pomimo że był przydługi, nie chciał już wykreślić ani jedne-

go wyrazu, pragnąc, aby chorąży odczuł wstrząsające nim wrażenia. Jednocześnie wystosował drugi list do matki Teklusi, w którym mógł bardziej jeszcze szczerości swej puścić wodze.

Pisał w te słowa:

„Posyłam list i o respons proszę matulki; nikomu nie pokazywać, tylko swojej Teklusi! Rzecz już bez wątpienia, że H. największą jest przeszkodą! Wiedząc wszystko, profituje ze wszystkiego. Mnie to oficerowie powiadają, iż widzieli nieraz Giżyckiego, przechadzającego się z felczerem i rozmawiających długo. Jak ja uważam, że, sam się kochając, przeszkadza drugim ta litera H. Niech to między nami będzie, co piszę, i Teklusia, która jest otwarta dla niego, niech się postrzeże i da baczność. Nie posądzam drugich, ale się trzeba mieć na ostrożności przeciw zdradzie, otwartość zawsze wpadnie w sidła ich!... Ty, najukochańsza Matko, mając doświadczenie, dyryguj lepiej i nie podaj w nieszczęście. Odpis mój najłagodniejszy, bo jest mężem Twoim, a ojcem mojej Teklusi; ale krew we mnie cała zlodowaciała na list przeczytany. Dałem czuć sercu jego tkliwemu, że kroki moje były czyste, ale nie zrozumiane, że uleganie moje było stosowne, lecz uprzedzenie jego o mnie było złe przez H. i kogoś inszego. Niech pokój z nimi będzie! Nie mam zemsty w sobie. Jakeście mnie radzili, postępowałem, ale teraz żałuję. Teraz nie widzę sposobu po takim liście, na którego wspomnienie samo we mnie wzburza się krew! Dziękuję jednak za Twe łaski dla mnie, które w niewygasłej pamięci u mnie będą. Twój charakter, przywiązanie dla córki rzadkie, będzie przykładem wszystkim, a monument dla Ciebie jest zgotowany w sercach wszystkich dobrze myślących. Twoja łagodność, pokrycie umartwień różnych, jednostajność umysłu będą zawsze uwielbienia godne. Daruj, że tak późno poznałem Twój sposób myślenia, tem śpieszniejszym był całować Twoje ślady.

„Żyj szczęśliwa i długo, a nagrodę znajdziesz.

„Mój Boże! Co za myśl okrutna, abym rwać miał prawo natury i pomimo ojca wyrwać z domu mnie kochaną!...

„Pasja to jemu dyktowała.

„Odmienia się teraz we mnie na pogodę i jemu życzę z serca najpomyślniejszych momentów.

„A ty, serca mojego ożywienie, co miałaś być słodyczą całego życia mego, Teklusiu, daruj, że wyrazów stosownych nie znajduję w tym momencie, lecz z przytuleniem chustki do mych oczów skłaniam głowę moją do ucałowania twych nóżek z przywiązaniem stałem na zawsze. Nie podnaszaj mnie, ale podepcz wszystkie mojej przyjaźni dowody i utop w zapomnieniu moje dla ciebie kochanie!...

„Odrzucony od ojca — i od ciebie być muszę! Obraz jednak twój w mem sercu zawsze będzie; twym duchem oddychać będę i twem sercem żyć będę; gdzie się obrócę, twój cień śledzić mnie zawsze będzie.

„Umysł, napełniony jednym objektem, we wszystkich widokach twój portret znajduje, chociaż mnie czyni nieszczęśliwym. Niech ciebie znajdę w najpomyślniejszem życiu.

T. Kościuszko".[1])

Respons, oczekiwany przez Kościuszkę, był niepomyślny.

Zapadło już postanowienie wyjazdu Żurowskich do Galicji. Żadne prośby nie mogły skłonić chorążego do zmiany projektu.

Pod wpływem wieści o rozruchach we Francji był przekonany, że na kresach lada dzień zakotłuje się, że lud powstanie, że nastąpi nowa rzeź i gwałty, a „taki pan Kościuszko" będzie na pewno popierał ruch wolnościowy.

Chorążyna z córką pod pozorem uporządkowania rzeczy i zabrania nieodzownych do drogi przedmiotów przybyły na parę dni do Międzyboża.

---

[1]) Oba te listy Kościuszki przytaczamy w całości, gdyż doskonale odbijają jego wewnętrzny nastrój i stosunek do rodziny Żurowskich.

Starościna z Anetką też zjechały. Wszyscy byli zasmuceni wyjazdem chorążyny. Doktór Hackenszmit zły był i chmurny. Wszystkie jego zabiegi celem odsunięcia Kościuszki od domu Żurowskich wyszły mu na niekorzyść. Tracił zasobnych pacjentów, a na domiar złego Teklusia nie chciała nawet wcale z nim mówić, przekonana o jego podstępnem i dwulicowem postępowaniu. Napróżno silił się utrzymać jej dobrą wiarę w swą bezinteresowną przyjaźń. Zasłona spadła z jej oczu.

Tecia Orlewska straciła też bardzo na humorze. Była niemal pewna, sądząc z dotychczasowego zachowania pana Karola, że wyzna jej swą miłość, że choćby przy pożegnaniu powie jakieś słówko tkliwe o wspólnej przyszłości. Ale Kniaziewicz zaklinał ją tylko na wszystko, aby pannę Teklusię starała się pocieszyć i rozweselić, zdawał się jedynie przejęty bolesną krzywdą, wyrządzoną Kościuszce, jakby zupełnie zapominając o sobie.

Pożegnanie chorążanki z Tadeuszem było krótkie i nad wyraz smutne. Każdy jej krok tak starannie śledzono, że o dłuższej rozmowie nie można było marzyć. Przybiegła do Anetki Grabiankówny ukradkiem o szarej godzinie, zapłakana, zgnębiona i rozżalona. Przyrzekała, że mu wierną pozostanie na zawsze, on zaś nie mógł już słów znaleźć dla wypowiedzenia, jaką pustkę pozostawi mu jej odjazd w duszy.

Zaledwie kilka słów zamienili, przysłano po nią, aby jak najprędzej wracała.

Mignęła mu jeszcze na skręcie jej biała sukienka, jak ulatująca złuda....

Stał długą chwilę w oknie, patrząc za nią.

— Już jej nigdy nie ujrzysz w życiu!—szepnął mu jakiś głos wewnętrzny tak wyraźnie, że Tadeusz obejrzał się i drgnął.

— I lepiej, lepiej! Nie powinno było być inaczej! Inne jest twoje przeznaczenie—mówił jeszcze ów głos proroczy—musisz się wyrzec wszystkiego dla sprawy!...

Kościuszko tarł dłonią zasępione czoło. W oczach mu błysła łza.

Słuchał w skupieniu rzewnej melodji, płynącej z pod palców Anetki, która usiadła do szpinetu, aby nie przeszkadzać pożegnaniu. Orłowski śledził z upodobaniem drobne paluszki, przebiegające z wielką wprawą klawjaturę.

— Szczęśliwy Tadeusz, że jest tak kochany!... — rzekł nagle jakby do siebie.

— Czy możesz waćpan, jako szczery przyjaciel, zazdrościć mu tak nikłego szczęścia? — odparła Anetka z jakimś dziwnym wyrazem.

Orłowski spojrzał na nią uważnie.

— Nie mogę wyrozumieć, co pani myśli w tym momencie?... Nigdy wogóle nie mogę zrozumieć jej skomplikowanej duszy! — rzekł naraz z pewnem rozdrażnieniem komendant.

— Nic tak trudnego — zaśmiała się, urywając nagle melodję niedokończoną. — Chciałam tylko zaznaczyć, że są natury kobiece, które kochają gorąco, ale to sentymenta nietrwałe. Ojciec każe, pan Prosper Chwalibóg będzie się uporczywie dobijał o jej rączkę, Teklusia popłacze trochę za panem Tadeuszem i z innym pójdzie do ołtarza... Jakbym ją widziała, za rok, za kilka miesięcy może... Co do mnie, wolę przyjaźń stałą, niż owe afekta tkliwe a znikome.

— Czy panna Anetka wcale kochać nie potrafi?—szepnął Orłowski, ujmując zlekka jej rączkę i starając się zajrzeć jej w oczy.

Starościanka cofnęła rękę niecierpliwie.

— Być może! — odrzekła szorstko prawie. — Kto na przyjaźni mej nie poprzestanie, może ją mieć cofniętą i... zwróconą w inną stronę.

— Aż tak źle ze mną? — zawołał komendant — abszyt i dyzlokacja?...

— Aż tak źle! — odrzekła z przekornym uśmiechem.

Odwróciła główkę w stronę stojącego wciąż w niemej zadumie Kościuszki; patrzyła nań z wyrazem uwielbienia, a zarazem serdecznego współczucia.

Długi, staroświecki salon starościny pogrążony był w mroku. Sylwetka generała odcinała się wyraźnie na jasnem tle otwartego okna. Szmer przyciszonej rozmowy, prowadzonej w drugim kącie sali przy szpinecie, nie dolatał jego ucha, a przytem Kościuszko tak był w myślach swych pogrążony, że zdawał się nie widzieć i nie słyszeć nic, co się dokoła niego działo.

Orłowski nie spuszczał Anetki z oka.

— Więc to on może jest moim rywalem?... Jemu cofniętą mi oddanoby przyjaźń... — szepnął głucho, a twarz jego wyrażała smutek głęboki.

Anetka wzruszyła ramionami i rzekła łaskawie:

— Jeśli bardzo na tem zależy, mogę nie cofać. Mam jej dość dla waćpanów obu, tylko nieco odmienną — dodała figlarnie. — A może podział inny zrobię: waćpanu siostrzany afekt, dla pana Tadeusza cześć i uwielbienie.

— A miłość?...

— Pozostanie w sercu na dnie.

Zamilkła, lecz bezwiednie w drugi koniec sali rzucone spojrzenie mówiło wyraźnie: Ten, któremubym ją chętnie dała, nie szuka jej!...

Orłowski zerwał się i począł żegnać pośpiesznie.

— Nie powrócę tu już, aż się dowiem, że kapryśna i przekorna uczennica lepiej jest dla mnie usposobiona — zawołał, siląc się na wesołość.

— Zawsze jestem dla mistrza jednako dobrze i życzliwie usposobiona — rzekła Anetka z wykwintną swobodą — ale niech mistrz nie żąda za wiele, niech nigdy nie żąda więcej, niech to sobie zapamięta!...

Pogroziła mu palcem.

— Redukcja żądań nie doprowadza do niczego — rzekł komendant chmurno. — Chodźmy już, Tadeuszu, czas na nas — zwrócił się do towarzysza.

— Tak, czas, wielki czas! — odrzekł pośpiesznie Kościuszko, ocknąwszy się z zadumy.

Anetka serdecznie uścisnęła mu rękę na pożegnanie.

— Nie trapmy się, bądźmy dobrej myśli, choć wiatr przeciwny wieje w oczy... Sieć wydarzeń życiowych — mówiła zwolna, miękkim ciepłym tonem — nie jest gmatwaniną bezmyślną, powiedział jakiś mędrzec; wszystkie zdarzenia nawiązują się, jak supły, z których występuje wzorzysty deseń. Z tych supłów bólu i smutków, mości generale, ułożą ci się kiedyś głoski zaszczytnej chwały, nakreślone już z góry na życiowej nici...

Kościuszko ucałował kilkakrotnie białą i smukłą rączkę starościanki.

— *Mademoiselle Anette* dobroć i mądrość łączy w sobie!... — rzekł, zwracając się do Orłowskiego, a następnie dodał: — Czy znane jest starościance arabskie przysłowie o dobroci niewieściej i współczuciu: „Dobroć kobieca, mówią, jest jak gąbka, ścierająca przeszłość, jest różą ukwiecającą teraźniejszość, jest pocałunkiem pokoju, danym cierpiącemu na dalszą drogę".

— Ładnie powiedziane — szepnęła z westchnieniem.

Po odejściu gości powróciła znów do szpinetu i grała jeszcze długo pieśni rzewne.

Gdy obaj przyjaciele znaleźli się na cichej, księżycowym blaskiem wysrebrzonej ulicy, Kościuszko rzekł smętnie:

— Czy nie dziwno, Józefie, że w życiu ludzkiem powtarzają się pewne wypadki, nawiązują jednako okoliczności!... I znowu ojciec niewyrozumiały, stawiający zaporę naszemu szczęściu... Tak samo było z Ludwiką. Przypominają mi się żywo tamte, gorzkim bólem zatrute chwile...

— Ty przynajmniej tę masz pociechę, Tadeuszu, że możesz winić innych, którzy szczęściu waszemu zaporę kładą— odparł komendant.—Co do mnie, w gorszem stokroć jestem położeniu, Anna bowiem, mając zupełną swobodę rozrządzania swym losem, gdyż rodzina jej wielce mi sprzyja, siostrzaną tylko przyjaźnią mnie darzy, a ręki ofiarować nie chce! Wszelako żywię dla niej sentyment szczery. Z nią jedną potrafiłbym zaznać prawdziwej radości domowego ogniska.

— Snać wolą jest niebá, abyśmy dla dobra kraju pozostali bezżennymi — rzekł Kościuszko, opanowawszy się już nieco i rad pocieszyć towarzysza. — Unikniemy wielu tarapatów, nadewszystko zaś myśli samolubnych o własnym kącie, gdy nam włóczęga ustawiczna się ściele, a powszechność cała potrzebować będzie lada chwila naszego ramienia.

— Masz słuszność, bracie; swoją drogą markotno, że się życie jakoś nie po myśli składa!...—westchnął komendant.— Młodszym naszym towarzyszom broni lepiej się wiedzie. Widziałem, jak Karolek Kniaziewicz wycałowywał gorąco rączki panny Orlewskiej, i to w obecności surowego wujaszka, a przeto mu uszło płazem. Kto wie, czy nie będzie z tego kwasu piwo, a raczej miodna słodycz zrękowin...

— Nie sądzę, Karol jest dość tkliwego serca, ale umie je trzymać na wodzy; Orlesia mu wpadła w oko, ale głównie podtrzymywał z nią przyjaźń, aby dopomóc mi w komunikowaniu się z chorążanką. Zapytywałem go raz szczerze i poufnie o sprawy sercowe i wiem, że o żeniaczce nie myśli, pomimo iż w międzyborskim klimacie sentymenta łatwo dojrzewają.

— Ano, kochany Tadeuszu, *mea culpa*, bo jam cię gorąco na pobyt w tej letnicy namawiał—zawołał Orłowski— ale któżby mógł przypuścić, że ten chytry doktorzyna zamiast ci lekami swemi ulgę przynieść, przed ojcem panny szkalować będzie?...

— Felczerzyna okazał się nędznem stworzeniem — cisnął Kościuszko pogardliwie. — I ten piękny Barcio ponoć mi łatki przypina, zarówno w międzyborskiem kółku, jak i „Pod Blachą" i w obozie księcia Józefa, boć usłużni mu powtórzyli, żem z kupionego orderu, którym się pyszni, dworował nieco. W każdym razie Morskiemu i Janowi Potockiemu poruczę, aby od chorążego zażądali w mojem imieniu odwołania słów ubliżających. Na tej satysfakcji poprzestanę. Wiem, że oni o mnie jak najlepiej mówić będą, a u Żurowskiego mir mają.

— Pono ci, Tadeuszu, księżna Ludwika, dawna „flama",[1]) kuzyneczkę swą wyswatać rada, a i Potocka, piękna wdówka, tkliwem na ciebie zerka oczkiem? Mógłbyś w krótkim czasie znaleźć stateczne pocieszenie. Teklusia to wdzięczna karta w sztambuchu twego serca, polny, wątły kwiatuszek. Wolałbym ci ja, Bogiem a prawdą, widzieć u boku twego rozkwitłą w pełni różę...

— Dajmy już pokój płonnym żalom i płonniejszym jeszcze nadziejom! Połóżmy krzyżyk na przeszłości — zawołał Kościuszko, wichrząc gęstą czuprynę, jak to miał zwyczaj czynić w chwilach wzruszenia. — Dręczą mię obawy, że krajowi naszemu wielki cios może być wymierzony od wewnątrz!... Mówiłem o tem kilkakrotnie z księciem Józefem, ale ten nieopatrzny młodzian nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Zresztą z porządku rzeczy wciąż się na dwór królewski ogląda i zdaniu stryja ulegać musi. Komendę obu dywizyj na mnie zwala, sam z całym zapałem bujnej, nieokiełznanej natury zabawom oddany. Obóz czy salon, to dlań jednakie pole do popisu, tło dla wytwornej postawy, dla wykazania talentów i urody. A tymczasem złe dochodzą słuchy. Uważam za nieodzowne wysłanie kogoś pewnego do Jass na zwiady. Bawi tam Bezborodko [2]) dla prowadzenia

---

[1]) Miłość (od słowa płomień). [2]) Kanclerz rosyjski.

układów o pokój z Turcją, a z nim razem Szczęsny Potocki przebywa. Machinacje, przekupstwa i zdradliwe podejrzewam knowania!

— Komisja Wojskowa wezwała do powrotu wszystkich, zaliczonych do armji naszej, a przebywających poza granicami kraju. A więc Szczęsny, jako generał artylerji, obowiązkowo stawić się musi, lub uznany będzie za jawnego zdrajcę!

— Tak, porucznik Marszycki list mu wręczy. Ja zaś chcę wysłać do Jass majora Poniatowskiego, pułkownika Piotrowskiego i Karola Kniaziewicza, bo sam się o to doprasza, a na jego takt i bystry umysł liczyć mogę.

Kazał ordynansowi przywołać Kniaziewicza i rozpoczęły się dalsze narady w tym przedmiocie.

*

* *

Całą jesień i zimę spędził Kościuszko na „objazdkach", w Niemirowie wciąż mając stałą siedzibę.

Wojsko ukraińskie przywykło uważać go za swego naczelnika, gdyż książę Józef po manerwach bracławskich zdał cały ciężar obowiązków służbowych na pełnego poświęcenia generał-majora, sam zaś przeważnie był nieobecny.

W grudniu wysłani do Jass na zwiady przywieźli wielce niepomyślne wieści.

Układy rosyjsko-tureckie o pokój dojrzewały. Hetmani Branicki i Rzewuski oraz Szczęsny Potocki z pełnomocnikiem Katarzyny porozumiewali się niemal jawnie.

Na list Komisji Wojskowej Potocki odpowiedział hardo: „Przysiąc na rząd nierepublikański żadna moc na świecie przymusić mnie nie zdoła".

Sukcesyjność tronu, zapewniona przez konstytucję, była solą w oku tym trzem magnatom [1]).

Wreszcie 9 stycznia 1792 r. pokój zawarto. Należało już lada chwila spodziewać się wkroczenia wojsk rosyjskich do Polski.

Kościuszko przygotowywał mapy, słał raporty do księcia Józefa i do Komisji Wojskowej, która w lutym poleciła mu, żeby: „komendy z luk ściągnąwszy i korpus uformowawszy, granice Rzeczypospolitej ocalił, spokojność utrzymał, zamiary nieprzyjacielskie zniszczył".

Żądanie, w tej formie postawione, wywołało uśmiech gorzkiej ironji na usta generała, wymagano od niego więcej, niżby król sam, stojący na czele armji, uczynić zdołał.

Rosja przygotowywała się oględnie i opracowywała plany wojenne, polegające na nagłem wtargnięciu jednocześnie z czterech stron do Polski.

Jeden korpus miał nacierać z frontu, dwa z boków, a czwarty zajść znienacka, odcinając odwrót.

Kościuszko obmyślił też ze swej strony plan, polegający na takiem rozmieszczeniu wojska, aby mogło z łatwością

---

[1]) Michał Ogiński w swych «Pamiętnikach» taką wyraża opinję o twórcach targowickiego zamętu, chociaż winę ich uznaje: «Nie należy przypuszczać—powiada—aby trzej pierwsi autorowie konfederacji, Szczęsny Potocki, Rzewuski i Branicki, byli powodowani względami własnego interesu, aby Polskę poświęcić. Wszyscy trzej nie mieli niczego do żądania, ani pod względem zaszczytów, ani pod względem majątkowym. Obrażona miłość własna, duma, ambicja, mylne wyobrażenie co do interesów krajowych, obawa narażenia swych majętności przez reformy, zaprowadzone w Polsce, a nakoniec wyobrażenie, jakie sobie utworzyli o potędze Moskwy, i zaufanie, jakie pokładali we wspaniałomyślności carycy i w interesie, jaki bierze w losie narodu polskiego, były bez wątpienia jedynemi pobudkami ich działania, a jakkolwiek to nie czyni ich mniej winnymi, należy jednak wyznać, że działo się daleko mniej nadużyć w prowincjach polskich, aniżeli na Litwie, gdzie rodzina Kossakowskich rozszerzała wyłącznie swą władzę».

«Pamiętników» M. Ogińskiego tom I, str. 143.

połączyć się w razie potrzeby, ale plan ten, pomimo jasności swej i trafności, został przez księcia Józefa odrzucony.

Ponieważ ostateczna decyzja każdego projektu zależała od Rady Wojennej z królem na czele, który, wierząc w swe talenty dyplomatyczne, był pewien, że do wojny nie dojdzie, nie dziw, że wszelkie kroki obronne czyniono opieszale i nie kwapiono się z ich wykonaniem.

Karnawał w stolicy był bardziej jeszcze ożywiony, niż zazwyczaj.

Depesze ambasadorów naszych przynosiły szereg wieści kłamnych, na zwodniczych nadziejach opartych.

Z wiosną powrócił poseł Deboli z Londynu i bez ogródek przedstawiał istotny stan rzeczy, a mianowicie, że niema co liczyć na króla pruskiego, gdyż posiada w ręku dowody zmienności jego przekonań.

Natomiast Lucchesini starał się dowieść, że idzie tylko o drobne ustępstwo ze strony sejmu, a mianowicie o oddanie Gdańska z obwodem, który tak zostanie ufortyfikowany, że Rosja go zdobyć nie zdoła.

Śmierć cesarza niemieckiego, Leopolda II, który sprzyjał konstytucji 3 maja, zmieniła położenie, następca bowiem jego był innych zapatrywań i skłaniał się do układów, sprzecznych z interesami Polski.

Ku ugólnemu zdumieniu sejmujących, głębiej obejmujących treść rzeczy, król Stanisław August uległ prośbom hetmana Branickiego, będącego ministrem wojny i członkiem Rady Państwa zarazem, i dozwolił mu udać się w marcu tegoż roku do Petersburga niby dla spraw sukcesyjnych po wuju swej żony, zmarłym niedawno przedtem Potemkinie. Branicki przyrzekł cichaczem królowi, że postara się wpłynąć na Katarzynę i skłonić ją do zmienienia groźnych względem Polaków zamiarów.

Wkrótce po wyjeździe hetmana dowiedziano się, że wyjazd ten był w ścisłym związku z owym nieszczęsnym „aktem

konfederacji generalnej celem przywrócenia dawnej formy rządu", podpisanej przez czternaście osób w Petersburgu d. 27 kwietnia 1792 r., a ogłoszonej następnie w Targowicy. Wystosowano jednocześnie pełną niskiego pochlebstwa prośbę do carycy, w której, porównywając ją do bogów Olimpu, zanoszono pokorne błagania, aby raczyła być „boginią przyjazną wolności polskiej".

Takich wyrodnych synów ojczyzny, ściągających klęski na kraj własny, Moskale nawet zwali pogardliwie *perekińczykami*, czyli zmiennikami, przerzucającymi się do innego obozu.

Wielki czas był natenczas zgromadzić co najrychlej wszystkie siły do walki ze zdwojonym nieprzyjacielem.

Nie Rosja właściwie wypowiadała Polsce wojnę, lecz skonfederowani Targowiczanie, którym Katarzyna przyrzekła wspaniałomyślnie przysłać na pomoc stutysięczną armję. Zanim jeszcze zdrada została ujawnioną, sejm umyślił obchodzić pierwszą rocznicę konstytucji majowej z okazałością niebywałą.

Król, rad z powiększenia swoich przywilejów, chętnie przytakiwał projektowanym uroczystościom patrjotycznym i chciał, by jak najszerszy miały rozgłos.

Na kilka tygodni przed obchodem zawezwał Starzeńskiego, członka Komisji Wojennej, polecając, aby przybyciu księcia Józefa na trzeciego maja nie stawiono przeszkód.

— Ażeby przybyć do Warszawy, nie będzie potrzebował więcej, niż dni trzy i tyleż do powrotu — zapewniał monarcha. — Obecność mego bratanka jest mi koniecznie potrzebna. Bardzo będę prosił pana, żebyś się temu nie sprzeciwiał.

Ujmująco, ze swym niezmiernie miłym uśmiechem przemawiał zwykle król, a tym razem, chcąc rygorzystę wielkiego przejednać, jakąś pokorną rzewność miał w głosie, tak że trudno było opierać się życzeniu tego starego dziecka na tronie.

I stało się, jak sobie król życzył, pomimo że Komisja przewidywała, ile stąd wyniknąć może zawikłań, gdy inni dowódcy, za przykładem księcia, opuszczą w tak ważnej chwili swe posterunki. Jakoż wnet stronnictwo Czartoryskich zażądało urlopu dla ks. Wirtemberskiego, on ze swej strony dla kilkunastu zaprzyjaźnionych z nim wyższych rang oficerów. Marszałek Sapieha o pozwolenie przybycia do stolicy dla swych krewnych i przyjaciół z wojska litewskiego się wystarał.

W przeciągu dni kilku ściągnęło z różnych stron kraju do Warszawy paruset oficerów, każdy z pocztem okazałym adjutantów, ordynansów i służby.

Rozesłano uniwersały do województw, by z każdego po dwóch deputowanych przybyło do stolicy.

Ponieważ dzień imienin króla przypadał w kilka dni później, poczyniono starania, aby papież ówczesny, Pius III, święto patrona naszego, św. Stanisława, na trzeciego maja przeniósł, na co się zgodził [1]).

Radosnym gwarem zawrzała stolica w tym dniu, w którym po raz ostatni święciła Polska wielką uroczystość narodową.

Król zażądał od Niemcewicza, aby naprędce ułożył sztukę teatralną, odpowiednią do okoliczności, lub historyczną. Niemcewicz wnet zabrał się do dzieła i w przeciągu tygodnia napisał „Kazimierza Wielkiego", mając na myśli rządy ostatniej doby a przynajmniej sam tak się o wyborze tematu wyraził.

— Kazimierz, nasz wielki król, nadawca praw: w Wiślicy, przywołujący za życia na następcę berła siostrzeńca swego Ludwika Węgierskiego, najłatwiej do położenia dzisiejszego może być przystosowany.

---

[1]) W następnych latach, pod naciskiem woli Katarzyny, owa bulla papieska została cofnięta.

Zdawało się wszystkim natenczas, że na pewno Stanisław August na rzecz bratanka swego, księcia Józefa, abdykuje, tem bardziej więc temat, przez Niemcewicza poruszony, wydał się wszystkim szczęśliwie pomyślanym.

Stokrotne salwy armatnie zagrzmiały od wczesnego rana w dniu uroczystej rocznicy. Sesja sejmowa — na wzór starożytnego Rzymu — odbyć się miała po nabożeństwie w kościele świętokrzyskim, na które wpuszczano za biletami, naprzód rozdanemi.

Gwardje królewskie i kawalerja narodowa w galowych strojach, olśniewająca barwą i blaskiem, zajęła miejsca od zamku aż do Św. Krzyża.

Król w srebrnolitym ubiorze, dostojny, wytworny, z łagodną powagą w bystrem jeszcze spojrzeniu, przybył o godzinie 11-ej, witany entuzjastycznemi okrzykami tłumu, poprzedzony przez czterech marszałków z laskami w ręku, godłem piastowanego urzędu. Ciż marszałkowie sejmowi wraz z ministrami spotkali monarchę u wejścia do świątyni.

Otaczał go dwór liczny; wśród pięknie postrojonych dam wyróżniała się wdziękiem i strojem księżna Kurlandzka, postępująca wśród rodziny królewskiej.

Smukły, piękny młodzian w mundurze generał-lejtnanta, idący tuż za królem, rwał oczy wszystkich ku sobie. Biła od niego łuna młodości, pogody i wesela. Miał w obliczu i postawie coś ze średniowiecznego rycerza, a przytem maniery dworne i prostotę obejścia, pozyskujące mu serca od pierwszego spojrzenia. Nikt nie dziwił się, że król taką ma wielką do bratanka swego słabość i rad go mieć u boku swego, że mu tak wysoki powierzył posterunek, bez względu na zbyt małą jeszcze praktykę wojskową; wszelki krytycyzm zanikał wobec niewysłowionego czaru, jaki książę Józef wywierał na otoczenie.

Król przeszedł przez świątynię, zapełnioną po brzegi samymi dostojnikami. Senat, izba poselska, deputowani, wszyscy

uszykowani w największym porządku, oczekiwali na rozpoczęcie nabożeństwa. Na miejscach, wyznaczonych dla posłów brakło tylko jednego, Bułhakowa. Przedstawiciel rządu moskiewskiego pod jakimś błahym pozorem nie zjawił się wcale.

Po mszy i śpiewie, umyślnie na ten dzień skomponowanym [1]), zagajono sesję sejmową. Przemawiali marszałkowie i deputowani, osypując monarchę komplimentami i wyrażając mu wdzięczność narodu za wiekopomną ustawę 3-go Maja. Król dla upamiętnienia dnia tego mianował trzydziestu kawalerów orderu św. Stanisława.

Rozpromienieni byli żądni odznaczeń dworacy; niektórzy obdarzeni odmawiali wszelako przyjęcia niezasłużonej, według swego mniemania, nagrody. W tej liczbie był Juljan Ursyn Niemcewicz.

Następnie wszyscy z królem na czele podążyć mieli na miejsce w pobliżu Łazienek, gdzie stany postanowiły wznieść kościół Opatrzności ku wiecznej pamięci konstytucji majowej [2]).

Gdy król stanął na ganku kościelnym, ogarniając wzrokiem tłum niezliczony, zapełniający Krakowskie-Przedmieście, i z lubością przyglądał się wspaniale przedstawiającym się szwadronom Starzeńskiego i Ożarowskiego, ustawionym nawprost kościoła, nagle pióropusze oficerów zakołysały się silnym wiatrem poruszane, a tumany kurzu wznosiły się kłębami, przerażając nadobne damy, chroniące się pośpiesznie do swych karet.

Uderzono w dzwony, rozległy się znów salwy armatnie, a jednocześnie daleki huk gromu i błyskawice, przecinające raz po raz gęstemi chmurami zasnute niebiosa, zapowiadały straszną burzę.

---

[1]) Utwór słynnego natenczas kompozytora Paesellego.

[2]) W dzisiejszym Botanicznym ogrodzie jest to miejsce, wszystkim dobrze znane, gdzie rok rocznie, pomimo srogich zakazów władzy moskiewskiej, zbierała się zawsze młodzież i grono patrjotów ku zamanifestowaniu swych uczuć narodowych w dniu 3 maja.

Istotnie huragan rozszalał po chwili z taką mocą, że dachówki i szyby spadały z brzękiem na głowy przerażonych widzów.

Rozbiegano się na wsze strony w popłochu. Ulewny deszcz lał strumieniami.

Pomimo to jednak, w tak niefortunnych warunkach, odbyło się położenie kamienia węgielnego pod przyszły dom Boży. Król wsunął pod ten kamień różne monety ze swym wizerunkiem, wybite za jego panowania.

Wobec groźnej nawałnicy nikt już mów nie słuchał. Po wytwornych szatach spływała strugami woda.

— Przepadły nasze pióropusze, poniszczą się mundury; a do djaska! — klął w duchu rotmistrz Starzeński, wielce chlubiący się swym szwadronem,—i jakiż profit dla Ojczyzny z tej patrjotycznej fety?...

Połamane drzewa, pozrywane dachy przygnębiające czyniły wrażenie.

Dreszcz niepokoju i szmer jakichś wróżb złowieszczych odczuć się dawał.

Wieczorem, pod dyrekcją Bogusławskiego, odegrano „Kazimierza Wielkiego".

Sala teatralna przedstawiała się niezmiernie malowniczo, gdyż wszystkie damy przywdziały kolory narodowe, przytem słynnych piękności w tych czasach było niemało.

W lożach, udrapowane w ponsowe lub białe szaty, olśniewały wdziękiem i urodą ks. Aleksandrowa z Chodkiewiczów Lubomirska, Julja Potocka, przy której stał wpatrzony w nią, jak w tęczę, Eustachy Sanguszko; Mirska, Kossowska, krajczyna Potocka i wiele innych dam i dziewic z towarzystwa warszawskiego lub umyślnie na uroczystość przybyłych.

Młodziutki ułan, Wacław Prawdzic, któremu udało się też dostać bilet do teatru, chłonął rozmarzonemi oczyma cały ten wspaniały bukiet cieplarnianych kwiatów stolicy, ale

serce jego zadrgało mocniej, gdy dojrzał wreszcie w jednej z lóż nadobną pannę Malwinę.

Wydała mu się bardziej, niż kiedykolwiek, czarującą w białej powiewnej sukience, ponsową szarfą przepasana.

— Niema nad nią milszej na świecie!—zakonkludował— przysięgam, że ta albo żadna moją być musi!

Podkomorzy Prawdzic z małżonką przybył też z głuchej prowincji na warszawskie fety, oboje więc rozglądali się ciekawie, dziwili wszystkiemu, zwłaszcza pani podkomorzyna, która po raz pierwszy w życiu wybrała się do stolicy.

Chodziło im głównie o przyjrzenie się zbliska owej pannie sędziance, dla której syn ich zapałał gorącym afektem od pierwszego niemal spojrzenia i wciąż im o niej prawił.

Nie mieli okazji poznać jej dotąd, lecz o rodzinie Zaleskich, zamieszkałych w okolicach Włocławka, podkomorzy zasięgał już przedtem wiadomości i, dość z nich zadowolony, nie miał w zasadzie nic przeciw małżeństwu syna, byleby młodzi zechcieli poczekać na siebie lat kilka, przynajmniej do pełnoletności Wacława.

Panna Malwina bawiła od kilku miesięcy u krewnych w Warszawie. Chorąży drżał na myśl, iż otoczona tłumem wielbicieli, wybierze innego i jego marzenia rozwieją się bez śladu.

Zaliczony był do pułku przedniej straży szefostwa Karwickiego. Wzywano go do wojsk, gromadzonych na Ukrainie ku obronie ojczyzny, gdzie miał znów znaleźć się pod dowództwem generała Kościuszki. Ta nadzieja napełniała go radością; ponieważ jednak zaledwie kilkudniowy urlop zdołał sobie uzyskać, śpieszno mu było niezmiernie upewnić się, czy panna Malwinka o nim pamięta, czy mu, jak dawniej, sprzyja i wierną pozostanie?...

Musiał jednak cierpliwie czekać przerwy, aby się przedostać do loży, właśnie bowiem przybył król ze swym orsza-

kiem, ruch się zrobił na sali, za chwilę miano podnieść kurtynę.

Książę Józef dwornym ukłonem odpowiadał paniom na wdzięczne uśmiechy. Niemcewicz w obawie, czy sztuka jego znajdzie uznanie i czy dobrze jest wyreżyserowana, wbiegł szybko za kulisy przed rozpoczęciem przedstawienia, by porozumieć się jeszcze z dyrektorem.

— Gdzież Owsiński?... Gdzież nasz Kazimierz Wielki? — pytał niespokojnie, szukając wzrokiem artysty, mającego odegrać odpowiedzialną rolę bohatera sztuki.

— Zamknąłem go na klucz — odpowiedział spokojnie dyrektor Bogusławski. — Inaczej z nim nie doszlibyśmy do ładu.

Jest już ucharakteryzowany; możesz waćpan naocznie się przekonać.

I to mówiąc, ukazał mu przez drzwi uchylone artystę w płaszczu królewskim i koronie, siedzącego smętnie na krześle.

— Cóż to za sposób dziwny traktowania artystów takiej miary? — oburzył się Niemcewicz.

Bogusławski zaśmiał się cichym, triumfującym śmiechem.

— Dla dobra sztuki! — szepnął autorowi na ucho. — Pan Owsiński, dla nabrania animuszu, lubi w napoju szukać natchnienia. Mógłby sobie zbytnio pofolgować i sztukę położyć. Dziś jednak musiał *volens nolens* [1]) na trzeźwo przygotować się do występu. Będzie triumf. Zobaczysz waszmość, jak składnie pójdzie!

Istotnie „drama" ogólnie się podobała, szczególniej zapał ogarnął całą salę, gdy po wymówionem przez bohatera zapewnieniu: „W potrzebie stanę na czele narodu mego", Stanisław August wychylił się ze swej loży i zawołał dobitnie:

---

[1]) Chcąc nie chcąc.

— Stanę i wystawię się!

Grzmot oklasków był odpowiedzią na to oświadczenie monarchy.

Wierzono, że istotnie będzie iść król z narodem, naród z królem i, pełni otuchy i wiary w szczęśliwą przyszłość, rozchodzili się widzowie, powtarzając sobie ku pokrzepieniu królewskie słowa.

Książę Józef, który lepiej od innych był poinformowany o tem, co się na kresach dzieje, winien był rozumieć, że natychmiastowy jego powrót jest konieczny, że Kościuszko nie może nic przedsiębrać na własną rękę, a sztafety nie mogą zastąpić żadną miarą ustnego porozumienia w doniosłej chwili.

Mimo to nie miał siły wyrwać się z ponęt stolicy [1]).

Ostatecznie, gdy szmer niezadowolenia obił się o jego uszy, pośpieszył wysłać swych oficerów do pułku, sam zaś, pod pretekstem przemiany na dukaty sum stołowych, przeznaczonych dla generał-lejtnantów, z dnia na dzień ociągał wyjazd. Zatrzymywały go poniekąd sprawy pieniężne, ponieważ przy wielkiej szczodrobliwości i nieliczeniu się z groszem kasa jego wciąż była pusta, a także niemałą rolę odegrywały w tym razie sprawy sercowe; nie umiał oprzeć się zalotnym uśmiechom, czułym prośbom i łzom, płynącym ze ślicznych ocząt...

---

[1]) „...I pomyśleć, że książę Józef, taki ukochany przez całą młodzież, gdyby nie te uroczystości, mógł był podwoić armję, powstrzymać gorliwość Targowiczan, uratować magazyny, wzmocnić kilka pozycyj, a odniósłszy choć jedno zwycięstwo, pociągnąć za sobą całe zastępy mieszczan, chłopów i drobnej szlachty. Powaby stolicy wszystko to zniweczyły. Oprócz kilkunastu oficerów, którzy mu towarzyszyli i znali osobiście, całe wojsko i młodzież kraju o nim zwątpili, mieli go za zdrajcę, a generała Kościuszkę za jedynego zbawcę ojczyzny".

„*Na schyłku dni Rzeczypospolitej*", kartki z pamiętnika Michała Starzeńskiego (1757—1795), wyd. St. Mościcki. Warszawa, str. 85.

A dla tych samych przyczyn, za przykładem wodza, młodzi jego towarzysze narażali na szwank swój honor i pomyślność kraju, tonąc w wirze zawrotnym uciech, gdy ojczyzna wielkim głosem o ratunek wołała. „Absentowanie" się ustawiczne księcia wywierało niekorzystny wpływ na powierzone mu wojsko, tem bardziej, że horyzont polityczny zachmurzał się z dniem każdym. Dowódcy rosyjscy już w połowie kwietnia otrzymali instrukcje wojenne i natychmiast stanęli na czele wojsk swoich, a osiemnastego maja poseł rosyjski Bułhakow wręczył sejmowi oznajmienie Katarzyny, że zmuszona jest wyprawić swe wojska do Polski, gdyż nie może pozostać nieczułą na rozpaczliwe zażalenia wielkiej liczby Polaków, pragnących odzyskać wydarte im prawa do wolności.

Nazajutrz wkroczyły wojska rosyjskie do Polski. Od Ukrainy trzy korpusy Kochowskiego, z którym szli Potocki Szczęsny, Rzewuski Seweryn i Branicki Ksawery, od Litwy korpus Kreczetnikowa.

„Wszyscy ci, którzy przyjmą wojsko moje ochoczo — brzmiał nakaz carycy — nie będą się mieli niczego obawiać, przeciwnie, ci, którzy uporczywie zostaną przy błędach i zaślepieniu swojem, nie wyrzekną się Konstytucji trzeciego maja, nie zaprzysięgną zniesionych przez nią praw i swobód, tacy zaślepieniu tylko swemu przypisać będą musieli nieszczęścia, które ich czekają".

Zgromadzenie stanów przyjęło deklarację z godnością i pozornym spokojem. Wnet jednak przedsięwzięto środki energiczne. Pułki miały być natychmiast dopełnione, zaciągniono dwa pułki Tatarów i dwa kozaków i uchwalono pożyczkę dwudziestu miljonów złotych na cele wojenne.

Wszystko to, coprawda, przynajmniej o rok wcześniej należało przedsiębrać w przewidywaniu grożącego niebezpieczeństwa, jak to doradzał Kościuszko, aliści w ostatniej chwili niezmiernie trudno było dobre zamiary uskutecznić.

Rozesłano po całym kraju odezwę do narodu, wydaną w imieniu króla i marszałków sejmowych, zawiadamiające o wypowiedzeniu wojny. Potępiano w niej „bezecnych zdrajców, oddanych Moskwie, chcących ojczyznę swą poświęcić", i zachęcano gorąco do walki z najeźdźcami.

„Znacie, obywatele, i niebezpieczeństwa wasze, i możność odwrócenia ich. Niech miłość ojczyzny rozpłomienia serca wasze — brzmiały ostatnie słowa tej odezwy — niech ogniwa braterskie złączą was w jeden łańcuch. Król wasz pała żądzą wylania za ojczyznę tej krwi, którą na łonie jej wyssał; nie lęka się on wystawić na hazardy walk osiwiałej wiekiem głowy!

Idźcie za jego chorągwią, jest ona godłem honoru. Niech bohaterskie ubieganie się jednych z drugimi zapali nas wszystkich ogniem męstwa, wytrwałości i zgody, a znikną wszystkie przeciwności, a potomkowie, szczęśliwi poświęceniem się swych poprzedników, błogosławić was będą".

Odezwę tę kazano wpisać w akta wszystkich komisyj wojewódzkich, rozesłać po miastach i przez cztery niedziele głosić z ambon ludowi. Przytem zwrócono się do dworów wiedeńskiego i berlińskiego, ale posłowie nasi bardzo niepocieszające przywieźli wieści: Austrja w obawie wojny z Francją zapowiedziała, że w sprawy polskie nie ma czasu się wdawać, a przypomnienie przyrzeczonej z Prus pomocy wywołało wymijającą odpowiedź króla Fryderyka:

— Odmieniły się okoliczności!...

Jasne było, że trzeba liczyć wyłącznie na własne siły.

* * *

Wacław Prawdzic był jednym z nielicznych oficerów, którzy na pierwszą wieść o potrzebie krajowej pośpieszyli do obozu, nie czekając końca urlopu.

Tem więcej mu to za zasługę poczytać można, że ów wypieszczony i ukochany jedynak rozstawał się tym razem

na czas nieokreślony nie tylko z rodzicami, lecz i ze swoją narzeczoną.

Zrękowiny młodziutkiej pary nastąpiły w pośpiesznem tempie dzięki właśnie wypowiedzianej wojnie, gdyż uczucie panny Malwinki zdeklarowało się wyraźnie wobec rychłego wyjazdu podkomorzyca na front.

Podczas opisanego wyżej przedstawienia galowego w stolicy sędzianka powitała wchodzącego do loży chorążego z tak radosnym rumieńcem i błyskiem w oku, tak widoczne okazywała następnie wielkie zaniepokojenie o jego życie, gdy była mowa o powołaniu go na pole walki, że nie można było wątpić o jej szczerem uczuciu.

Przedstawiła go ciotce oraz miłym i wesołym kuzyneczkom, u których gościła, a zwracając się do jednej z nich, dodała rozpromieniona:

— To właśnie, Zosieńko, ten sam pan chorąży Prawdzic, co mi w szlifowanej mowie na pamiątkę włocławskiego karnawału ów piękny wiersz do sztambuchu wpisał.

— Domyśliłam się odrazu, że to nie kto inny, tylko pan podkomorzyc Prawdzic być musi—odrzekła panna Zofja z uprzejmym uśmiechem.—Malwinka nieraz o waćpanu nam wspominała.

— Wdzięcznym nieskończenie — szepnął zmieszany nieco, lecz rozradowany niezmiernie uprzejmością dam chorąży. — Czyż mogłem marzyć o takiej łaskawości, aby moja mizerna persona była wspominana w tak uroczem gronie?...

Mówiono chwilę o sztuce, o obecnych na przedstawieniu; panie, zamieszkałe w stolicy, każdego niemal umiały wymienić po nazwisku.

— Panna sędzianka ma teraz licznych znajomych wśród młodzieży warszawskiej — rzekł Prawdzic, nie mogąc ukryć zazdrosnych spojrzeń, gdy kilku urodziwych młodzieńców zbliżało się kolejno do loży dla złożenia paniom swej czołobitności.

Ale Malwinka, pochylając wdzięcznie główkę ku siedzącemu za jej krzesłem chorążemu, zwierzyła mu się za wachlarzem:

— Żebyś waćpan wiedział, jak mnie nudzą te stołeczne fircyki!...

— Być że to może?... — zawołał Wacław, wielce rozradowany i zdumiony takowem oświadczeniem sędzianki. — I mnie, rzec prawdę, okrzyczane piękności Warszawy nie trafiają do gustu; widzi mi się, iż na prowincji jakoś piękniej, bez zwodnej, zewnętrznej ozdoby każda z pań wygląda!

— Czy i mnie, uważasz waszmość, na niekorzyść zmieniła stolica? — rzuciła sędzianka z zaciekawieniem, ale naraz spostrzegłszy, że wygląda to na zalotne do komplimentu wezwanie, zarumieniła się po same białka i spuściła oczy.

— Waćpanna jesteś jak czarodziejska zjawa, ku radości i szczęściu stworzona; jasnością jesteś i blaskiem, których nic przyciemnić nie zdoła! — odrzekł rwąco, bez namysłu młodziuchny oficer.—Przyjechałem, by nadzieję wzajemności ubłagać; molestuje o nią pokorny jej sługa.

Uśmiechnęła się panna sędzianka, wachlarz do ust przykładając, jakby dając do zrozumienia, że nie czas i miejsce tutaj sentymenty swe wyjawiać, poczem rzuciła figlarnie:

— Waszmość nawykł jechać cwałem...

— O tak, cwałem, wprost do celu! — zawołał Wacław z brawurą, ściskając rękojeść szabli — a gdy fortunną pewność osiągnę, pójdę spokojny w ogień, w piekło same, na ratunek ojczyźnie kochanej!

Ciotce panny Malwiny podobał się podkomorzyc z gładkich manier i ujmującej powierzchowności. Upoważniła go do odwiedzenia ich nazajutrz, a panny zaprosiły z wesołym chichotem do towarzyszenia im przy robieniu *amplet* [1])

---

[1]) Sprawunków.

w sklepach, gdyż wybierały się wieczorem na jakąś zabawę.

Uszczęśliwiony chorąży napomknął, że rodzice jego przybyli umyślnie do Warszawy, aby go pożegnać przed odjazdem do obozu. Uprzejme damy wyraziły życzenie zapoznania się z podkomorstwem i nastąpiło tak upragnione przez Wacława spotkanie.

Był teraz w siódmem niebie.

Z jakimże niepokojem w duszy pędził do stolicy! Ile nocy bezsennych spędził po odjeździe panny sędzianki z Włocławka, w obawie, że zapomni o nim wśród nawału nowych wrażeń, a tymczasem okazało się, że oddalenie zbliżyło ich więcej, niż w najśmielszych marzeniach Wacław przypuszczał i roił.

Malwinka widocznie za nim tęskniła, przypuszczając, iż młodociana miłość „jej rycerzyka", jak go żartobliwie nazywano, ochłodnie pod wpływem rozłąki.

Nic nie wiedzieli o sobie przez rok prawie.

Wacław pisać wprost do panny nigdyby się nie ośmielił, a nie znał jej nowego otoczenia.

Malwinka miała tylko ustne przez przyjaciółki swe relacje, że chorąży Prawdzic po jej wyjeździe posmutniał ogromnie i pomimo że był zawołanym tancerzem, w żadnej zabawie udziału wziąć nie chciał.

Odczuła, że był to rodzaj żałoby serca po niej, pochlebiało to niezmiernie szesnastoletniej panience, że się nią ktoś tak żywo zajmuje.

W stolicy miała dokończyć edukacji, polegającej głównie na płynnej konwersacji francuskiej i tańcach salonowych.

Czuła się otoczona troskliwą opieką, jednak z tkliwością myślała o domu rodzinnym i nieswojo jej było w stołecznym gwarze.

Z Wacławem była śmielsza, niż przedtem, bo stanął przed nią, jak żywe wspomnienie miłego jej Włocławka, jak

ktoś swój, wśród obcych spotkany. Przypominali dawne z przed roku dzieje, mieli sobie tyle różnych rzeczy do opowiadania. Ciotka śmiała się pobłażliwie z tego bogactwa różnych wspomnień młodej pary, co chwila bowiem słychać było: „A pamięta waszmość?... A przypomina sobie waćpanna?..." jakgdyby co najmniej pół wieku liczyli sobie.

*

* *

— Niczego, niczego, wcale urodziwa ta twoja sędzianeczka! I dorzeczna! — rzekł podkomorzy Prawdzic, gdy Wacław, odchodząc od przytomności z nadmiaru ukontentowania, wpadł do rodziców z oznajmieniem, że sędzia jutro przybywa i że Malwinka przyrzekła go uprosić, aby jeszcze przed odjazdem Wacława odbyły się zaręczyny, w takim bowiem razie będą mogli pisywać do siebie i nikt im tego za złe poczytywać nie będzie.

— Jestem tak szczęśliwy, tak szczęśliwy, że radbym świat cały do serca przycisnąć — wołał chorąży, a przypadłszy do kolan matczynych, jął tulić ją i pieścić, jak za lat chłopięcych zwykł czynić.

Pani podkomorzyna miała pełne łez oczy.

— Jeszcze tylko dziś i jutro będę się cieszyła twym widokiem, syneczku, i to krótko, bo więcej u tej tam swojej Malwinki, niż u nas, przesiadujesz — szepnęła ze smutkiem, przyciskając płową głowę syna do piersi.

— A pojutrze o świcie na koń, matusieńko, na koń, na bujną Ukrainę! Wrócę do was, okryty sławą, może kulejący, może pokiereszowany, a może i nie wrócę wcale!...

— Rany Boskie! Nie gadajże tak, nie gadaj, serca mi nie rozżalaj! — zapłakała podkomorzyna.

— A jeśli jako zwycięzcy wkraczać tu będziemy niebawem, triumfujący, weseli, matusieńce futro sobole, na Moskalach zdobyte, pod nogi rzucę; ojcu rumaka wspaniałego

przyprowadzę, a Malwince mojej diamentową przepaską główkę opaszę!

To mówiąc, Wacław zerwał się na równe nogi. Rycerski animusz zawrzał mu w duszy. Brzęknął ostrogami, szablą ukłon oddawszy pani matce, jął manewrować orężem, jakby wymierzając niewidzialnemu wrogowi cięcie w samo serce.

— Jak wsiądziemy Moskwie na kark, przegonimy to hultajstwo za dziesiątą górę! Nie jednemu łeb utrącę! — przechwalał się zuchowato młodzieniaszek, a oczy błyszczały mu, jak u żbika.

Potem nagle, przerzucając się znów do spraw osobistych, rzekł cicho, jakby z łezką w głosie:

— A jeśli umrę, to wy ją, jak córkę, kochajcie, przez pamięć na mnie!... Może cieniem do was wrócę...

Podkomorzyna głośno zaszlochała.

— Słuchajno, błaźnie! Jak będziesz mi tu matkę widmami straszył, to, jakem Prawdzic — huknął podkomorzy — jakem Prawdzic, takie ci tu sprawię lanie, że... że popamiętasz...

Wzniół rękę i pogroził palcem, jak niesfornemu dzieciakowi!

Urwał, bo głos mu się załamał, na sercu jakoś się rzewnie zrobiło... W sekundę potem zmógł się i rzekł z mocą:

— Dużo nam dziś sił, dużo mężnych serc, dużo ufności w świętość sprawy potrzeba. Ty to sobie dobrze, chłopcze mój, w pamięci zakonotuj! Nie roztkliwiaj się i życia dla ojczyzny nie żałuj! Ale tobie te ślipki Malwinki całkiem rozum pomieszały. Gadasz jak *in delirio*,[1]) a serce ci, jak wosk, rozmiękło!

— Dajże mu pokój, Benedykcie — mitygowała podkomorzyna.—Toć wolno chyba dziecku przed rodzicami szczerze, jak przed Bogiem, duszę otworzyć! A ty zaraz na niego...

---

[1]) W gorączce.

— Na niego, na niego! — przedrzeźniał ją podkomorzy, gładząc spoconą ze wzruszenia czuprynę. — A pani matka zaraz w obronę bierze gagatka! — zaśmiał się jowjalnie z przygodnego rymu. — Już gotowa znów w płacz uderzyć!

Poklepał syna po ramieniu, dodając:

— Dufam, iż mi się, chłopcze, chwacko spiszesz, wstydu ani nam, ani tej swojej jagódeczce, Malwisi, nie zrobisz!

Po chwili, jakby sam przed sobą trzymając stronę syna, dodał:

— Co tu gadać! Moja krew! I ja w twoim wieku, Wacusiu, do kochania byłem skory, a jak pokochałem, to już statecznie i na zawsze. Kasieńko, pamiętasz?... Powiedziałem ci wówczas, przyklęknąwszy pod przydrożnym krzyżem, gdyś chabrowy plotła wianek: „Panno Katarzyno! Kasieńko! Ty jedna, żadna inna nigdy, tylko ty!" I dotrzymałem słowa, tak mi, Boże, dopomóż we wszystkich zamysłach.

Podkomorzyna przytakiwała głową z błogim uśmiechem.

— Jak to wszystko, zda się, niedawno było, mój Benusiu! — rzekła z łagodnym smutkiem w głosie — a oto już ten nasz mały o zakładaniu własnego gniazda zamyśla! Jak ten czas leci, jak leci!...

Imć pan Benedykt Prawdzic, podkręcając dziarsko wąsa, podszedł posuwistym krokiem ku swej Kasieńce i, założywszy jedną rękę za pas lity, a drugą wziąwszy się w bok, zawołał wesoło:

— Wczesnego ożenku rzadko kto żałował. Exemplum [1]) ja, mosterdzieju, dwadzieścia latek przeszło, jak z bicza trzasł, a jakem moją Kasieńkę sobie umiłował, tak i po dziś dzień miłuję!

Owego „mosterdzieju" pan podkomorzy używał tylko w chwilach jakiegoś szczególnego podniecenia lub dobrego humoru.

---

[1]) Naprzykład.

— Więc nieodmiennie już pojutrze jechać musisz?—zapytała podkomorzyna, wpatrując się z niepokojem w twarz syna.

— Nie muszę, bo urlop mój dopiero za dni cztery się kończy, lecz powinienem i pojadę — odpowiedział Wacław z niezwykłą powagą.

Matka westchnęła ciężko, a Wacław ciągnął dalej:

— Gdym Malwince oświadczył, że mam prawo pozostać dłużej, wszelako zeń nie skorzystam, bo w obecnych czasach każdy dzień jest drogi, otworzyła zrazu oczęta szeroko, jakby uszom własnym nie wierząc, poczem poskoczyła ku mnie i, podając mi obie rączki, zawołała: „Dumna jestem z mego wyboru! Takim pragnęłam widzieć waćpana, takiego Wacława jeszcze bardziej kocham!"

— A niechże ją!...—wykrzyknął podkomorzy, strzeliwszy palcami z uradowania. — To mi zuch dziewczyna! Czybyś ty, Kasieńko kochanie, w jej latach zdobyła się na tyle hartu? — rzekł, zwracając się do żony i gładząc ją pod brodę. — I z ciebie też rad jestem, Wacławie, jako żeś nie zgłupiał z kretesem od tych amorów, a powinność nad wszystko przenosisz! Cofam, com rzekł o sercu, niby wosk, rozmiękłem, bo widziałem, że cię to ubodło do żywego. Tak, synu, wszystko na bok iść powinno, gdy ojczyzna przyzywa. Idź, walcz i zwyciężaj. Tyś moja krew. W tobie daję ojczyźnie, co mam najdroższego! *In Illo tempore* [1]) i jam był chwat, alem już zestarzał i zaśniedział na roli. Wam młodym przystoi imię Polski podnieść i do należytego powrócić znaczenia, aby nam wszystkim rozpogodziło się w duszach, zagrało w piersiach hejnał lepszych dni! Niech się już obce natręty, jak szare gęsi, u nas nie rządzą! *Polska dla nas i my dla Polski!* Dixi! [2]) Dość już tej cudzej opieki i upokorzeń! Idź, idź, synu, niech cię Bóg wiedzie szczęśliwie i Matka Boska Częstochowska od złego strzeże!

---

[1]) Niegdyś. [2]) Powiedziano.

*

* *

Książę Józef w połowie maja był już w obozie nieopodal mołdawskiej granicy, wydając pośpieszne rozporządzenia, aby odzyskać opinję zapobiegliwego i gorliwego wodza. Zrywał się o świcie i wnet dosiadał konia, by obecnym być podczas mustry żołnierzy; następnie przyjmował raporty i moc przeróżnych interesantów. Do obozu jego codziennie przybywała młodzież zbrojna, przyprowadzając po kilku lub kilkunastu ludzi na dobrych koniach, zapisując się na ochotników, zwanych natenczas z francuska wolontarjuszami.

Po śniadaniu odbywały się narady z generałami i oficerami sztabu; gońców nieustannie słano do Warszawy i z powrotem.

Książę rozkazał wszystkie mosty na Bohu zniszczyć, a promy i łodzie na prawy brzeg rzeki sprowadzić.

Województwa kijowskie, bracławskie i wołyńskie przysłały do obozu po dwóch komisarzy z Komisyj cywilno-wojskowych na czas kampanji. Książę Józef kazał jednemu z nich udać się ze szwadronem do Tulczyna i zabrać zasobny arsenał Potockiego, by go przetransportować do fortyfikowanej naprędce twierdzy w Połonnem, a ludzi i konie przywieść do obozu.

Moszczyński [1]) mu zwerbował ze trzystu ludzi piechoty, około dwustu ułanów i pół setki kozaków. Armaty, proch i uzbrojenie na tysiąc ludzi dostawił.

Przybyło też księciu sporo kozaków z Korsunia, Granowa i Berszady. Czartoryski nadesłał ich czterystu z całem uzbrojeniem i moderunkiem.

Księciu Poniatowskiemu ogromnie lud ukraiński przypadł do gustu. Słabość wprost miał do tych dziarskich i rosłych „mołojców", z których uformował pułk *„wiernych kozaków"*,

[1]) Z województwa bracławskiego.

składający się z dziesięciu secin. Umundurowanie sporządzić kazał jednolite: karmazynowe żupaniki i czarne kontusze. Czterdziestu najdorodniejszych przybrał do swego boku, aby trzymali straż przed sypialnym namiotem.

Od czasu, gdy książę Józef mianował się atamanem kozaków polskich, mając zamiar wcielić ich do gwardji, począł nosić ową burkę z sierści wielbłądziej, przywiezioną mu z Astrachania, którą tak polubił, że do końca życia z nią się nie rozstawał, w niej też w Elsterze śmierć znalazł.

Wysłał książę pułkownika Piotrowskiego z paruset kozakami i komisarzem Ochockim, aby zabrali z fortecy berdyczowskiej załogę, działa i amunicję całą.

Ściągano też ze wszech stron zdatnych do służby ludzi. Jan Duklan Ochocki [1]), pełen werwy i animuszu młodzian, oprócz nakazanych przez naczelnego wodza rekwizycyj, zdobył w Berdyczowie trzydziestu muzykantów i właśnie w tym czasie, gdy książę główną kwaterę w końcu maja przeniósł do Ułanowa, zrobił mu niespodziankę i orkiestrę, z Ukraińców złożoną, ku niezmiernej radości „wiernych kozaków" do obozu przywiódł, a kupcy berdyczowscy pośpieszyli ofiarować umundurowanie oraz instrumenta dęte, przytem przywieźli suty poczęstunek do biwaków kozackich. Książę nawzajem hojnie ich ugościł, z dziecinnem ukontentowaniem przyjmował owacje podchmielonych mołojców, pozwalając im podrzucać się w górę na wiwat, Ochockiego zaś chciał w randze podpułkownika przy sobie zatrzymać, chociaż ten nigdy przedtem w wojsku nie służył.

Za każdem pojawieniem się księcia Józefa witała go ta drużyna kozacka ochoczym okrzykiem:

— *Zdorow, bat'ku Josype! Zdorow, bat'ku atamane!* [2])

---

[1]) J. D. Ochocki, autor „Pamiętników" (wydanych przez J. I. Kraszewskiego).

[2]) Zdrowia życzymy, ojcze Józefie! Zdrowia życzymy, ojcze atamanie!

Wogóle w obozie księcia było wciąż huczno i gwarnie. Obok sypialnego namiotu stał drugi, obszerny, w którym odbywały się narady wojenne, dalej kancelarje; w innym znów, przeznaczonym na jadalnię, oprócz licznej, stale otaczającej księcia świty, zasiadało codziennie do stołu po kilkadziesiąt osób. Tytoń stał w workach skórzanych, z których wszyscy czerpali, jak ze swego, paląc nieustannie „lulki" czyli fajki.

Przyjaciele i towarzysze księcia Józefa rządzili tu według upodobania, służba podawała, co tylko kto zażądał, gdyż naczelny wódz był nader szczodry, łaskawy i dla oddanych sobie pobłażliwy. Bartłomiej Giżycki, jako adjutant i powiernik, rej wodził, zwłaszcza przy obiedzie, gdy sypały się dowcipy, jak z rękawa. Nieraz i o generale Kościuszce padło złośliwe słowo. Barcio przedrzeźniał go, lub o sentymencie dla młodziutkiej chorążanki w humorystyczny sposób się wyrażał. Różne prawdziwe i zmyślone anegdoty opowiadała sobie ta hulaszcza, lekkomyślna młodzież, następnie zabawiano się grą w karty i w koście jakby posuwanie się armji moskiewskiej było tylko jakąś polityczną krotochwilą, a nie smutną rzeczywistością.

Wszelako wiadomem było, że już Tulczyn wojska rosyjskie zajęły, że tam generał Kachowskij kwateruje, a z nim Potocki i Branicki przebywają, że Targowiczanie prowidują miasteczko obficie w oczekiwaniu znaczniejszych sił nieprzyjacielskich. Następnie doniesiono, że stutysięczna armja coraz więcej się zbliża. Poniatowski z Ułanowa wyruszył do Lubaru. W województwie bracławskiem zapanował popłoch wielki. Obywatele na odgłos Targowicy i ruchów wojennych opuszczali swe siedziby, szukając bezpiecznego dla rodzin swych i dobytku schronienia.

Pomimo że Targowiczanie zapewniali, iż bezbronnych prześladować nie myślą i dążą tylko do przywrócenia porządku, uchwałą z dnia 3-go maja zburzonego, nikt jakoś temu nie chciał dawać wiary.

Król Stanisław August zapowiadał kilkakrotnie swoje przybycie do obozu, ale, rozmiłowany w wygodach, lękał się, czy będzie mieć tam kuchnię tak wykwintną, do jakiej nawykł, i wiele innych błahych powodów przyczyniało się do ociągania z wyjazdem, przedewszystkiem zdawało mu się, że do wojny nie przyjdzie, że Katarzyna w ostatniej chwili cofnie swe rozkazy. Jednak ustanowił w tym czasie, za poradą bratanka, order *Virtuti Militari* za zasługi wojenne. Takich odznaczeń wysłał kilkaset na ręce księcia Józefa wraz z patentami dla ich wypełnienia. Zaszczytne to odznaczenie stało się w następstwie bodźcem dla wielu bohaterskich czynów, było ono bowiem rozdawane wyłącznie jako nagroda za waleczność, gdy tymczasem inne ordery łatwo zdobywano za pieniądze.

Wnet po zdaniu przez Kościuszkę dywizyj kijowskiej i bracławskiej księciu Józefowi po jego powrocie z Warszawy książę utworzył trzy dywizje, mające odpierać takoż w trzy oddziały kroczącego nieprzyjaciela. Jedną z nich powierzył Wielhorskiemu, drugą Grochowskiemu, trzecią zaś sam dowodził, broniąc wejścia od południa.

Tymczasem Lewanidow, dywizjoner rosyjski, przekroczył granicę pod Kijowem. Kościuszko z bardzo nieznacznemi siłami, rozrzuconemi na pograniczu Wołynia i Ukrainy, musiał stawić opór. Według zdania generała, podział na trzy dywizje był zupełnie niefortunnie pomyślany, gdyż należało co najrychlej połączyć się, aby na jedną rosyjską uderzyć i zbić ją, nie dopuszczając do dalszych kroków, lub też cofać się w porządku w oczekiwaniu na pomoc dywizji wołyńskiej oraz ks. Wirtemberskiego.

Książę Józef uważał, że natarcie jest niemożliwe dla braku rezerwy, przedsięwziął więc odwrót ku Połonnemu, gdzie ściągnięta armja ukraińska miała się obwarować. Forteca ta jednak okazała się do obrony nie zdatną i trzeba było jeszcze kilka tygodni usilnej pracy dla przyprowadzenia jej do nale-

żytego porządku. Podczas nocnej przeprawy z Lubaru do Połonnego kolumna Wielhorskiego, zaskoczona przez Moskali na grobli pod Boruszkowcami, poniosła dotkliwe straty; znaczną część taboru zabrano.

Książę Józef po zebraniu rady wojennej zdecydował się opuścić Połonne i prowadzić dalej wojsko, nakazawszy jak najprędzej wywieźć stamtąd nagromadzone prowjanty i amunicję, a co się nie dało zabrać, na miejscu zniszczono. Płonęły magazyny zbożowe, oświetlając krwawą łuną okolicę.

Podążały tymczasem kolumny wojsk nieprzyjacielskich jednocześnie od południa i od północy, w zamiarze otoczenia armji Poniatowskiego i zmuszenia go do złożenia broni.

Położenie było ciężkie.

Żadnej walnej bitwy jeszcze nie stoczono, niebezpieczeństwo jednak zdawało się nieuniknionem.

Kachowskij i Lewanidow mieli zadanie niezbyt trudne do spełnienia wobec trzy razy przeważającej swej siły; niedołężnie jednak brali się do dzieła, dzięki temu plany ich zostały pokrzyżowane. Kościuszko doskonale manewrował pod Czartorją, w pobliżu Lubaru zagradzając Lewanidowowi drogę i dając w ten sposób możność Poniatowskiemu przeprowadzić bezpiecznie wojska. Tak samo ważną mu oddał przysługę, gdy, zostawiony w arjergardzie przy wyruszeniu z Połonnego, zajął stanowisko obronne, osłaniając odwrót, poczem, nie atakowany przez Lewanidowa, mógł połączyć się w Szepetówce z księciem Józefem, dążącym do Zasławia w dalszej swej rejteradzie ku Warszawie.

W Zasławiu stała już w pogotowiu dywizja wołyńska ks. Lubomirskiego, składająca się z czterech tysięcy kilkuset ludzi. Na uformowanie się tej dywizji oczekiwał książę Józef z pewnem zniecierpliwieniem, zarzucając opieszałość.

Od miesiąca przeszło trwało to upokarzające cofanie się armji, podczas którego, oprócz nieszczęśliwej utarczki boruszkowickiej, zginęło też marnie kilka drobnych oddziałów

kawalerji, wysyłanych na zwiady, a tak niefortunnie prowadzonych, że Moskale jeden po drugim pobili. Wojsko polskie, złożone przeważnie z nowozaciężnych, traciło ducha, a każdy krok wstecz budził szmer niezadowolenia.

Poniatowski czuł się znużony i przygnębiony. Rozlokowawszy się na chwilowy odpoczynek w Szepetówce, usiadł nad rozłożoną mapą, studjując mało znany sobie teren, po którym posuwać się wypadnie. Dochodził go zdala gwar głosów zmieszanych, brzęk ostróg i szabel, rżenie koni; czasem rubaszny wybuch śmiechu lub dosadne zaklęcie któregoś z „wiernych kozaków".

W tej chwili wszedł generał Wielhorski.

Książę powitał go uprzejmem skinieniem.

— Czekałem cię, Michale—rzekł. — Tak mi jakoś mroczno na duszy!... Wszystko obmierzło!...

Potarł ręką czoło, jakby odganiając myśli natrętne.

Wielhorski siadł obok niego i spojrzał mu bystro w oczy.

— Dobrze nie jest — mówił zwolna — smutne doświadczenie uczy, że nasze wojsko dla braku zdolnych oficerów jest jeszcze niczem!

— Sądzisz, że mnie to nie trapi?... — odrzekł książę Józef z żywością—ale skąd ich wziąć, tych zdolnych, tych mądrych, tych przezornych, tych służbistów wzorowych?

— Bah! Skąd?... Tacy nie rodzą się, jak grzyby po deszczu — uśmiechnął się gorzko generał — ale można ich urobić sobie, jak to czyni Kościuszko. Ma przy sobie takiego Fiszera, Kniaziewicza i tylu innych, którzy pod jego kierownictwem wyćwiczyli się na dzielnych oficerów, stokroć lepszych od wielu, mających za sobą długoletnie doświadczenie. Ale ty, Pepi, przekładasz szarmanckich towarzyszy zabaw nad ludzi zasługi, nad tych „statecznych", których nieraz wyśmiewają twoi kamraci.

Zatrzymał się chwilę, śledząc wyraz twarzy młodego wodza, i wnet dodał:

— Nie gniewaj się, że ci mówię prawdę w oczy, ale tak jest w istocie, hałastry rozmaitej przewija się tu bez liku.

Książę Józef podniósł swe piękne wyraziste oczy na kolegę i rzekł smętnie:

— Wiesz dobrze, Michale, jakim jestem. Znasz mię oddawna. Podczas szturmu na Szabacz biliśmy się mężnie; szło się wówczas naoślep, wypełniało rozkazy. W armji austrjackiej czułem się dzielnym bojownikiem. Aleś świadom również, że wymawiałem się od przyjęcia komendy naczelnej w obecnych warunkach. Odpowiedzialność wielka na mnie spoczywa! Zaczynam wątpić, czy podołam?...

Westchnął i, zerwawszy się z miejsca, przeszedł się parę razy wszerz i wzdłuż, jakby coś ważąc.

— Należałoby działać energiczniej, sprężyściej. Trzebaby choć jednem zwycięstwem podnieść ducha żołnierzy—mówił Wielhorski z ogniem w oku.

— Słusznie konkludujesz. — Powinnoby się przez ten czas uczynić coś więcej, niż rejterować w porządku pod naciskiem ślipiów wrażych, ku nam ogniem ziejących, wciąż następujących nam na pięty „czortiahów", jak ich mój Semen nazywa! Kto wie nawet, czy nie należało mi posłuchać Kościuszki i całą siłą uderzyć na jedną kolumnę! Mogęż jednak objawić wszem i każdemu, że jestem skrępowany rozkazami stryja? Mam sobie polecone najwyraźniej: „nie atakować nigdzie, bronić tylko i utrudniać przeprawy aż do punktu, gdzie się z wojskiem litewskiem połączyć wypadnie". Rozumiesz, jak trudno mi wobec tego działać swobodnie. Cóżbyś uczynił na mojem miejscu? Cobyś wybrał, Michale?— nacierał nań książę Józef niecierpliwie.

— Wolałbym działać wbrew woli stryja, niż wbrew głosowi rozsądku i powinności — odrzekł Wielhorski, wytrzymując badawcze spojrzenie towarzysza broni z pełnym powagi spokojem.

— Mało cię jeszcze na boruszkowieckiej grobli poturbowano? — zaśmiał się trochę sztucznie Poniatowski; gdybym ci z pułkiem Kościuszki nie pośpieszył z pomocą, byłbyś tam wraz ze sztabs-kapitanem Bilińskim, Mohortem i tylu innymi pod zawalonym mostkiem zginął! [1])

— Ha! Cóż robić? Szkoda ludzi i strat poniesionych — westchnął Wielhorski. — Dwustu poległych, siedem armat i kilkadziesiąt koni. Nie moja wina! Błąd był w tem, że nie obejrzano przedtem tej przeprawy, a krzaki i zarośla dały nieprzyjacielowi możność porobienia zasadzek. Byłoby się wszystko ocalić dało, gdybyśmy zawczasu byli uprzedzeni, że most na tych podłych bagnach i trzęsawiskach podcięto! A czy nie mówiłem ci ustawicznie, że przy wojsku regularnem trzeba mieć wywiadowcze, lekko uzbrojone oddziały, któreby pełniły nieocenione usługi, jak w wojsku austrjackiem Pandury i Kroaty, co, zanim kolumna wyruszy, rozsypują się po okolicy i najdokładniejsze o każdem drzewie w lesie, o każdym przydrożnym kamieniu znoszą wieści. Moskale mają wyćwiczonych w tem rzemiośle Dońców i Kałmyków, u nas zaś kilkudziesięciu kozaków Czartoryskiego i Karwickiego, trochę milicji stebelskiej księcia Jabłonowskiego, cóż to znaczy? Kropla w morzu!

Książę Józef słuchał dowodzeń Wielhorskiego z natężoną uwagą i zachmurzonem czołem.

---

[1]) Generał Zajączek w «Pamiętniku» swym zapewnia: «kolumna Wielhorskiego byłaby zupełnie zniesioną, gdyby jej Kościuszko nie przyszedł z pomocą». *W księdze Wspomnień* Alfreda Młockiego też czytamy, że: «Gdy uciekające tabory wpadły na kolumny nasze, cofające się przez długą groblę pod Boruszkowicami, wśród powstałego stąd nieładu i popłochu, przytomność i dzielność Kościuszki ocaliła tylko wojsko nasze od zupełnego rozbicia» (str. 357). Jednakże sam Kościuszko przypisuje zasługę księciu Józefowi i nie mamy racji mu nie wierzyć, gdy zapewnia: «Książę, wziąwszy pułk z mojej dywizji, sam pobiegł w kierunku strzałów», chociaż można też przypuszczać, że, skromnością powodowany, o swojej przemilczał zasłudze.

Chwilę trwało milczenie, poczem książę klasnął w dłonie. Ukazał się ordynans, któremu rzucił rozkaz:

— Niech nam tu podadzą wina i ognia wykrzesz do lulki!

Gdy zabrzęczały kielichy i wniesiono butelki, major Giżycki wszedł krokiem pewnym i śmiałym i, pochylając się do ucha księcia, szepnął poufale:

— Wiem już, kto jest ta sarenka, która księciu w lesie podała jagody.

Książę Józef brwi ściągnął.

— Opowiesz mi później, majorze — rzucił pośpiesznie.

— Przepraszam, mocno przepraszam, *mille pardons* — zawołał, lekko skłaniając głowę, urodziwy major i, jakby urażony, zwrócił się ku wyjściu, mówiąc:

— Rozkazałeś mi, mości książę, niezwłocznie zdać raport, dlategom ośmielił się wejść niewezwany.

— Dobrze już, dobrze. Nie odchodź i wychyl z nami węgrzyna szklanicę, Bartolome, rzekł książę Józef, którego wesoły Barcio zawsze w dobry humor wprowadzał.

— Bardzo chętnie, dla ochłody na te gorące czasy — odrzekł major, podnosząc do ust szklankę.

— Uradziliśmy tu, Barciu, wysłać cię na objazdkę — zażartował książę, łatwo, jak zazwyczaj, przechodząc w ton wesoły. Mógłbyś spenetrować okolicę i szwadron nadobnych Wołynianek nam sformować.

— Wracam właśnie z rekonesansu—uśmiechnął się major. — Według rozkazu księcia — dodał z naciskiem.

Gdyby temu dać władzę—rzekł Poniatowski, zwracając się do Wielhorskiego i jakby puszczając mimo uszu odpowiedź majora — wojnaby się wnet skończyła, parol ci daję!

— W jaki sposób? — zagadnął generał poważnie, orzucając Giżyckiego surowem spojrzeniem.

Barcio stał wciąż jedną ręką o stół wsparty, drugą szklankę trzymał i wpatrywał się pod światło w napój, uśmiechając się jakby do swych myśli.

— Wyłuszcz nam śmiało swe zapatrywania na stan rzeczy — zachęcał książę.

— Moje zdanie nie jest odosobnione, podziela je wielu, znasz je zresztą dobrze, mój książę — rzekł Giżycki. — Nie taję, że uważam za nieroztropne wieść walkę z nieprzyjacielem o tak przeważającej sile. Najpewniejszy byłby środek żądać niezwłocznie zawieszenia broni.

— A potem?... — zagadnął Wielhorski.

— *Ça ira!...* [1]) Wszak, właściwie mówiąc, jest to wojna nie Rosji z Polską, lecz familji Potockich: pan Szczęsny walczy przeciw panu Ignacemu, my bronimy pana Ignacego. *C'est tout!* [2]).

— Dobry żart tynfa wart, powiada dawne przysłowie, ale wówczas, gdy w porę powiedziany, a dziś nam nie czas żartować — żachnął się Wielhorski.

— Ach, Michel — zawołał książę Józef, przeciągając się na krześle i podkładając obie dłonie pod głowę z gestem bezmiernego znudzenia — sam nie wiem, kto ma słuszność? Jak poczynać sobie należy? Otrzymałem wieści, że stanowczo na pomoc Fryca liczyć nie można! *Cette brute* [3]) de Wirtemberski sławy nam nie przysporzy! Chorobą się zasłania, rozkazów pono żadnych jeszcze nie wydaje; licho wie, co o nim trzymać? Zdaje się bardzo niepewna figura! Lubomirski niby ściągnął wreszcie dywizję do Zasławia, ale wszystko to śmiechu warte wobec tego, na co liczyłem. Mieliśmy zebrać naogół 60,000 żołnierza polskiego, 20,000 litewskiego i 30,000 pruskiego, dobrze wyćwiczonego wojska. Tymczasem z tem, co mamy, jak przedsiębrać atak?... A na dobitek widzę, że ufności w powodzenie brak. Młodość mają mi do zarzucenia. Dla nich jestem „smyk", „młokos"! U nas całkiem inaczej, niż zagranicą.

---

[1]) To pójdzie. [2]) To wszystko. [3]) To bydlę.

W Polsce niedowierzają młodym. Zwłaszcza drobiazg szlachecki tylko siwy włos estymuje. Nie postarzeję się im w noc jedną, to darmo! Zresztą pieniędzy brak, ludzi brak, z furażem wciąż trudności nieprzewidziane! Konfederacja szerzy się jak morowa zaraza. Ukraina niemal cała w mocy Branickiego, Rzewuskiego, Potockiego, zwłaszcza Szczęsny tu jest władca prawdziwy! Ludność ekonomicznie od niego zawisła: dzierżawcy, szlachta zagonowa, wszystko to się z nim liczy i z musu z nim trzyma. Położenie moje jest ogromnie trudne! Wymagają ode mnie, abym wszystko ogarniał jednem spojrzeniem, wszystko obmyślał, wszystko przewidział. W ciebie, Michale, wierzę. *Kościuszek* też, jak się coraz bardziej przekonywam — jest bardzo użyteczny, nie tylko przez swoje męstwo, ale i przez szczególną roztropność. Służbista to wytrawny, a choć bieglejszy w tych sprawach ode mnie, bez porozumienia ze mną kroku nie uczyni. Ten przynajmniej wahań żadnych nie zna! Konfederacją pogardza, radby lud pociągnąć, ale to mrzonki! Polski lud za ciężki, osowiały, niewolą przytłoczony do ziemi. Tak, Kościuszek jest nieoceniony i teraz zajął stanowisko obronne w arjergardzie, gotów wciąż do boju z Lewanidowym; dzięki niemu możemy odetchnąć chwilę po przyśpieszonym marszu. Żołnierze uwielbiają go, gotowi zawsze pójść na jego skinienie.

Tu książę westchnął głęboko. Pomimo, że oddawał sprawiedliwość Kościuszce, odczuć można było w tych pochwałach źdźbło zawiści i goryczy.

Wyrażał się często o nim „Kościuszek", jakgdyby brzmie nie nazwiska jego trudne mu było do zapamiętania.

Mówił szybko, gorączkowo, dając ujście długo tłumionym wzruszeniom.

Myśl jego pracowała, żyły na skroniach nabrzmiały, brwi, chmurnie ściągnięte, nadawały mu wyraz powagi i skupienia.

— Książę dziś wielce niedysponowany—zauważył major, widząc zdenerwowanie Poniatowskiego. — Nikt nie wątpi, że

nasz naczelny wódz posiada w wysokim stopniu talenty wojskowe; reputację takową pozyskał już książę zagranicą. Przytem ma dar nie mniejszy wcale od generała Kościuszki przywiązywania do siebie ludzi. Co zaś do spraw ogólnych, gdybyśmy nawet, czego nie przypuszczam zgoła i nie życzę, zmuszeni byli ulec przewadze naszej zadąsanej aljantki, możeby to nie było tak zgubnem dla kraju, jak się fanatykom w rodzaju generała Kościuszka wydaje!... Jeśliby zapaleni agitatorzy konstytucji nie byli przeciągnęli na swoją stronę Jego Królewskiej Mości, być może, zwolna, roztropnie z moskiewskiej opieki oswobodzićby się dało i reformy bez zbytniego hałasu i ferworu zostałyby wprowadzone.

— Ha, trudno, ponieważ tak się stało, jak się stało — rzekł Poniatowski, mnąc w ręku nerwowo ciśnięte na stół rękawiczki — musimy płynąć dalej z tym prądem i dyshonoru Polsce nie uczynimy. Wściekłość mnie ogarnia, iż zmuszony jestem wydawać wciąż rozkazy rejterady z narażeniem się na podejrzliwe spojrzenia, wzgardliwe uwagi szlachetków, jakgdybym dogadzał życzeniom imperatorowej, którą pogardzam!

Splunął.

Wielhorski zerwał się z miejsca.

— Dziś położenie jasne jest, jak na dłoni — zawołał — dwóch zdań być nie może. Idziemy za głosem najżarliwszych patrjotów, pod wodzą Jego Królewskiej Mości dla *decorum*, jako że „król z narodem, naród z królem", a przedewszystkiem za głosem własnego sumienia. Wysłani jesteśmy ku obronie ojczyzny, od zewnątrz i od wewnątrz zagrożonej. Musimy prosto iść do celu; choćby zginąć przyszło, zginiemy mężnie, aby po naszych trupach przeszli inni i ów cel wyraźnie zakreślony: oswobodzenie ojczyzny od upokorzeń, osiągnęli. Kto jest odmiennego zdania, winien bez wahania przyłączyć się do brygady *Złotej Wolności*, którą Złotnicki obejmuje. Podobno wicebrygadjer Rudnicki

dostał bilecik czuły, w żydowskim bucie przemycany, nakłaniający go, aby się ze swą komendą od Lubomirskiego odłączył, a do tamtych przystał! Wolna droga!

— Żyda szpiega w Lubarze obwiesić kazałem, Rudnickiego zaś trzebaby mieć na oku, chociaż nie można dowieść mu dziś winy. List był bez adresu... Słowo wiatr... Jeśli się spodli, krygsrecht[1]) złożymy i dla przykładu bez pardonu powiesimy, jako zdrajcę—rzucił książę Józef głosem stanowczym.

Major zadrżał z oburzenia na wyzywające słowa Wielhorskiego. Porywczy był z natury, pojedynków miał już kilka w życiu, oczy mu krwią nabiegły, zagryzł wargi, gotów obelżywem słowem bryznąć bez względu na szarżę mówiącego, lecz pohamował wzburzenie, gdy książę Józef, kładąc obu im jednocześnie dłonie na ramionach, rzekł pojednawczo:

— Nie zatruwajcież mi, *parbleu*, życia tą burzliwą rozmową! Pozwalam moim zaufanym wypowiadać się szczerze, abym, o ile można, trzeźwo ogarnął położenie, lecz dziś za dużo czasu strwoniliśmy na gadaninie. Wypijcie jeszcze po szklance i gotować się będziemy do marszu. Wszak mamy się zgromadzić pod Zieleńcami.

Spojrzał niespokojnie na zegarek.

— Majorze! — zwrócił się żywo do swego adjutanta — powiedz, by nie zapomniano o obsadzeniu wioski, boć będzie ona kluczem zajętego stanowiska! Tam Trokin i Zajączek[2]) wyjdą na spotkanie. Ach! głowa pęka! Znowu może spaść na mnie zarzut lekkomyślnego niedbalstwa, jak pod Połonnem...[3])

---

[1]) Sąd wojenny.

[2]) Generałowie z dywizji wołyńskiej ks. Michała Lubomirskiego.

[3]) Przy wejściu nocą do Połonnego, pisze A. Młocki w *Księdze Wspomnień* str. 357, „ponieważ sztab ks. Józefa, lekko rzeczy biorący, zapomniał wytknąć obozu, to jest oznaczyć miejsc, które nadciągającym oddziałom służyć miały za stanowiska, przeto żołnierz, zniecierpliwiony, hurmem, bezładnie cisnął się do miasta. Wśród zamieszania,

— Wedle rozkazu Waszej Książęcej Mości — rzekł Giżycki, zwracając się ku wyjściu.

— I znowu, być może, Kościuszce przypadnie w udziale rola zbawcy twego we wszelkich tarapatach... — uśmiechnął się drwiąco Wielhorski. — Mamy jeszcze cztery godziny czasu do wymarszu. Idę sprawdzić, czy wszystko w porządku. Bądź dobrej myśli, mój Pepi, mam co do dnia jutrzejszego jakieś dobre przeczucia!

— *A la bonne heure!...* [1]) — zawołał Poniatowski, ściskając dłoń przyjaciela. — Poczekaj, nie odchodź — dodał — wyjdziemy razem, tylko jeszcze słówko mam powiedzieć Giżyckiemu.

Zawrócił wychodzącego majora i, uprowadzając na stronę, zapytał krótko:

— Więc kto ona?

— *Pas grande chose!* [2]) Córka jakiegoś szlachetki, swobodnie chowana jedynaczka. Szukała sposobności ujrzenia księcia choć przelotnie, rozmiłowana w nim ze słyszenia. Snać *prestige* [3]) księcia sięga i do tych głuchych borów Wołynia — dodał z uśmiechem, pełnym niekłamanego zachwytu dla urodziwego wodza. — Przebrała się za wieśniaczkę, by podać mu poziomki, niby przed chwilą uzbierane w lesie.

— Sapristi! Uczyniła to z czarującą prostotą, a zarazem grand zą wielkiej damy! Śliczna szelmutka i co za pomysł

---

jakie stąd powstało, wybuchnął pożar, który je bardziej jeszcze powiększył. Zaledwie czynność i wziętość u wojska Kościuszki potrafiła uspokoić onego zniechęcenie i przywrócić ład. Gdy wojsko nasze pociągnęło pod Szepetówkę, ks. Józef, przybywszy na miejsce i uznawszy tę pozycję za niedogodną, wydał rozkaz gromadzenia się pod Zieleńcami. Nocą pomaszerowano na wskazane miejsce. Wojsko naoślep zajęło stanowiska, a sztab znowu zapomniał o obsadzeniu wsi Zieleniec".

[1]) Oby w dobrą godzinę! [2]) Nic wielkiego! [3]) Czar, urok.

śmiały! Czy zauważyłeś, jak ona uderzająco jest podobna do markizy Lulli?...[1])

— Istotnie?... Żałuję teraz, że się jej lepiej nie przyjrzałem! Chociaż dla mnie istnieje jeden typ wykwintnej urody: Ludwika Ilińska. Żadna z piękności stolicy jej nie dorówna! Siostra Janusza, który wkrótce do obozu przybędzie.

— Wiem, wiem, ale gustu twego nie podzielam. Za sztywna; nie lubię takich! Ta rezolutna mała, ze wzrokiem spłoszonej sarenki, podoba mi się. Chciałbym ją jeszcze widzieć! — rzekł książę, goniąc myślą za spotkanem zjawiskiem.

— Sądziłem właśnie, że dłużej tu zostaniemy.

— Cóż znowu — obruszył się Poniatowski. — Szepetówka, jak się okazało, zupełnie niedogodna pozycja! Musimy posunąć się dalej w stronę Zasławia. Fatalne, że wcale nie znam położenia naszego kraju! Ha, trudno!... Jakoś będzie! Ale, ale, słuchaj, Barciu, trzeba nam wywdzięczyć się szarmancko tej Wołyniance za poziomki!... Mam brelok misterny w formie jagody. Postaraj się, aby rąk jej doszedł. Nakreślę przytem dwa słowa: „od nieznanego nieznanej". I o Zieleńcach pamiętać trzeba! Oh Dieu des *Dieux, quelle corvée!...*[2]) Idźże już, idź, Michał na mnie czeka. Czapskiemu powiedz, niech stanie w Zieleńcach — rzucił od niechcenia[3]).

Za chwilę książę był już wśród swych żołnierzy, wydawał rozkazy, oglądał swoje araby.

---

[1]) Emigrantka francuska wielkiej urody, przybyła w końcu 1791 do Warszawy, cieszyła się ogromnem powodzeniem u dworu Stanisława Augusta.

[2]) O Boże, co za udręka! (pańszczyzna).

[3]) „Generał Czapski, gdy odebrał rozkaz, by opanował wieś Zieleńce, nie usłuchał rozkazu, mówiąc, że mu przez adjutantów nie wyraźnie był dany". J. U. Niemcewicz „Pamiętniki" (str. 169).

Kozacy hałaśliwym okrzykiem witali swego atamana. Kulbaczono konie, czekano tylko sygnału do wyruszenia w dalszą drogę.

Wiadomo było, że wojska rosyjskie są gdzieś w pobliżu, ale w jakiej odległości, o tem nikt dokładnego nie miał pojęcia.

* * *

I oto pod Zieleńcami zaszła rzecz całkiem nieprzewidziana.

Zwycięstwo przyszło samo przez się, szczęśliwym zbiegiem okoliczności wywołane.

Gdyby było ono planowe, możnaby je było znacznie lepiej wyzyskać.

Moskale, zachęceni łatwą na grobli boruszkowieckiej zdobyczą, mieli zamiar urwać znów część taboru ks. Poniatowskiemu. Ośmiotysięczną straż przednią wiódł generał Markow, nie przypuszczając, że będzie miał do czynienia ze wzmocnionem wojskiem polskiem. W miejscu więc, gdzie było tylko wyznaczone złączenie się częściowe dywizji wołyńskiej z głównym korpusem, stoczono walkę, dla naszej armji pomyślną i chlubną.

Generałowie Trokin i Zajączek nadciągnęli nocą pod Zieleńce. O świcie, objeżdżając posterunki, dostrzegli awangardę Markowa i wnet zawiadomili o tem Poniatowskiego. W największym pośpiechu stanęło w szyku bojowym wojsko nasze. Dwa tysiące piechoty i ośmset kawalerji z dywizji wołyńskiej zajęły wzgórek, tworząc półkole w rodzaju amfiteatru. Lewe skrzydło opierało się o bagno, prawe o wieś Zieleńce.

Z frontu rozciągała się równina, nadająca się do boju; z tyłu las rzadki zakrywał obóz księcia. Infanterja, uszykowana w linję, zajmowała środek, kawalerja, podzielona na dwie części, stanęła po obu stronach. Prawe skrzydło

wzmocnił jeszcze regiment kawalerji Mokronowskiego, przyprowadziwszy z sobą dwanaście armat. W drugiej linji stanął cały korpus główny Poniatowskiego, brygady kawalerji narodowej Lubowidzkiego, Dzierżka, pułk „wiernych kozaków", piechota Malczewskiego, Potockiego, Czapskiego i innych, nadciągających pośpiesznie.

Książę Józef lunetę miał wciąż w ręku, obserwując szeregi nieprzyjacielskie. Żołnierze z błyskiem radości w oku oczekiwali rozkazów, radzi co prędzej całą siłą uderzyć na wroga, posuwającego się czterema małemi kolumnami. Zmieszały się one wkrótce pod celnemi strzałami armat polskich.

Zażarta walka trwała od piątej rano do południa. W ciągu tego czasu gęsta palba ani na chwilę nie ustawała. Padały gęsto trupy. Radosnym okrzykiem fizyljerzy nasi powitali upadek z konia generała Zubowa, którego trafiono w samą piętę [1]). Była chwila, że prawe skrzydło znalazło się w wielkiem niebezpieczeństwie, gdyż konnica moskiewska luką, pozostawioną przez nieobsadzenie naszem wojskiem wsi Zieleńce, wpadła w szalonym pędzie. Piechota raziła też silnym ogniem z za opłotków. Mokronowski zagrzewał do walki, lecz sam już tracił głowę.

— Generale! To moja wieś, każ ją spalić!... — huknął mu w ucho Sanguszko, przelatujący na swym rączym koniu, jak wicher.

Niedołężnie wsparta przez piechotę jazda moskiewska nie mogła skorzystać z otrzymanej narazie przewagi, a Mokronowski swą brygadą natarł na nich tak dzielnie, że została wycięta niemal doszczętnie. Major Dunikowski zdobył sztandar i jeńców kilkunastu przyprowadził.

---

[1]) Ochocki w *Pamiętniku* swym opowiada, że tenże Zubow ożenił się następnie z wojewodziną Potocką. W Anglji dorobiono mu piętę korkową, tak że mógł nie tylko dobrze chodzić, ale nawet tańcować (tom III, str. 145).

Markow chciał błąd popełniony naprawić i rozpoczął atak całą swą piechotą, lecz ta nie mogła opierać się zbyt długo, rażona gęstym ogniem naszej artylerji. Poniósłszy znaczne straty, musiała się cofnąć wreszcie, gdy książę Józef, stanąwszy na czele bataljonu, ciężką klęskę jej zadał.

Wielhorski z brygadą Dzierżka uderzył na prawe skrzydło rosyjskie, zmuszając konnicę do odwrotu. Dunikowski, Grochowski, Hauman, major Krasicki, kapitan Bronikowski, zwłaszcza nieustraszony Sanguszko dokazywali cudów waleczności, słowem dzień ten nadspodziewanie korzystnym zwrotem mógłby zaważyć na szali, gdyby książę Józef ogarnął odrazu jego doniosłość. Lecz niedoświadczony wódz poprzestał na odparciu nieprzyjaciół i zamiast puszczenia się w pogoń dla zniesienia całej dywizji Markowa lub zabrania pokonanych do niewoli, pozwolił wojsku odpocząć kilka godzin na pobojowisku, poczem o godzinie szóstej wieczorem nakazał dalszy marsz według poprzedniego planu: przez Zasław ku Ostrogowi.

* * *

Kościuszko szedł w tylnej straży w pięć tysięcy żołnierza. Chociaż żadnego zawiadomienia o bitwie, toczącej się pod Zieleńcami, nie otrzymał, starał się jednak na odgłos dział pośpieszyć. Przybył na pobojowisko wieczorem, gdy już nasze wojsko oddaliło się, a Markow, opanowawszy wzgórze, armaty swoje ustawił, oczekując nowego ataku. Nie wątpił, jako biegły dowódca, że książę Józef wyzyska korzystne swe położenie i że chwilowe jego cofnięcie się jest tylko podstępem wojennym, tymczasem Kościuszce przypadło w udziale podtrzymanie chwały oręża polskiego, zmuszony był bowiem bronić się mężnie przez parę godzin, usiłując zdobyć przeprawę przez groblę, zacięcie przez nieprzyjaciół strzeżoną.

Dla zmylenia pogoni zwrócił się drogą, wiodącą przez las do Sławuty, poczem zręcznym zwrotem pośpieszył ku Zasławiowi, aby połączyć się z resztą armji i wraz z Poniatowskim podążyć do Ostroga.

Ogólne było mniemanie, że wódz naczelny nie opuści tego obronnego z natury stanowiska bez stoczenia walnej bitwy.

Wojsko nabrało ducha, zwłaszcza młodzież, pierwszy raz będąca w boju, po szczęśliwem starciu się z wrogiem, niecierpliwie oczekiwała nowej sposobności odznaczenia się walecznością i męstwem.

Książę stawił innym za przykład dzielnych służbistów, publiczną oddając pochwałę kilkunastu towarzyszom kawalerji narodowej z brygady Dzierżka, którzy, zachęceni przez kapitana Chomentowskiego, zsiadłszy z koni, własnemi rękami dźwigali armatę i w ten sposób ją ocalili.

— Nie powinno się zważać na rangę, ani na niebezpieczeństwo, kiedy idzie o zachowanie sztandaru, chorągwi lub armaty — upominał Poniatowski — natomiast każdy eksces lub nieposłuszeństwo będzie srogo karane!

Pośpieszył natychmiast wyprawić Sanguszkę z raportem do króla, odsyłając trofea wojenne, prosząc o transport amunicji, oraz dopominając się o nagrody dla towarzyszy broni. Stanisław August sam ozdobił księcia Eustachego krzyżem „Virtuti Militari". Takież oznaki honorowe otrzymali generałowie: Kościuszko, Wielhorski, Mokronowski; podpułkownicy: Grochowski i Hauman, oraz major Łaźniński. Medalami srebrnemi i złotemi nagrodzeni zostali oficerowie, którzy odznaczyli się w boju.

Pomiędzy innymi i podporucznik Bukar został przedstawiony do nagrody, pod Zieleńcami bowiem sprawował się gracko. Książę Józef chwalił przed Kościuszką młodzieńczy zapał i wytrwałość „Bukarka". Pomimo kontuzji stał wciąż

na posterunku i strzegł swej baterji, prażąc ze swych dwóch armat i dwóch haubic [1]) celnie i śmiało.

Kościuszko życzył sobie sam wręczyć medal młodemu artylerzyście. Dosiadłszy konia i objeżdżając miejsca, gdzie bronić miano przeprawy, zbliżył się do baterji Bukara, naprzeciw Międzyrzecza Ostrowskiego umieszczonej, i do podporucznika uprzejmie się zwrócił:

— Miło mi bardzo — rzekł z radosnym wyrazem — ozdobić znakiem honorowym pierś oficera, którego osobiście lubię i szanuję.

Sewer spłonął od zachwytu, otrzymawszy medal złoty, na wstążce orderu św. Stanisława zawieszony. Twarz miał teraz mocno ogorzałą, od prochu nieco sczerniałą, co jego dziecinnym rysom przydało męskości i jakby o parę lat starszym czyniło.

— Jakże się czułeś wśród tej ognistej ulewy?—zagadnął generał życzliwie.

— Szczęśliwy byłem niezmiernie, gdy sam książę na placu boju dziękował mi za celne strzały. Jakoś mi się tylko w oczach zamroczyło, kiedy padł nasz dzielny porucznik Gałecki, a następnie nieopodal mnie kapitanowi Szamockiemu z regimentu Malczewskiego granat urwał nogę! Przy tym strzale i mnie się dostało.

— Byłeś ranny? — zapytał Kościuszko z przyjaznem zainteresowaniem.

— Nie, jakoś mi się upiekło — odrzekł Bukar wesoło.— Nic osobliwego, kontuzja w mały palec u ręki. Nieco mi to dolega, prawą ręką władać przeszkadza.

— Gorzej było ze mną, kochanku, gdym po wnijściu Moskali pod Motowidłówką, chory na różę w nodze, musiał zbierać co rychlej oddziały i wyruszyć ku obozowi księcia. A nie było cię przy mnie, by mię pielęgnować! Pamiętam,

---

[1]) Haubica czyli granatnik, wyrzucający grad pocisków.

jak to bywało w Niemirowie, w komin żarliwie dmuchałeś, by utrzymać zalecone mi ciepło, a sam pociłeś się, jak mysz, od gorąca. Nie zapomnę nigdy troskliwości, okazanej mi przez ciebie w chorobie. A teraz, mój Sewerku, ognia też nie żałuj, bij wciąż dzielnie i praż Moskali.

— Bah! Ładunków brak, a pono nam ich już wcale nie nadeślą z Warszawy.

— Głupie plotki, dla odjęcia ducha żołnierzom puszczone — żachnął się Kościuszko. — Amunicja nadejść ma lada chwila. Musimy zadać im bobu! Spierzemy tu, pod Ostrogiem, Moskali lepiej, niż pod Zieleńcami. Punkt obronny wyśmienity.

Dosiadł znów konia, by udzielić innym oficerom nagród i pochwał, ale twarz jego, zazwyczaj pogodną, przysłoniła chmura smutku.

— Kto wie, czy przyślą na czas?... Te gadki są, niestety, aż nazbyt prawdziwe. Zaprzeczać im muszę z obowiązku — pomyślał w duchu.— Roznoszą się wieści tajemną drogą po obozie, częstokroć pochodzące z dobrego źródła.

Pomimo że król pozornie okazał radość z powodu zwycięstwa pod Zieleńcami i, otrzymawszy na nieprzyjacielu zdobyty sztandar, pisał do wojska z zachęcającą pochwałą: „Oto od czasów Jana III pierwsza wstępna bitwa, którą wygrali Polacy bez niczyjej pomocy", wszelako wiedział Kościuszko, wzywany wciąż na narady do ks. Józefa, że mowa jest o uczynieniu rozejmu na miesiąc.

Nie przewidywał nic dobrego z podobnego obrotu rzeczy.

Jakto? Po pierwszej wygranej dobrowolna rejterada! Propozycja rozejmu w takiej chwili?...

Nie było wątpliwości, że książę Józef działa nie z własnej woli, lecz stosuje się do nakazów stryja, ten zaś, jak dochodziły słuchy, bez względu na toczącą się wojnę, do carycy czułe i pokorne wielce słał listy, siostrą ją nazywając. Pomimo odradzań Wielhorskiego, Mokronowskiego, Ko-

ściuszki, Zajączka oraz innych dowódców, książę nieomieszkał wyprawić gońca do obozu rosyjskiego z propozycją, „by na niejaki czas oszczędzić krew żołnierza obu państw i zostawić czas wysłania kurjerów dla powzięcia dalszych rozkazów do obydwóch dworów".

Kachowskij dał wnet odpowiedź następującą:

„Przystąpić do konfederacji targowickiej albo broń złożyć są to jedyne sposoby zaoszczędzenia dalszego krwi rozlewu".

Postawienie tak hańbiących warunków oburzyło księcia.

Postanowił, bądź co bądź, zmierzyć się teraz z nieprzyjacielem pod Ostrogiem.

Dla przykładu, jak wstrętne mu są odstępstwo i zdrada, sądem wojennym potępił wice-brygadjera Rudnickiego, który, jak się okazało, umknął z pola i przeszedł do wrogiego obozu.[1])

Zdenerwowanie księcia odbijało się teraz w każdym jego kroku.

Był nierówny, opryskliwy, podrażniony.

Dostawały się nieraz ulubionym towarzyszom obozowym gorzkie słowa. Nawet „wierni kozacy" przestali bawić chmurnego wodza.

Zawrzał gniewem, gdy mu Wielhorski rzekł otwarcie:

— Odpowiedź Kachowskiego to policzek, nam wymierzony. Za cóż jednak mamy znosić wszyscy obelgę, na-

---

[1]) Tenże Rudnicki (później rehabilitowany przez konfederację targowicką z podwyższeniem rangi), mając zamiar wstąpić w służbę rosyjską, prezentował się generałowi Fersenowi z dobrą miną. Fersen począł się w niego długo i uporczywie wpatrywać, jakby chciał sobie przypomnieć, gdzie go widział wprzódy.

— *Hdie to ja was widał! Hdie to ja was widał!* — powtarzał po kilka razy. — *Ach! daj Bog pamiat'! A to ja was pod Ostrogom widieł!*

Tych kilka słów, wypowiedzianych przez znakomitego dowódcę, tak zbiło z tropu Rudnickiego, że nie śmiał więcej udać się do nikogo. (J. D. Ochocki. Pamiętniki, tom VII, str. 136).

leżną wesołym kompanom, co cię skłonili do proszenia o rozejm.

Książę Józef zbladł, zęby zacisnął, oczy rozbłysły iskrami pasji tłumionej.

— Nie zapominaj się, Miszel! — syknął groźnym szeptem. — Obrażasz temi słowy nie moich kompanów, do których żywisz rankor nieuzasadniony, ale Jego Królewską Mość, stryja mego Stanisława.

Wielhorski, niewiele sobie robiąc z wojowniczej postawy przyjaciela, rzekł spokojnie:

— Jesteśmy sami, mój Pepi, mówimy poufnie. Na radzie wojennej mogę, przez wzgląd na ciebie, zamilczeć o tem, ale w obecnym momencie nie widzę powodu taić, iż król też ci zawód gotuje. Tron niemal przyobiecał, a teraz go znów „lubej Kati" dla wnuczka jej, Konstantego, ofiarowywa. Wieści te z pewnego źródła mnie doszły. Uprzedzam cię, że się coś niedobrego knuje u steru. Zanim dowiesz się oficjalnie o porozumieniach, możnaby zbić na kwaśne jabłko Moskali.

Książę Józef zamyślił się. Gniew jego przytłumiła rozwaga. Począł pośpiesznie kreślić cyfry na papierze.

— Siły nasze wynoszą dwadzieścia trzy tysiące—rzekł.— Będziemy się zmagali, dopóki amunicji starczy. Natychmiast po przybyciu tu, jak ci wiadomo, wysłałem kurjera do Warszawy, by transport wysłano. Nie nadszedł. Ale... *vogue la galere!* [1]) Kościuszkę wyślę dalej nad Horyń, by przejście przez rzekę tamował. Niech tam ma baczenie, aby nas, jak lisa w norze, nie osaczono.

Przyjaciele uścisnęli sobie dłonie w milczeniu i rozeszli się w dobrej komitywie.

---

[1]) Wymawia się: Wog la galer i znaczy: niech płynie łódź; wyrażenie francuskie, używane w potocznej mowie dla określenia: niech się, co chce, dzieje.

Cztery bataljony jegrów rosyjskich, kozacy i artylerja wyruszyły nazajutrz ku przedmieściu Ostroga, opanowując dwa mosty. Trzeciego z nich broniły, wytężając całą energję, ustawione na wyżynie nasze baterje. Moskalom przybył jeszcze wkrótce na pomoc pułk grenadjerów.

Strzelanina obustronna trwała przez całą dobę. Książę Józef oczekiwał wciąż transportu ze stolicy, kurczowo zaciskając pięście i zagryzając usta do krwi. Wreszcie, zwoławszy radę wojenną, oznajmił, że nie widzi innego wyjścia, jak cofnięcie się z obranej pozycji.

Wszyscy niemal zebrani przecząco potrząsali głową.

— Więc retyrada, znów retyrada?... Kiedyż temu koniec będzie?...—wołał Mokronowski zapalczywie.

— Pozycja świetna, drugiej takiej ze świecą nie znaleźć. Tu można łatwo paraliżować ataki, choćby ich szło trzech na naszego jednego — wtrącił Wielhorski z przekonaniem.

— Naucz, jeśliś mądry, bronić się bez kul i prochu! — odrzekł książę Józef niecierpliwie. — Przytem mości panom wyjawić muszę, że kwatermistrz zdał mi przed chwilą raport o zupełnym braku prowjantów — dodał ponuro.

— Boć wszystko tu, przy sztabie, niezdarne lub przekupne — mruknął głos niechętny na uboczu. — Protegowanych jeno forytuje się na odpowiedzialne stanowiska, a oni o własną kieszeń przedewszystkiem są dbali!... Kościuszko stoi stąd o milę niespełna, a donosi, że ma poddostatkiem żywności dla wojska i paszy dla koni. Ze wsi okolicznych można było zwieźć zapasów chociażby na rok cały. Byleby ochota ku temu!

Książę spojrzał bystro w stronę, skąd ów głos pochodził. Zawrzał od wewnętrznego gniewu, ale się pohamował. Słowa oskarżenia padły z ust generała Zajączka, który, zgryźliwy z natury, ale z prawości znany, wypowiadać się zwykł śmiało, nie licząc się z nikim i z niczem.

Poniatowski milczał, jakby nie ku niemu pocisk zjadliwy był skierowany. Nie chcąc podnosić narazie drażliwej kwestji „protegowanych" i „forytowanych", na których nieustanne dochodziły go skargi, jął dla dokuczenia Zajączkowi powstawać na jego dywizjonera Lubomirskiego:

— Gdybym mógł liczyć na pewno na księcia Michała — mówił głosem podniesionym — natenczas nie wahałbym się opierać dłużej, ale za czynności jego odpowiedzialny być nie chcę! On żadnego starszeństwa nad sobą nie uznaje. Niech działa na swoją rękę; niepodobna wyrozumieć, o co mu chodzi! Ja się też naginać do niczyich fantazyj nie myślę, na azard i szwank armji królewskiej wystawiać nie będę!

Dumnie podniósł głowę, potoczył okiem po obecnych.

W spojrzeniach wszystkich odczuł niesmak i jakby potępienie słów swych i czynów.

To go jeszcze bardziej podrażniło i rozgoryczyło. Zwrócił się wprost do Zajączka, przerywając kłopotliwe milczenie:

— Cóż sądzisz o tem, mości panie generale?

— Widzę — rzekł zwolna Zajączek, wytrzymując badawcze i szydercze zarazem spojrzenie Poniatowskiego—że między księciem Lubomirskim i Jego Książęcą Mością niemasz ufności, a to grunt! Dla dobra powszechności trzeba coś poświęcić. Należałoby powierzyć komendę komu zaufanemu...[1])

— Takie sprawy rozstrzyga Warszawa; nie w Ostrogu nam o tem decydować — przerwał mu książę Józef, chmurnie brwi marszcząc.—Teraz musimy coś natychmiast posta-

[1]) Generał Zajączek pisał pod datą 23 czerwca z Ostroga do Gorzeńskiego (Raporta tom V Nr. 3), ostrzegając, że: „lubo książę Lubomirski nic przeciwnego nie czyni, jednakże kiedy między nim a księciem Józefem niemasz ufności i nigdy jej nie będzie, słusznie obawiać się stąd można szkody publicznej". Doradzał jednocześnie oddanie komendy Wielhorskiemu lub Kościuszce.

nowić. Czas nagli. Przedmieścia się palą. Piechota rosyjska zaległa całe błonie od drogi Sławuckiej do Międzyrzecza. Mogą nas stąd wykurzyć. Jedyna rzecz cofnąć się w porządku. Żali sądzicie mości panowie, że mnie, również jak wam, nie żal jest opuszczać tej pozycji?...— dorzucił większym znacznie tonem. — Mojem zdaniem, można było zamiarom nieprzyjaciół przeciwdziałać pod Lubarem, ale tam siły były niedostateczne, książę Michał nie był gotów na czas. Tu znów brak amunicji nie dozwala rozwinąć akcji. Nie widzę już dogodnego stanowiska aż do Bugu. Możliwa będzie w zupełności obrona tej rzeki pomiędzy Dubienką a Opalinem, gdzie z jednej strony bronić będzie granica austrjacka, z drugiej nieprzebyte błota poleskie. Wojska litewskie powinny też być rozstawione nad Bugiem w pobliżu Brześcia. Jego Królewska Mość zapowiada, że do Dubna zjedzie...

Tu odczytał na głos ustęp odpowiedni z listu stryja.

Zajączek ręką machnął lekceważąco, okazując jawne niedowierzanie.

Nikt zresztą tym obiecankom królewskim nie dawał już wiary.

Generał Wielowiejski, najpoważniejszy wiekiem, dziwił się ułożonemu przez księcia planowi kampanji, przypisując błędne zapatrywania brakowi doświadczenia i nieznajomości kraju.

— Gdzie zaś! Bronić ośm mil rzeki, w obecnej porze upalnej, kiedy przejść ją można wszędzie niemal w bród, to dobre na mapie, ale w praktyce okaże się niemożliwe — mówił Wielhorskiemu.

Ten jednak nie podzielał jego zdania.

— Rozciągnąwszy nasze korpusy na całej linji nie widzę podobieństwa, aby nieprzyjaciel ważył się wsunąć swą kolumnę pomiędzy dwa nasze posterunki — dowodził, popierając w tym razie zdanie Poniatowskiego.

Wychodząc z rady wojennej, Zajączek mruknął niechętnie:

— Gdyby komendanci nasi więcej mieli pomiędzy sobą porozumienia i zgody, umieliby łacno wyzyskać opieszałość i omyłki Moskali, boć oni nieraz, jak ostatni głupcy, sobie poczynają. Na mój sąd, książę Michał niczem dotąd nie zawinił, ale się nasz wódz naczelny na niego zawziął; mogą stąd wyniknąć jeszcze nieobliczone straty!...

Nikt nie podniósł tych słów, choć niejeden przytakiwał mu w duchu, rozumiejąc, że słuszne są te utyskiwania na bezład w sztabie i rozterkę wśród dowódców.

Decyzja zapadła.

Wieczorem tegoż dnia książę Józef wydał rozkaz wymarszu do Dubna. Dla stropienia nieprzyjaciela i zyskania na czasie, rozpalono wielkie ogniska w obozie, a o 2-giej w nocy główny korpus wykonał pośpieszny odwrót.

*
* *

W Dubnie wypoczywano dni kilka i wyruszono pod Włodzimierz.

Stosunki pomiędzy księciem Józefem a Lubomirskim doszły do takiego naprężenia, że, obozując o milę od siebie pod Włodzimierzem, nie porozumiewali się wcale z sobą.

Kościuszkę pozostawił znów książę Józef w tylnej straży, by odpierał ataki wojska rosyjskiego, korpus, złożony z piętnastu tysięcy, atakował straż naszą i ścigał ją. Utarczka, umiejętnie prowadzona przez Kościuszkę, położyła trupem wielu Kozaków i huzarów moskiewskich.

W szeregach nieprzyjacielskich Kościuszko począł budzić lęk. Kachowskij klął go, na czem świat stoi, ale oddawał sprawiedliwość jego wysokim zdolnościom i przezornym dyspozycjom. Z nim jednym liczył się wódz moskiewski, wyrażający się zazwyczaj lekceważąco o naszych siłach militarnych i niedoświadczeniu Poniatowskiego.

Jeden oddział, powracający z bezskutecznego pościgu za Kościuszką, napotkał tabor ks. Lubomirskiego, który byłby się dostał w ręce Kozaków, gdyby Zajączek na czele kilku szwadronów nie pośpieszył w porę na ratunek. Niesnaski pomiędzy naczelnym wodzem i ks. Michałem sprawiły, iż nie porozumiano się, by we właściwym czasie, gdy była stosowna chwila, cały ten oddział nieprzyjacielski wziąć we dwa ognie.

Takich opuszczeń i pomyłek było sporo.

Kościuszko był parę razy w wielkiem niebezpieczeństwie w czasie przeprawy z pod Włodzimierza do Dubienki, gdyż Moskale, zrozumiawszy, z jakim walecznym dowódcą mają do czynienia, brali go ustawicznie na cel.

Udało mu się odeprzeć gwałtowny atak pod Włodzimierzem, a następnie obronić jazdę, w porządku przebyć miasto i wąwóz, zniszczyć most poza sobą i rozrzucić groblę, tamując w ten sposób pościg. Korzystając zaś z tego położenia, kazał ustawić działa przed frontem, by stawić czoło w dwójnasób liczniejszym hufcom Kachowskiego.

Tak już nawykł w tych ciężkich okolicznościach być wciąż na czatach, iż prawie nie schodził z konia.

Stał właśnie z kilkoma oficerami, wodząc okiem po wężowych skrętach szeregów nieprzyjacielskich, których końca dopatrzeć się nie można było wcale, gdy naraz zawrzała gwałtowna walka na lewem skrzydle.

Kościuszko wnet rzucił się w tę stronę.

Wprost na niego sypnięto gradem kul. Granat padł nieopodal dowódcy. Kanonier tuż obok jęknął ciężko zraniony. Adjutanci Kościuszki starali się go odciągnąć od miejsca, mocno zagrożonego.

Wśród żołnierzy dał się słyszeć pomruk trwogi.

— Jezus Marja! Jezusie Nazareński!...

W tym deszczu ogniowym najodważniejsi nawet tracili głowę.

Kościuszko śmiało, z przedziwnym spokojem śledził ruchy przeciwnika, poczem, wzruszywszy ramionami, zawołał gromko:

— Wstydźcie się, dzieci! To żarty! Zaraz ich nasze armaty uspokoją!

Wyrzekł te słowa głosem tak pewnym, że wszyscy, nawykli wierzyć mu ślepo, nabrali wnet otuchy.

Odstrzeliwano się energicznie. Generał posłał po armaty. Cofano się pod osłoną kościuszkowskich zastępów coraz dalej; odpierały one natarcia kawalerji moskiewskiej przeszło całą milę drogi, aż do lasu, w którym na bagnistym gruncie rzucona grobla dopomogła do stawienia oporu. Kościuszko zagrzewał wciąż swych żołnierzy, aby nie tracili ducha; jakoż padło Moskali coniemiara, reszta cofnęła się, zaniechawszy pościgu.

Jeszcze pięć mil dzieliło naszych od Dubienki, ale udało się przebyć je szczęśliwie, niewielkie stosunkowo poniósłszy straty.

Dotarłszy na miejsce, dowiedziano się, że król dał dymisję Lubomirskiemu, a dywizja jego została wcielona do trzech korpusów, które książę Józef zamierzał rozlokować nad Bugiem.

Jednym sam dowodził, drugi powierzył Wielhorskiemu, trzeci — Kościuszce, który napróżno przekładał księciu, że należałoby siły bardziej zjednoczyć, głównie zaś strzec przeprawy pod Dubienką. Nie pomogły jednak wszelkie przełożenia doświadczonego generała: Poniatowski upierał się przy swym planie.

*

* *

Gorące, znojne słońce lipcowe prażyło znużone wojsko ogniem z nieba.

Wody w rzekach prawie całkiem powysychały; w wielu miejscach w bród je przejść można było.

Kościuszko, mając pod swem dowództwem cztery tysiące trzystu ludzi, zajął wyznaczone mu stanowisko, bez przekonania atoli, aby się tu cośkolwiek dokonać dało.

Rozkazał sypać szańce na piaszczystym brzegu Bugu, oraz nieco dalej, na twardym gruncie. Była to robota zmudna, a niemal bezcelowa, albowiem rozległa płaszczyzna nad rzeką nie mogła z natury rzeczy przedstawiać dobrej pozycji obronnej.

Cały front reduty otoczono nawpół poprzecinanemi drzewkami dla niepoznaki; ustawiono baterje i flesze. Obóz, zakreślony we dwie linje, prawem skrzydłem opierał się o las granicy austrjackiej, lewem — o wieś Uchankę nad Bugiem, którego brzegi w tem miejscu są dość nieprzystępne.

Od tygodnia trwały już te przygotowania, a jednocześnie wymiana listów pomiędzy Kościuszką a ks. Józefem w formie urzędowej, odbijającej wszakże obustronne niezadowolenie. Zwłaszcza Poniatowski pisał w widocznem podrażnieniu z obozu swego pod Swirzem, czyniąc zarzuty nieuzasadnione.

W wojsku coraz bardziej rósł podziw dla Kościuszki i wzmagała się nieufność względem taktyki Poniatowskiego.

Armja nieprzyjacielska gromadziła się po drugiej stronie Bugu, szukając miejsc dogodnych do ustawienia mostów pontonowych.

W obozie Kościuszki było gwarno. Wszyscy gotowali się do spotkania z wrogiem, niejednako wszakże odczuwając grozę położenia.

Do namiotu generała wszedł pośpiesznie Kniaziewicz, meldując, że major Krasicki przysłał gońca z ważnemi wieściami.

Kościuszko przebiegł szybko pismo i cisnął je na stół.

— Niema wątpliwości, że atak nastąpi lada chwila! — zawołał. — Trzeba niezwłocznie wysłać raport ten do księcia.

Szybko jął pisać:

„Jutro będę atakowany w obozie moim. Proszę, aby J.O. Książę Dobrodziej przybliżył się do wsparcia mnie w po-

trzebie, a Wielhorski niech pilnuje Opalina. Gdyby się zbiło to skrzydło, łatwo im będzie pokonać drugie kolumny. Racz J.O. Książę rozrządzenie uczynić, aby można wspierać mnie i Krasickiego. Moskali część przeprawiła się z wielkim hukiem armat w dwóch miejscach, a dla kawalerji sprowadzili promy.

17 Julii 1792. *T. Kościuszko*".

Kniaziewicz wziął raport z rąk dowódcy i rzucił nagle z pewnem wahaniem:

— A jeśli się książę nie przybliży?...

Kościuszko spojrzał chmurno.

— Ha, w takim razie będziemy się bronili sami, jak Bóg da! Skupiwszy siły, musimy stawiać opór do ostatka.

— Niepodobna będzie odeprzeć ataku bez nadesłanych posiłków.

— Zrobi się, co będzie można. Z księciem trudna sprawa! Przekonać go niesposób, dobre rady odrzuca, działając według własnego widzimisię. Przed tygodniem zawiadomiłem go o spaleniu przeze mnie mostu pod Dubienką, dostałem za to naganę niezasłużoną. Trzeba ścierpieć wszystko, skupić się w sobie i trwać.

Wszedł w tej chwili szef Karwicki i rzekł chmurno:

— Obserwowałem ruchy wojsk nieprzyjacielskich; siły moskiewskie znacznie przeważają nasze.

— Mieliśmy czas do tego się przyzwyczaić — odrzekł Kościuszko — natomiast odwaga nasza znacznie przewyższa moskiewską, a to grunt.

Karwicki potrząsnął głową.

— Co chwila dochodzą niepokojące wieści o dezercjach do Galicji. Żołnierza nam buntują. Biernacki tak stracił ducha, że z nim się dogadać nie można. Chodzi osowiały i klnie tylko, na czem świat stoi.

Kościuszko zachmurzył się.

— Tak — szepnął jakby do siebie — na Biernackiego trudno liczyć, łatwo głowę traci. W boju przytomność umysłu skarb nieoceniony. Za mało mi książę pozostawił ludzi w tym punkcie, gdzie będziemy mieli najcięższą przeprawę. Brygada Rzewuskiego, Czapski ze swemi dwoma batalionami i brygadą Lubowidzkiego, Biernacki, wasz pułk — zwrócił się do Karwickiego — dobrze zasłużony, major Gembarzewski na czele artylerji, oto wszystko, czem rozporządzam narazie.

— Niepomyślne zewsząd dochodzą wieści—mruknął Karwicki.—Targowica, jak polip, wyciąga ramiona, by zagarnąć, co się da, a potem rzucić wszystkich w paszczę nienasyconą. Branicki przesiaduje wciąż w obozie rosyjskim. Ucztują i zabawiają się w najlepsze. Podobno jeden z najwaleczniejszych, ich pułkownik Palembach, dał parol, że otoczy nas i weźmie bez wystrzału, tylko przy pomocy białej broni. Duży zakład o to trzyma i głośno się przechwala. Tak opowiadają schwytani przez naszych żołnierze.

Za te ambitne przechwałki postaramy się go ogniem artyleryjskim moresu nauczyć!—wtrącił Kniaziewicz, którego delikatne rysy twarzy nabierały niezwykle męskiego i stanowczego wyrazu, gdy go ożywiał zapał bojowy.

— Mogliby nas otoczyć niewątpliwie, o ileby się ważyli przekroczyć kordon—rzekł Kościuszko, doskonale orjentujący się w sytuacji — ale nie suponuję, aby zuchwalstwo ich nie uszanowało granicy ościennego państwa. Naraziliby się na zatarg wcale dla nich niepożądany. Należy przypuszczać, że Austrja do tego nie dopuści.

Tuż obok namiotu Kościuszki mieściła się kancelarja obozowa, gdzie kilku młodych oficerów oczekiwało na rozkazy dowódcy.

Wieść o przechwałkach Palembacha poruszyła ich do żywego

— Pułkownika konnych strzelców weźmiemy na cel, aż mu w uszach zagwiżdże i firtnie koziołka—zawołał Bukar—moja baterja właśnie u galicyjskiej stoi granicy.

— Dziś jeszcze może przetrzepiemy Moskaluszkom skórę— zapalał się młodziutki ułan, świeżo przybyły ze szwadronem kawalerji narodowej.

— Waszmość z mości panem Karwickim?—rzucił Bukar, przedstawiając się nowemu towarzyszowi broni.

— Tak jest, Wacław Prawdzic—wymienił swe nazwisko chorąży. — Szczęśliwy się czuję, że będę mógł walczyć pod dowództwem generała Kościuszki. Niema obawy, żeby się nie powiodło. Jaki to wódz niepospolity! Żywię dla niego cześć i uwielbienie.

— Czy waszmość byłeś już w jakiej potrzebie? — zagadnął Bukar, rzuciwszy okiem od niechcenia na swój medal złoty.

— Nie—odrzekł Prawdzic, nieco zafrasowany — ale imć pana generała Kościuszkę z Włocławka jeszcze pomnę.

— A ja po Zieleńcach dostąpiłem zaszczytu, iż generał własnoręcznie przyozdobił mię znakiem honorowym — nie omieszkał pochwalić się Bukar. — Znam bliżej imć pana generała, gdyż obaj z Fiszerem byliśmy wyznaczeni do jego kancelarji w Niemirowie. Z rodzicami moimi też przyjazny go łączy stosunek.

Prawdzic z zazdrością spojrzał na odznaczenie, zdobiące pierś młodego artylerzysty.

Kilku innych oficerów przyłączyło się do rozmowy. Każdy miał coś do powiedzenia o utarczce pod Zieleńcami. Wszyscy ubolewali, że bitwa skończyła się za prędko, gdyż można było lepszego Moskaluszkom dać „łupnia".

— Szykuje się dla waszmościów pole do popisu—rzucił Kniaziewicz, przechodząc mimo i zasłyszawszy ostatnie słowa rozmowy.—Nie wątpię, że się artylerja nasza dzielnie spisze. Na prawem skrzydle cała nadzieja — dorzucił, chcąc młodszym swym towarzyszom dodać ducha.

— Ochotnie odpukamy im, niech tylko zaczną!—zaśmiał się Bukar zuchowato.

— Książę Józef i generał Wielhorski mniej od nas są na szwank narażeni — zauważył jeden ze starszych oficerów. — A podobno książę otrzymał rozkaz od Króla Jegomości unikania wszelkiego spotkania z nieprzyjacielem, aby „nie drażnić przeciwnego obozu".

Do młodej kompanji przysiadł się barczysty drab z ręką na temblaku.

— Dajcie mi waszmość który ognia do lulki — zwrócił się do nich na wstępie. — Pogruchotali mi psie wiary kości, że do własnej kieszeni człekowi dostać się nijak nie można.

Potoczył wzrokiem dokoła. Nie podobało mu się snać kłopotliwe milczenie młodzieży, wywołane przyłączeniem się do gawędy nieznanego przybysza.

— Cóż tak boczycie się, chłopcy? My tu wszyscy swoi — burknął naraz. — Piotrowski jestem, z pod Żytomierza rodem. Formowano dywizję wołyńską, przystałem do niej. Pod generałem Zajączkiem służyłem. Ostro nas trzymał, dobra szkoła! Aliści nasz książę Michał z księciem Józefem się popstrykał. Nas porozrzucano po innych korpusach. Z wołyńskiej dywizji nici! Masz, babo, redutę! I tak jakoś wszystko szach! mach! sobotnim ściegiem na niedzielny targ! Moskwie na drwiny!

Nikt nie odpowiadał Piotrowskiemu, a on ciągnął dalej, jakby do siebie:

— Nad Bugiem sine dymy rozwłóczyły się po niebie. Jakiś głuchy szum dolata. Może mi tak w uszach szumi?... Ale nie! Widzi mi się, podleci ten czort Kachowskij lada chwila... Będzie uciecha, tylko patrzeć! Cóż z tego przyjdzie, że krwi z pod serca utoczymy dla ojczystej sprawy, gdy tam srogie krzywdy gotuje Targowica!

— Nasza rzecz pełnić powinność, a zdrajców i sprzedawczyków infamja czeka — zawołał żywo Prawdzic.

— Jakiś ciężar mózg mi gniecie! Żar uderza. Żal mi was młodych, gorących, jak głownie, że w ten odmęt pójdziecie... A wszystko to nas nie ocali. Wszystko djabła warte!

— Dziwno mi, że waszmości takie myśli po głowie chodzą w takim momencie, gdy czekamy tylko rozkazu, aby skoczyć na koń i z nieprzyjacielem się zewrzeć! — oburzył się Prawdzic; podrywało go bowiem coś do walki i nie mógł znieść żadnej opozycji.

Piotrowski ręką machnął i, zaciągnąwszy się dymem, rzekł z goryczą:

— Mówią, że wino im starsze, tem lepsze, i dąb stary cenniejszy, i rozum też potrzebuje lat, by się wyrobił, a właśnie temuć Jaśnie Oświeconemu ks. Poniatowskiemu doświadczenia i stateczności brak! Młode to, urodziwe, a butne, że nie daj, Boże! Niby się pyta, rady wojenne zbiera, a nikogo nie usłucha! Najjaśniejszy Stanisław August król palcem kiwnął: „Przybądź, brataneczku, do Warszawy!" I poleciał w te pędy bratanek królewski w najgorętszy czas! Z pod Zieleniec, choć miał fory, szmyrgnął, jakby nic. I tak wciąż. Niby się już w Ostrogu na bitwę walną zanosiło, aż z stolicy kurjer wali: halt! Kulek niema, prochu niema, nie czas już dostawić, kiedy Moskal na karku. Więc hajda! Zbierajcie manatki i wtył, wtył, rejterada! Djabelski podmuch pędził nas wstecz aż tu nad Bug!

— Nie alteruj się waszmość. Wybrniemy. Generał Kościuszko nas powiedzie. Nie zginie się, dopóki jest otucha — mówił Prawdzic z ogniem w oku.

— Dobrze waści gadać, bo jeszcze masz mleko pod nosem, a starszy człek rozumem świat przetrząsa i myślą w lewo, w prawo i naprzód daleko wystrzela. Mam ci ja dworek własny i ziemi kawał, a wszystkiegom się odrzekł, kiedym zasłyszał, że ci złodzieje, rabusie w kraj nasz wtargnąć się ważą. Alić, zbliska przyjrzawszy się, widzę, że tu jeden do Sasa, drugi do lasa. A jeszcze na dobitek wczora, wysłany na zwiady, jadę sobie i w bok spoglądam po Bugu. Jak nie świśnie mi kula koło ucha, małom się z ko-

nia plackiem nie zwalił. Milejby w gorącej utarczce rękę lub nogę postradać, niż przy spokojnej przejażdżce taką mieć konfuzję, mospanie!

— Każda służba jest dobra w dobrej sprawie. Pełniłeś wacpan rozkaz i tak samo zasłużyłeś się, jak i każdy z nas, któryby kulą dostał w szeregu — odezwał się porucznik Töpfer, dzielny artylerzysta.

— Już jabym tam wolał zginąć z chwałą na froncie, niż chodzić z tą szmatą — irytował się Piotrowski, szarpiąc temblak niecierpliwie. — Bodajby raczej umrzeć wpierw, niż doczekać, żeby ów Kachowskij gnał znów za nami, a jeszcze ponoś się odgraża, że nie tylko pokona, ale wojsku polskiemu na wierność carycy przysięgać każe...

— Chyba wraz z życiem przysięgę takową z piersiby mi wyrwali! — zawołał Prawdzic z żarem.

Töpfer spojrzał nań życzliwie.

— I ja, mości chorąży, trzymam z wami! — rzekł, wyciągając rękę ku niemu.

Bukar zamyślił się chwilę.

— A gdyby wszyscy... Gdyby zmuszono najprzedniejszą szlachtę, wojsko całe, jakożby nam uchylić się od przysięgi można było? — wyrzekł zwolna, jakby rozważając, i w arystokratycznie wydłużone paznogcie utkwił wzrok na chwilę.

— Czy waszmość, panie podporuczniku, nawet żartem możesz dopuszczać do siebie myśli tak niewczesne? Czy waszmość byłeś kontuzjowany w palec, czy w głowę? — zaperzył się Prawdzic.

Bukar szarpnął pendent niecierpliwie, ujął za rękojeść szabli i, postępując parę kroków naprzód ku chorążemu, krzyknął mu niemal w ucho:

— W każdym razie o tyle ręką władam, że możemy choćby zaraz szablą się rozprawić.

— Hola, hola, mości panowie, nie tak znów gorąco! Przed bitwą rozpoczynać burdy pod bokiem dowódcy, wiecie, czem to pachnie? — mitygował Töpfer.

— Mojem zdaniem, należy zawsze iść za większością — upierał się Bukar. — Gdyby starsi uznali to za konieczne, musielibyśmy się do rozkazów stosować.

— Co do mnie, gdybym jeden tylko miał pozostać przy generale Kościuszce, którego zasady są pod tym względem niezłomne, pozostałbym bez wahania, chociażby wszyscy byli odmiennego zdania — rzekł Prawdzic.

Być może, pomiędzy młodymi towarzyszami broni wynikłaby orężna rozprawa, gdyby naraz nie powstał alarm w obozie.

Z kilku stron naraz dano znać, że Moskale opanowali bród, że Kozacy i karabinierzy przeprawili się już przez Bug, że pułkownik Grochowski mocno jest atakowany, a majorowi Krasickiemu sam książę Józef pośpieszył z pomocą, ale spóźnił się, gdyż Dorobusk płonie i wojsko musiało się cofnąć.

Wpadł znów ordynans na spienionym koniu, oznajmiając Kościuszce, że między Huszczą a Opalinem część korpusu Lewanidowa stawi baterje i że Wielhorski otrzymał rozkaz od księcia cofania się na Chełm.

Kościuszko w mgnieniu oka ogarnął położenie. Jasne było, że Poniatowski ustąpił przed częścią korpusu Kutuzowa, liczącej najwyżej do dziewięciu tysięcy głów, która atakowała jedynie dla zrobienia dywersji, gdy tymczasem jemu, Kościuszce, przypadnie w udziale odparcie głównego ataku znacznie przeważających sił, nie licząc już na żadną pomoc.

Z błyskawicznym pośpiechem obwarował się dzielny dowódca między wioską Uchanką a kordonem austrjackim.

Nazajutrz czołowa linja obu skrzydeł nieprzyjacielskich rozpoczęła atak. Siedem godzin prażono ogniem z dział

nieprzerwanie, krzyżowały się pociski, czyniąc wrażenie jakiegoś piekielnego chaosu.

— Nasza artylerja czyni wielki skutek!—wołał Kościuszko, przelatując, jak wicher, z jednego końca na drugi i zagrzewając swych dzielnych towarzyszy. — Dotąd mamy trzech zabitych, a po tamtej stronie padają ludzie, jak snopy! Dalej, żywo, dajcie ognia do drącej się na szańce piechoty!

I znów ogłuszający huk armatni wstrząsnął powietrze.

Moskale, zachęcając się nawzajem dzikiemi okrzykami, biegli do szturmu brać bagnetami środkowe szańce. Brnęli po błotach i moczarach piechury, trzy razy odparci, nacierali już coraz słabiej.

Naraz Kniaziewicz przypadł do generała Kościuszki. Twarz mu pałała:

— Oddział jazdy skręcił w las. Strzelcy Palembacha wernęli się przez kordon. Baterje i prawe skrzydło zagrożone — wyrzucił jednym tchem.

Kościuszko lunetę podniósł do oczu.

Daleki horyzont zasnuty był moskiewskiem mrowiem.

— Prawe skrzydło bronić! — rzucił rozkaz Kościuszko i wnet popędził w tę stronę.

Nagłe natarcie jazdy rosyjskiej na tyły armji sprawiło zamęt w naszych szeregach.

Kościuszko gorącemi słowy zagrzewał do boju, chociaż czuł, że opór długo trwać nie może.

Upalny dzień lipcowy dobiegał końca.

Siwa wstęga Bugu wiła się wśród piaszczystych wybrzeży. Dym z dział zasnuwał szarą mgłą zastępy piechoty rosyjskiej i liczne pułki jeźdźców.

Zdobywano reduty.

Popodcinane drzewa, waląc się z trzaskiem, przygniatały nacierających z furją, a wiedzionych przez śmiałego Palembacha konnych strzelców. Generał Karwicki uchwycił w lot

sposobną chwilę do wpadnięcia na nich z impetem ze swymi dzielnymi ułanami. Rosyjskie oddziały rozpierzchły się pod ich naporem, zaścielając pole walki trupami.

— Gdzie jest brygada kawalerji Biernackiego? — pytał Kościuszko pędzącego wcwał adjutanta.

Pytał odruchowo, oczom swym jakby nie dając wiary.

Brygada wielkopolska, nie biorąca dotąd czynnego udziału w bitwie, zmykała z placu w największym pośpiechu.

— Hańba, sromota! — rzucił Kościuszko, a głos mu się łamał od wstydu za współbraci — dognać ich! Zatrzymać siłą!... — wołał w najwyższem rozdrażnieniu.

Podjechał doń generał Wielowiejski i rzekł:

— Pal licho tych tchórzów! Z nimi czy bez nich placówka stracona! Musimy ratować armaty. Konie z kawalerji do nich zaprzężemy. Trzeba salwować, co się da! Potem ustawimy bataljony pod lasem.

— Dwa szańce prawego skrzydła obsadzone dwoma bataljonami strzelców naszych, tam staną też ułani Karwickiego.

Pułkownik Suszkowski na spienionym koniu dopadł w tejże chwili Karwickiego i rzekł twardo:

— Brygada Biernackiego zwiała! Wobec przewagi nieprzyjaciół nie mamy co się łudzić. Zwyciężyć niesposób, ale do porażki Kościuszko nie dopuści! Musimy dać sobie słowo trzymać się do ostateczności.

— Parol szlachecki!

— Parol szlachecki!

Uścisnęli sobie dłonie w milczeniu.

— Jeśli przyjdzie chwila, gdy wypadnie zarządzić odwrót, uczynić go musimy w największym porządku.

— Jestem gotów na wszystko. Na swoich mogę liczyć śmiało, żaden nie ustąpi z placu bez wyraźnego rozkazu.

— Moich zuchów też jestem pewien.

Straszny huk stłumił głosy.

Nieprzyjacielskie szyki zwiększały się z każdą chwilą. Wypełzały z leśnej gęstwiny, przesuwały się przez moczary, brodziły z pluskiem w wodzie. Oskrzydlenie naszych oddziałów, walczących mężnie, lecz znużonych kilkogodzinną, rozpaczliwą obroną szańców, zdawało się nieuniknionem.

Pękały rozpalone granaty, siejąc śmierć dokoła.

Z obu stron rozpoczął się ogień z ręcznej broni.

Ranni, stratowani przez spłoszone konie, wydawali ochrypłe jęki. Niektórzy wyciągali ręce błagalnie, wołając, aby ich dobito, w obawie dostania się żywcem w ręce nieprzyjaciół.

Barbarzyńskie okrzyki rozjuszonych jegrów rozbrzmiewały piekielnym hałasem; ziemia zdawała się drżeć od tętentu koni i huku armat.

— Wiwat! Palembacha utrafiliśmy!

— Palembach spadł z konia—krzyknął ktoś w szalonym zamęcie.

— Toć jego biały koń tak sadzi wprost ku nam!

— *Kaby nam etowo samowo Kaśtiuszka pojmat!...* [1]) — ryknął olbrzymiego wzrostu jeger, białe zęby wyszczerzając w dzikim uśmiechu.

— Masz ci Kaśtiuszka! — wrzasnął mu nad uchem młodziutki ułan i wyciągniętą szablą wprost przez łeb go lunął z taką siłą, że ten nawznak z konia się zwalił, krwią zalany.

— *Wot i nie pojmaju!... Nie pojma...* — zacharczał śmiertelnie ugodzony. — *Nu, jewo k'czortu!...*

Zachłysnął się krwią własną, z przekleństwem na ustach wydając ostatnie tchnienie.

— Prawdzic! Ucap konia za uzdę! Palembachowski, jak mi Bóg miły... [2]) Dobrześ łupnął jegra, już nie zipie!

---

[1]) Gdyby tak samego Kościuszkę schwytać!

[2]) Kościuszce biały koń kozacki Palembacha tak przypadł do gustu, że, jak zaznacza Niemcewicz, jeszcze w powstaniu 1794 r. na nim przewodził.

Prawdzic zręcznym zwrotem pochwycił uzdę mijającego go w przelocie rumaka i, zawróciwszy na miejscu, popędził w cwał w stronę, gdzie stał w tej chwili Kościuszko. Osadziwszy swego dyszącego ciężko Selima, salutował przed generałem.

— Po ubitym Palembachu!... — rzekł krótko, wskazując konia.

— Ach! Pułkownik miał nas otoczyć bez wystrzału!

Blady uśmiech na ustach wodza był nagrodą dla Prawdzica, który, oddawszy wierzchowca żołnierzowi nieopodal Kościuszki, w mgnieniu oka był już na swem stanowisku.

Noc zapadła.

Trudno już było zorjentować się w okropnym zamęcie.

Kościuszko zakomenderował odwrót. Kniaziewiczowi rozkazał uformować czworobok z bataljonu fizyljerów, mający osłaniać ustępujące szeregi.

Cofano się w stronę Krasnegostawu.

Ogień karabinowy nie ustawał.

Błyskały złowrogie światła wśród ciemności.

Grzmiały nasze działa, sprawiając wśród goniących znaczne straty.

Dwie mile posuwały się polskie szeregi, ścigane przez nieprzyjaciół przez błota i trzęsawiska, w których legły setki trupów i rannych.

Ugrzęzły dwie armaty.

Nie było czasu wydobywać ich w szybkim pochodzie.

Zbrakło koni. Padła ich moc niezliczona.

Żałosne rżenie opuszczonych na pobojowisku podnosiło jeszcze grozę chwili.

Kniaziewicz, wzorując się na Kościuszce, wiódł swój bataljon z zimną krwią i rozwagą wyćwiczonego w rzemiośle rycerskiem dowódcy.

Narazie trudno było orjentować się w ciemności. Nawoływano się po imieniu, odszukiwano, by po chwili znów zniknąć sobie z oczu.

— Po ubitym Palembachu! — rzekł, wskazując konia. (str. 188).

Kniaziewicz zwrócił się do Bukara z zapytaniem:

— Gdzie Töpfer?

— Kontuzją w twarz od kuli armatniej zabity.

— Zastąp go waszmość co rychlej!

Huknęły haubice, odstraszając natarczywą pogoń.

Strzelcy i ułani Karwickiego wiedli zaciekły bój pod lasem.

Prawdzic bił w lewo i w prawo z zaciętością niesłychaną. Po raz pierwszy w życiu znalazłszy się w wojennej zawierusze, upajał się tą wrzawą. Oczy jego, jak u kota, fosforycznym migotały blaskiem. War młodej krwi uderzał mu do głowy. Był cały jakby z płomienia, rad piersią własną zasłonić cały oddział, zastępy wrogów trupem położyć.

Brzmiały mu jeszcze w uszach słowa Kościuszki, rzucone w przelocie podczas obrony reduty:

— Szczęśliwą masz rękę, mości chorąży!

Było to w chwili, gdy w oczach dowódcy kilku zajadłych piechurów padło jeden po drugim, rażeni celnemi cięciami Prawdzica, a pułkownik Zołotuchin zwalił się z konia.

Szczęśliwą rękę chciał mieć do końca, choć teraz, wciśnięty w czworobok ustępującego oddziału, napastowanego przez konnych i pieszych kozaków, musiał oganiać się im w mroku. Konie plątały się, ciemność nie pozwalała utrzymać rygoru wśród żołnierzy.

Dowódca zachęcał, rozkazywał:

— Dalej, wiara! Nie wysuwać się z szeregu. Naprzód, marsz!

Suszkowski, Karwicki i Wielowiejski trzymali się ułożonego planu rejterady w ostatecznej potrzebie, dzielnie wciąż broniąc się do upadłego od natarczywego pościgu.

Nagle koń Prawdzica stanął dęba, odłamkiem granatu zraniony. Jednocześnie niemal świsnęła kula i jeździec, uczuwszy ostry ból w boku, zachwiał się na siodle, krew

bryznęła obficie, miljony iskier zamigotały w oczach, w uszach szum jakby pieniącej się kaskady... Czuje, że przytomność traci... Całą siłą woli chce przemóc ogarniający go bezwład, naraz koń runął, a z nim razem młodziutki ułan zatoczył krąg w powietrzu i padł twarzą na wilgotną murawę.

Miał teraz wrażenie, że zapada się gdzieś w głębię nieskończoną. Ucho jego chwyta tętent daleki, coraz dalszy... Ciemność zupełna. Omdlał, czy też śmierć wzięła go w swe objęcia?...

Leżał tak wpół martwy, niewiadomo, jak długo.

Naraz uniósł nieco głowę. Z cichym jękiem potoczył mętnym wzrokiem dokoła. Jedną ręką zaciskał kurczowo ranę, z której sączyła się krew, drugą tulił do siebie szablę. Zdawał się tym bezwiednym gestem wyrażać myśl ostatnią: „Nie wydrzecie mi jej, nie wydrzecie!"

Jak w letargu pogrążony, odczuwał coś niecoś, nie mogąc zdobyć się na ruch żaden.

Upływ krwi osłabił w nim czynność mózgu, lecz mimo to zdawał sobie sprawę, iż jest to powolne konanie, że za chwilę wszystko się skończy.

— Jakie to dziwne, choć tak proste! Byłem, niema mnie! Odeszli. Nie spojrzał nawet nikt w tę stronę. Każdemu śpieszno ujść z życiem. Ha! Wojna!... Ojcze, matko i ty, ukochanie moje! Czy odczuwacie, że duch mój nawpół już tylko na ziemi?... Jaki przestwór! Wielkie, wielkie niebieskie przestworze!...

Chłód w rękach, cierpną... martwieją!

Ach! To krew tak upływa bystro czerwoną strugą.

Gdyby czem przewiązać ranę...

Za chwilę nadejdą tamci. Stratują, gorzej stokroć, zagarną do niewoli.

Co? On, Prawdzic, jeńcem moskiewskim?...

Nigdy, lepsza śmierć!

Niech przyjdzie, zanim pęta mu włożą i knutem pognają!...

O, Boże, Boże!...

Oczy mgłą się zasnuły. Omdlał znowu.

Naraz krzyk i grubjańskie słowa zakłóciły mu błogi stan powolnego z ujściem krwi zamierania.

Bagnetem go pchnęła jakaś brutalna ręka.

Nie drgnął.

— *Miortwaja skatina!...*[1]) — zabrzmiał głos szorstki, ostry, jak świśnięcie kańczuka.

— *Sapahi śniat' nado! Prigadiatsia!*[2])

— *Nu, jewo k'czortu! Pośpiejem zachwatit' u Polaczischkow, skolko duszie ugodno!...*[3]) — objaśniał kozak, odymając dumnie usta.

Nogą mocno potrącił bezwładne ciało i, zakląwszy siarczyście, pomknął za towarzyszami.

Prawdzicowi tysiące plam czerwono-ognistych przesłoniło oczy. Zimny pot zrosił czoło.

Nic już nie czuł.

* * *

Kościuszko z dwoma bataljonami piechoty i jednym pułkiem jazdy dotarł o świcie do Kumowa, nie mając żadnej wieści o rozproszonych szwadronach prawego skrzydła.

Starano się zasięgnąć języka, ale trudno było cokolwiek przedsiębrać wobec snujących się wszędzie kozaków.

Kniaziewicz przez cały czas nie tracił z oczu swego dowódcy. Obaj szczęśliwie uniknęli ciosów; żaden z nich nie był nawet draśnięty kulą, chociaż ustawicznie narażali się na niebezpieczeństwo.

---

[1]) Martwe bydlę.

[2]) Buty zdjąć trzeba. Przydadzą się.

[3]) A niech tam, do licha! Będziemy mieli czas zabrać Polaczkom, ile tylko dusza zapragnie!

Kościuszko był chmurny. W oczach jego malował się smutek. Nie mógł darować, że brygada kawalerji nie dotrzymała placu i ucieczką swą pociągnęła za sobą kilka oddziałów z lewego skrzydła reduty. Z drugiej strony bolał nad utratą walecznej jazdy pod wodzą Karwickiego, Suszkowskiego i Wielowiejskiego, o których nie wątpił, że walczyli do upadłego, a ponieważ dotąd na umówiony punkt nie przybyli, należało przypuszczać, że polegli lub też dostali się do niewoli.

— Strata dotkliwa—rzekł do Kniaziewicza. — Natychmiast muszę zawiadomić o tem księcia generała.

— Ilu naszych padło, trudno obliczyć. Być może, ściągną jeszcze maruderzy, dużo rannych się znajdzie. Sądzę, że padł co najmniej piąty lub czwarty żołnierz w szeregach — mówił Kniaziewicz, odgarniając włos bujny z wysokiego czoła.

— Świadczy to o zaciętości boju, o dzielności naszego wojska — rzucił Kościuszko.

— Przedewszystkiem o wysokim talencie i energji naszego dowódcy—odrzekł Kniaziewicz, z czcią skłaniając głowę przed Kościuszką.

— Sprawialiście się, jak nie można lepiej! Salwowałeś nasz odwrót ze spokojem, godnym najwyższej pochwały. Rad jestem z ciebie, Karolu — zawołał Kościuszko, ściskając serdecznie dłoń Kniaziewicza.

Poczem usiadł do pisania raportu. Zaledwie ten został wysłany, gdy nagle przed generałem stanął zdrożony, kurzem okryty Niemcewicz.

— Wszelki duch!... Skądże, na Boga—zawołał Kościuszko, witając go przyjaznym uściskiem.

— Ano, jak widzisz, generale, porzuciłem stolicę, aby zapoznać się z życiem obozowem, i oto, wywlókłszy mój mundur majorowski, prostym wózkiem pocztowym dostałem się do Dorohobuska.

— Jakże Warszawa? Co mówią o wojnie? Co cię do nas przywiodło? W tej ciężkiej opresji miło mi jest wielce widzieć cię przy sobie—mówił Kościuszko tym ujmującym tonem, którym serca wszystkich niewolił.

— Stało się tak: ustawiczne cofanie się wojsk naszych poczęło budzić coraz większe nieukontentowanie wśród ludności. Mnie też, niemniej od innych, ogarniała pasja, gdym słyszał wciąż o rejteradzie księcia Józefa. Postanowiłem przekonać się naocznie, jak rzeczy stoją. Poszedłem więc do króla, by oznajmić mu mój zamiar i zapytać, czy nie ma jakiego polecenia do obozu. Wybrałem się o rannej godzinie. Jego Królewska Mość był jeszcze w negliżu. Zdumiałem się, widząc przed sobą zgrzybiałego starca. Długie, siwe kosmyki włosów spadały mu na ramiona, twarz zmięta, znużona. Zaledwie wszedłem, anonsują kurjera z Litwy. Byłem obecny przy posłuchaniu. Porucznik Pernet opowiadał pomiędzy innemi, że w utarczce naszej z Moskalami poległ, czy też ciężko poszwankowany został Zubow, brat tego, który odgrywa dziś dużą rolę na dworze petersburskim. Imaginuj sobie, generale, że Król Jegomość wzruszył się tą nowiną, jakgdyby o kimś bliskim mu była mowa! Wziąłem stąd asumpt do smutnych rozmyślań nad nietrwałością królewskich zapałów dla naszej sprawy, i bezwiednie westchnienie wyrwało mi się z piersi. Król, jakby dopiero zauważył obecność moją, wysłuchawszy relacji Perneta, wnet zbliżył się ku mnie i zapytał uprzejmie, czego żądam. Wyłuszczyłem mu przyczyny, skłaniające mnie do wyjazdu.

— Niepotrzebnie tam jedziesz—odrzekł z pewną niechęcią. — Źle rzeczy stoją!

Zdobyłem się na całą elokwencję, aby przedstawić sposoby ratunku, według tego, jak ja i wszyscy dobrzy Polacy zapatrujemy się na stan obecny. Groźne jest położenie, ale nie bez wyjścia.

— Niech Wasza Królewska Mość raczy zwołać pospolite ruszenie — rzekłem wreszcie, a sam niech podąży choćby dziś jeszcze do korpusu generała Byszewskiego, stojącego za Pragą.

Król potrząsał głową potakująco, zdawał się słuchać mię uważnie, był jednak mocno zafrasowany.

— Jedź, jedź — rzekł — jeśli chcesz koniecznie. Dam ci list do mego bratanka, rad będę polecić cię jego względom.

— Istotnie list mi przysłał, bez zwłoki więc puściłem się w drogę do głównej kwatery. Książę przyjął mię dość kwaśno.

— Mówże, na Boga, czem się tłumaczy, że posiłków mi nie przysłał?... Moglibyśmy pod Dubienką odnieść walne zwycięstwo, a tymczasem zawód doznany zmienił całkiem położenie.

— Spotykałem się w drodze ze zdaniem, że książę przez zawiść i emulację [1]) niejako wyznaczył ci, generale, stracony posterunek, że boli go, iż większy od niego masz mir i poważanie wśród żołnierzy. Ale tak dalece źle o księciu nie trzymam, pomimo że mógłbym żywić urazę za oziębłe przyjęcie, jakiego doznałem. Wiem, że ze stolicy nadchodzą wciąż błędne rozkazy. Książę utrzymuje, że, gdy główną siłą uderzył nieprzyjaciel na reduty pod Dubienką, czyniąc zarazem silne ataki na posterunki nasze, wzdłuż rzeki rozrzucone, reszta wojska, trzymana w szachu, nie mogła zdążyć na pomoc.

— Nieumiejętność, wygórowana ambicja, zbytnie w mało wyćwiczonych swych doradcach przybocznych zaufanie... — szepnął Kościuszko jakby do siebie. — Księciu jeszcze dużo praktykować trzeba, choć wierzę, że na dobrych chęciach mu nie zbywa.

— Mocno mi się sztab księcia nie spodobał, wyznaję szczerze — rzekł Niemcewicz. — Patrzano tam na mnie z taką

[1]) Współzawodnictwo.

miną, jakbym był dla nich niemym wyrzutem sumienia. Rozumiano, że, jako gorliwy partyzant konstytucji, chcę wysondować powody tak niepomyślnych dotychczas wyników wojny. Przemówiłem się zaraz na wstępie z kilku fircykami, będącymi w asyście księcia. Ośmielali się zbywać żartami poważnie stawiane zapytania. Dworują sobie ze wszystkiego. Dziwno mi, zaprawdę, że wódz naczelny otacza się ludźmi tak małej wartości moralnej. Uczucia patrjotyczne albo drzemią w nich, albo też zupełnie w światowych błahostkach się rozwiały.

— Wielu jeszcze rzeczom dziwić się będziesz, przyjrzawszy się lepiej ciężkiemu naszemu położeniu — westchnął Kościuszko. — Być może, że książę ma do mnie jakąś urazę, choć, Bóg mi świadkiem, staram się pełnić mą powinność, o ile mi tylko sił starczy...

— Chyba znacznie więcej, mości panie generale, niż powinność wymaga!... — wtrącił Kniaziewicz z głębokiem przekonaniem.

— Nie przeceniaj zbytnio mych zasług, kochany Karolu. Wiem, że jesteś mi szczerze oddany, to też nie pomieniałbym się z księciem, gdyby mi cały sztab swój wzamian za ciebie ofiarował — zaśmiał się Kościuszko, obrzucając przyjaznem spojrzeniem smukłą i zręczną postać stojącego na wprost niego Kniaziewicza.

— Nie mogę twierdzić, że książę Józef nieprzychylnie jest dla generała usposobiony, chyba niedyspozycje serca zręcznie maskować umie, ale niezmierną frasobliwość okazywał co do losów jego i obligował mnie dotrzeć tu, aby wiadomość pewną przywieźć.

— Właśnie przed chwilą wysłałem raport. Niepocieszający wcale — odparł Kościuszko, brwi chmurząc. — Niepodobna było zapobiec przeprawie armji nieprzyjacielskiej. Musiałem usunąć się od rzeki o dwa wystrzały z dział, oparłszy lewe skrzydło o las, prawe o granicę galicyjską.

Walka była zacięta. Ich straty znacznie przenoszą nasze. Artylerja dokazywała cudów waleczności. Ale spotkał nas cios wielki. Nasz dzielny generał Wielowiejski musiał polec w boju, gdyż...

— Bywajcie! Oto tu jest zdrów i cały!—przerwał ubolewania głos od progu.

Jednocześnie ukazała się postać sędziwego dowódcy.

Twarz jego pogodna, sczerniała od prochu, miała wyraz ogromnego znużenia.

Kościuszko zerwał się na równe nogi i padł w objęcia towarzysza broni.

— Niechże niebu będą za to dzięki! Mieliśmy cię już, mości panie generale, za straconego! — wołał w radosnem wzruszeniu.

— Przywiodłem z sobą hufce przerzedzone nieco, wszelako jeszcze dziarskie i bitne.

— Pójdźmy ku nim, niechże ich powitam! — zawołał żywo Kościuszko.

Przybył Karwicki i Suszkowski. Opowiadać jęli o przebytych ciężkich chwilach, kiedy ich czworobok pod lasem był napastowany przez zażartych kozaków.

— Azard był wielki, aliści nie daliśmy się rozbić i otośmy znowu w gromadzie — rzekł Suszkowski, siląc się na wesołość.

— Kropli jednej w niczyjej manierce nie zostało—dodał Karwicki! — Musimy się pokrzepić nieco, może się tu antałek jaki znajdzie.

— I owszem, i owszem, wnet posiłek dla wszystkich przygotować każę! — odparł Kościuszko.

Poczęto rozpamiętywać szczegółowo świeżo przebyte wrażenia. Obliczano naprędce swoje i nieprzyjacielskie straty.

— Od naszego fizyljera ugodzony kulą, padł Palembach— rzekł Kniaziewicz.

— Setny koń kozacki dostał mi się po tym moskiewskim pułkowniku — wtrącił Kościuszko. — Wielcem rad z niego. Powinszować ci muszę, mości panie generale, tak udanego i śmiałego oficera, jak ten mały Prawdzic. Jemu to strzeliło do głowy w zamęcie bitwy konia tego pochwycić i mnie go przywieść. Zuch, jakich mało. W moich oczach Zołotuchina, na cel wziąwszy, z konia powalił. Muszę go przedstawić do nagrody.

— Już mu się w niebie „Virtuti Militari" dostanie — odrzekł Karwicki. — Padł, rażony kulą. Tak mi raportowali moi ułani. Rannych też mamy sporo.

— Opatrzeć ich co najrychlej potrzeba!

To rzekłszy, Kościuszko wydał rozkaz, aby zajęto się rannymi oraz uprzątnięciem trupów, pozostałych po drodze i na pobojowisku.

Bukarowi dostał się pałasz Palembacha na pamiątkę, iż śmierć znalazł przeciwnik, nacierając na jego baterję, a Kościuszko podał go do awansu na rangę porucznika, powierzając mu tę szarżę po zabitym w boju Töpferze.

Długo przeciągnęła się rozmowa dowódców o przebiegu bitwy i sprawach publicznych. Pomimo znużenia i niewczasu, nikomu jakoś na sen się nie zbierało.

Na biwaku żołnierze gwarzyli też przy rozłożonych ogniskach, gotując strawę.

Naogół potępiano brak zmysłu orjentacyjnego naczelnego wodza. Widoczne było, że nie zrozumiał manewru Kachowskiego, którego ataki pod Dorohobuskiem i Opalinem miały jedynie na celu odwrócenie uwagi od wymierzonego na stanowisko Kościuszki natarcia. Poniatowski miał dobę czasu do pośpieszenia z pomocą. Winien też był ściągnąć korpus Wielhorskiego, bezczynnie stojący, zamiast odsunąć go jeszcze dalej.

Co będzie teraz? Do jakiego punktu tym rączym krokiem dążymy? Może już i króla udało się pánu Szczęsnemu przeciągnąć na swoją stronę?...

Takie dręczące pytania padały co chwila wśród gwaru krótkich, urywanych opowieści obozowych.

*

* *

Do wyprawionych dla grzebania poległych przyłączył się Piotrowski, który, pomimo dolegającej mu rany, nie chciał pozostać bezczynnym.

O świcie na skraju lasu poczęto kopać pośpiesznie dół głęboki. Miały tam spocząć szczątki tych, którzy wczoraj jeszcze z całem zaparciem się siebie walecznie bronili posterunków.

Na zaróżowionem od wschodu tle nieba sunęły zwolna szaro-fioletowe obłoki, tworząc fantastyczne obrazy, jakby dalszy ciąg toczącej się bitwy. Potworne jakieś rumaki stawały dęba, olbrzymie haubice miotały deszczem granatów, zastępy lotnych rycerzy zwierały się z sobą w śmiertelnych zapasach.

Mgła, unosząca się nad rzeką, oświeżała powietrze wilgotnym aromatem. Błogą ciszę poranku przerywał tylko harmonijny szczebiot ptactwa, które, spłoszone hukiem dział, powracało do swoich gniazd. Niekiedy chmara kruków z krzykliwym rozgwarem opuszczała się nad padliną, unosząc żer i krakaniem dając znać o zdobyczy. Miejscami strugi skrzepłej krwi znaczyły ślad, którym podążał ranny, uchodząc pogoni.

Strzępy mundurów, szlufy, munsztuki, splątane wśród zarośli, dogorywające konie, pozostawione swemu losowi, wszystko to świadczyło wymownie, że tu toczyła się walka na śmierć i życie.

Ciężko rannych, dających jeszcze choćby słabe znak życia, układano na furgonach; lżej ranni, po zrobionym naprędce opatrunku, gramolili się o własnych siłach na wozy. Trupy ściągnięto na jedno miejsce dla złożenia do wspólnego dołu. Czas naglił i niepodobna było myśleć o wyprawieniu pogrzebu.

Piotrowski przydany był do czuwania, by służba obozowa nie odzierała zmarłych z odzieży i nie grabiła znalezionych przy nich przedmiotów wartościowych. Te zaś wraz z dokumentami powinny były być dostarczone do sztabu dla zwrócenia następnie rodzinom poległych.

Piotrowski notował ilość zebranych trupów i, o ile się dało sprawdzić, ich nazwiska i rangę. Pełniąc tę czynność, gwarzył sam z sobą, a niekiedy przemawiał do zmarłych, jakby prowadząc z nimi rozmowę:

— A czegoś tak gębę wykrzywił, nieboraku? Pięście zaciskasz, a już nikomu nic po tem! A to cię poczęstowano siarczyście! Pewnoś ani pisnął, boś poszarpany całkiem na strzępy! Ot, jedna sekunda i bigos się zrobił z człeka!

Dogadywał tak, aby dodać sobie animuszu; popijał co chwila z manierki, bo czuł niemiły dreszcz przy zetknięciu się z zimnem trupiem.

Gdy nagromadził się już stos poległych, poczęto ich spuszczać do dołu, a potem przesypywać świeżą ziemią.

— Jeszcze miejsce dla hułana — zawołał chłop, wzięty do pomocy, ciągnąc zwisającego mu na rękach młodziutkiego oficera.

Piotrowski spojrzał uważnie w bladą twarz o regularnych rysach i niezmiernie długich rzęsach, przysłaniających siną obwódką podkrążone oczy.

— Prawdzic! Jak mi Bóg miły, Prawdzic. Ten sam żółtodzióbek, co to się był zadarł z drugim takim, jak on, młokosem! Zmarło się niebożątku. Młodziutkie to, a urodziwe, jak panienka! Zgasłeś, młodziku, w gąszczu leśnym, duszyczka

rozwiała się, jak ta mgła! Rwało się to w bój, jak postrzelone! War miał we łbie a dobre czucia w sercu. Szkoda go! Wieczne mu, Panie, daj odpoczywanie! Niech wam tu wszystkim, waszmościowie, ta ziemia lekką będzie!

To mówiąc, chwycił za łopatę i sporą grudę ziemi cisnął do przepełnionego dołu.

Ziemia z głuchym chrzęstem rozsypała się po rabatach Prawdzica...

Nagle... Czy to przywidzenie?...

Z mogiły dał się słyszeć jęk przytłumiony.

Piotrowski drgnął.

— We łbie mi się mąci, czy co u djaska!... — mruknął pod nosem, nierad sam siebie przyłapać na gorącym uczynku niedającego się opanować lęku.

Wydało mu się, czy istotnie jaka dusza jeszcze się w ciele kołata?...

Chłop sypał dalej ziemię, mówiąc z obojętnością, ludowi właściwą:

— Iii!... Choćby i zipnął jeszcze który, to i tak już z niego nic nie będzie!...

— Zastanów się, głupi człeku! Na rany Boskie! Toć jęczy najwyraźniej! Nie waż mi się zasypywać dołu, aż sam sprawdzę, kto zacz jest, co pomocy naszej żąda?...

To mówiąc, w dół się spuścił bez wahania.

W tej chwili Prawdzic otworzył szeroko swe jasne, pogodne oczy.

— Chryste Panie! A to ci dopiero widowisko!... Niczem Piotrowin!... — wołał wachmistrz zdumiony, podkładając swe zdrowe ramię pod plecy oszołomionego młodziana i unosząc go w górę.

— Co to ma znaczyć?... Gdzie jestem?... — wyszeptał Wacław ledwie dosłyszalnym głosem.

— Nic, nic! Zaraz masz powrócić waść z tamtego świata! Nie alteruj się, nieboraku! — Zaszła mała pomyłka. Mogli ci

nielada figla spłatać. Wszystko się na wojence przytrafić może!... A wy, oczajdusze, gawrony! — srożył się Piotrowski—żebym was nie przypilnował, tobyście niejednego żywcem wyprawili do nieba, a na ziemi obdarli z całego dobytku, cisnąwszy, jak padlinę, do jamy! Bydło bezmózgie! Kanalje!...

Złościł się, zżymał i wydobytego z dołu ułana gorzałką cucił. Usiadłszy na murawie, głowę jego złożył na swych kolanach i ostrożnie obcisły mundur jął rozpinać, by ranę opatrzyć i szarpie w nią włożyć.

— Dobrze sobie sam zaradził!... — zawołał wachmistrz.

Okazało się, że omdlały z bólu chorąży odruchowo tak mocno zacisnął dłonią bok przebity, że upływ krwi został powstrzymany. Wszelakoż twarz jego była martwo blada; niewprawni do posług sanitarnych ochotnicy mogli się łatwo omylić i wziąć go za umarłego.

Kilkakrotnie budził się w grozie nocnej ciszy i znów obumierał, ale młode życie kołatało się jeszcze w poszarpanem ciele.

Nie zdawał sobie jasno sprawy z tego, co się stało. Nie słyszał Piotrowskiego, który przemawiał doń lub czynił głośno spostrzeżenia:

— Żeby nie ja, tobyś już świata nie oglądał! Jakie to rysy foremne, a jakby z wosku ulepione! Tożbym mógł mieć takiego syna, gdyby się mój pierworodny uchował! Wziął Bóg dziecko, żonę do swojej chwały powołał. Ha! Wszystko mija! — westchnął — sam, jak palec, zostałem na świecie. Oj, miłowałbym ci ja takiego synaczka, coby się za tą chmarą wrażą uganiał i krew za Polskę przelewał! No, jakże tam, mości panie chorąży? Lepiej tu, czy na tamtym świecie?... Powiadają: jak się człowiek przyłoży, to i w piekle niezgorzej. Kropnij waszmość jeszcze odrobinę gorzałki, zaraz ci ulży.

Prawdzic znów oczy otwarł szeroko. Leżącemu nawznak szafir nieba w źrenicach się odbijał. Podniósł nieco głowę i, rozglądając się niespokojnie dokoła, szepnął:

— Gdzie Selim?...

— A Bóg go raczy wiedzieć! Człek li to, czy urząd, czy jakie nieboskie stworzenie—wzruszył ramionami Piotrowski.

— Selim, mój koń bułany, gdzie on?

— Już go prawie do połowy kruki zżarły! — odrzekł z niezamąconym spokojem Piotrowski. — Ciesz się waść, żeś sam z życiem uszedł z tej piekielnej przeprawy.

— Ach!...

W głębokiem westchnieniu Wacława brzmiał żal szczery. Obrazy krwawe z dnia poprzedniego poczęły mu się zarysowywać w pamięci. Selim padł tuż przy nim na przednie kolana i spojrzał takiemi mądremi, smutnemi oczami, jakby mówił: „Żegnaj, druhu, już po mnie!"

I tętent oddalających się w szalonym pędzie kamratów pamięta. Tak, pozostał sam jeden. Padając, o pień jakiś ostry zawadził głową. Nie było komu zatroszczyć się. W takich chwilach jednostka nie istnieje, jest tylko ogół, jeden zwarty tłum. Selim!... Niema już Selima!...

Znów westchnął głęboko.

Selim był to dar Malwinki. Ona mu przysłała tego przepysznego bułanka i czaprak własną wyhaftowała rączką.

— Gdzie są nasi?... — rzucił niespokojnie Wacław.

— Teraz jeszcze pewnie w Kumowie. Lada chwila dalej wyruszą.

— Zwyciężyliśmy?

— Ni to zwycięstwo, ni to porażka. Siłać była tego szmatłajstwa przeciw nam! Generałowi Kościuszce cześć i chwała, że nie dopuścił oskrzydlenia. Parli psubraty przez kordon, snać z Austrjakiem się zwąchali. Kachowskij — gadają—rozbił namioty pod Uchanką, żeby się pochwalić przed

carycą, iż na obozowisku kościuszkowskiem wypoczywał, jak triumfator.

— A bodaj go!... — zaklął Wacław, do głębi wzburzony.

— Ha, trudno; trzebaby cudu, żeby zmóc taką nawałę. Toć ich pewno było z pięć razy tylu, co naszych!

— Tak, trudno — powtórzył smutnie Wacław.—Walczyliśmy na straconej placówce.

— Naszych padło z dziewięć setek, a Moskaluchów przeszło parę tysięcy. Do niewoli zabrali nam blisko stu ludzi.

— Chyba ciężko rannych. Któżby się dał wziąć żywcem? Trupem paść raczej — oburzył się Prawdzic.

— Dziękuj waszmość Bogu, że cię nie capnęli i że ci się udało nie lec żywemu z umarłymi — dodał Piotrowski.

— Dzięki waszmości wyszedłem z grobu i rad jestem, że to wschodzące słońce oglądam znowu — szepnął Prawdzic, ściskając dłoń Piotrowskiego.

Podniósł się nieco i spojrzał dokoła z takim zachwytem, jakby po raz pierwszy w życiu dane mu było ujrzeć te złocisto-różowe barwy u dołu i niepokalany seledyn u góry, oddychać wonią lasu i dzwonny szelest liści chwytać uchem.

— O!... wiewiórka! — zawołał naraz głosem tak radośnie zdumionym, że Piotrowski roześmiał się na głos i pieszczotliwie gładząc młodzieńczym puchem pokryty policzek Wacława, rzekł:

— Ot detyna!...[1])

Prawdzic spróbował wstać, ale odczuł przy tem poruszeniu tak silny ból w boku, że opadł bezwładnie na kolana wachmistrza i leżał długą chwilę, jakby w omdleniu.

Piotrowski się zakłopotał.

Dopiero teraz przypomniał sobie, że furgon z rannymi wyprawił do baraków, nakazując pośpiech, w obawie, aby jaki patrol moskiewski krzywdy im nie wyrządził. Spis na-

---

[1]) dziecko (po rusku).

zwisk pogrzebionych żołnierzy też im doręczył, sam zaś z wynajętym grabarzem miał zamiar zapuścić się nieco dalej ku wiosce i zasięgnąć języka, w którą stronę posuwają się Moskale. Wieśniak wszakże oddalił się niepostrzeżenie, nie czekając nawet przyrzeczonej zapłaty. Snać sam sobie pracę wynagrodził, uniósłszy łup pochwycony, skorzystał, że Piotrowski zajął się cuceniem młodzieniaszka.

— I co ja teraz z nim zrobię?...—zawołał na głos wachmistrz zakłopotany.—Na plecach nie udźwignę, sam nietęgo ręką władam, rana dolega. Trzeba jednak coś przedsięwziąć, bo jeśli nasi ujdą daleko, jak nam ich dogonić? O, tom sobie piwa nawarzył — wyrzekał dobrotliwie, przyglądając się bladej twarzy młodzika, który bezradnie zwisał mu na ręku. — Niema innej rady, tylko zostawić go tu, a samemu pójść poszukać dlań jakiego schronienia, bo ani marzyć o znalezieniu konia i wozu co najmniej na parę mil w okolicy. Jeśli nasi nie wzięli, to ci zatraceńcy pewnikiem nie oszczędzili chudoby.

Złożywszy ostrożnie Wacława na miękkim mchu pod cieniem drzewa i osłoniwszy dla niepoznaki zielonemi gałązkami, oddalił się szybkim krokiem.

Po chwili zawrócił z drogi i manierkę swą obok rannego położył, aby, ocknąwszy się, mógł z niej pokrzepić się nieco, poczem puścił się pośpiesznie boczną drożyną ku widniejącej wdali wiosce.

* * *

Książę Józef, cofając się wciąż ku Wiśle, zatrzymał się chwilowo w Kurowie, majętności Ignacego Potockiego, o cztery mile od Lublina.

Inny tu duch powiał.

Bliskość Puław podniecała zapał patrjotyczny. Były one natenczas jakby ogniskiem uczuć narodowych. I książę Józef

czuł się raźniejszy, układał plan walki, którą miał zamiar wkrótce stoczyć, licząc na pomoc wojsk litewskich i koronnych. Przesłał królowi swe plany, z niecierpliwością wyczekując ich zaakceptowania.

Kurjer, wysłany do Warszawy, wiózł też gorącą prośbę królewskiego bratanka:

„My z naszej strony bronić się będziemy, ile możności, lecz Wasza Królewska Mość racz pomyśleć, aby nam wszystkie potrzeby, które gwałtowniejsze codzień się robią, dostarczone były. Cokolwiek tylko może powiększyć lub zasilić moc wojenną, jest wielce pożądane".

Wojsko, pomimo znużenia i braków, cieszyło się myślą, iż będzie batalja, że znów zagrzmią armaty.

— Teraz akcja na dobre się rozpocznie! — powtarzano sobie dla dodania animuszu.

Głodno było, niewygód coniemiara, ładu za grosz, ale w duszach polskich lada nadzieja, jak promień wiosenny, roznieca wesołość.

Śpiewano w obozie pieśń bojową:

Żywo nam serca porusza ochota,
Że się do wojny otwierają wrota,
Cieszy ten odgłos Koronę i Litwę!...

Oficerowie byli wciąż rozsyłani po okolicy dla prowjantowania armji. Stawiano załogi. Sierakowski prowadził pośpiesznie roboty przy moście w Puławach.

Księżna Czartoryska, żywy biorąca udział w sprawach publicznych, rada była mieć w pobliżu zasłużonych obrońców Ojczyzny, z pomiędzy których Kościuszkę i Niemcewicza do przyjaciół swych zaliczała.

Książę Józef począł innem zgoła okiem patrzeć na Kościuszkę. Imponował mu ten skromny Litwin niezmordowaną wytrwałością; uznawał w duchu, że plany generała były praktyczniej od jego własnych pomyślane. Czuł się w gruncie rzeczy winnym, iż nie nadesłał mu posiłków pod Du-

bienkę, chociaż uparcie wszystkim dowodził, że nie mógł uczynić tego. Kościuszko wszelako ani jednem słowem nie dał mu do poznania, iż błąd popełnił, przeciwnie nawet, gdy inni potępiali postępek księcia, on brał go w obronę.

— Dziwny człowiek! Dziwny charakter!...—mówił książę Józef do Eustachego Sanguszki i do świeżo przybyłego do sztabu generała inspektora kawalerji, Janusza Ilińskiego. — Chciałbym mieć tyle, co Kościuszko, równowagi i mocy! A moja dusza rwie się i szarpie w rozterce myśli i woli!...

Paliła go teraz gorączka czynu, odznaczenia się, zdjęcia z siebie owego cienia szyderczych spojrzeń i półuśmiechów, z jakim wymawiano z naciskiem wyraz: „retyrada".

— A, sapristi! Trzeba nakoniec pokazać lwie pazury!...

Dłużył mu się czas niepomiernie w oczekiwaniu na kurjera z Warszawy.

Nie przybywał.

Niecierpliwość księcia udzielała się jego sztabowi. Upalny był dzień 24 lipca. Od rana paliło słońce; duszna atmosfera, jakby przed groźną burzą, ubezwładniała wszystkich, a szczelnie przylegające mundury i wysokie kołnierze wydawały się niektórym istną katuszą.

Kończono właśnie obiad, gdy ktoś bąknął mimochodem, że Targowiczanie przechwalają się podobno pozyskaniem sobie samego króla.

— Skąd znów takie wieści?... — zawołał książę Józef, chmurząc brwi.

— Wiadomość przyszła z dobrego źródła, z Puław — szepnął zaufany adjutant księcia, Kamieniecki.

— Lubię naogół kobiety, ale babskich plotek nie znoszę!...— rzekł ostro książę.— Księżna Izabella zanadto w politykę się bawi. Zamiłowanie całkiem niewiastom niewłaściwe!

— Niechby już w prawo czy w lewo, byle się raz skończyło — mruknął major Giżycki, ocierając pot z czoła z gestem niewymownego znudzenia.

— Czasem pomiędzy prawą i lewą roztwiera się przepaść — zauważył Kamieniecki, mierząc majora niechętnem okiem.

— Rozprawić się ostatecznie i zmazać hańbę, tego dziś jedynie z serca pragnąć możemy — dodał Niemcewicz.

— Ach, zaraz takie wielkie, górne słowa, które więcej poecie, niż zwykłemu śmiertelnikowi, przystoją! Wnet poznać można, kto z Parnasem się brata — zaśmiał się major.

— Co do mnie, radbym jak najrychlej szarżować tych Kachowczyków — odezwał się Sanguszko, któremu dusza rwała się do boju.

— I ja czuję pragnienie krwi... Przelaćbym ją chciał dziś, zaraz — rzekł książę Józef z wyrazem niezwykłej zaciętości.

— Jakiś goniec pędzi cwałem. Może kurjer z Warszawy? — rzucił żywo siedzący obok księcia Iliński.

Poniatowski zerwał się z miejsca i poskoczył ku oknu.

— Nie bez kozery książę tak się alteruje, suponować można, że, prócz listu Jego Królewskiej Mości, wiezie bilecik upragniony od jakiejś nadobnej Warszawianki — szepnął Giżyckiemu na ucho jeden ze sztabowych dowcipnisiów.

W kilka minut potem wręczono księciu pismo, istotnie ręką kobiecą adresowane.

— Z Puław — objaśnił krótko książę Józef, zwracając się do Sanguszki.

Na wyrazistej jego twarzy odbił się zawód i niezadowolenie.

Rozerwał szybko pieczątkę, a przebiegłszy pismo, żachnął się, wzroku jakby z niego zdjąć nie mogąc.

— Może jaka mistyfikacja?... — zapytał żywo Iliński.

— Mistyfikacja czy po...

Zaciął się. Wyraz: podłość, który miał wyrzec, ugrzązł mu w gardle.

— Czy pomyłka... — wykrztusił z trudem. — Tak, tak, grube nieporozumienie!... Za duża stawka!...

Był podniecony i chmurny.

Wyszedł do kancelarji. Na szarym arkusiku papieru jął pisać zamaszyście, aż pióro gęsie zaskrzypiało jękliwie:

„....Na wszystko byłem przygotowany, lecz nie na podobną nikczemność! Raczej należało bić się do zgonu, niż oddychać hańbą!..." — pisał do księżnej Izabelli.

Nagle wpadł Wielhorski, do niepoznania zmieniony i pomieszany.

Spojrzeli sobie w oczy w milczeniu.

— Wiesz już o akcesie stryja do konfederacji?...

Poniatowski wskazał list księżnej Izabelli.

— Musimy niezwłocznie dowiedzieć się czegoś pewniejszego.

Książę Józef patrzył osłupiałym wzrokiem przed siebie:

— Więc jakoby wczora?...—szepnął jakby w odpowiedzi myślom własnym. — Niemożliwe, aby już wiedziano o tem w Puławach. Przedwczesne domysły i własne kombinacje... Swoją drogą, wnet muszę donieść o tych pogłoskach stryjowi!... Wiem, że imperatryca nastaje, że Bułhakow konszachty z wpływowemi osobami prowadzi, by Jego Królewską Mość zniewolić... Ale do tego nie dopuścimy! Parol ci daję, Michale, że nie dopuszczę, ja sam, jak mnie tu widzisz. Wszakże i mój honor byłby na szwank narażony!

— Podobno w patrjotycznych kołach stolicy wielkie z tego powodu wrzenie!...

Książę szybko wysłał list, dodając, że dziś sam się stawi, poczem jął chodzić wszerz i wzdłuż po kancelarji w wielkiem wzburzeniu.

— Mości panie Ludwiku! — zawołał naraz.

Kamieniecki stanął w progu.

— Jeśli to tylko czcza gadanina o przystąpieniu króla do Targowicy, trzeba przedsięwziąć środki, aby się wieść

nie rozniosła po obozie. Być może, chcą tylko w ten sposób osłabić ducha w wojsku.

— Wedle rozkazu Jego Książęcej Mości — odrzekł Kamieniecki, oddalając się niezwłocznie.

— Już i tak podejrzewają coś, wyczuwają, węszą. Twoje niespokojne oczekiwanie relacyj z Warszawy dało niektórym do myślenia — rzekł Wielhorski.

— Oczywiście! Kurjer powinien był przybyć wczoraj, dziś go jeszcze niema. Być może, stryj namyśla się, jak rzecz przedstawić.

— Mogą nadejść pewne wieści do wieczora. W każdym razie złożymy walną naradę w Puławach, jak jest ułożone. Jadę tam z Mokronowskim. Kościuszko był wzywany do księżnej dziś rano.

— Co mówi Kościuszko o tem wszystkiem?... — rzucił nagle książę Józef, zdradzający wciąż wielkie zaniepokojenie.

— Zdaje się przychylać do zdania, że należy króla chociażby przemocą z nami zatrzymać — odparł Wielhorski. — Księżna Izabella niezmiennie to samo twierdzi.

— Przemocą?... Jak to rozumieć?...

— Porwanie.

— Ach tak!... Niepodobna! — Książę Józef wstrząsnął głową przecząco.—Raczej zaproponować, aby się dobrowolnie dał uprowadzić. Miałby w ten sposób wymówkę, iż zmuszony jest wieść dalej wojnę. Rapt umówiony to jeszcze byłby najlepszy sposób wyjścia, ale porwanie gwałtem to iście jakobińskie zamysły!...

Uśmiechnął się gorzko.

Naraz przed główną kwaterą wszczął się gwar i zamęt. Wśród głośnych rozmów i brzęku szabel trudno było domyślić się, o co chodzi.

Ciżba się zrobiła u wejścia.

Poczęli napływać tłumnie oficerowie i dowódcy, postanowiono bowiem, nie czekając zwołania rady wojennej, do-

wiedzieć się z ust bratanka królewskiego, zali pogłoski są prawdziwe.

— Najlepiej wprost do wielkiego ołtarza! — zakonkludował pułkownik Sierakowski.

Niektórzy, podejrzliwi z natury i, jak generał Zajączek, źle dla księcia usposobieni, podsuwali myśl, że książę postąpi według danych mu z góry wskazówek, a więc za przykładem króla, powszechny akces do Targowicy może być wojsku nakazany.

Wszczął się stąd alarm. Niejeden oddawał się już przedwczesnej rozpaczy, wołając:

— Hańba! Jesteśmy zgubieni! Zaprzedali nas Judasze!

Inni znów mówili, zaciskając pięści:

— Nie damy sobie wytrącić szabli z ręki! Z orężem zginiemy!

— Może już książę wie i sroma się jeno wyznać prawdę przed nami — mruknął jakiś butny kawalerzysta, wolontarjusz, niedawno do wojska przybyły.

Pułkownik Kamieniecki uśmierzał niepokój, przekonywając, że kurjera tylko patrzeć, wieści z Warszawy są lada chwila oczekiwane i z pewnością nie będą tak groźne, jak gadają. Książę wysłał zawiadomienie, iż gotów jest przyjąć bitwę i czeka responsu od króla, poczem da wnet hasło do boju.

Wrzenie przycichło nieco. Dano drogę wchodzącym dowódcom.

Każdy ściskał szablę w dłoni, czując jakby lęk przed czającem się nieszczęściem.

Cios jeszcze nie padł. Urzędowe zawiadomienie nie nadeszło. Być może, przechwałki Targowiczan to umiejętnie puszczona zatruta strzała?... Musiałyby trwać od dłuższego czasu prowadzone pertraktacje, a przecież król zapewniał jeszcze przed paru tygodniami, że przybędzie do obozu.

— Zapewniał! Bah! Czy zapewnieniom jego można dać wiarę?... — szepnął Niemcewicz z goryczą, przypomniawszy sobie naraz słowa, które padły z królewskiej loży podczas przedstawienia „Kazimierza Wielkiego": „Stanę i wystawię się!" zapewniał natenczas. Wyszło zgoła inaczej. Nie wystawił się, jako się rzekło, ale raczej postawił na swojem, ku aljantce się przychylił; wbrew wszelkim nadziejom i uroczystym obietnicom popełnił czyn, który go na wielki okryje niesławą.

Stanęli pierwsi przed księciem Józefem Mokronowski i Kościuszko; Wielowiejski, Sierakowski, Krasicki, Gawroński, Chomentowski, Bronikowski, Kniaziewicz i Niemcewicz, wielce ostatniemi czasy z sobą zaprzyjaźnieni, szeptali coś na uboczu, dalej cały kor oficerów, zlekka pobrzękujący szablami.

Na wszystkich twarzach malowało się rozpaczliwe skupienie.

Mówiono pomiędzy sobą głosem zniżonym, jak wobec śmierci, jakgdyby tuż obok stał katafalk. Niejednemu zdawało się, że ziemia usuwa się z pod nóg...

Mokronowski przemówił na wstępie:

— Wieść o akcesie królewskim pogrążyła nas w ciężkiej zgryzocie. Przychodzimy do Waszej Książęcej Mości po pewność jakowąś. Niech raczej dowiemy się z ust Jego gorzkiej prawdy, niż oczekiwać jej mamy w niemej udręce...

— Bluznęła na nas niesława, jak grom! Na serca padł smutek bezmierny.

— Sternik sam okręt pogrąża!... Co teraz począć mamy?...

— Mości Książę! Musimy salwować honor rycerski!

— Z przywiązaniem i ufnością zwracamy się do naszego naczelnego wodza — rzekł Kościuszko. — Musimy wspólnie radzić i działać społem. Jeszcze nie wszystko stracone. Gdyby nawet Jego Królewska Mość poddał się woli wrogów ojczyzny, liczymy, iż nasz naczelny wódz, wspierając się na

życzeniu wojska całego, zdoła oprzeć się naleganiom. Wojna musi trwać dalej, zwycięstwem naszem uwieńczona.

— Wszyscy pójdziemy za Waszą Książęcą Mością, chociażby wbrew żądaniu monarchy!

— W twoje ręce złożymy władzę!

— Wiedź nas, prowadź do sławy! Dość już upokorzeń!... Najjaśniejsza konfederacja musi być zdeptana!

— Inaczej hańba nam!

— Wszystko, co uczynić należy dla utrzymania honoru i praw niepodległego narodu, uczynię bez wahania—odrzekł Poniatowski, wzruszony do głębi. — Ale zapewniam was, mości panowie, że nie otrzymałem jeszcze od Jego Królewskiej Mości żadnej afirmatywy tych pogłosek. Sądzę wszelako, że należy nam niezwłocznie ułożyć i podpisać prośbę do Najjaśniejszego Pana o powstrzymanie się od wszelkiego traktowania w tej materji ze zdrajcami.

— Gdyby wszelako potwierdziły się głuche wieści?... Należałoby przedsięwziąć coś zawczasu, uchwalić jednolite wystąpienie armji. Raczej wojsko i kraj opuścić, niż tę ohydę znieść—zawołał Kościuszko głosem, w którym drżało bezmierne oburzenie.

— Mamy omówić dziś jeszcze wszystkie te sprawy w Puławach. Będziemy tam rozważali w ścisłem kole, co czynić wypada — rzekł książę Józef. — Obliguję mości panów, aby wytężyli swą myśl i oświecili dobrą radą. Każdy z zaproszonych przez księżnę Izabellę zamiar swój przedłoży. Wygotujmy tymczasem adres do Jego Królewskiej Mości. Ufam, że odniesiemy zwycięstwo. Alteracja wasza przedwczesna, mości panowie.

Jął pisać ze zwykłą żywością i pośpiechem:

„Winienem W. Kr. Mości nie tylko czyny wojenne, ale i to donieść, co w sercach żołnierzy podkomendnych moich się znajduje. Chodzą tu wieści po obozie, które zapewne puszczone są przez ludzi niechętnych i niedobrze życzących

W. Kr. Mości, jakoby W. Kr. Mość miał traktować ze zdrajcami ojczyzny i tym sposobem pokój okupywać walecznemu narodowi. Same takie wieści wzbudziły już w wojsku niezmierne szemranie i nieukontentowanie. Konsekwencjom, stąd wynikającym, żadnym sposobem zapobiec nie mógłbym, ponieważ nie taję się W. Kr. Mości, że jestem ten, który podobnemże oddycham czuciem. Ta tylko między mną i żołnierzami różnica, że zbliska i lepiej znając wielkość duszy W. Kr. Mości, nie mogę ani na moment przypuścić do serca mego tak smutnego widoku. Przysięgliśmy z woli narodu, z woli W. Kr. Mości, chętnie więc i wesoło życie nasze poniesiem na ofiarę. Przybliżyliśmy się w tej ufności do W. Kr. Mości, że wojsko to, które żadnej skazy, żadnej plamy na siebie nie ściągnęło, będzie tak szczęśliwe, że oglądać będzie W. Kr. Mość na czele swojem i że go własnemi piersiami okrywać będzie. O to W. Kr. Mość prosimy wszyscy, o to błagamy, o to nakoniec będziemy się dobijać. Wola W. Kr. Mości służyła nam dotąd za prawidło i zawsze służyć będzie, lecz ta wola być nie może i nie jest, ażeby wojsko nie podbite, żeby naród szlachetny, żeby król roztropny miał się poddać pod jarzmo kilku wyrodnych obywatelów, którzy za tarczą wojska bitnego monarchini, przez nich omamionej, chcą na nas kłaść kajdany i okryć nas cechą wiecznej niesławy. Niech naród z narodem traktuje, niech roztropność W. Kr. Mości nawet nad zapał nasz szukania wojennego honoru pokój zawiera, bo to wszystko byłoby wolą, wyrokiem W. Kr. Mości i narodu. Lecz podłość zniżenia się aż do zdrajców ojczyzny byłaby grobem naszym. Te są uczucia, Najjaśniejszy Panie, które, jako naczelnik wojska W. Kr. Mości wiernego i szlachetnego, z obowiązku mam honor donieść".

Odczytawszy głośno, czynił małe poprawki, przez towarzyszów broni doradzane, wreszcie postanowiono, że tak ważnego dokumentu nie można powierzyć lada komu.

— Musi więc jechać ktoś pewny, kto nasze czucia Jego Królewskiej Mości zdoła przedstawić należycie — odezwał się Mokronowski.

— Michale! — zwrócił się książę Józef do Wielhorskiego — sądzę, że ty potrafisz przemówić i przekonać.

— Raczej mości pan Mokronowski — odrzekł zagadniony.

— A więc obaj bądźcie tłumaczami uczuć naszych i wiernych żołnierzy.

Pożegnanie było nad wyraz serdeczne. Na twarzach obecnych malowało się pewne uspokojenie. Radowano się, że książę wziął sprawę do serca, że gotów jest iść ręka w rękę z wojskiem i śmiało stryjowi wypowiada swe przekonania.

* * *

Kościuszko był zawsze witany w Puławach, jakby należący do najbliższej rodziny. Księżna Izabella okazywała mu tyle przyjaźni i poważania, że nieraz był temi względami skrępowany. Unikał wyróżniania swojej osoby, objawów choćby najszczerszego zachwytu i pochwał, głośno wyrażanych. Nie bacząc na to, księżna lubiła ujawniać swój respekt dla generała. Obie jej córki również należały do gorących jego wielbicielek.

Po przyjęciu korpusu oficerskiego w Kurowie książę Józef pośpieszył też do Puław i tam do późnej nocy radzono i roztrząsano wszystkie przewidywane skutki przyłączenia się królewskiego do Targowiczan. Książę już sam nie wątpił o prawdzie. Ks. Czartoryska utrzymywała, że jedyny ratunek jest przemocą uwieźć Stanisława Augusta z Warszawy. Była to myśl, poddana jej przez Kołłątaja. Ignacy Potocki podzielał też zdanie, że ten śmiały zamysł mógłby się udać, gdyby książę Józef zechciał go sam wykonać.

Wszelako bratanek królewski wzdrygał się uczynić to na własną rękę.

— W takim razie brygadjer Sanguszko, z śmiałości znany, mógłby odprowadzić część artylerji do Warszawy, urządzić paradę wojskową pod miastem w obecności króla i stamtąd w chwili sposobnej porwać go do obozu — rzekła księżna.

Projekt znalazł uznanie.

Książę Józef, rad, iż przestano nalegać, aby czynny brał udział w porwaniu stryja, przeciw temu nie oponował. Był tak przybity i zrozpaczony, że nie mógł zebrać myśli.

Nastała chwila przełomowa, w której miał stanowczo wybierać: czy iść dalej powolnie za wolą stryja i dobroczyńcy, czy trzymać z towarzyszami broni, którzy mu tyle okazali zaufania, tak gorąco pragnęli ratować kraj od rozbicia, niezłomnie wierząc w moc oręża.

Salwować honor było dla Poniatowskiego świętem przykazaniem dobrego żołnierza. To jedno miał teraz na względzie. Nigdy jeszcze tak głęboko nie zajrzał w duszę swych podkomendnych; teraz dopiero poznał, ile skarbów uczucia, męstwa, dobrej woli było w tych sercach, zranionych dziś boleśnie...

Zdawało się, że wszystko wali się dokoła, rozpada w gruzy...

Czyż podobna, aby on, wódz naczelny, opuścił towarzyszów?

O nie, po stokroć nie!

Trzeba znaleźć sposób wyjścia z honorem z bagna opieszałości i zgnuśnienia.

Książę Józef dumnie wzniósł czoło. Postanowił iść z tymi najdzielniejszymi synami ojczyzny. Karjerę raczej, niż ich poświęcić.

Rozpaczny zapał ogarnął jego młodzieńczą wyobraźnię.

Wracał z Puław do obozu, pełny gorących pragnień, dając folgę żalowi, jaki czuł do stryja za postawienie go w tak strasznem położeniu.

Zanim dopadł do Kurowa, już mu oznajmiono, że przybył adjutant królewski.

Nadeszło urzędowe zawiadomienie o spełnionym fakcie. Przytem dołączony był rozkaz ogłoszenia rozejmu, oraz przesłania do kwatery rosyjskiej listu posła Bułhakowa o ustaniu kroków wojennych.

Książę Józef zacisnął usta. Krew mu uderzyła do głowy.

Przysłany przez króla pułkownik Kirkor zdał mu ustną relację, jak wszyscy, uczuwający strach przed potęgą carycy, skłaniali króla do ustępstwa jej woli. Natomiast marszałkowie: Potocki Ignacy i Małachowski Stanisław, podskarbi Ostrowski, Sołtan, Kołłątaj, naglili, aby jechał do obozu. Pod ich wpływem król wyruszył już był za Pragę do Byszewskiego, poczem, zamiast udać się w dalszą drogę, powrócił najspokojniej na wieczerzę do pani Grabowskiej.

Stanisław August wahał się wciąż, chcąc wszystkim dogodzić. Już był gotów zwołać pospolite ruszenie, gdy na list pokorny do Katarzyny dostał odpowiedź ostrą, naglącą, aby podpisał konfederację targowicką.

Król zwołał wnet ministrów, odczytał ów list i pytał o radę. Zdania były podzielone. Napróżno zacni obywatele zaklinali go i błagali raz jeszcze, aby niezwłocznie sam stanął na czele wojska, król był zdania, że większości ulec należy i warunki, podane przez rząd rosyjski, podpisał.

Ks. Józef słuchał Kirkora w milczeniu ze spuszczoną głową. Twarz płonęła mu rumieńcem wstydu i oburzenia.

Napisał wnet do króla:

„Gdyby były wyrazy dość mocne na okazanie Ci rozpaczy, którą dusza ma napełniona została, wybrałbym je wszystkie, przekonawszy się z własnego twego listu, że łączysz się ze zdrajcami, z ludźmi, okrytymi hańbą i ohydą, że oni to łącznie z Tobą na przyszłość dawać będą prawa ludziom, którzy, szczęśliwi, mogąc poświęcać życie swoje, oddychali tylko dla sławy W. Kr. Mości, dla honoru i szczę-

ścia narodu. Mógłżebyś wahać się, Naj. Panie, wybrać raczej chwalebny zgon, zgon godny Ciebie, zgubę zupełną, ale zaszczytną, niż tę resztę panowania, niż tę resztę narodu, skalaną intrygą, zdradą, nierządem i słabością! Należało poświęcić się, poświęcić nas wszystkich. Jak okrutna litość Twoja, kiedy ona kupiła dla nas hańbę i zakałę! Wielhorski i Mokronowski oznajmią Ci uczucia nas wszystkich, są one niewzruszone. Szanować będziemy króla i w cichości boleć nad tem, iż nie możemy się już liczyć do jego obrońców. Powiedzą o nas: „Walczyli z honorem, odeszli bez wyrzutów..."

Nie odpisał ani słowa na wezwanie, aby, zdawszy komendę w ręce Kościuszki, przybył uściskać stryja, i wzruszył ramionami pogardliwie na zapewnienie, iż wszystkie jego osobiste sprawy tak będą urządzone, „żeby nie miał wcale zmartwienia!"

— Jak szyderstwo brzmią te słowa — zawołał. — Najcięższe zadawszy mi zmartwienie, powiada stryj, że postara się mi je wszystkie z drogi usunąć!

Wyprawiwszy Kirkora, przyjął jeszcze kilkunastu oficerów, którzy, wiedząc już o zaszłych wypadkach, wyrazili mu swe przywiązanie, przyrzekając jemu tylko być posłuszni i raczej służbę porzucić, niż z Targowiczanami się zbratać.

Pod wpływem tych wzruszeń młody wódz noc całą oka nie zmrużył. Bił się z myślami, rozpacznie zaciskał pięści, ogarniało go coraz bardziej pragnienie pomsty nad wrogiem.

Już o piątej zrana był na nogach. Stał przed stajnią z pejczem w ręku, w kurtce do objeżdżania koni. Świeży powiew poranku orzeźwił go nieco. Widok ulubionych wierzchowców, ich rżenie radosne przy jego zbliżeniu cieszyło go, lecz ogarnął zarazem smutek bezmierny. Konie stanowiły dumę księcia i całego jego sztabu. Prześcigano się w doborze najpiękniejszych rumaków. Książę gładził

swego ulubieńca angielskiej rasy, który był nieprześcigniony w biegu.

Koń wyciągnął szyję, kształtny łeb ku swemu panu zwrócił i łysnął okiem, grzebiąc nogą ziemię, jakby zachęcał do puszczenia się z wiatrem w zawody.

Janusz Iliński stanął obok księcia, zachwycając się jego arabami, które pojono przy studni. Książę kazał osiodłać jednego z nich dla Ilińskiego.

Nagle zrobił się ruch w obozie. Żołnierze przywiedli schwytanego kozaka. Książę ku nim żywo się zwrócił.

Żołnierz raportował, że placówki nasze starły się pod Garbowem z kozackim oddziałem.

— Melduję pokornie, że kozacy rzucili się na naszego felczera, jadącego z żoną i dziećmi, zabrali mu konia i mocno poturbowali. Nasi pośpieszyli na pomoc i odbili. Kozacy się jeszcze rąbią z naszymi.

— Dużo was tam jest? gadaj mi tu zaraz! — krzyknął książę Józef na jeńca, wywijając pejczem w powietrzu.

— Dwa połka kazakow. Strełki i gusary idut za nami.

— Kłamstwo! Moskiewskie przechwałki! Związać go! — krzyknął Poniatowski. — Konia siodłać co prędzej! — zwrócił się do masztalerza. — Dwanaście szwadronów naszych niech wystąpi tu zaraz pod bronią!—rzucił rozkaz adjutantowi.

— Więc idziemy na Moskali? — zapytał ochoczo Iliński.

— Zapolujemy na kozuniów, na waletę!—odrzekł ks. Józef z wyrazem dzikiej zaciętości. Dosiadł konia. Rzucił się nieprzytomnie naprzód, nie mając przy sobie broni. Oczy gorzały mu pasją bezmierną.

— Za mną! naprzód! — zakomenderował, nie oglądając się za siebie.

Iliński tuż za księciem dążył cwałem.

Zakotłowało się naraz w obozie. Wieść, że książę popędził na odsiecz naszym, rozjaśniła chmurne oblicza żołnierzy. Porwali się do szabel, kto żyw.

Poniatowski dopadł do posterunku i już pędził za dońcami. Koń niósł go w szalonym biegu, dech w piersi zapierając.

Zawrzał bój krwawy. Jazda nasza nacierała na kozaków z taką furją, że ci umykali w popłochu, lecz pościg wpadł niespodziewanie na uszykowane kolumny strzelców i huzarów. Jegry z czterema armatami brali naszych na cel, gdy wpadli na trakt, wiodący do Markuszewa. Lekka kawalerja pod naporem nieprzyjaciół musiała się cofać.

Książę Józef wodził dokoła błędnym wzrokiem. Blady był, nozdrza mu drżały, nie wydawał żadnych rozkazów. Zdawaćby się mogło, że to jakieś harce, urządzone na ochotnika, krwawa igraszka walecznych, pędzących równie naoślep, jak ich wódz młody, nie zdający sobie dobrze sprawy, dokąd ich wiedzie.

Tętent koni, szczęk oręża, huk strzałów, tumany kurzu. Tu i owdzie ktoś wali się z konia. Tam wierzchowiec pędzi bez jeźdźca, tratując rannych.

Nagle Poniatowski stanął, obejrzał się, podpułkownika Kamińskiego przywołał, rzuciwszy rozkaz:

— Pędź wprost do Markowa z trębaczem. Ogłoś rozejm!

Iliński, nie odstępując od boku księcia, odpierał dzielnie natarcia. Niemcewicz powściągliwie trzymał się na uboczu. Ataman doński, a tuż za nim wachmistrz strzelców prawie dopadli księcia. Jedno mgnienie oka i stanie się ich łupem!... Żywym się wziąć nie da, więc zginie! Iliński był tuż za nim. Wszystkie oczy zwracają się w tę stronę.

Naraz brygada kawalerji z Sanguszką na czele pędzi na pomoc, odwrót zasłania. Świsnęła kula moskiewska obok ucha księcia. Zdawało się, że padnie. Nie, to nie księcia ugodziła. Zwalił się z konia dzielny dowódca z brygady Jerlicza. Tuż za nim padł Janusz Iliński, osłaniający księcia.

Ataman, sądząc zapewne, że ten smukły młodzian w generalskim mundurze musi być niezawodnie Poniatowskim,

zatrzymał się przy rannym. Książę tymczasem rzucił się w bok. Koń angielski, przyuczony do wyścigów i do brania przeszkód, mknął w takim pędzie, że zdawał się być zakreślonym tylko lekko ponad ziemią łukiem.

Wpadł w zarośla, przeskoczył płot jeden, potem drugi, parł wciąż dalej i dalej, aż spieniony cały, z wpół przytomnym jeźdźcem przystanął wreszcie, łyskając zakrwawionem od natężenia okiem.

Ucichł bój. Zbierano trupy. Czterech żołnierzy niosło na noszach zwłoki Janusza Ilińskiego, a za nim innych walecznych oficerów, poległych w potyczce. Książę przycisnął rękę do piersi, stojąc nad zwłokami Janusza. Major Giżycki przykląkł na jedno kolano i, głowę ukrywszy w dłoniach, zapłakał. Z rodziną Ilińskich łączyła go dawna zażyłość.

— Dlaczego padł ten, któremu uśmiechało się życie? Czemu nie ja śmierć tu znalazłem? Szukałem jej... Zabrała mi dzielnych kamratów, a mnie oszczędziła? Poco?... Poco? — zawołał książę Józef głosem złamanym.

Sanguszko starał się go pocieszać serdecznemi słowy.

Rozejm nie został jeszcze ogłoszony wojsku, tylko starszyzna wiedziała o nim. Z Kachowskim wszakże trzeba się było porozumieć, aby się w marszach z sobą nie stykać. Poniatowski sam musiał rozmówić się z nim w tej sprawie. Prosił Kościuszkę, aby dopomógł ogadać szczegóły i formalności rozejmowe, czuł się bowiem za mało biegły w tych sprawach.

Kachowskij przybył wnet ze swoim sztabem, który przy wykwintnem otoczeniu księcia Józefa odbijał jeszcze bardziej swem brutalnem zachowaniem.

Kościuszko ogarnął pogardliwem spojrzeniem tę hałastrę, śmiejącą się głosem ochrypłym, przechwalającą się własną walecznością, a patrzącą na niego z jakimś zabobonnym strachem, gdyż wierzono, że ma dar przybierania różnych

postaci i wywiadywania się o wszystkiem, co się działo w ich obozie, nie będąc widzianym. Ta przypisywana mu właściwość tajemnicza budziła w wojsku rosyjskiem lęk i cześć zarazem.

Każdy z przybyłych oficerów z dumą bezmierną wymawiał imię swej najjaśniejszej, wspaniałomyślnej, łaskawie przebaczającej Polsce carycy. Na stojących w ponurem milczeniu polskich żołnierzy patrzyli goście z północy z triumfującym wyrazem.

— Najlichszy z naszych żołdaków ma więcej dystynkcji, niż cały sztab ich, razem wzięty — szepnął Niemcewicz, wzruszając ramionami.

Wychodzili właśnie wszyscy z kwatery księcia Józefa.

— Ciemne to, nieokrzesane, a nam chcą przewodzić!...— westchnął Kościuszko, wiodąc okiem za odchodzącymi.

Nazajutrz księżna Izabella, spragniona wieści, przysłała do generała z zapytaniem, co sądzi o rosyjskim wodzu?...

Kościuszko nakreślił naprędce słów parę:

„Kachowskiego poznałem, jest to człowiek nie z pierwszego rzędu rozumnych ludzi, chwiejący się w opinji, trudności znajdujący w każdej rzeczy, *irresolu* [1]), słowem, mnie się nie podobał, a gdy widziałem innych oficerów, zacisnąłem ręce, pomyślawszy: Jak łatwo można ich zbić, gdyby kraj miał energję, był czuły o wolność swoją, miał zapał prawdziwego obywatelstwa. Porzuciłem ich ze łzami wzgardy!..."

* * *

Nadszedł list od króla z poleceniem podążenia do Kozienic. Po drodze wypadło zatrzymać się w Puławach. Oczekiwano tam dni kilka powrotu Mokronowskiego i Wielhorskiego. Zdawało się niepodobieństwem, aby nie zdołali przekonać króla.

---

[1]) Niezdecydowany.

Księżna Izabella, zawsze jeszcze pełna niewysłowionego powabu, oraz wszyscy dowódcy, w jej domu zebrani, wyglądali z niespokojnem wzruszeniem przybycia posłów.

Gdy weszli na salę z wyrazem smutku i przygnębienia, ze zgasłą nadzieją w chmurnem oku, wszyscy zebrani odczuli dreszcz bolesnego zawodu.

— Użyliśmy wszelkich środków, prośby i groźby na nic się nie zdały — rzekł Wielhorski. — Jego Królewska Mość zaciął się w uporze. Zaślepienie jego nie da się niczem zwalczyć.

— Jeśliś ty nie potrafił go przekonać, to już wszelka nadzieja stracona!... — rzucił chmurno książę Józef.

— Ostatnie to chwile działania — zauważył Mokronowski. — Za kilka dni Rosjanie zajmą Warszawę i nie będzie można łudzić się nawet myślą przeciągnięcia króla do naszego obozu.

— A jednak musimy go tu mieć. Dziś niezwłocznie przedsiębrać należy kroki stanowcze. Przemówże, mości panie generale—zwróciła się księżna Izabella do Kościuszki, który siedział milczący, blady, z okiem, pałającem ogniem wewnętrznym. — Twoje zdanie, generale, przeważy na szali. Czy uznajesz szlachetną przemoc w tym razie?...

— Konfederacja barska tegoż jęła się środka, ale rzecz była nieszczęśliwie przeprowadzona — odrzekł Kościuszko. — Dziś mógłby tylko sam książę generał, — tu zwrócił się do Poniatowskiego — sakryfikując się sprawie, ten zamach stanu wykonać.

— Przecież była już o tem mowa przed kilku dniami— żachnął się niecierpliwie książę Józef. — Pragnę całem sercem współdziałać z wami, mości panowie, alić żądacie ode mnie ofiary, przechodzącej moje siły. Mogę dopełniać li tylko to, co mi obowiązek i honor nakazują. Stryj jest wielce do mnie przywiązany, nie przeczę. Gdyby go tu dostawiły inne, niż moje ręce, po fakcie spełnionym stałby

się posłusznym mojej woli, ale suponuję, że gwałt zadany mógłby raczej zaszkodzić, niż pożądane wywołać w nim przeobrażenie. A więc, mości panowie, i ty, łaskawa księżno, raczcie uwzględnić skłaniające mię do odmowy powody.

— W takim razie umówione, że zamiar nasz wykona Sanguszko. Pozostaje nam jeszcze ta jedna deska ratunku. Musimy się jej chwycić—zawołała księżna Izabella stanowczym tonem.

— Sanguszko w Sieciechowie—rzucił książę Józef ponuro.

— Każ mu się natychmiast tu stawić—nalegał Wielhorski.

— Z ks. Eustachym mówiłem o tem—rzekł Kościuszko — uważa środek za niewczesny, a w podobnym przypadku trzeba tylko działać z dobrą wiarą w możliwość przedsięwzięcia, inaczej można pokpić sprawę.

— Dziś, kiedy niecne intrygi o losach kraju stanowią, gdy im przeciwdziałać gwałtownie należy, nikt nie ma prawa cofać się przed największą ofiarą—mówiła księżna z mocą.— O, gdybym była młodsza, niż jestem, radabym stanąć, jak Joanna d'Arc, wskazując mężczyznom obowiązek ratowania ojczyzny z toni! Oto papier i pióro — zwróciła się do Poniatowskiego. — W tym momencie niech wyrusza ordynans do Sanguszki. Potrafimy dodać mu bodźca do tego śmiałego czynu.

— Mój rozkaz będzie dostatecznym bodźcem dla Eustachego — odparł Poniatowski tonem lekko urażonej dumy.

W kilka minut potem ordynans księcia pędził z rozkazem do brygadjera. Miał sobie polecone obudzić go i bezzwłocznie sprowadzić do Puław.

W sąsiedniej komnacie księżna Marja Wirtemberska z siostrą swą Zofją słuchały w skupieniu toczących się obrad.

— Mogą lada chwila króla tu przywieść—szepnęła Zofja— otoczymy go tkliwą opieką, aby nie czuł się upokorzonym i zrozumiał, że tylko przez dbałość o jego dobre imię i byt Polski zagrożonej ten gwałt mu uczyniono.

— Nie pozostałby tu, lecz w obozie — odrzekła Marja— ale król się im z rąk wyśliźnie...

— Gdyby Kościuszko był u steru wojska, jakże inaczej ułożyłoby się wszystko — mówiła Zofja. — Spójrz, jak on w tej chwili inny zgoła ma wygląd. Piękność i wykwintność księcia gasną w porównaniu z tem czystem, głębokiem spojrzeniem Kościuszki.

— Dziwny miałam sen o nim — odrzekła Marja — widziałam go stojącym na stromem wzgórzu, wznoszącego wysoko sztandar, a dokoła niego wspinały się tłumy ludu, wołając: „Tyś nasz wódz! Tyś więcej, niż król...”

Blada twarzyczka księżny Marji zaróżowiła się wzruszeniem.

— Jaki dziwny obraz! Wiesz, że go sobie doskonale według twoich słów wyobrażam. Mając twój dar rysowania, zarazbym postarała się przedstawić to ołówkiem—zawołała Zofja.

— Poco?... — odrzekła Marja ze smutkiem. — Mogliby sądzić nieżyczliwi, że poddaję myśl wyniesienia generała Kościuszki ponad innych. Obrażałoby to zresztą jego skromność, którą tak wysoce w nim cenię. Nikomu nawet, oprócz tobie, o tym śnie nie powiem. Ale masz słuszność, że jego postać na tle światła doskonale jest zarysowana; spróbuję nakreślić profil. — Ujęła ołówek zgrabną rączką i poczęła szkicować.

— Ja pana Kościuszkę od lat najmłodszych nauczyłam się lubić i cenić — rzekła Zofja. — Bawił się ze mną i gry przeróżne układał, aby mię rozweselić. Ujmujący jest niezmiernie swą prostotą i tem obejściem zawsze jednakiem. Dla niego żadne różnice stanów nie istnieją. Każdy dobry Polak jest mu już bliski i drogi.

— O tak!—potwierdziła ks. Marja. — Duszą jest on republikaninem, pragnącym gorąco zrównania praw człowieka, ale pomimo to niema w nim ani cienia owej nienawiści do ludzi utytułowanych, do tak zwanych stanów wyższych, które zaciekli jakobini w pogardzie mają. Jest on w naszych stosunkach typem nader rzadkim. Im więcej go poznaję, tem więcej widzę w nim zalet.

W tej chwili właśnie zabrzmiał donośny metaliczny głos ks. Józefa, broniącego się jeszcze od nalegających nań, aby udał się z Sanguszką do Warszawy i razem przedsięwzięli porwanie. Księżna Marja przysłuchiwała się chwilę, poczem rzekła:

— Książę Pepi jest przeciwieństwem uderzającem Kościuszki. W całej jego postawie jest coś ze średniowiecznego rycerza, ale brak mu tego właśnie, co cechuje naszego zacnego i walecznego Litwina: brak jednolitości przekonań. Jest w nim dziś jakby dwóch pokłóconych z sobą ludzi. Kościuszko jasno zdaje sobie sprawę, czego chce: niepodległość i równość, oto są jego ideały. Wierzę, że ten człowiek mógłby ocalić Polskę, gdyby mu dano władzę nieograniczoną.

— Jak on to ładnie i prosto powiedział dziś przy obiedzie: „Zmartwychwstanie musi stać się od wewnątrz. Dusze podnieść i uszlachetnić, a moc się znajdzie". Ja to sobie zapisałam w notabence i dużo już tam słów pana Kościuszki zanotowałam — dodała Zosia z zapałem.

— Mój Boże—szepnęła księżna Wirtemberska z ciężkiem westchnieniem—co za boleść być żoną zdrajcy!... Jakżebym się czuła dumną i szczęśliwą, mając takiego towarzysza życia, jak pan Tadeusz!...

Podeszła do okna, oparła czoło rozpalone o szybę, a dwie łzy spłynęły po jej bladych policzkach.

Krótka noc lipcowa minęła bezsennie w puławskim pałacu.

Oczekiwano przybycia Sanguszki, omawiając w gorączkowem podnieceniu najbliżej obchodzące wszystkich sprawy.

Młody brygadjer, ze snu zbudzony, śpieszył co tchu, by się stawić na wezwanie wodza. Przeczuwał, o co chodzi.

Zamysł porwania nie był zgodny z jego przekonaniem, ale Mokronowski, Wielhorski, a zwłaszcza księżna Izabella nie dali mu czasu do namysłu. Książę Józef oznajmił, że przychyla się do zapadłego postanowienia. Przyjął więc rozkaz w milczeniu i jął szybko gotować się do drogi.

* * *

Prawdzic leżał w ustronnem zaciszu na skraju lasu, gdzie go był Piotrowski pozostawił. Słońce wzniosło się już wysoko i pomimo cienistej osłony paliło żarem bladą twarz rannego, płonęło iskrami w polerowanych guzikach munduru, rozjaśniając rabaty. Lekki wiatr rozwiewał miękkie, jasne włosy Wacława, który zatracił zupełnie pojęcie, gdzie jest, i tylko niekiedy w półśnie wydawał jęk cichy.

Wachmistrz Piotrowski śpieszył w stronę Woli Chabowej, aby tam znaleźć jaki kąt dla rannego. Ale nędzna wioszczyna była całkiem opustoszała. Powybijane szyby, popalone chaty, rumowisko i głuchą pustkę znalazł tam, gdzie przed kilku dniami jeszcze były spokojne siedziby wieśniacze.

Jakaś zgrzybiała babuleńka siedziała na progu domostwa, wiodąc rozmowę ze zgarbionym starcem o kiju, stojącym przed nią. Piotrowski rad był ujrzeć choćby jakie takie ludzkie oblicze, raźno więc podszedł i jął pytać, czy tu niema miejsca dla rannego.

Babulka snać ulękła się munduru i obcesowego natarcia przybyłego.

— Miejsca to jest dosyć, ino że nie pozostało w chacie stołka, ani w płocie kołka — rzekła, potrząsając smutnie głową.—Wszyćko zabrali te przeklęte Moskaluchy, bodaj ich pokurczyło!... No, i nasi zagarnęli konie, wozy, gdzie było jakie ziarnko, jak wymiótł.

— Może się choć jakaś nędzna furmanka znajdzie? Może ślepa jaka kobyła została? — nalegał Piotrowski. — Jużbym jakoś jej dał radę. Potrzeba mi tylko rannego kamrata przywieźć i bezpiecznie umieścić na parę godzin.

— A gdzie tu teraz bezpiecznie, panoczku! Wszędzie źle, wszędzie znajdą. Z kąta za włosy wywloką. Starych kości nie uszanują!

— Czy tu, prócz was, niema nikogo?

— A juści! Komu ochota żywcem iść w piekło? — mruczała zgryźliwie babina. — Kto mógł, schronił się do lasu, albo się przekradł za kordon, tam, gadają, spokojniej.

— A wy, dziadku, zdaleka idziecie?

— Ja z Zahajpola wczora wyszedł o świcie. Zahajpol od Dubienki będzie dwie mile. Huk dział tak słychać było, aż szyby drżały. Daj, Boże, zdrowie panience, opatrzyła starego na drogę. Złote ma serce!

— A któż tam w Zahajpolu?

— Imć pani chorążyna Żurowska z córką. Spokój mają, boć w Galicji wojny niema.

Niewiele dowiedział się Piotrowski, któremu chodziło głównie o to, czy wojsko nieprzyjacielskie nie następuje, czy nie wypadnie z jakim patrolem spotkać się oko w oko?

— A nasi stąd daleko? — zapytał stary.

— Obóz nasz podąża ku Krasnemustawowi. Bóg raczy wiedzieć, czy dogonię.

— A w Dubience niema już generała Kościuszki?

— W Dubience żywego ducha nie zostało. Moskal się tam naszem dobrem pożywił.

— A gdzież można teraz znaleźć tego imć pana generała? Nauczcież mnie, ciemnego, to się choć o sto mil powlokę.

— Cóż to za sprawę taką ważną macie do generała? — zagadnął Piotrowski z zainteresowaniem.

— Mam i tyla — odrzekł dziad rezolutnie. — Zwykł ci ja ino przed księdzem się spowiadać, a nie przed mundurowym — dorzucił, czując na sobie badawcze spojrzenie wachmistrza.

— A my zwykli podejrzanych o przeszpiegi na sznureczek brać i na gałęzi zawieszać — zaperzył się Piotrowski.

— Można i to, czemu nie! Moskal wiesza, nasz wiesza, wojna na to! — odrzekł stary tak obojętnie, jakby wcale nie troszczył się o swą skórę. — Mnie już i tak trzy ćwierci do śmierci. Jak skrócicie psi żywot na ową ćwiartuchę, tem ci lepiej! Nie na wiele się człek stary przyda w takiej zawierusze.

— Gadajcież, dziadu, po ludzku, jak swój do swego — odezwał się Piotrowski łagodniejszym tonem. — Dlaczego się wypytujecie o generała?

— Bo mi do niego pilno! — odparł twardo dziad, zbierając się w drogę.

— Poczekaj, ty stary wygo, myślisz, że cię tak puszczę? Nic z tego! Ja sam pod Kościuszką służę. Musisz mi opowiedzieć się, bo inaczej związę i do obozu dostawię.

— A to wiąż co prędzej i dostaw, mospanku, tem lepiej dla mnie, że nóg starych zaoszczędzę! Sumitować się nie mam potrzeby, bo dla mnie wojna nie nowina. W barskiej pohulance waliły też kule, jak grad. A była kordów siła! Ho! ho! Barska sprawa! Ja sam Podolak, szlachcic z pod Baru rodem. Waliło się przez łeb moskiewskie mrowie, aż wszystko przycichło, jak makiem zasiał, do tego oto czasu, kiedy znów łapu, capu, na koń, jak już nieprzyjaciel na karku siedzi! Hej! hej! lepsze były czasy!... Ale dużo lat się zmarnowało, wcześniej trzeba było spostrzec, że pora przytłuc wroga!...

— Ano, tak mi gadaj waść; jeśliś wojenki zażył, to już inszy z ciebie człek. Ale jakoż się acanu zachciewa do imć pana Kościuszki, chyba nie do służby tak pilno?...—zaśmiał się Piotrowski, zmierzywszy wzrokiem pochyloną postać starca.

— Gdzie zaś do służby! *Nie zdużam* [1]). Trzeba już prędko do ziemi, a co ziemia rodzona na pożytek swój przygarnie, tego nie żal! Byle mi się udało tej ślicznej pannusi wygodzić. Tak prosiła: „Wy, dziadku, ze strażami w dobrej zgodzie żyjecie, przez kordon przepuszczają jak swego. Gdyby można generałowi Kościuszce kartkę oddać i od niego odpowiedź przynieść, po wiekbym wam nie zapomniała przysługi". Anielskie dziecko! Trzeba jej się wywdzięczyć za dobro, które ludziom czyni.

— Ano, zobaczymy. Może jaką szkapinę zabłąkaną pochwycić się da i wózek dostać, bobym rannego ułana do naszego lazaretu polowego chciał zdać i Kościuszkę dogonić.

---

[1]) Sił mi brak (prowincjonalizm kresowy).

Tego nieboraka już tam w spisie poległych się podało. Aliści ożył; z mogiły wydobyty leży tam samiutki w lesie. Jeszcze, czego dobrego, kozunie obedrą doszczętnie! Nie mam serca porzucić go bez pomocy. Myślałem, że w tej wioszczynie znajdzie się schronienie.

— Gdzie tam! Pustka, lud wystraszony! I mnie się zdawało, że jeszcze pośpieszę, nim nasi stąd ruszą. Mówili, że gdzie Kościuszko, tam niema strachu, odeprze, choć *kudy* mocniejszego wroga. Ale gdzieżby takiego Buga upilnować! Brodów coniemiara! Chorążanka Żurowska, niech jej Bóg błogosławi, opowiadała cuda o tem naszem wojsku, bo co najprzedniejszych panów oficyjerów poznała w Międzybożu, i że niema w świecie takiego, jak generał Kościuszko! Mówiła mi ta anielska *detyna*, że jeżeli mnie do samego generała nie dopuszczą, to mam się pytać o porucznika Kniaziewicza. „Kniaziewicz, od kniazia, będziecie pamiętali, Wesołowski?" powiada. A gdzieżby tam zapomnieć! Sto razy sobie powtarzałem przez drogę: „Albo do Kościuszka, albo do Kniaziewicza". Mam tu pismo w czapce zaszyte.

— Jakże będzie? Czas uchodzi, trzeba coś postanowić. Dalipan, ktoś jedzie — zawołał naraz Piotrowski uradowany i począł nasłuchiwać niecierpliwie.

Na skręcie drogi w tumanie kurzawy ukazała się nędzna żydowska bieda, wleczona przez nędzniejszą jeszcze szkapę. Żyd zrazu przeraził się i zmieszał. Dostrzegłszy mundur wojskowy, zaciął konia i chciał wyminąć, ale Piotrowski huknął na niego zgóry:

— Stać, ani kroku dalej! Szpieg jakiś pewno, kiedy się tak boisz polskiego munduru!

— Nu? co? Jaki szpieg? Poco zaraz powiedzieć takiego słowo? Ja karczmarz tutejszy, pogorzelec. Ot tam sterczy tylko komin sczerniały. Granat zapalił oborę i wszystko poszło z dym!... Co robić? My tu się na polskiej ziemi porodzili, tu zarabiali, trzeba cierpieć, kiedy wszystkim źle.

Piotrowski się udobruchał.

— Gadasz, jak należy, ale Bóg raczy wiedzieć, co tam w twym rudym łbie siedzi? Może i Moskalowi wygodzisz, jak pieniądz pokaże, a bagnetem zagrozi?

— Wielmożny panie pułkownik! Panie porucznik! Panie kapitan!... — plątał się Żyd wystraszony—pod chejrem, Szmul jest uczciwy, Szmulowi zawierzyć można! Mnie sam pan generał Kościuszko zna, ja tam był pod Dubienką, jak prowjant zwozili. Taki ludzki pan! Takiego drugiego nie znaleźć!..

— Dokąd jedziesz, Żydzie?

— Do Kumowa, tam żona i dzieci. Ojca starego na śmierć pobili Moskale! Giewałt, co to było strachu!

— Dowieziesz tego starowinę do Kumowa. Acan niech tam się do obozu dostanie. Masz powiedzieć, że wachmistrz Piotrowski czeka tu na podwodę, by rannego wieźć. A spraw się acan dobrze.—Pomacał torbę dziadowską. — Bah! chleba za dużo, cały bochen! Można się podzielić. Dawaj waść co prędzej, bo djablo głód dokucza. A u ciebie tam, Szmulu, nie znajdzie się jaka wyżerka? Dalipan, butla mleka i jajka! Zabieram, w Kumowie sobie kupisz. Masz! Szczodrze płacę!...— Rzucił mu garść drobnej monety. — No, dalej, jazda!

Żyd, rad, że się małym kosztem okupił, usunął się na biedce, robiąc miejsce staremu, i popędził szkapę, by zniknąć co prędzej z oczu groźnego pana oficjera.

Piotrowski zapędził wnet babulkę do roboty. Kazał ogień rozpalić i jaj ugotować.

— Zaniosę chłopaczkowi śniadanie — mówił. — Kiedym się już podjął odchuchać zmarlaka, muszę doprowadzić dzieło do końca!

Zniszczona doszczętnie wioska czyniła przygnębiające wrażenie. Gdzie niegdzie tliły się jeszcze zgliszcza. Stara drżącemi rękoma rozpalała ogień na kominie, co chwila rzucając wylęknione spojrzenie przez rozbite okno, czy Moskale nie idą.

Piotrowski podjadł trochę, resztę zabrał. Kazał podać sobie płachtę płócienną dla obandażowania rany oraz dzban wody i podążył dowiedzieć się, czy Prawdzic pozostaje jeszcze na miejscu, gdzie go był ułożył. Postanowił bądź co bądź po zrobieniu opatrunku przywlec go do tej chałupy, a jeśliby się nie udało zaradzić inaczej, zostawi przynajmniej rannego pod dozorem staruszki.

Dziad tymczasem na żydowskiej biedzie dotarł do Kumowa. Dowiedziawszy się, że wojsko nasze zaraz wyrusza, pośpieszył wprost do obozu. Żyd podwiózł go i sam zmykał, co tchu.

Żołnierz, stojący na warcie, krzyknął na starego:

— Hola, włóczęgo, co tu sznurkujesz?

— List mam oddać do rąk własnych Jaśnie Oświeconego mości pana generała Kościuszki. Barszczanin jestem—dodał, salutując po wojskowemu.

W tej chwili podjechał generał na białym, rączym koniu. Kazał go sobie osiodłać, by wypróbować wierzchowca Palembacha. Usłyszawszy odpowiedź starego, rzekł z łagodnem upomnieniem:

— Niema tu żadnego Jaśnie Oświeconego, tylko generał Kościuszko, którego masz przed sobą. Czego waść chcesz ode mnie?

Staremu dech zamarł w piersi ze wzruszenia. Łza mu się zakręciła w oku.

— Dożyłem szczęśliwej chwili!... Bóg mi dozwolił oglądać na własne oczy znakomitego pana generała Kościuszkę— rzekł drżącym głosem.

Wyciągnął zmiętą kartkę i podał ją generałowi.

Kościuszko poznał odrazu pismo Teklusi.

Serce uderzyło mu żywiej, budząc echo niedawnej, a tak już, zda się, odległej przeszłości.

Tyle wrażeń i wstrząśnień dzieliło go od tej międzyborskiej idylli! Nie zdawał sobie nawet sprawy, że jest w tak

niewielkiem oddaleniu od swej bogdanki, położył bowiem krzyżyk na tym niedokończonym poemacie. I oto znów stanął przed nim cień blady. Teklusia wspominała w liście, rzuconym na los szczęścia, że wciąż myślą z nim przebywa, że matka chora, a ojciec zaklina ją, aby oddała rękę swą innemu. Jeżeli więc pan Tadeusz zapomniał o „swem słoneczku", będzie zmuszona uczynić tę ofiarę, chociaż serce jej się kraje, a myśl, że najmilszy pan generał narażony jest na niebezpieczeństwo, chwili spokoju zaznać nie pozwala!...

Kościuszko przebiegł oczyma pismo raz i drugi, uśmiechnął się do jasnego wspomnienia, ale dusza jego dziś więcej, niż kiedykolwiek, daleka była od wszelkich osobistych pragnień. Przeszłość przestała dlań istnieć, całą nadzieję pokładał w przyszłości odrodzonej Polski.

Wyrwawszy kartkę z notatnika, nakreślił pośpiesznie słów kilka, wyrażając wdzięczność serdeczną, ale zarazem życzenie, aby starała się zapomnieć o nim. Drogi ich życia rozeszły się. Obowiązkiem jej przedewszystkiem jest być córką, powolną rodzica swego woli. „Miej ten szacunek, poważanie i miłość, jak teraz masz, na zawsze. Niech koronuje wybrana miłość przywiązaniem stałem zobopólnie. Swoje szczęście sakryfikować jestem gotów". [1])

Kartkę dziadkowi wręczył, obdarzywszy go sutą jałmużną.

Kłaniał się stary Wesołowski do ziemi, chciał koniecznie rękę szczodrą ucałować, ale Kościuszko na to nie pozwolił.

— Wasz włos siwy i brózdami zorane czoło świadczą, żeście już dużo w życiu przebyli. Starość waszą szanuję i odwagę, iżeście chcieli spełnić życzenie dobrej panienki i z narażeniem życia dostać się do mnie. Bóg zapłać wam

---

[1]) „Listy, a właściwie kilka kartek, ręką Kościuszki pisanych, Chwalibogowa przechowywała, jak relikwje, i dzieciom w spuściźnie zostawiła" — pisze doktór J. Rolle w swych „Wspomnieniach Przeszłości".

za to. Pokłońcie się chorążance i powiedzcie, że zawsze szczerą przyjaźń dla niej w sercu zachowam.

Skinął mu głową na pożegnanie i odjechał, gdyż już był wielki czas wydać rozkaz wymarszu do Piasków, gdzie wojsko miało się złączyć z armją książęcą.

Wesołowski miał jeszcze spełnić zlecenie co do zabrania rannego, ale tak się stropił, iż języka w gębie zapomniał. Dopiero gdy Kościuszko zniknął mu z oczu, przypomniał sobie, że należy spełnić tę powinność.

W obozie ruch był wielki; siodłano pośpiesznie konie, składano bagaże na fury, nie było komu przedstawić żądania.

Stary stał zafrasowany, nikt nań nie zwracał uwagi.

Spróbował zagadnąć jakiegoś oficera i jął objaśniać, że tam w lesie ranny potrzebuje pomocy. Ten mu się zaśmiał w oczy.

— To go weź na plecy, kiedyś taki litościwy! Nie będziemy wstrzymywać marszu dla jednego marudera. Naszych rannych wszystkich przywieźli.

— Pan wachmistrz Piotrowski przykazował...

— Uchodź, pókiś cały, bo zobaczysz, że pojmają cię jegry i do wieczora nie doczekasz — rzekł mu na pociechę — kręci się ich tu dużo po okolicy.

— Każdy zagadnięty dawał mu mniej więcej podobną odprawę. Nikomu nie śpieszno było dążyć w przeciwną drogę, gdy się już raz dało wyrwać z tej ciężkiej opresji.

Powlókł się dziaduś powoli boczną ścieżyną. Nieskładnie mu było powrócić do Chabowej Woli, znając więc dobrze wszystkie tutejsze drogi, kierował się ku granicy, aby się przemknąć przez kordon i dostać co rychlej do Zahajpola.

— Radaż ona będzie, rada ptaszyna!... — powtarzał sobie, uśmiechając się sam do siebie.— Ktoby się spodziewał, że stary Wesołowski tak gracko się spisze i z samym generałem Kościuszką będzie umiał rozmówić się, jakby nic!...

Układał już jak rzecz całą po swojemu przedstawi, to i owo dodając z własnego zmyślenia. Co chwila sprawdzał, czy sakiewka z darem Kościuszki nie wysunęła mu się z zanadrza. Kartkę starannie owinął w liść szeroki i włożył za podszewkę wytartej swej czapki.

— Byleby mi tego nie zabrali — mruczał wciąż, — ale, da Bóg, przemknę się chyłkiem, u leśnika podnocuję i jutro panny chorążanki serduszko ucieszę!

* * *

Udało się Wesołowskiemu dotrzeć szczęśliwie do ustronnego zacisza. Wieczór był cichy, słońce jaskrawo zachodziło za lasem. Teklusia siedziała na ganku i zwijała jedwab, którego motek, szeroko rozpostarty, trzymał na obu rękach urodziwy dość młodzieniec.

Ogorzała twarz świadczyła, że gospodarzył nie na żarty, pomimo że znaczny majątek dawał mu możność wyręczać się oficjalistami. Pan Prosper Chwalibóg często dojeżdżał do Zahajpola, gdyż serce ciągnęło go do uroczej Teklusi i chciał wreszcie mieć pewność, czy wszystkie jego zabiegi nie pójdą na marne.

Raili mu już tę i ową piękną dziewoję; były wśród nich i bogatsze i, być może, na sąd ludzki, piękniejsze od chorążanki, ale żadna mu tak nie przypadła do serca, jak ta smukła, wiotka o niebieskich oczętach i rzewnem spojrzeniu Teklusia Żurowska. Wiedział dobrze, że pokochała Kościuszkę, że na porównaniu z nim każdy w jej oczach traci, ale liczył na to, iż mając ojca panny za sobą, stałem swem przywiązaniem potrafi sobie tkliwe serduszko zniewolić.

Tecia Orlewska bawiła również w Zahajpolu. Wesołem usposobieniem starała się rozchmurzać czoło swej krewniaczki i przyjaciółki, ale jej dobry humor jakoś teraz mniej

miał pola do popisu. Ogólne wypadki krajowe, wojna i dochodzące o niej groźne wieści zachmurzały wszystkie oblicza.

Teklusia była wciąż smutna i zasępiona. Tęskniła za Podolem, myślała nieustannie o panu Tadeuszu, od którego nie miała oddawna bezpośrednich wieści.

Zdecydowała się na przesłanie mu słów kilku, nie mając, coprawda, nadziei, aby starowina dotarł do obozu, ale już sama myśl, że uczyniła krok w celu porozumienia się z ukochanym, sprawiała jej wielką radość.

Nigdy może w życiu stary Wesołowski nie był tak przez nikogo z biciem serca oczekiwany, jak teraz w Zahajpolu przez uroczą chorążankę.

Pan Prosper siedział wpatrzony w Teklusię, świata poza nią nie widząc.

— Czy waćpan nie słyszał nic nowego o wojnie? — zagadnęła chorążanka.

— Biją się, biją — odrzekł z roztargnieniem.

— Ale gdzie? Kto zwycięża?—niecierpliwiła się Teklusia.

— Mości panna chorążanka mnie zwyciężyła, poza tem nic więcej powiedzieć nie potrafię.

— To mało. Waćpan konceptami zbywasz, a ja chciałabym mieć jakąś pewność.

— I ja tak samo pewność-bym rad pozyskać, żem mości pannie nie wstrętny i że mogę ją kiedyś, jako najmilszy skarb, pod mój dach wprowadzić.

— Waćpan wciąż jedno, a ja drugie! Nie możemy się zrozumieć — odparła Teklusia, wzruszając ramionami.

— Konfuzja byłaby dla mnie wielka powrócić do domu z niczem... — szepnął pan Prosper z westchnieniem.

Mówiąc to, opuścił obie ręce na kolana i zadumał się chwilę.

— Waćpan mi jedwab cały splącze! Poco to się brać nie do swoich rzeczy? — wyrzekała Teklusia, rozplątując lśniące nitki jedwabiu.

Zgromiony pan Prosper stropił się i patrzył bezradnie na motek złotej przędzy, który mu chorążanka odebrać chciała.

— Nie dam, jak mi Bóg miły!...— zawołał nagle — będę już siedział spokojnie i ani drgnę — zapewniał pokornie.

Psy zaczęły ujadać we wjazdowej alei.

Teklusia nasłuchiwała z zaciekawieniem.

— Czy mościa panna oczekuje jakich gości? — odważył się zapytać młodzian.

— Być może.

— A kogóż to, jeśli wiedzieć wolno?

— Pewnego staruszka, chodzącego po prośbie.

— Tylko tyle?

Chwalibóg odetchnął swobodniej.

— Tylko tyle — odrzekła Teklusia filuternie, naśladując głos jego.

— Mościa panna wielce jest dla biedaków litościwa, wszyscy ją wychwalają, tylko ja biedny pokrzywdzon jej obojętnością, choć od gorącego sentymentu mało mi serce nie pęknie!... Raczże mię, jeśli wola twa, łaskawie wysłuchać i jakowem dobrem słowem pocieszyć.

Zaszeleściało coś wśród krzewów, otaczających ganek.

Teklusia drgnęła.

Pan Prosper obejrzał się, lecz nie dostrzegając nic, rzekł tylko:

— Gałązki zatrzepotały, jakby w nie wiatr chuchnął. Może ptaszek do gniazdka powraca, a mościa panna już się zlękła, jakgdyby mogli tu przyjść kozacy!...

— Nie obawiam się wcale o siebie. Jeśli lękam się, to tylko o innych, czy się tam naszym krzywda nie dzieje?...

— Zawsze myśli mościa panny daleko—westchnął Chwalibóg.

Nagle z poza drzew ukazała się postać zgarbiona starca.

Teklusia poskoczyła doń z taką żywością, że pan Prosper nie mógł ukryć swego zdumienia.

— Już jesteście, mój dobry dziadusiu? — zawołała chorążanka. — Dostaliście się szczęśliwie?

— A jakżeby nie! — odparł Wesołowski nie bez pewnej dumy. — Wiadomo, choć dziś facjata moja mizerna, aliści, jak trzeba, dobiję się wszędy i rumor zawżdy idzie: Wesołowski, konfederat, barszczanin! Puścić go!

— Byliście tam? Widzieliście kogo ze sztabu?

— Nikogo innego, oprócz samego imć pana Kościuszki — odrzekł stary, a pochylając się tajemniczo do ucha Teklusi, dodał:

— Pisanie przyniosłem!

Teklusia pociągnęła go za sobą w lipową aleję.

— Chodźcież, chodźcie ze mną, opowiedzcie mi, jak to było? — nalegała pośpiesznie.

Wesołowski wydobył kartkę, w czapce ukrytą, którą Teklusia przebiegła szybko oczyma, a potem przycisnęła do piersi, jak skarb drogi.

— Jak przyjął liścik? Co mówił? Jak wygląda? — pytała pośpiesznie.

Żal wielki serce jej ścisnął. Z kartki Kościuszki widziała wyraźnie, że już dla niej jest stracony. Łzy zakręciły się jej w oczach, ręce opadły bezwładnie. Słuchała opowieści rozwlekłej staruszka, jakby nagle skamieniała.

Pan Prosper śledził rozkochanym wzrokiem wdzięczną postać chorążanki i nie mógł się wydziwić, co ją skłania z prostakiem jakimś wdawać się w długie rozmowy.

Miał wielką chętkę podsłuchać, o czem z takiem zajęciem mówiła, ale nie śmiał się zbliżyć.

Wypytawszy o wszystko, Teklusia powróciła znów na ganek, wydawszy służbie rozporządzenie, aby nakarmiono i opatrzono starego.

Pan Prosper patrzył na nią zpodełba, targając wąsy.

— To ci gość był, zaprawdę, niezwykle wyróżniony! — szepnął. — Możnaby sądzić, że przebrany jakiś podróżny rycerskie swe kryje oblicze?... Smażę rozum, by to sobie wyeksplikować, ale nadaremnie.

Teklusia nie mogła powstrzymać uśmiechu, pomimo że serce jej krajało się w tej chwili, gdyż ostatnia słaba nić nadziei prysła.

— Już wszystko skończone! Rozeszły się nasze drogi!... Każe mi być woli rodzica posłuszną... Niech się więc tak stanie!...

Myśli, przebiegające w jej mózgu błyskawicą, odbiły się w lazurze wymownych oczu dziewczęcych.

Pan Prosper, spotkawszy się z tem wejrzeniem, odczuł, że coś ważnego zajść musiało.

— Czy waćpan istotnie tak stale i tak bardzo pragnie naszego połączenia?... — szepnęła Teklusia, wyciągając ku niemu obie ręce.

— Niczego goręcej nie żądam, większego szczęścia wymarzyć nie jestem w stanie! — zawołał Chwalibóg, przyciskając do ust podane sobie drżące dłonie.

— A więc... Możemy zamienić pierścionki — odrzekła prosto, jakby była mowa o najpowszedniejszej rzeczy.

— Jakże to? Przebóg! Uszom własnym nie śmiem dać wiary! — wołał pan Prosper, którego twarz ogorzała przybrała kolor świeżo wypalonej cegły ze zbytku uradowania.— Więc ten stary to jakiś czarodziej, czarnoksiężnik!... Złotem go osypię, jeśli jego przybycie tak cudowną w mości pannie chorążance sprawiło zmianę!

Teklusia uśmiechnęła się smutno.

— Ten czarodziej przyniósł mi pismo od pana Kościuszki... — szepnęła Teklusia. — Nie tajne jest waćpanu, jak dalece miłym on był i będzie zawsze mojemu sercu. Ale dzieli nas przeznaczenie... On sam skłania mię do tego,

bym waćpanu rękę swą oddała. Woli ojca i jego posłuszną być muszę...

— Oby na kamieniu rodzili się tacy ludzie! Mam respekt wysoki dla imć pana generała, a mościa pannie będę się starał tak życie rozjaśnić, aby zapomniała o tem niepotrzebnem zgoła miłowaniu.

— O, tego nie żądaj waćpan, nie żądaj! — przerwała mu Teklusia z błyskiem w oku. — Wspomnienie o nim będzie mi wiecznie drogiem! Nie zapomnę o nim, obraz jego niedoścignem marzeniem w sercu zostanie...

— Dobrze, królewno najpiękniejsza, będziemy waleczność jego podziwiali razem, bo godną jest podziwu, ale będziesz moją, moją, moją!...

Tyle było radości i szczerego zachwytu w głosie pana Prospera, że Teklusia ujętą została jego gorącem uczuciem. Nie pragnęła już nic więcej, jak mieć prawo głośno wyrażać swoje uwielbienie dla Tadeusza.

— Nie będzieszże mi waćpan nigdy mego afektu dla niego wypominał?... — zapytała — bo ojciec dobrodziej nie pozwala mi nawet w swej obecności mówić o nim...

Pan Prosper przyrzekł solennie afekt jej mieć w poszanowaniu.

— Dworować sobie z mościapanny nigdy nie pozwolę, byleś miłościwą była dla mnie — rzekł z tkliwym wyrazem.

— Waćpan jest bardzo dobry, nie jestem warta takiego miłowania, bo już wtórne tylko mogę mu dać miejsce w sercu mojem, a tego pierwszego kochania póki życia nie zapomnę — upierała się Teklusia.

— Zgoda, zgoda, w tym fortunnym momencie już mię ten międzyborski konkurent mościapanny o lament nie przyprawi!... — zapewniał pan Prosper, nieposiadając się z radości.

Błagał, żeby ślub co najrychlej wyznaczyć. Stanęło na tem, że tejże jesieni mają zaprzysiąc sobie przed ołtarzem.

Gdy Tecia Orlewska wpadła z impetem z ogrodu, zajadając rumiane jabłuszko, stanęła jak wryta, widząc Teklusię zapłonioną obok pana Prospera, który jej rączki w swoich tulił.

— Wszelki duch pana Boga chwali!... Cóż to za idylla!...— zawołała ze śmiechem.

— Panna chorążanka jest od siedmiu minut moją narzeczoną!...—rzekł pan Prosper z dumą, wydobywając z kieszeni wielką złotą cebulę.

Teklusia rzuciła się w objęcia przyjaciółki i szepnęła przez łzy:

— Tak, to prawda, Teciu. Tadeusza respons mnie zdecydował. Bo gdyby mię kochał prawdziwie, powinien był mnie wykraść! Nieprawdaż? A on każe woli ojca się poddać!...

— Moja królowo! Molestuję nie sypać drogocennych pereł! Łezki mościapanny mnie w serce zapadają kamieniem! — przemawiał pan Prosper, rozrzewniając się sam na widok łez Teklusi.—Nie wykradł, Boże, daj mu za to wszystko najlepsze w życiu i niebo po śmierci. Niech mu cheruby cześć śpiewają, cały świat jego sławę głosi, byle mi ten oto błękitnooki aniołek ostał na pociechę i osłodę! Uczciwy skarbu nie kradnie, choćby mu go z przed nosa sprzątnąć miano, a imć pan Kościuszko, człek stateczny, prawą idzie drogą, serce ma złote i głowę nie od parady. Alebyś z nim, mościa panno, królowo moja, biedy nieraz zaznała, bo pan chorąży przysiągł, że grosza z wiana nie da i dotrzymałby słowa. „Marchewką i pierwiosnkamiby żyli! — powiada — bo interesy majątkowe pana Kościuszka bardzo marnie stoją, a ja nie na to posag córce składałem, aby nim Siechnowicze z długów oczyszczał!" Ja zaś, chwalić Boga, mam fortunę dostatnią i profitu żadnego z ożenku ciągnąć nie myślę, byle mi tej oto rączyny nie cofnięto, bylebym mógł mościa pannę chorążankę swoją zwać do śmierci.

Czułe wyznania szczęśliwego narzeczonego przerwało pojawienie się Wesołowskiego, który, ukazawszy się z za węgła domu, jął dawać znaki, iż ma jeszcze coś ważnego do powiedzenia. Teklusia podeszła ku niemu.

— Zapomniał ja powiedzieć imć panu Kościuszce, co mi nakazali, bo tylko mi ten liścik panny chorążanki na sercu leżał. A tam pod Chabową Wolą został się ranny hułan, co go mieli już zakopać, aliści, gdy ziemią zasypywali, ożył. Może znajdzie się sposób przyjść mu z pomocą, bo nasi już odeszli daleko, lazaretu w pobliżu niema, a on pono podnieść się o własnych siłach nie zdoła.

Obie panny zainteresowały się wielce losem młodziana.

— Panie Prosperze — zawołała pośpiesznie Orlewska — musisz waszmość coś zaradzić i nie dopuścić, aby ten nieborak wpadł w ręce Moskali.

— Wszak waszmości łatwo o przepustkę przez kordon— mówiła chorążanka — więc zajmij się sprowadzeniem do nas lub umieszczeniem w bezpiecznem miejscu rannego. Polecam to waszmości, jako pierwszą prośbę narzeczonej — dodała z naciskiem.

— Macie państwo! już zaczyna się tyranja! — zaśmiał się radośnie pan Prosper. — Ano, postaram się zrobić, co się da! A może waćpanna ma życzenie, abym sam za niego oddał się w moskiewskie łapy?

— O nie, nie, nie daj, Boże! — zawołała żywo chorążanka — chciałabym tylko, abyśmy dobrym uczynkiem rozpoczęli nowootwierającą się przed nami drogę życia. Obliguję waćpana o miłosierdzie nad tym, któremu sam Bóg szczęśliwie z niezwykłej opresji wyjść pozwolił.

— Przyrzeczone, zrobione! U mnie tak zawsze — odrzekł pan Prosper z przechwałką.

— Pan Tadeusz mówił, że litość i miłosierdzie najmilszemu cnoty, a uszczęśliwianie innych największą rozkoszą.

— Ach! pan Tadeusz, pana Tadeusza!... wciąż on tylko jeszcze na ustach i w myślach!—szepnął Chwalibóg ponuro.

Teklusia podniosła swe jasne oczy i spojrzała nań takim smutnym wzrokiem, że przycichł odrazu.

— Wszak słońce wszystkim przyświeca, a nikomu ujmy nie czyni, że je zgodnie podziwiamy... Taki właśnie blask słoneczny bije z duszy generała Kościuszki, więc cóż dziwnego, że wchłania się bezwiednie te ciepłe promienie. Stanowią one dla mnie zachętę do życia, do dobrych uczynków, do uszczęśliwiania innych, to mi tylko dziś pozostało...

— A niech tam już, niech tam i tak!...— westchnął pan Prosper i począł wypytywać Wesołowskiego, jaką drogą udać się, czy koni mu po drodze nie zabiorą, słowem, ułożył się naprędce cały plan ku ratowaniu Prawdzica.

— Chodźmyż co rychlej do imć pani chorążyny, niechże ucałuję rączki i pochylę się do stópek mojej przyszłej matusi!—zawołał Chwalibóg, wiodąc Teklusię pod rękę w głąb domu.

Orlewska stała chwilkę, patrząc za nimi.

— A ja panu Karolowi pozostanę wierną i żadnemu innemu ślubować nie chcę — szepnęła, ocierając ukradkiem łzą zaszłe oczy.

* * *

Projekt, ułożony w Puławach, porwania króla i dostawienia go do obozu, spełzł na niczem.

Książę Józef, wyruszywszy do Kozienic, wyznaczonych na główną kwaterę, cofnął rozkaz, wydany Sanguszce.

Tu również przy rozkazie dziennym ogłosił wojsku, że wszelkie czynności wojenne zostają zawieszone, gdyż Najjaśniejszy Pan przystąpił do związku targowickiego.

Z głębokim smutkiem wypowiadał te słowa, które już przedtem drgały jakby w powietrzu, ale nie miały jeszcze ostatecznego potwierdzenia.

Wszystkich oczy, zwrócone na naczelnego wodza, wyrażały niemą rozpacz i przygnębienie. Zdawało się, jakby wyrok śmierci zabrzmiał ponuro i padł kamieniem na serca.

Spodziewano się do ostatniej chwili, że w księciu bunt słuszny wszelkie skrupuły skruszy i że wojsko mu oddane sam, wbrew woli króla, w bój poprowadzi. Generał Zajączek w poufnem gronie nazwał go „dworską lalą", bratankiem cacanym Ciołka niedołęgi!

Tymczasem dochodziły wieści, że konfederacja targowicka formuje pośpiesznie regimenta piechoty i jazdy, że w nich pomiędzy innymi potępiony przez sąd wojenny pod Ostrogiem wicebrygadjer Rudnicki otrzymał wysoką szarżę. Oburzenie ogólne wśród wojska wybuchło z niczem niepowstrzymaną siłą.

— Jakto? Równać nas mają ze zdrajcami? Nas, którzyśmy krew przelewali dla świętej sprawy?... — mówili dzielni wojacy, spoglądając z dumą na swe honorowe odznaczenia.

Kościuszko twierdził, że należy albo, nie oglądając się na nic, dalej wojnę prowadzić, lub też niezwłocznie podać się do dymisji.

Książę Józef uważał, że to ostatnie jest jedynym punktem wyjścia.

Z obozu pod Sieciechowem d. 30 lipca wysłał do króla list tej treści:

„W teraźniejszym składzie rzeczy widzimy, Najjaśniejszy Panie, iż już użytecznymi być mu nie możemy. Przez cały ciąg służby naszej staraliśmy się dać W. Kr. Mości najniewątpliwsze dowody wierności, gorliwości i ślepego posłuszeństwa. Lecz gdy teraz taka odmiana nastąpić może, że moglibyśmy już być nieużyteczni W. Kr. Mości, przekonaliśmy się, że nam koniecznie potrzeba upewnić się o łatwości wyjścia ze służby. Żołnierz nie ma, tylko jedno słowo, a poczciwy człowiek jedną przysięgę: i jedno i drugie nas

wiązało do tej sprawy, której broniliśmy krwią i życiem naszem. Z tego powodu upraszam o łaskawe przychylenie się do not, tu przyłączonych, jako też do akordowania dymisji wszystkim oficerom, którzy równego z nami są przekonania".

Na temże piśmie księcia Józefa Kościuszko dodał krótko: „Gdy zmiana okoliczności krajowych byłaby przeciwną pierwiastkowej mojej przysiędze i wewnętrznemu przekonaniu, mam honor przeto upraszać W. Kr. Mość o łaskawe podpisanie mi dymisji".

Przy pierwszym raporcie wysłał książę dwadzieścia takichże podań, przy drugim dwieście.

Korpus oficerski powierzył Kościuszce zbadanie w stolicy, czy dymisje mają być wzięte, czy też cofnięte w razie opamiętania się króla.

Zaraz po przybyciu do Warszawy generał udał się na zamek, by przedstawić zaślepionemu monarsze okropne położenie, w jakie wtrącił kraj cały swym akcesem do Targowicy.

Stanisław August miał wyraz twarzy wystraszony; uznawał pozornie słuszność dowodzeń Kościuszki.

— Nie opuszczajcie mnie!... — wołał, przykładając batystową chusteczkę do oczu. — Nie możecie i nie powinniście tego uczynić! Wojsko polskie istnieć musi, a jakiemże będzie bez waszego współudziału, bez waszej pomocy?... I wy, i tamci pragną dobra kraju, choć innemi ku temu dążą drogami.

— Nasza droga jest jasna i prosta — odrzekł Kościuszko. — Zasługujemy na wzgląd, bijąc się za kraj, za Waszą Królewską Mość, lecz nigdy nie postąpimy wbrew naszemu przekonaniu i honorowi.

— Zgubiony jestem, zgubiony! Bratanek mój i ty, i wy wszyscy chcecie wyrzec się mnie za to, żem uległ naleganiom, żem rozumiał, iż pełnię powinność i ku zaprzestaniu

wojny się skłoniłem. Gdybyś posłuchał dowodzeń przeciwnego obozu, to i tybyś zmiękł może...

— Nigdy, nigdy!—zawołał Kościuszko głosem podniesionym, w którym brzmiało z trudem hamowane wzburzenie. — Wasza Królewska Mość nie raczy sobie chyba dokładnie zdawać sprawy z tego, czem są ci ludzie, którzy przeciw nam, obrońcom kraju i praw jego, wystąpili jawnie z nieprzyjacioły zbratani! To są infamisy, zdrajcy, łotry!...

— Tak dalece ostro ich sądzicie?... Może i słusznie... może — westchnął król, jakby po raz pierwszy zastanawiając się nad istotnem położeniem rzeczy. — Ha, zostawić im tę hańbę! Hardzi są, nieugięci! Szczęsny Potocki ośmiela się mię obrażać; pisze do mnie w takim tonie, jakgdyby miał prawo mi rozkazywać! Wszak prosiłem go, obligowałem, zaklinałem, nie jako król, ale jak przyjaciel, do powrotu, do przysięgi na ustawę majową. Odpisał, że dzień feralny trzeciego maja niewolnictwo poniżające stworzył: że poparcie imperatorowej szczęśliwy skutek i trwałe bezpieczeństwo Rzeczypospolitej zapewnia. Zważcie tylko, jak straszne jest moje położenie! Wciągnięto mnie w to błoto, wyznaję. Nie depczcież mię, nie wtrącajcie w przepaść, a raczej podajcie sposoby ratunku, aby się wyrwać z toni.

Wpił w Kościuszkę oczy łzami zamglone.

— Uczyniłem dla ciebie, com uważał za konieczną nagrodę za wszystkie twe trudy i zasługi. Świeżo mianowałem cię generał-lejtenantem, wyróżniłem cię z pośród innych i także mi teraz chcesz odpłacać moją ojcowską o tobie pieczę?...

— Wdzięcznym za zaszczyt, suponuję, żem czynił wszystko, co było w mojej mocy dla dobra sprawy, ale nie chcemy i nie możemy być pociągnięci do przysięgi na konfederację przeciw naszemu przekonaniu, cofamy się ze wstrętem od możliwego koleżeństwa z ludźmi, pozbawionymi czci i wiary. Będziemy Waszej Królewskiej Mości wiernie nadal słu-

żyli, jeśli nas zapewni, że targowiczanie nie będą w wojsku, o ile zaś oni pozostaną, ani jedna z naszych dymisyj cofnięta być nie może.

— Zaco mię karzesz, o Boże!... — biadał król. — Wychodzi, jakbym sam na kraj swój ściągał klęski!... A ja, Bóg świadkiem, chciałbym wszystkim nieba przychylić!...

Stanisław August bezradnie załamał dłonie, utkwiwszy błędny wzrok w róg komnaty.

— Otoczyli mię siecią intryg, namówili... Kobiety swem błaganiem osłabiały mój opór!... Hańba i poniewierka staną się moim udziałem!... Dymisje wasze potępiłyby mię w oczach całego narodu. Nie czyńcie mi tej krzywdy!... — prosił z błagalnym wyrazem.

— Powinność, przekonanie i przysięga nasza, wszystko nas wiąże i zmusza do postąpienia, jak uradziliśmy społem. My albo Targowica, innego wyjścia niema! Wybrałeś ją, Najjaśniejszy Panie, wobec tego naszą rzeczą jest...

— Pozostaniecie, musicie pozostać...—upierał się król.— Dajcie mi tylko trochę czasu... Wszystko się jak najlepiej ułoży...

— Honor przedewszystkiem uratowany być musi — odrzekł Kościuszko tonem stanowczym, nie dopuszczającym żadnych dalszych dyskusyj w tej mierze.

Król zamyślił się, jakby coś ważył.

— Nie podpiszę waszych dymisyj! Dla ułatwienia układów z zagranicą niezbędnem jest, aby wszyscy pozostali na swych stanowiskach — rzekł wkońcu.

Kościuszko pożegnał króla w milczeniu, zmierzywszy go zimnem spojrzeniem.

Monarcha powiódł za nim wzrokiem łzawym.

— Ten był, jest i będzie w zasadach swych niezachwiany!... — szepnął, zazdroszcząc ludziom silnym duchem tej mocy przekonań, której nie odczuwał w sobie. — I Pepi, mój Pepi przeciw mnie!... To straszne, straszne!...

Chustkę batystową do oczu podniósł. Zapłakał. Wnet jednak, spojrzawszy w zawieszone naprzeciw zwierciadło, znużone oczy otarł, twarz ręką wypieszczoną jął gładzić, uśmiech zwykły na usta wywołać się starał.

— Trzeba się zmóc, trzeba nie okazać po sobie doznanego upokorzenia. Oni mają słuszność; trudno będzie ich przejednać, trzeba przynajmniej zyskać na czasie. Tymczasem sprawa dymisji w zawieszeniu. Podarek mój dla Katarzyny może doskonale ją dla nas usposobić. Nie wierzą w moją dyplomację, przekonam ich, że się mylą.

Kazał przywołać złotnika, któremu polecił wykonać misterne berło, składające się z dwóch sztuk akwamaryny [1]), prześlicznie szlifowanej, mającej około pół łokcia długości.

— Poślę jej to drogocenne cacko! Nieraz takie drobiazgi zaważyły na szali, fortunnie wpływając na losy krajów i ludzi!...

Uśmiechał się teraz do siebie, wierząc, że czyni coś doniosłego dla dobra Ojczyzny, że sprawę podziału kraju zażegnać potrafi...

* * *

Kościuszko powrócił do Kozienic, by zdać towarzyszom sprawę ze swojej rozmowy z królem.

Wypłacono mu tu żołd kwartalny, jaki miał otrzymywać w nowej szarży generał-lejtenanta.

— Przyda się na drogę — rzekł do Kniaziewicza, przedstawionego również do awansu. — Jeśli targowickie rządy przeważą, pozostaje nam tylko dobrowolne wygnanie. Tę sumę mogę przyjąć jeszcze z czystem sumieniem.

Książę Józef żegnał kolejno podwładne sobie dywizje, a Kościuszko dopomagał mu gorliwie w pełnieniu obowiązków służbowych.

---

[1]) Odmiana szmaragdu koloru niebiesko-zielonego, podobnego do wody morskiej; stąd jego nazwa.

Chodziło teraz tylko o zdanie wojska i rachunków w porządku. Układali razem wykazy, żądania nagród i stopni dla oficerów.

Naogół wszyscy przejęci byli ważnością chwili, starając się wykonywać, co do nich należało, ze starannością wzorową. Zamilkły osobiste niesnaski i niechęci wobec wspólnej troski o dalsze losy.

Niewymowna żałość ogarnęła szeregi, gdy przyszedł rozkaz wysłania wszystkich dział do stolicy.

Książę Józef prosił króla, aby armaty przy bataljonach pozostać mogły.

„Smutnem jest dla żołnierza, kiedy się będzie widział przeznaczonym jedynie tylko do warty, bez nadziei być użytym do innego szlachetniejszego celu..." — pisał, a zarazem polecał uwadze stryja tych wszystkich, którzy, z lazaretów rosyjskich uciekłszy, pozbawieni są środków do życia.

— Dopomagałem im dotąd z własnej kieszeni, obecnie należałoby fundusz jakowy na to wyznaczyć — rzekł do Kościuszki, zajętego w tej chwili przeglądaniem spisu utraconych podczas kampanji ludzi, koni i oręża.

Kościuszko podniósł wzrok smutny, w którym malował się żal bezmierny, iż tyle trudów, tyle męstwa, tyle dobrych chęci poszło na marne!... Co chwila napotykał na listach strat znane sobie dobrze nazwiska. Ożywały mu w pamięci postacie towarzyszy broni, którzy spoczęli w mogilnej ciszy, pokiereszowani, zasiekani nieraz w śmiertelnej walce, ale ufni w zwycięstwo. Szymon Mohort, kapitan Bieliński, obaj śmierć znaleźli pod Boruszkowcami, a dalej znów długi zastęp poległych zaszczytnie pod Zieleńcami, pod Dubienką, oraz w drobnych potyczkach z nieprzyjacielem.

Wśród zabitych pod Dubienką zamieszczono też Wacława Prawdzica. Kościuszce żywo stanęła w oczach jego twarz młodociana, oczy jasne, zalęknione z pozoru, a pełne ognia w boju. Porucznika Töpfera również żal mu było szczerze.

Przypomniał księciu, że jego order wojenny należałoby przesłać rodzinie zmarłego.

Sanguszko, który miał odprowadzić do Warszawy park artylerji, stanął za plecami Kościuszki, czytając wraz z nim żałobną listę.

— Iluż tu bohaterów, a zali wszystkich wciągnięte są imiona? — rzekł urodziwy brygadjer, potrząsając smutnie głową. — Pamiętam, jak Obertyński major, z brygady Jerlicza, wysłany z Lubaru, odniósłszy znaczne korzyści nad kozakami, nazbyt ufny w swe siły, dozwolił chmarze ich otoczyć siebie. Ranny, konia zabitego mając pod sobą i pałasz utrącony, walczył jeszcze pozostałym kawałkiem żelaza. Naraz widzę, jak wyniesiony przez kilkanaście pik w powietrze nie traci ducha, lecz zaklina swoich, by się nie poddawali. Gdybym był malarzem, obraz ten natychmiast na płótniebym odtworzył! W wilję dnia tego, będąc także na patrolu pod Cudnowem, gdy bataljon mój konie karmił, do Obertyńskiego podjechałem, a gdyśmy rozmawiali, na wzgórzu za groblą ukazał się niespodzianie oddział rosyjski. Wtem bez słowa, co koń wyskoczy, ruszył towarzysz, którego nie pomnę imienia, wypala z pistoletu, wpada z piką najeżoną w środek nieprzyjaciela i zagarniony ginie. Takich przykładów przytoczyćbym mógł bez liku! [1])

— Tak, nie powstydzimy się przed potomnością, boć męstwa u nas nie brak — wtrącił Mokronowski — a szlachetna ofiarność, również jak klejnot drogocenny w dziejach kiedyś przyświecać będzie. Książę, dałeś jej niejednokrotne dowody. Nigdy nie zapomnę, jak pod Zieleńcami, chcąc piechotę moskiewską z za opłotków wypłoszyć, krzyknąłeś: „Generale, to moja wieś, każ ją spalić!" Rycerski iście gest, a wzrok przytem takim ogniem płonął, że zdolny był pożar rozniecić!

---

[1]) Fakta te przytacza E. Sanguszko w swym Pamiętniku.

— Błahostka — odparł Sanguszko — każdyby to samo na mojem miejscu uczynił.

— Nic mi nie wspomniałeś nigdy o tem, mój drogi Eustachy — rzekł książę Józef, wyciągając ku Sanguszce dłoń w serdecznym uścisku. — Ach, te Zieleńce!—zawołał po chwili, trąc dłonią czoło — to będzie wieczny wyrzut sumienia dla mnie... Szczęście samo szło w ręce, niedoświadczenie wydarło mi triumf zupełny...

— Po batalji Zielenieckiej—podchwycił żywo Kościuszko, widząc, że to wspomnienie zaciężyło naraz kamieniem na sercu Poniatowskiego — nauczył się żołnierz nasz więcej, niż przedtem przez całe miesiące najpilniejszych egzercerunków, a przytem ileż wykazał zalet, dotychczas mu nieznanych! Obok poniżającego odstępstwa takiego Rudnickiego jakże natomiast bohatersko odbija choćby ten jego skromny ordynans, który, znalazłszy się w nieprzyjacielskim obozie, na żaden sposób do zaprzysiężenia Targowicy nakłonić się nie dał, z pogardą ofiarowaną sobie rangę oficera odrzucił i chociaż chłostany do krwi, wolał poddać się najcięższej męce, niż zdradzić naszą sprawę.

— Już wiem, jaki stąd morał wyciągnąć zamierzasz, generale—uśmiechnął się blado książę Józef. — Lud, przedewszystkiem i nadewszystko lud! Afekt twój ku maluczkim budujący wielce, ale Polska była i jest szlachecką, inną jej sobie przedstawić nie jestem w stanie.

— Poczucie równości i sprawiedliwość dla wszystkich jednaka, oto moje hasła — odrzekł Kościuszko.

— Mrzonki, generale, nie mówię, że chłop jest podrzędnem stworzeniem, ale jest innemi przeniknięty pojęciami. Nie przyjmował czynnego udziału w historji, nie ma więc tradycyj rodowych, będących dla nas bodźcem do chlubnych czynów—rzekł Poniatowski.

— W tem błąd tkwi, żeśmy mur graniczny utworzyli pomiędzy szlachcicem i kmieciem — mówił z ogniem Ko-

ściuszko. — Wprawdzie Stefan Batory, chcąc wojska przysporzyć, powołał włościańską piechotę, a nawet, jak wiadomo, chłopu Wielochowi pod Wielkiemi Łukami za waleczność szlachectwo nadał. Takich Wielochów moglibyśmy stworzyć całe szeregi.

— Albo też zapomocą ciemnej i rozzuchwalonej tłuszczy podkopać tron, utworzyć sąd rewolucyjny, rozporządzający samowolnie naszem życiem i mieniem, jak się dzieje teraz we Francji — odparł ks. Józef, chmurnie wstrząsając głową.

— Przypomniały mi się naraz — rzekł Sanguszko—trafne zdania mojej babki, świętej niewiasty, która kierowała pierwszemi memi krokami. Ona mi wypisała szereg przestróg, pomiędzy innemi te utkwiły mi w pamięci: „Im znakomitsze nazwisko, tem więcej zhańbia człowieka, gdy onemu doskonale nie odpowiadają przymioty. Szlachectwo pochodzi od słowa szlachetność, uszlachetnia cnota. Należy przywiązać do siebie włościan i nie pogardzać opinją ludu, gdyż on ma sąd trzeźwy o rzeczach".

Kościuszko ogarnął młodego towarzysza broni serdecznem spojrzeniem.

Dano znać w tej chwili, że pojawił się w obozie jakiś wojskowy, mianujący się majorem kawalerji narodowej, brygady bracławskiej, od Szczęsnego Potockiego przysłany.

— Taki korpus wojska Rzeczypospolitej jest nieznany!— zauważył Kościuszko, gdy zameldowano o przybyciu majora Dębińskiego.

— Czego żąda ta figura z targowickiego obozu? — zapytał wyniośle książę Józef adjutanta Kamienieckiego.

— Przywiózł listy do wszystkich oficerów sztabu od Potockiego.

— Przedewszystkiem musimy go obligować, aby znaki oficerskie zdjął, jeśli nie posiada patentu, podpisanego przez J. Kr. Mość — rzekł stanowczo Kościuszko.

Książę Józef nawykł ostatniemi czasy stosować się do rad i zarządzeń Kościuszki.

— Słusznie — rzekł. — Jest on tylko posłańcem pana Szczęsnego. Nie może go nikt traktować jako towarzysza broni.

— Przekonany jestem, że każdy z naszych oficerów odpowie odmownie na wezwanie zdrajcy, choćby mu złote góry obiecywano — wtrącił Kościuszko z przekonaniem.

— Winni mu zwrócić listy nie rozpieczętowane na znak wzgardy. Odwieziesz waszmość natychmiast tego ptaszka pod strażą do Warszawy, dla powzięcia woli Jego Królewskiej Mości — wydał rozkaz książę Józef, zwracając się do Kamienieckiego.

Łudził się, że król zabiegom Szczęsnego przeciwdziałać będzie.

Jeszcze sobie nie zdawał dostatecznie sprawy z rozmiarów klęski; jeszcze ufał stryjowi, mając doń serdeczne przywiązanie.

Kościuszko po rozmowie ostatniej z królem nie miał już pod tym względem żadnych złudzeń. Uczuwał wszakże pewną litość nad niedołężnym monarchą.

— Wszak nawet taki zapalony propagator nowych idej, jak Kołłątaj, gotów jest zgłosić akces do konfederacji — zawołał książę Józef. — Sądzi, że wiele da się ocalić z reform. Czyż można dziwić się stryjowi, jeśli nawet dusza stronnictwa patrjotycznego przychylić się zdolna do Targowicy w nadziei wyzyskania jej wpływu ku ogólnemu dobru?...

— Dziwię się i nie podzielam tego poglądu *Aut-aut*[1])— rzekł Kościuszko. — Drogi pośredniej szukać daremno.

— Zdanie twe, generale, z dniem każdym cenniejszem mi się staje — rzekł Poniatowski. — Wyznaję, że po przybyciu do nieznanego mi prawie rodzinnego kraju nie umiałem oceniać ludzi, rządziłem się pierwszem wrażeniem.

---

[1]) Albo-albo.

Zwłaszcza Litwinów trzeba poznać bliżej, aby się o wartości duchowej przekonać. Obecnie widzę, że takich niezwykłych charakterów, jak twój, generale, rzadko spotkać. Jesteś z tych, co opoką będą w krajowej potrzebie.

— Dziś na księcia generała mają wszyscy oczy zwrócone— odrzekł Kościuszko ze zwykłą sobie skromnością. — Wszak całe oddziały przyszły powiedzieć ci: „Prowadź nas, gdzie zechcesz, ocal króla, wiemy, że poprowadzisz nas z honorem. Te uczucia winny znaleźć usprawiedliwienie; umiesz być przewodnikiem, który wie, dokąd dąży i na czem się opiera".

— Zupełnie zgodnem jest moje w tym razie zdanie — odrzekł książę Józef. — Sprzeciwiłem się porwaniu stryja — naraziłem się wam, być może, nie uznając tego środka, cofnąłem się nawet po wymuszonym prawie na mnie przyrzeczeniu, wszelako, w obecnym stanie rzeczy, pozostanę niezłomnie przy powziętem przez nas wszystkich postanowieniu. Żadne obietnice i namowy nie zdołają mnie zatrzymać w wojsku, w którem Targowica rej wodzić będzie. Na to przysięgnąć mogę!

— Wierzymy w to święcie — rzekł Kościuszko. — Ale w tak wyjątkowych okolicznościach, w jakich znaleźliśmy się teraz, można działać tylko gwałtownemi środkami. Król, przytrzymany w obozie, mógłby w ręku Waszej Książęcej Mości stać się pomocnem narzędziem do ocalenia Polski. Drugi plan bardziej jeszcze zuchwały, ale pewniej wiodący do celu: ująć władzę naczelną w krzepkie dłonie — oprzeć się na oddanem sobie wojsku, powołać do walki wszystkie stany pod hasłem: „umrzeć lub zwyciężyć!" Gdybyś, książę, chciał to uczynić, mógłbyś być zbawcą narodu!...

Książę Józef stanął przed Kościuszką z rękoma na piersiach skrzyżowanemi i zmierzył się z nim w długiem, pełnem mocy spojrzeniu.

Oczy obu płonęły żarem.

— A więc rebelja?... Insurekcja?...—zawołał porywczo. — Miałbym stanąć na czele zbuntowanych, przedstawić się jako wróg wobec stryja i dobroczyńcy?... Tegoż ode mnie żądacie?.. Widzę, że tak samo jak Zajączek, jak Ignacy Potocki, Kołłątaj, etc. wyznajesz, generale, jakobińskie zasady, którym ja nie hołduję! Rewolucjonistą nie jestem—rzekł książę nieco pogardliwie, lecz działać będę zawsze otwarcie i szczerze, jak żąda honor i prawo. Gdy niektóre regimenta w pełnym składzie o abszyt prosiły, odmówiłem. Ale naszego postępku nikt buntem nazwać nie może. Prośby wszystkie mają formę prawną, stoimy na legalnym gruncie. Powinnością naszą jest zająć wyznaczone posterunki, ponieważ dymisje nie są jeszcze podpisane. Ja tylko, jako naczelny wódz armji ukraińskiej, kończę mą rolę. Z woli króla Poznań jest przeznaczony dla mojej komendy. Będę miał z kawalerji brygadę Mokronowskiego, Madalińskiego, Sanguszki, pułk Lubomirskiego i moich wiernych kozaków; z piechoty: fizyljerów Brodowskiego i Potockiego starosty, a także bataljon Ilińskiego. Dywizja druga pod Byszewskim z brygadami jazdy Dzierżka, Hadziewicza i pułkiem Zajączka, z piechotą Gorzeńskiego, Raczyńskiego i Buławy Wielkiej ma wyznaczoną kwaterę w Pyzdrach. Trzecia dywizja, pod twojem dowództwem, generale, z brygadą Jerlicza, Biernackiego, półkami kawalerji Karwickiego i Wirtemberskiego, z pieszych Malczewskiego, imienia Potockich i Cichockiego, stanie w Radomiu. Czwarta, Lubowidzkiego z regimentem Wodzickiego, Czapskiego, Ordynacji Ostrogskiej i chorągwią węgierską, mieścić się będzie w Sandomierzu. Park artylerji wysyłam jutro do Warszawy. Wyprawiłem kwatermistrzów: niektórym korpusom wypisałem już marszrutę, oraz porządek wyruszenia z obozu. Do ostatniej chwili pełnić będę wiernie, co mi jest poruczone, zanim się położenie nasze wyklaruje.

— Wszystkie korpusy gotują waszej książęcej mości adres, na którym widnieją słowa: „Zaręczamy Mu tem pismem

naszem nieśmiertelną wdzięczność, głębokie uszanowanie i niezatarte przywiązanie nasze".

— Medal będzie wybity z napisem wymownym: „Żołnierz — Wodzowi" — rzekł wchodzący w tym momencie Mokronowski.

Książę Józef uścisnął dłoń jego gorąco.

— Czem wywdzięczę, jak odpłacę mym dzielnym kamratom?... — zawołał wzruszony. — Wszak to wy wszyscy raczej byliście mi przykładem waleczności, a ja, zmuszony wciąż stosować się do woli stryja, nieraz obowiązany byłem hamować zapał, powstrzymywać rwących się do batalji!... Obiecywałem sobie powetować to, zebrawszy wszystkie siły, pragnąłem szczęścia dla narodu, dla żołnierzy zwycięstwa i oto w takiej chwili żegnać ich muszę!... Przestaję komenderować armją, lecz wspomnienie tej wspólnie przebytej kampanji będzie mi zawsze chlubą, a przywiązanie, jakiego otrzymuję dowody, najmilszą nagrodą!

Książę Józef miał wielką swadę i głos dźwięczny, wibrujący. Jak pieśń z głębi młodej piersi płynąca, brzmiały z mocą wymawiane przez niego słowa.

Jeżeli przedtem raziła poważniejszych towarzyszy broni lekkomyślność księcia i mała znajomość spraw wojskowych, to w tych decydujących chwilach wyrósł on nagle w oczach swych podwładnych na bohatera. Związany uczuciem wdzięczności i kwestjami majątkowemi z królem, potrafił jednak być nieugiętym, gdy chodziło o honor i utrzymanie się na opornem Targowiczanom stanowisku.

W kilka dni potem, pod wrażeniem coraz groźniejszych wieści, wydał odezwę do wojska:

„Otrzymałem dymisję — służyć przestałem, lecz kochać, szanować was i waszą przyjaźnią się szczycić nie przestanę. Biliśmy się za rządną wolność, za sławę narodu, za szczęście wszystkich obywatelów. Była to wojna święta, bo żołnierz

nie walczył za dumę swego króla, lecz za swobody ojców i całość ziemi, w której się urodził.

Okoliczności struły nadzieje nasze; obca przemoc, duma kilku obywatelów, którzy w osobach swoich przywykli uważać szczęście lub nieszczęście kraju, przyprowadziły rzeczy do dawnej postaci, zatem lubo nie podbici, lubo nie zwyciężeni, błąkać się musimy i szukać obcej ziemi. Mundur nasz staje się odtąd smutnem odzieniem, bo nie jest więcej znamieniem prawdziwego powołania, sławy i obrony Ojczyzny.

Trudno jest żyć w społeczeństwie ludzi, z których jedni znajdują słodycz, czyniąc ofiarę pysze i ambicji swojej z krwi rodaków, drudzy, wiecznej niesławy okryci cechą, za przewinienia, których czystość powołania żołnierskiego znosić nie może. Te czucia moje śmiało i głośno zaręczam; prześladowania bowiem tylko wzgardę na siebie ściągają. Zemsty, która na szlachetnem i uczciwem gruntuje się przekonaniu, niezmrużonem czekam okiem. Przykład nieposłuszeństwa, który nam zostawili, nie skazi bynajmniej dusz naszych. Jeżelibyśmy ramieniem naszem Ojczyzny zbawić nie mogli, przynajmniej tej zbrodni Ojczyzna nam nie wyrzuci. Ostatni raz wam tę cnotę zalecam, przyjaźń, którą mi przyrzekliście, przypominam, rozbrat z nimi, a nieśmiertelny dla Was szacunek i przywiązanie zaręczam".

Brzmiała we wszystkich odezwach księcia nuta miłości dla kraju, żal serdeczny z powodu rozstania się z armją. Możnaby rzec, że dojrzał duchowo w atmosferze umysłów tak wysoce patrjotycznie nastrojonych, jak Kościuszki, Mokronowskiego i całego legjonu dzielnych i prawych serc, które teraz dopiero oceniał. Zrozumiał jak wielka była różnica między nimi i tą wesołą i płochą, złotą młodzieżą, którą się tak przedtem otaczać lubił.

Ożarowski, kasztelan wojnicki, zostawszy wielkim hetmanem koronnym i mając sobie powierzone odebranie przysięgi od wojska na wierność konfederacji, zażądał przede-

— A więc rebelja? Insurekcja? .. (str. 254).

wszystkiem, aby książę Józef wyjechał z kraju. Król również nalegał na to, pensję znaczną zapewnił, długi spłacić obiecał, byle nie widzieć ustawicznego wyrzutu w oczach bratanka. Zawiązała się bowiem w tym czasie na zamku królewskim konfederacja ziemi warszawskiej, zgodna z targowicką. Dziesiątego sierpnia król wyzbył się władzy naczelnej nad wojskiem na rzecz Targowiczan i wnet Komisja Wojskowa zamknęła swe czynności.

Kachowskij i Kreczetnikow na czele swych korpusów weszli od Pragi do Warszawy. Oficerowie rosyjscy szczodrze sypali złotem. W obozach urządzono rodzaj kilkodniowego jarmarku, na który zjeżdżało się najwytworniejsze towarzystwo warszawskie, jakgdyby na ciekawe widowisko.

Gdy tak możni przyjaciele Moskwy zabawiali się, radzi z zawarcia pokoju, spodem wrzało w stolicy. Tłumione oburzenie, jak ferment, wzrastało, przewalało się, bluzgało jadem na nowokreowanych dostojników. Odgrażano się, że szubienica ich nie minie. Zwłaszcza młodzież rzemieślnicza bunt nosiła w duszy, ale zebrania i narady odbywały się w ścisłej tajemnicy.

* * *

W obszernej komnacie błękitnego pałacu [1]) Czartoryskich w Warszawie leżał generał Kościuszko, złożony chorobą.

Okno, przysłonięte żółtą, jedwabną firanką, rzucało ciepłe blaski na wychudzoną twarz chorego. Lekarz domowy księżnej Izabelli, nawiedzający go codziennie, znalazł, że generał ma febrę żółciową, a przytem stan nerwów z powodu wstrząśnień moralnych był wielce niezadowalający.

Po rozlokowaniu swej dywizji w Radomskiem prosił Kościuszko o urlop półroczny, poczem przybył wnet do stolicy, czując się już niezupełnie zdrowym. Towarzyszył mu w po-

[1]) Obecnie ordynacja Zamojskich.

dróży porucznik Bukar, który pielęgnował go w chorobie i swą młodzieńczą naiwnością działał kojąco na stargane nerwy chorego. Przesiadując u jego łoża, podając lekarstwa, Sewerek starał się zabawiać generała opowiadaniem o figlach i psotach w szkole rycerskiej, nawiedzał bowiem często dawnych kolegów. Nieraz udawało mu się uśmiech na twarz chorego wywołać. Kościuszko lubił słuchać tych gawęd, stawiających mu żywo przed oczy lata młodociane, szkolne czasy, górne marzenia, z kolegami przebyte w korpusie chwile.

Powróciwszy z Kazimierowskiego pałacu, jął Bukar opowiadać o jakiemś zajściu i karze, jaka spotkała kadetów.

— I ja też raz jeden siedziałem w kozie — mówił z ożywieniem — ale proszę nie myśleć, panie generale, że za jaki czyn niehonorowy.

— Mów, kochanku, coś tam zbroił? — rzekł Kościuszko z dobrotliwym wyrazem.

— Byłem uczniem trzeciej klasy, z której okna, jak wiadomo generałowi, wychodzą na plac, gdzie zazwyczaj odbywają się mustry przy odgłosie muzyki wojskowej. Miało to dla nas powab zawsze jednaki, lecz zarazem stanowiło przeszkodę w nauce, bośmy wciąż przez okna patrzyli. Wszyscy niemal profesorowie byli dla nas wyrozumiali, z wyjątkiem Francuza Duclas. Ten stary, w peruce, krzyczał i zrzędził nieustannie, a chcąc nas raz na zawsze pozbawić ponętnego widoku, własnym kosztem kazał tarcicami okna pozabijać, pozostawiając tylko górne szyby, których nie mogliśmy dosięgnąć. Zawrzał w nas bunt i postanowiliśmy przy pierwszej nadarzonej okazji deski owe pozrywać. Było nas w klasie osiemnastu. Pewnego dnia, gdy dwaj nauczyciele na poobiednie godziny nie stawili się, my dalejże do roboty! Każdy z nas zaopatrzył się zawczasu w dłótko, świderek i różne przyrządy, jakie się dało ukryć przy sobie. Nawet nie przyjmujący udziału w majstrowaniu obowiązani byli

przynajmniej rękę do deski przyłożyć podczas odrywania, aby okazać, że działamy wszyscy zgodnie.

— Myśl przednia!... — zauważył Kościuszko, przytakując głową.

— Żaden nie stchórzył, chociaż oficer od inspekcji przechadzał się po kurytarzach i mógł łatwo nas na gorącym uczynku przyłapać. Było to w wigilję Zielonych Świątek, więc gdy się wszyscy rozeszli, udało się nam tarcice do ogrodu wyrzucić i świat deskami zabity oczom się naszym odsłonił. Czuliśmy się tak dumni i szczęśliwi, jakgdyby po dokonaniu iście bohaterskiego czynu! Kiedy się rzecz cała wykryła, odpowiedzialność spadła na mnie i na Popiela, jako na cenzorów.

— Dostałeś plagi, buntowniku?—zaśmiał się Kościuszko.

— Obu nas skazano na areszt tygodniowy o chlebie i wodzie. Popiel, jako starszy, dostał kilka „fuchtelów" szpadą, mnie się jakoś upiekło, ale od tego czasu już nam widoku na plac nie zasłaniano.

— Dobry stąd morał, kochanku, jak, działając jednomyślnie, można osiągnąć cel upragniony—rzekł Kościuszko, który, uniósłszy się nieco na poduszce, wsparł głowę na dłoni i śledził z zajęciem ożywiony wyraz twarzy Sewerka. Wam, dzieciuchom, nie do światła rwała się dusza, lecz do zabronionej rozrywki, ale nam teraz należałoby z całem zrozumieniem i odczuciem krzywdy wyrządzonej odbić co najrychlej owe beprawnie przygwożdżone deski, niedozwalające swobodnego rozwijania się życia narodowego.

Tu westchnął generał i, odgarniając włosy z czoła, zawołał:

— A teraz podaj mi inkaust i pióro. Muszę przedstawić królowi co najrychlej spis wszystkich, którzy odznaczyli się pod Dubienką, a dotąd nie otrzymali nagrody. Korzystając z wysokiej mej szarży, mam nadzieję wyjednać zasłużonym podwyższenie w służbie. Podyktuję ci zaraz list do Gorzeń-

skiego. Chcę polecić pamięci jego przedewszystkiem Fiszera i Kniaziewicza, a także rotmistrzów Radomyskiego i Brzozowskiego.

Kościuszko, nawet złożony chorobą, nie przestawał myśleć o innych. Oczy jego płonęły gorączką czynu.

Wręczono mu właśnie list od siostry, przez umyślnego nadesłany. Rozjaśniła się twarz generała, gdy ujrzał dawnego sługę swego, który opowiedział o wszystkiem, co się we dworze u pani stolnikowej Estkowej dzieje. Wydało mu się, że miły powiew pól rodzinnych go zaszedł. Wypytywał szczegółowo o gospodarstwo, ogród, domowników, a następnie wręczył zaufanemu słudze rejestr rzeczy, siodeł, sprzętów, oraz koni, które postanowił odesłać na Litwę, aby tam były spieniężone. Nosił się już z myślą opuszczenia kraju, więc zawczasu chciał trochę grosza sobie przysporzyć.

Do siostry nakreślił własnoręcznie słów parę:

„Posyłam konie i rzeczy, chciej ulokować u siebie. Konie możesz wszystkie sprzedać, prócz kasztanowatego, gniadej klaczy i siwego, które chcę konserwować. Ja mogę zimą przyjechać, albo prędzej. Proszę wszystkim się kłaniać i być przekonaną o mojej stałej przyjaźni, afekcie i sercu jednostajnem".

W post scriptum dodał jeszcze:

„Choćby i tanio, to sprzedaj konie".

Posłaniec z Siechnowicz przywiózł również list od dawnego sąsiada, Michała Zaleskiego, ale Kościuszko odpowiedź odłożył na później. Czuł się nieco znużony i obawiał się nowego paroksyzmu febry, a tymczasem co chwila anonsowano gości, którzy natarczywie dopominali się o wpuszczenie ich do pokoju chorego.

Tym razem wpadł Niemcewicz, wiodąc z sobą kasztelana Morskiego.

Spotkali się niespodzianie na ulicy, a kasztelan, dowiedziawszy się o chorobie generała, nieomieszkał go nawiedzić.

Przyjaciele rozgadali się szeroko o sprawach publicznych, następnie zaś o wspólnych znajomych z Podola.

Morski utyskiwał na Złotnickiego, zapamiętałego targowiczanina, który wiele mu krzywd wyrządził.

— Wystaw sobie, generale — wołał zaperzony — że ten nicpoń obejmuje komendę Kamieńca, a nasz zacny Józef Orłowski, wyzuty z urzędu przez tych łotrów targowickich, wyjechać musi z kraju! Trudno sobie wystawić, co ta horda tatarska wyprawia! Zburzyli mi dom, porąbali sprzęty, spalili śpichrze, wysączyli całą piwnicę. Pamiętasz, generale, te nasze stare rajkowieckie wina?... Delicje! A te draby dudlili stuletniego węgrzyna, jak prostą okowitę!

Kasztelan zerwał się z miejsca i chodził wszerz i wzdłuż po pokoju, nie mogąc z zimną krwią mówić o tem.

— Bardziej jeszcze, niż winem, upajają się swą pychą— wtrącił Kościuszko.

— Zaprzedańce, przez kije przepędzić takich!... — gorączkował się kasztelan.

— W każdym razie przystąpienie króla do konfederacji odebrało Szczęsnemu Potockiemu nadzieję pozyskania tronu dla siebie — rzekł Niemcewicz. — Pono hetman Branicki publicznie na uczcie u Kachowskiego pił już zdrowie Najjaśniejszego Szczęsnego! Teraz plan ten upadł i stąd w ich obozie wielka konsternacja.

— Słyszałem, że w Wiedniu na balu u ks. Lichtensztejna do żony Potockiego, Mniszkówny z domu, zwrócił się pewien Francuz z wersalskim ukłonem, mówiąc na pożegnanie: „Dobranoc ekskrólowej!", co wywołało uśmiech szyderczy na ustach wszystkich obecnych.

Kasztelan, ochłonąwszy, usiadł znów w głębokim fotelu u wezgłowia Kościuszki.

— Jakże tam nasze panie?... — zagadnął chory. — Kasztelanowa dobrodziejka? Starościna? Starościanka? Chorążostwo?... — tu głos mu się załamał nieco.

— Małżonka moja, Bogu dziękować; w dobrem zdrowiu; starościna zaś i pani Stadnicka mocno zrozpaczone beznadziejnym stanem Anetki. Na płuca zapadła biedaczka, nic z niej nie będzie! Dla Orłowskiego to też cios bolesny, bo wiadomo, jak jej sprzyjał.

— Niezmiernie przykro mi dowiedzieć się o tem. Zacne to, kochane i mądre — rzekł Kościuszko ze szczerym żalem.

— Teklusia Żurowska po słowie z Chwalibogiem. Chorąży postawił na swojem...

Wiadomość ta nie była niespodzianką dla generała.

— Szczęść jej, Boże! — szepnął tylko. — Z serca jej życzę dobrej doli.

Szczera życzliwość bez cienia zazdrości zadrgała w jego głosie.

— Żurowski wyraża się o panu generale z wielkim respektem, ale wciąż twierdzi jedno: „Inna rzecz być sławnym, inna zaś być dobrym mężem".

Niemcewicz roześmiał się wesoło:

— A to ci sławnym ludziom dociął; muszę sobie tę prawdę zakonotować w pamięci — zawołał, chcąc rozweselić przyjaciela.

Kościuszko uśmiechnął się smutno:

— Jakie to już wszystko ode mnie dalekie! — szepnął. — Międzybóż... Ignatkowce... Sielanka podolska!... Wszystko niczem, odkąd najmilsza kochanka, Ojczyzna, w niewoli...

— Doktór Hakenszmidt część Ignatkowic ma zamiar nabyć. Grosza sobie uzbierał sporo. Obywatelem mu się być zachciało!

A Tecia Orlewska?

— Ta, zdaje się, jeszcze za Kniaziewiczem tęskni. Kilka dobrych partyj odrzuciła. Nasz cichutki Chłopicki walny chłop okazał się w bitwie!...

— Wiem, wiem — rzekł Kościuszko — dostał odznaczenie. — Westchnął ciężko.

— Odbierają krzyże?...

— Tak głoszą. Nie o mnie, lecz o towarzyszy wszystkich i o dzielnych żołnierzy mi chodzi—zawołał Kościuszko.— Jeśli wyrok ten będzie wykonany, opuszczę kraj i udam się do Ameryki. Mam prawo do jej opieki, bom za nią krew przelewał.

— I ja przyszedłem pożegnać cię, kochany generale — rzekł Niemcewicz. — Odebrano mi moje ukochanie: „Gazetę Narodową i Obcą" zawiesić kazano. Wyjeżdżam na czas nieograniczony. I pomyśleć, że takie straszne w przeciągu kilku tygodni nastały zmiany!... Rozjechali się wszyscy, co najgorliwiej wraz ze mną o nową konstytucję się dobijali!... Ignacy Potocki, Sołtan, Kołłątaj, Weyssenhoff.

— Wszyscy oni są już w Saksonji—szepnął Kościuszko.

— A ja, mój drogi generale, kupiłem sobie wóz kowany, mocny, bo z fabryki w Końskich. Wszystkie swe graty zebrałem i wyruszam również do Lipska.

— Nie pozostanie tu wkrótce nikogo, jeno szczebiotliwe kwochy.

— I Mochy...—dodał Morski, potrząsając smutnie głową.

— Oraz rodacy, zobojętnieli na cześć własną i narodu— dorzucił Kościuszko.

— Złota wolność szlachecka ładnie wygląda w tej targowickiej oprawie!...

Zaledwie odeszli przyjaciele, nie chcąc długą rozmową bolesnej treści nużyć chorego, wpadł Bukar, oznajmując, że król przybywa.

Kościuszko czuł się tak osłabiony i wyczerpany, że nie mógł wyjść na przyjęcie monarchy. Stanisław August przybył konno w otoczeniu kilkudziesięciu ułanów. Twarz jego, pomimo starannego pielęgnowania, nosiła już cechy późnej starości. Policzki obwisły, oczy wybladły, wyraz smutku i przygnębienia zastąpił dawny jego uśmiech, nigdy prawie nie schodzący z twarzy.

— Przyjechałem, aby się dowiedzieć o twem zdrowiu— rzekł, troskliwie wypytując o przebieg choroby.

Poczem rozmowa przeszła wnet na temat orderów cofnionych.

— Radzę ci, abyś od siebie napisał list do Potockiego Szczęsnego. Wszak w każdym kraju zasługi wojenne mają swe znaczenie i nawet nieprzyjaciel cześć im oddaje. Pan Szczęsny jest właściwie dyktatorem Rzeczypospolitej, marszałkiem konfederacji. Z tobą więcej się będzie liczył, niż ze mną. Ta kasata orderu przeciw mnie jest wymierzoną strzałą—chcą mi okazać, że nie miałem prawa bez potwierdzenia sejmu takowy tworzyć i rozdawać dystynkcje — dotyka wszelako wszystkich zasłużonych. Musisz się upomnieć o towarzyszów broni. Uczyń to. Bratanek mój, Pepi, jest zanadto gwałtowny, z Potockim zadziera, a tu trzeba z taktem, dyplomatycznie przeprowadzić rzecz całą.

Kościuszko, patrząc na postać zgarbioną do niepoznania zmienionego dziś króla, uczuł w głębi serca litość. Widział doskonale wzrastającą wciąż bezradność, upokarzające niedołęstwo życiowe tego niegdyś niezwykłą bystrością umysłu obdarzonego monarchy. Przyrzekł, że list wystosuje, chociaż małą żywi nadzieję, aby był skuteczny.

— Ja mniej jeszcze od księcia generała Józefa[1]) potrafię bawić się w dyplomację — rzekł Kościuszko — napiszę więc szczerze, bez ogródek, że, zdaniem mojem, krok taki byłby szkodliwy i stałby się hamulcem do bronienia kraju i wolności.

Król przytakiwał głową.

— Tak, tak, ty już to jakoś potrafisz. Wiem, że Szczęsny wielce cię poważa, przymioty twe i talenta ocenia. Utrzymując order swym wpływem, oddasz mi ogromną przy-

---

[1]) Tak Kościuszko zwykł był nazywać księcia Poniatowskiego (z „Księgi Wspomnień" Wojciecha Mączyńskiego).

sługę, a zarazem tylu walecznym otrzymaną nagrodę słusznie się zachowa. Wykorzystaj ten wielki mir, jaki masz teraz w całym kraju. O tobie tylko mówią, twoje wynoszą zasługi. Co do mnie, jakkolwiek mnie sądzicie, radbym choć część dobrych dzieł sejmu czteroletniego utrzymać. Gdybyś wiedział, jak jestem znużony i nieszczęśliwy!

Łzy zakręciły mu się w oczach.

Kościuszko miał już na ustach słowa:

„Dlaczegoś nas nie usłuchał, do obozu nie przybył?" gdy król dosłownie niemal rzekł to samo:

— I czemuż nie uczyniłem, czegoście żądali!... Czemuż nie dałem się zabić ku chwale mego narodu? Teraz już muszę iść inną drogą... Muszę podpisać wasze dymisje... Ciężki to, ciężki krzyż dla mnie... Bratanka wyprawiam do Wiednia...

Gdy król opuścił „Błękitny pałac", musiał jeszcze Kościuszko przyjąć wizytę Mokronowskiego i Sanguszki, którzy również w palącej sprawie orderów do niego się zwrócili.

Mokronowski był do najwyższego stopnia wzburzony. Jego prawa i szlachetna natura nie mogła znieść tego nowego dowodu ucisku, jaki wywierała „Najjaśniejsza Konfederacja".

Sanguszko, krewki i pełen młodzieńczej buty, miał też wyraz z trudem hamowanego gniewu.

— Ma wyjść uniwersał, „zakazujący noszenia znaków militarnych pod karami za nieposłuszeństwo i utratą rang"— mówił Mokronowski z goryczą.

— Książę Józef oświadczył stanowczo, że co do swego krzyża wojskowego „z życiem chyba z nim się rozstanie"— wtrącił żywo Sanguszko.

— Możebyś swą powagą wpłynął na powstrzymanie tego uniwersału, mości generale? — rzekł Mokronowski.

— Jeżeli sądzicie, że moja odezwa do marszałka konfederacji może dobrze wpłynąć, niezwłocznie doń napiszę — odparł Kościuszko.

Bukar podał mu papier i pióro.

„Słabego jeszcze będąc zdrowia, biorę pióro do ręki dla przesłania próśb moich o względy za teraźniejszymi współkolegami, którzy nic nie wykroczyli, a broniąc kraju, dopełnili tylko powinności swojej".

Odczytawszy głośno wstęp listu, zwrócił się do towarzyszy:

— Sądzę, że nie od rzeczy będzie dodać to, co jest mojem stałem postanowieniem w tej mierze, że „jeśli wyrok takowy ma wziąć egzekucję, dopraszam się, aby na mnie jednym był uskuteczniony".

— I ja również o to samobym prosił dla siebie—zawołał Mokronowski.

— O mnie też racz wspomnieć, mości panie generale— dorzucił Sanguszko.

Kościuszko jął pisać pośpiesznie:

„Te same chęci i życzenia są Mokronowskiego i Eustachego Sanguszki, tu przytomnych".

Dodał jeszcze to samo oświadczenie, jakie wypowiedział był przyjaciołom, że zdecydowany jest wyjechać do Nowego Świata, do innej ojczyzny, do której nabyłem prawo, walcząc za jej niepodległość! „Tam stanąwszy, prosić będę Opatrzności o stały, wolny i dobry rząd w Polsce, o niepodległość naszego narodu, o cnotliwych, oświeconych i wolnych jej mieszkańców".

— To mu dociąłeś, generale — zawołał Sanguszko — boć na swym pałacu wypisaną ma dewizę: „Oby wolnych i cnotliwych był mieszkaniem!"

Obaj poczęli protestować, że wyjazd do Ameryki byłby krokiem rozpaczliwym. Należy bliżej gdzieś tymczasową obrać siedzibę, aby w razie potrzeby być w pogotowiu.

Kościuszko wzruszył ramionami.

— Nie widzę, Bogiem się świadczę, co mnie, pragnącego z duszy dobra powszechnego, może zatrzymać w kraju, kie-

dy nie mogę mu być teraz pożyteczny, ani głos mój nie będzie słuchany. Ojczyzna jest nad przepaścią; sto razybym się na śmierć poświęcił dla niej. Nie wejdę w żadną służbę zagraniczną, a gdybym zmuszony był to uczynić, obrałbym ten kraj, gdzie jest rząd wolny.

— Książę Pepi i ty, generale, opuszczacie nas — rzekł brygadjer ze wzruszeniem — nie wątpię jednak, że jeszcze razem za pomyślność Ojczyzny walczyć będziemy.

— O Boże, dajże mi doczekać tej chwili!... — zawołał Kościuszko, wznosząc oczy ku Ukrzyżowanemu. Wzrok jego pałał ogniem i mocą.

Mokronowski i Sanguszko, którzy w wojsku francuskiem dawniej służyli, poczęli obecne sprawy rewolucji francuskiej omawiać szeroko. Dowiedział się Kościuszko, że republikański rząd obywatelstwem honorowem zamierza uczcić jego zasługi i że pisma francuskie donoszą, iż kasztelanowa Kossakowska znaczną sumę pieniężną bohaterowi z pod Dubienki ofiarowała.

— Nic o tem nie wiem i daru żadnego na własny użytek nie przyjąłbym — odrzekł chłodno Kościuszko — mogę was zapewnić, że pogłoski te są fałszywe. Wszystko dla kraju, nic nie żądam dla siebie — szepnął.

Głowa mu opadła na poduszki, oczy przymknął. Towarzysze wysunęli się cichaczem z pokoju.

* * *

W kilka dni nadeszła odpowiedź od Szczęsnego Potockiego, bardzo grzeczna, ale odmowna.

„Nie odbieramy rycerstwu ozdób, które mieć mogli, ale mówimy, że ich nie było, bo, co król bezprawnie postanowił, czcze i żadne. Ten gatunek wojny na utrzymanie spisku warszawskiego i władzy monarchicznej był wojną przeciw Rzeczypospolitej; za męstwo w tym razie, przez wojsko zwiedzione okazane, nagradzać nie może..."

— Posłuchaj, Sewerku, jakie racje daje marszałek konfederacji — zawołał Kościuszko, przebiegając szybko list Potockiego. — Odsłoń trochę firankę i przeczytaj, co on tam jeszcze bazgrze, bo już cierpliwości nie mam doczytać do końca.

Istotnie, list był bardzo długi i niewyraźnem, nerwowem pismem pisany.

Kościuszko, rzuciwszy okiem i przekonawszy się, że zawiera odmowę, opadł znowu na poduszki z wyrazem przygnębienia.

....„Do waćpana otwarcie mówię, bo go z serca poważam i szacuję..."

— Tfu! — splunął Kościuszko — sentymentów jego wcale nie jestem ciekaw.

....„bobym rad, abyś sam i koledzy służby jego byli przeświadczeni, że ich męstwo cenić umiem i że je niemniej ceni konfederacja generalna koronna. Lecz mówiąc do żołnierzy Polaków, mówić będę do szlachty wolnej, republikańskiej..."

— Frazesy, frazesy, wszystko to funta kłaków nie warte! Jakiekolwiek byłyby ich pobudki, fakt zostaje faktem, a krzywda krzywdą.

W tej chwili w dziedziniec wjechała kolasa. Kościuszko wyprawił Bukara, by się dowiedział, kto przybył i czego sobie życzy. Nie rad już był ustawicznym nawiedzinom, ale przez dobroć serca bardzo rzadko kiedy gościom dawał odprawę.

— Podkomorzy Prawdzic, ojciec zabitego pod Dubienką — objaśnił Bukar — chce się koniecznie widzieć z panem generałem. Jest z nim bardzo urodziwa jejmościanka — dodał, głos zniżając.

— Niech wejdzie tu podkomorzy — rzucił Kościuszko — a ty tymczasem damę zabawiaj w salonie.

Młodemu chłopcu podobał się ten podział roli. Przedstawiwszy się podkomorzemu, wprowadził go do sypialni generała, poczem żywo zwrócił się do nadobnej osóbki, która, pomimo kwefu i grubej żałoby, zdradzała piękność niezwykłą.

— Chorąży Prawdzic był zapewne bratem mościapanny— rzekł, przybierając wyraz odpowiedni współczucia i żalu.

— Był mi więcej, niż bratem — odrzekła dźwięcznym, lecz niezmiernie smutnym głosem — zamieniliśmy z sobą pierścionki zaręczynowe właśnie przed odjazdem jego na plac boju.

— Ach, tak? w istocie!... — bąknął Bukar, dziwiąc się sam sobie, że go ta wieść tak jakość dotknęła niemile.

— Czy waćpan znałeś Wacława? — zapytała Malwinka, podnosząc na Sewerka swe wielkie, załzawione źrenice.

— Walczyliśmy razem pod Dubienką—odpowiedział pośpiesznie i naraz przypomniało mu się, że omal nie zmierzyli się z sobą z powodu ostrej wymiany zdań na krótko przed walką.

Malwinka westchnęła ciężko.

— I pomyśleć, że już go nigdy, nigdy nie zobaczę!... — wyrwał się jej z piersi okrzyk pomimo woli.

Przycisnęła chusteczkę do oczu. Przez chwilę słychać było tylko ciche jej łkanie.

Bukar czuł się do głębi wzruszony. Urocze dziewczę pociągało go ku sobie niepojętym czarem. Radby znaleźć słowa pociechy, ale żadne nie przychodziły mu w tej chwili do głowy.

— Wszystko w życiu przeboleć trzeba—rzekł wreszcie— czas najcięższe ciosy zagoić potrafi.

Powiedziawszy to, odczuł, że jakoś mdłe i zdawkowe wyrwało mu się zdanie, należało piękniej przemówić do strapionej, aby przykuć do siebie jej uwagę. Tymczasem nic mu nie przychodziło do głowy, tylko wciąż powtarzał

sobie w duchu: „Jakaż ona śliczna! Nic piękniejszego wymarzyć niesposób!"

Malwinka zaś, nawiązując rozmowę do jego słów ostatnich, rzekła z przekonaniem:

— Nie podobna zapomnieć o tych, których się prawdziwie kochało! Co do siebie, uczyniłam już postanowienie. Jeśli tylko ojciec mi pozwoli, wstąpię do klasztoru. Poświęcę się pielęgnowaniu chorych, bo już nic na świecie dziś mnie nie obchodzi, odkąd przyszło zawiadomienie, że Wacław nie żyje!

Zniewalająca szczerość brzmiała w jej głosie. Nie było najmniejszej pozy w tem prostem wyznaniu.

Podkomorzy tymczasem zbliżył się na palcach do łoża Kościuszki. W twarzy jego malowało się wielkie przygnębienie. Zmienił się w ostatnich czasach do niepoznania. Oczy podkrążone miał ciemną obwódką. Czarny kontusz wydłużał jeszcze bardziej jego wysoką postać. Wypadki krajowe, wejście wojsk rosyjskich do Warszawy, ciężka boleść po otrzymaniu wieści o śmierci syna i choroba żony, złamanej tym ciosem, wszystko to razem postarzało go o lat kilkanaście. Do Malwinki przywiązał się, jak do rodzonego dziecka. Nie mógł oprzeć się jej naleganiom, aby pójść razem do generała Kościuszki i dowiedzieć się przynajmniej, gdzie spoczęło ciało syna, by do grobu rodzinnego je złożyć. Było to dziś jedynem pragnieniem drogiej jego Kasieńki, jak również opłakującej wciąż stratę Wacława narzeczonej.

Kościuszko przyjął serdecznie ojca dzielnego młodziana, któremu szczerze chlubne wystawił świadectwo.

Miło było nieszczęśliwemu ojcu słuchać tych pochwał. Otrzymał już drogą urzędową dokumenta, przy synu znalezione, pokazał Kościuszce ostatni list Wacława, pisany do rodziców, pełen zachwytów dla generała.

— Jutro — rzekł — u Św. Krzyża będą odprawione egzekwie za spokój duszy naszego jedynaka, a następnie pojadę sam, by odnaleźć jego zwłoki. Chodzi mi, generale, o wskazówki, gdzie mam szukać drogich nam prochów jego.

Kościuszko zamyślił się chwilę.

— Był u boku szefa Karwickiego w pobliżu lasu—rzekł zwolna. — Poległ śmiercią walecznych. Przypominam sobie, że grzebaniem zajmował się niejaki wolontarjusz, Piotrowski, raniony lekko o parę dni wcześniej. Ten wszelako nie powrócił do obozu. On jeden mógłby udzielić informacyj. Prawdopodobnie zagarnęły go następujące za nami wojska rosyjskie. Przykro mi istotnie, że nie mogę pana podkomorzego dobrodzieja objaśnić dokładnie. Współczuję i boleję nad stratą. Wszelako szczęśliwy ten, kto, za ojczyznę krew przelawszy, nie doczekał jej pohańbienia!

To mówiąc, uścisnął przyjaźnie dłoń, ku sobie wyciągniętą.

Gdy goście odjechali, Bukar jął wołać zachwycony:

— Ona jest prześliczna, generale! Cudo! Mieć taką narzeczoną i umrzeć — to straszne! Pójdę jutro na nabożeństwo żałobne, aby ją choć raz jeszcze zobaczyć!

— Ładnie się waszmość deklarujesz! — odparł generał.— Iść do domu Bożego wyłącznie dla oglądania pięknej panienki! Psujesz mi się bardzo ostatniemi czasy! Warszawa źle na ciebie działa. Coby na to powiedziała dobra twoja matusia?...

Sewerek pokraśniał, jak mak polny.

— Ależ, panie generale!... To mi się tylko tak jakoś z ust wyrwało niechcący. Uznaję zupełnie, że niewłaściwie się wyraziłem — dodał z pokorną miną. — Imaginuj sobie, generale, zupełnie podobna do Greczynki z Niemirowa...

— A tuś mi, bratku! — pogroził mu Kościuszko.— A zapewniałeś, że cię Greczynka wcale nie interesuje!

— No tak, niby... — jąkał się nieco — nie chciałem generałowi przykrości sprawić, więc bałem się wyznać!...

— Ach, ty niecnoto!... — zaśmiał się Kościuszko, pociągając Sewerka za ucho, gdyż ten nachylił się właśnie ku niemu, podając mu lekarstwo.

— Już ta Greczynka całkiem mi z głowy wyszła; huk armat wszystkie płoche myśli wypłasza... — odrzekł sentencjonalnie Bukar.

— O tak, mój chłopcze. Dobre to i skuteczne lekarstwo! Gdybyż nam haubice nasze znowu zagrały!... — westchnął Kościuszko. — Śniła mi się dziś bitwa zażarta, aż mię coś podnosiło, zdrowszym się nawet znacznie czuję.

Bukarowi inny się przewidział sen na jawie.

— Gdyby panna Malwina, odżałowawszy Wacława, chciała mi oddać rękę, zarazbym padł plackiem u jej nóżek!... Ale ona mówi, że nigdy nie zapomni o nim!...—wyrwało mu się naraz zwierzenie.

— Macie go! Już ci, chłopcze, amorów z głowy nie wybić!... Atmosfera stolicy cię odurza. Muszę waszmościa do Radomia odesłać na rekolekcje — zaśmiał się dobrotliwie generał.

Nagle zachmurzył się i rzekł surowo:

— Wczoraj poszedłeś, nie opowiedziawszy mi się, słuchać moskiewskiej serenady w Saskim ogrodzie. Myślisz waść, że nie wiem o tem?

Porucznik zarumienił się i oczy spuścił.

— Dziś dopiero dowiedziałem się, że to Zubow tę serenadę urządzał — szepnął zawstydzony. — Kolega mój, Ignaś Borysławski, pociągnął mnie z sobą.

— Taki sam lekkoduch, jak i ty. Pstro wam w głowie, panowie porucznicy — zburczał go generał. — Płoche damy stoliczne rade słuchają moskiewskiej muzyczki; wielu się już dworaków nauczyło tańczyć, jak im kozackie piszczałki i dudy zagrają, ale wam, którzyście, jako i my, o abszyt się podali, nie przystoi uczęszczać na takowe fety.

Sewerek stał zakłopotany, uznając słuszność napomnienia.

— Kochany, najlepszy mości panie generale—rzekł z błagalnym wyrazem — właśnie miałem zamiar prosić o uwolnienie mię do domu, abym w Januszpolu mógł oczekiwać na abszyt. Ignaś też do rodziny na Podole odjedzie, tobyśmy mogli udać się razem w jedną drogę. Tak nam się ta wspólna podróż uśmiecha...

— Wam się jeszcze wszystko uśmiecha!...—rzucił z pobłażliwem tym razem gderaniem Kościuszko. — Dobrze, Sewerku, jedź do swoich, ale pamiętaj, abyś słabości charakteru nigdy nie okazał, z wrogami ojczyzny nie zabierał znajomości, ani się z nimi bratał. Tam w waszych stronach ludzie do ustępstw skorsi, łatwiej jakoś uległość okazują. Wyższe warstwy szlacheckie przez uprzejmość szczególną same dziś głowę w obrożę kładą...

Bukar wyprostował się i, z dumą wskazując na swój medal, odrzekł:

— Tego odznaczenia za żadne skarby nie oddam, chociażby mię największe prześladowanie spotkać stąd miało. Parol szlachecki, mości panie generale!

— Wierzę, iż dziś to mówisz jeszcze w głębokiem przeświadczeniu, iż dotrzymasz. Ale kto wie, co nastąpić może jutro... Wszak szwagier twój, Raczyński, całą duszą oddany Najjaśniejszej Konfederacji!

Na wspomnienie o szwagrze Sewerek zachmurzył się i zmieszał.

— To też Ewcia mocno nad tem boleje; pisała, że pod dach rodzicielski powraca—rzekł z troską szczerą w oku. — I ta przyczyna mię skłania też jak najrychlej do domu pośpieszyć. A przytem zdrowie ojca mego budzi poważne obawy. Spotkałem wczoraj właśnie w Saskim ogrodzie majora Giżyckiego, który świeżo ze stron naszych powrócił.

Kościuszko skrzywił się.

— Ten gotów nie tylko przysięgać na Targowicę, ale i do kadrów moskiewskich się zaciągnąć. Gotów wszystko poświęcić dla ambicji i karjery.

— Majora bardzo cenią w naszej okolicy, książę Józef wyróżniał też pana Bartłomieja — bronił Bukar wykwintnego Wołyniaka, który był według niego wzorem dobrego tonu. — Widziałem go obok panny Ilińskiej, siostry Janusza. Bardzo mu się ona podoba i wiem, że major ma tam szanse powodzenia — podchwycił pośpiesznie Sewerek.

— Lepiejby zrobił, gdyby z wojska wystąpił i wśród swoich na roli osiadł, niż tu mundur kawalerji narodowej kalał, ucztując z moskiewskimi oficerami — rzekł Kościuszko, marszcząc brwi surowo. — Lekkomyślną i karygodną jest przyjaźń z wrogim nam żywiołem!...

Sewerek głowę zwiesił. Nie wydawało mu się rzeczą tak dalece zdrożną przyjąć zaproszenie wytwornego Zubowa, dobrze widzianego w kołach dworskich. Wszak wojna skończona!... Generał nazbyt już wielki skrupulant w tej mierze!... — pomyślał sobie.

Kościuszko westchnął głęboko, jakby mu ciężar jakiś oddech tamował.

Przenikliwym wzrokiem zmierzył stojącego przed nim Bukara.

— Tak, tak, Sewerku — rzekł nagle, jakby odpowiadając na myśl własną, w przyszłość sięgającą — czas okaże, kto wytrwa, a kto, jak Piotr, zaprze się i przekonań własnych wyrzeknie, zanim trzeci kur zapieje!...

*

* *

Nabożeństwo żałobne, odprawiane za poległego pod Dubienką Prawdzica, było wielce uroczyste, chociaż nie rozgłaszane. Wielu towarzyszy broni i kolegów Wacława z rycerskiej szkoły stawiło się w pełnej formie.

Podkomorzy i Malwina zajęli miejsca w presbiterjum. Katafalk, zasypany świeżem kwieciem, podnosił uroczysty nastrój.

Malwinka płakała rzewnie. W głębokiem skupieniu przystępowała do komunji św. Bukar z Ignasiem Borysławskim stanęli na uboczu, starając się przyjrzeć lepiej narzeczonej Wacława.

— Niezwykle urodziwa! — szepnął Ignaś, przytakując zapatrzonemu w sędziankę Sewerowi.

Wszystkich oczy rwały się ku niej, gdyż, przybrana w grubą żałobę, miała wdzięk niewysłowiony, a smutek jej szczere budził współczucie.

Skończyła się msza św. Kapłan wyrzekł już ostatnie słowa. Tłumnie opuszczano świątynię. Każdy śpieszył do swoich zajęć, dopełniwszy smutnej powinności. W kilka minut kościół zupełnie opustoszał. Tylko kilku starców zamodlonych i szaro odzianych kobiet wzdychało zcicha. Służba kościelna gasiła światła, ciężkiemi krokami przerywając uroczystą ciszę.

Malwinka klęczała wciąż jeszcze u stóp ołtarza; oczy jej, wzniesione w górę, chłonęły w cichej zadumie wizerunek Ukrzyżowanego. Łzy perliste spływały po jej pobladłej twarzy.

Podkomorzy przeszedł zwolna koło niej, przyklęknął przed ołtarzem, postać jego, jakby złamana w modlitewnej pokorze, miała w sobie majestat bólu, tłumionego potęgą wiary. Następnie usunął się do bocznej kaplicy, aby przed obrazem Najśw. Panny odmówić różaniec.

Naraz na marmurowych płytach kościoła zadźwięczała szabla. Krokiem przyśpieszonym wszedł smukły ułan.

Zatrzymał się przed katafalkiem, oczy przetarł jakby zdumiony niezmiernie.

— Rychło wczas!...—szepnęła jakaś staruszka zgryźliwie.

Ułan obejrzał się. Dosłyszał uwagę, mimo to stał długą chwilę, jak wryty, wpatrzony w napis na wstędze, wijącej się wśród kwiatów. W spojrzeniu młodego wojaka było snać coś osobliwego, co zastanowiło uczęszczającą na wszystkie obchody żałobne babinę, gdyż, stanąwszy nieco na uboczu, przyglądała mu się pilnie.

— Dziw jakiś go wziął, jakgdyby nigdy w życiu katafalku nie widział — szepnęła, wzruszając ramionami.

Naraz stała się rzecz całkiem nieoczekiwana.

Nad klęczącem przed wielkim ołtarzem w niemej ekstazie dziewczęciem pochyliła się postać smukła ułana.

Malwina, sądząc, że podkomorzy wzywa ją do powrotu, podniosła nań swoje wielkie, smutkiem przepojone oczy.

Zdawała się budzić z mistycznego widzenia. Modliła się przed chwilą z takim żarem, że jeszcze w jej oczach pełno było niebiańskich skier. Przysięgała sobie w duszy wstąpić do klasztoru, by tam opłakiwać w ciszy stratę i błagać wciąż o spokój duszy ukochanego. Lecz cóż to... Czy w myślach jej się mąci, czy też cudem zesłana zjawa?...

Przed nią stał Wacław Prawdzic we własnej osobie.

Zaledwie dosłyszalny okrzyk bezmiernej radości wyrwał się z jej piersi. Modlitewnie złożone dłonie, długi welon żałobny czynił ją podobną do zatopionej w rozmyślaniach świętej z obrazka.

— Żyjesz?... — padło z jej ust, a w tem jednem słowie tyle było radości, jakby się niebo przed nią otwarło.

Wacław pochwycił drobne rączyny i utulił mocno w krzepkiej dłoni, poczem, przyklęknąwszy przy niej na jedno kolano, czoło do głowni szabli przycisnął i tak trwał chwilę, jakby ze szczęścia oniemiały.

Malwinka pociągnęła go za sobą do kaplicy.

Podkomorzy leżał krzyżem. Szloch głuchy wstrząsał jego ciałem.

Stanęli nad nim oboje rozpromienieni. Oczy ich gorzały wzruszeniem.

Podkomorzy westchnął ciężko. Ustami do zimnej płyty przywarł, następnie jął podnosić się zwolna, ociężale, jakby zrezygnowany powracać do szarzyzny życia, pokrzepiwszy duszę ofiarowaniem swych cierpień Matce Bolesnej.

Ujrzawszy syna, zachwiał się, oczy mu mgłą zaszły, wszystko, zda się, zawirowało dokoła. Oparł się o futrynę drzwi, rozpostarł ramiona, jakby chcąc objąć Wacława, ale nie starczyło mu siły. Omdlał.

W kilka minut, przyszedłszy do siebie, dał folgę radosnemu zdumieniu.

— Gdzie matka?... — pytał Wacław, oglądając się z niepokojem.

— Nie poznałbyś! Jak cień wygląda — odrzekł podkomorzy — zmogło ją nieszczęście, lecz radość, da Bóg, zdrowie powróci. Bez zwłoki wyślę Wawrzyńca do Wiszniewa z wieścią szczęśliwą.

Wyszli razem z kościoła, pełni niewysłowionego rozradowania. Młodzi wszystkim żebrakom, wyciągającym ku nim wychudłe dłonie, sypali szczodrą jałmużnę.

Podkomorzemu pilno było dowiedzieć się z ust syna, w jaki sposób nastąpił ów cudowny powrót jego z tamtego świata.

Bukar i Borysławski zatrzymali się na ulicy, by raz jeszcze mieć sposobność przyjrzeć się uroczemu dziewczęciu. Zbliżył się ku nim Fiszer zawsze dowcipny i krotochwilny, chociaż miał pozór sensata.

— Tam do licha! A cóż to za baraszkowania urządzacie pod kościołem? — huknął w ucho Sewerkowi — czy nie myślicie czasem o porwaniu sędzianki? Takie jakieś pogańskie macie miny, a Sewer mi już całkiem na jakowegoś raptora wygląda!

— Bój się Boga, nie podejrzewaj nas o złe zamiary. Stach jeszcze gotów generałowi Kościuszce naopowiadać andronów — zawołał Bukar, rumieniąc się po uszy, a generał i tak już mnie wciąż na fundusz bierze!

Naraz wszyscy trzej koledzy spojrzeli po sobie zdumieni, ujrzawszy smukłego ułana, kroczącego obok Malwinki i pomagającego jej wsiąść do kolasy.

— Stachu!... Czy mi się w głowie mąci, czy też w samej rzeczy? Podobieństwo jest uderzające! Dwie krople wody. Prawdzic drugi! — szepnął Sewerek oszołomiony do Fiszera.

— Może brat tamtego; blady, jakby istotnie wracał z tamtego świata — zauważył Borysławski.

— Prawdzic był jedynakiem, a więc chyba on sam, jeśli nie cień jego...

— Wywołałeś go z grobu, Sewerku; przyszedł bronić swego skarbu, abyś mu nie porwał narzeczonej i nie uwiózł na kresy — żartował Fiszer.

Ale Bukar nie słyszał nic, powtarzając tylko wciąż:

— Czyżby to był on?... Czyżby on?...

Nie było czasu na sprawdzanie, kolasa bowiem ruszyła, unosząc troje najszczęśliwszych w tej chwili pod słońcem ludzi.

Powróciwszy do Błękitnego Pałacu, Bukar nie omieszkał podzielić się z generałem Kościuszką swem wrażeniem, jakoby oglądał na własne oczy zmartwychwstałego Prawdzica.

— Bredzisz, Sewerku, bredzisz—rzekł Kościuszko tonem żartobliwym. — Ja podobno mam znowu gorączkę, jak zapewnia doktór, a ty bez gorączki gadasz od rzeczy i miewasz przywidzenia! Pamiętaj, kochanku, iż mam zalecone parę dni przynajmniej zupełnego spokoju. Żadnych wizyt nie przyjmuję. Musisz dziś przypilnować mnie trochę. Wszak wkrótce już rozstaniemy się na długo — dodał przyjaźnie.

— Może jeszcze będziemy mieli zaszczyt widzieć kochanego generała w Januszpolu! — zawołał żywo Bukar.

— W inne całkiem strony powiedzie mię teraz przeznaczenie — szepnął Kościuszko. — A tymczasem, mój chłopcze, weź sobie Plutarcha z półki i poczytaj trochę, zobaczysz, jaką dobrą z tym moim starym przyjacielem spędzisz chwilę. Pamiętaj też nie wpuszczać nikogo.

— Tak się zazwyczaj pan generał sroży, a następnie sam prosić każe — odrzekł porucznik, biorąc książkę wskazaną.

— Cóż chcesz? Czasem odmówić niesposób. Dziś podczas twej nieobecności byli u mnie Działyński i Zajączek. Mówiłem dużo, teraz czuję się wielce znużony. A, prawda— dodał — muszę cię uprzedzić, Sewerku, że gdy który z nich jutro tu przyjdzie, każesz wpuścić ich zaraz.

Odwrócił się do ściany i zapadł w sen niespokojny, przerywany. Oddychał szybko i znać było w jego twarzy wyraz cierpienia.

Bukar usiadł przy oknie, otworzył książkę, ale nie był jakoś wcale do czytania usposobiony. Chciałby co najrychlej dowiedzieć się, czy istotnie Prawdzic odnalazł się, wciąż mu stawała przed oczyma urocza jego narzeczona. A potem myśl biegła w rodzinne strony. Cieszył się już naprzód wrażeniem, jakie tam wywrze order zasługi, który na piersiach jego ujrzą rodzice. Dał właśnie swój medal złoty do przerobienia na krzyż, stosownie do formy przepisanej. Przypomniał sobie, że musi być gotów i należałoby go dziś od złotnika odebrać. Jednocześnie ciekawość go wzięła, czy owe berło, przez króla u tegoż złotnika obstalowane, jest już gotowe. Oglądał je i miał nawet w ręku to kosztowne cacko.

— Co za rozkosz spełnić każdą swą zachciankę!—myślał Sewerek. — Królowi naszemu wszyscy coś mają do zarzucenia, ale przyznać trzeba, że ma gust wykwintny i niepospolity.

Młody porucznik, pomimo że był dobrym służbistą i walecznym okazał się w boju, brał życie powierzchownie, jak większość ówczesnej zamożnej młodzieży. Nie przejmował

się zbytnio wypadkami krajowemi. Przysłuchiwał się nieraz w milczeniu patrjotycznym rozmowom, prowadzonym u generała Kościuszki, ale jego szeroko pojęte poczucie równości wszystkich stanów wydawało się Sewerkowi nieco dziwacznem i z tradycjami, w jakich był chowany, wielce sprzecznem. Posiadał natomiast to, co otwierało mu drzwi do najpierwszych salonów: dobre ułożenie, polor światowy, i stosunki, to też głównie zajmowały go błahostki, wszystko, co dogadzało próżności oraz ambitnym zamiarom na przyszłość.

— Król tak pragnie, aby nas jak najwięcej w wojsku pozostało — myślał Bukar — nie wydaje mi się rzeczą tak zdrożną nagiąć się trochę do stawianych żądań. Pojadę do domu i tam postanowię, jak mam postąpić. Żal mu było przedewszystkiem munduru i rangi, cywilne urzędy nie pociągały go wcale. Podanie się o abszyt, uczynione pod wpływem koleżeństwa i przykładu starszych dowódców, ciężyło mu wielce pytaniem, co dalej czynić z sobą. Oburzyłby się generał Kościuszko, gdybym zmienił postanowienie... Ale czy powinienem dla jego zdania poświęcić karjerę?..

— O czem tak dumasz? Nudzisz się tu przy mnie, kochanku?—zabrzmiał naraz pełen słodyczy i ojcowskiej troskliwości głos generała, który, uniósłszy nieco głowę, cisnął ręką pulsa, bijące mocno w skroniach.

— Myślałem właśnie, jak mi będzie przykro rozstawać się z kochanym generałem—odrzekł Bukar bez zająknienia, a w duchu dodał: Jak to szczęśliwie, że myśli nasze nie dają się przeniknąć! Zburczałby mię porządnie generał, gdyby wiedział, co myślałem!

*

* *

W kilka dni potem Kościuszko, czując już znaczne polepszenie, przechadzał się po obszernych komnatach i sam załatwiał zaległą korespondencję, gdy naraz zameldowano podkomorzego Prawdzica z synem.

Generał bez wahania odpowiedział:

— Prosić.

— Ogarnęła go ciekawość, żali Sewerek istotnie bredził. Oczom swym nie chciał dać wiary, ujrzawszy przed sobą egoż samego ułana, którego we Włocławku strofował, który następnie walecznością swą zwrócił jego uwagę pod Dubienką.

Wyciągnął ku niemu szeroko ramiona serdecznym, litewskim gestem.

— Jakżem rad, jakżem rad widzieć cię przy życiu! — zawołał. — Więc przez pomyłkę wciągnięty zostałeś na listę poległych?...

Wacław w krótkich słowach opowiedział swe przygody, nie mogąc dość się nachwalić uprzejmości Chwaliboga i jego przemiłej narzeczonej, którzy, uwiadomieni przez wałęsającego się po okolicy dziada-żebraka, w sposób opatrznościowy zajęli się jego losem.

— Zupełnie jak w bajce, mości panie generale — rzekł z uśmiechem. — Poczciwy wachmistrz wyciągnął mię z mogiły, staruszek jakiś przypadkiem się nawinął i zacnych ludzi zawiadomił, a rolę dobrej wróżki odegrała chorążanka Żurowska z Zahajpola.

— Dziwnie się istotnie wypadki kojarzą!...—szepnął Kościuszko z zagadkowym nieco wyrazem.

Przypomniał sobie w tej chwili list Teklusi, przysłany mu w sposób tak niezwykły, i zrozumiał, że dana przez niego tąż drogą odpowiedź przyczyniła się pośrednio do uszczęśliwienia tych oto stojących przed nim ludzi.

— Syn mój, pełen wdzięczności za chlubne świadectwo, jakie raczyłeś dać o nim, sądząc go już pogrzebanym, mości panie generale, ośmiela się zanieść pokorną prośbę, do której i ja moją przyłączam — rzekł podkomorzy.

— Nie odmów nam tej łaski, generale, i zechciej obecnością swą zaszczycić moje weselne gody—zawołał Wacław wzruszony.

— Winszuję, z serca winszuję, żeś do swej lubej aż z tamtego świata powrócił—odrzekł Kościuszko z pogodnym uśmiechem. — Zali to ta sama wybrana serca, do której na plecach ordynansa pędziłeś, tak ci pilno było?...

— Tak jest, mości panie generale — mówił ułan zapłoniony — zaprzysiągłem wierność pannie Malwinie i przysięgę mą przed ołtarzem rychło powtórzę.

— Chętnie bardzo spełniłbym życzenie waszmości, ale nie wiem, czy zabawię tu długo. Zdecydowany jestem kraj opuścić.

— Jakoż nam tu będzie pozostać, gdy nas opuszcza ten, w którym dziś cała nadzieja nasza spoczywa?... — zawołał Prawdzic ze szczerem ubolewaniem.

— Spotkamy się, da Bóg, przy lepszych widokach na przyszłość — odparł Kościuszko, a w oczach jego zamigotał błysk, który rozniecił iskrę zapału w duszy Wacława.

— Pragnieniem mojem najgorętszem jest móc służyć jeszcze pod dowództwem mości pana generała—rzucił żywo.

— Ciężko będzie teraz opuścić żoneczkę miłą—uśmiechnął się dobrotliwie Kościuszko, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Jeśli wypadnie walczyć za ojczyznę, żadne względy powstrzymać mnie nigdy nie zdołają — zawołał młodzian z przekonaniem.

Tyle szczerości było w jego spojrzeniu, że Kościuszko wyciągnął ku niemu dłonie i rzekł serdecznie:

— Wierzę waszmości, wierzę. Takich zuchów nam potrzeba! — A zwracając się do podkomorzego, dodał: — Jak tylko mię doktór wypuści ze swej kurateli, natychmiast podkomorzemu dobrodziejowi służyć będę. Rad też poznam narzeczoną jego syna, o której piękności już mnie tu dochodziły słuchy.

Radosny rumieniec okrasił bladą twarz Wacława, Buka. zaś, na którego Kościuszko ukradkiem rzucił okiem, spłonął z przerażenia i, stojąc za plecami przybyłych, mrugał zna-

cząco, palec do ust przykładając, w obawie, aby generał, lubiący zeń podżartowywać, o jego zachwytach dla panny Malwiny nie wspomniał przypadkiem.

Ale Kościuszko rzekł tylko, wskazując na Sewerka:

— Wszak musieliście się spotykać pod Dubienką?

Młodzi ludzie skłonili się sobie w milczeniu.

Prawdzic, wspomniawszy zatarg, zachmurzył się nieco. Sewerek zręcznie odwrócił się ku oknu, niby z wielkiem zajęciem przyglądając się pysznemu zaprzęgowi, w którym siedziały piękne panie, a obok nich cwałował na dzielnym rumaku brygadjer Sanguszko.

Ta mała dywersja sprawiła, że na pytanie generała żaden z nich nie dał odpowiedzi, natomiast podkomorzy, nawiązując rozmowę do oddanej jego przyszłej synowej pochwały, pośpieszył zapewnić:

— Mniejsza o urodę, ale jakie to złote serduszko! Daj jej, Boże, wszystko najlepsze, iż osładzała mi ciężkie chwile! Już teraz, mój synu, jeśli nas mości pan generał pod broń zawezwie, to chyba i Malwinkę do sypania szańców zabierzemy?... — zażartował, patrząc z miłością na jedynaka.

Kościuszko musiał ostatecznie dać słowo, że będzie przynajmniej na ślubie, który miał się odbyć za indultem, bez żadnej spezy w tymże samym świętokrzyskim kościele.

Właśnie w wilję dnia oznaczonego otrzymał generał żądaną przez siebie dymisję. Po raz ostatni jeszcze w galowym mundurze złożył życzenia młodej parze. Malwince dał na pamiątkę śliczny kubek, własną ręką wytoczony, a powróciwszy do domu, serdecznem przemówieniem żegnał oddanych sobie towarzyszy, ściskających mu dłoń ze łzami.

— Pójdę na tułaczkę—mówił—pałasz odpaszę i złożę do dalszych, pomyślniejszych czasów. Obym pozostawił po sobie dobre wspomnienie, miłość i szacunek zacnych i uczciwych ludzi.

A po chwili dodał z mocą:

— Boże! Pozwól raz jeszcze walczyć za Ojczyznę!...

*
* *

Kościuszko pośpiesznie czynił przygotowania do wyjazdu zagranicę.

Szalone wybryki Targowiczan, nieprzebierających w środkach w celu utrwalenia swych rządów, coraz boleśniej dotykały ludzi prawych i niezłomnych zasad. Natomiast słabsi dawali się unieść prądowi. Fala wstecznictwa ogarnęła szerokie masy.

W pierwszych dniach września połączyły się konfederacja koronna z litewską w Brześciu, by działać odtąd razem pod nazwą „Najjaśniejszej Konfederacji Obojga Narodów". Z przykrością wielką dowiadywał się Kościuszko, że nawet ci, których dotąd z najlepszej znał strony i do przyjaciół swych zaliczał, przystąpili w dobrej wierze do tego związku. Pomiędzy innymi Michał Zaleski objął urząd konsyljarza konfederacji brzeskiej.

Generał, przyszedłszy do zdrowia, odpisał mu na list przed paru tygodniami otrzymany, w którym dawny sąsiad wychwalał energiczną obronę rzekomej wolności szlacheckiej. „Nie wątpię, odpowiedział Kościuszko, że są ludzie i między Targowiczanami, którzy starają się usłużyć swojej ojczyźnie, lecz nie wiem, czy będą mogli i czy są w sposobności. Z duszy i z serca żądam, aby kto świadomy interesów mógł mnie oświecić, gdyż zostaję w nocnej ciemności".

Panował istotnie taki chaos pojęć, taka różność zdań, że życie w tych warunkach stawało się dla prawej duszy Kościuszki z dniem każdym trudniejsze. Pragnął wierzyć, że ci ludzie, którzy z taką zapalczywością starają się obalić ustawy trzeciego maja, działają tylko pod wpływem zaślepienia, że wkońcu otworzą się im oczy, przejrzą, zrozumieją swe błędy.

Ale trudno już było łudzić się dłużej, że nadejdzie opamiętanie. Wszystkie zarządzenia owej „Najjaśniejszej", która

przeniosła następnie swą stolicę do Grodna, wiodły ku niechybnej ruinie kraju.

Im bliższą była chwila opuszczenia rodzinnej ziemi, tem bardziej rwała mu się myśl do swoich. Odwiedzić siostrę, zobaczyć Siechnowicze, ten zakątek ukochany, było to gorące pragnienie serca, któremu jednak nie mógł puścić wodzy. Wiedział, że ma wśród Targowiczan zaciętych wrogów, że na Litwie niebezpiecznie mu byłoby przebywać, gdyż dochodziły go wieści o wszczętych tam prześladowaniach.

Uczynił więc zapis na rzecz Anny Estkowej, czyniąc ją właścicielką Siechnowicz, z warunkiem, aby „gospodarze w całej wsi tylko dwa dni pracowali dla dworu, kobiety zaś całkiem od pańszczyzny były zwolnione".

.... „Żeby w inszym kraju, gdzieby mógł rząd zabezpieczyć wolę moją—pisał do siostry, żegnając ją serdecznemi słowy — zapewniebym wolnymi ich uczynił, ale w tym potrzeba to zrobić, co można pewnie, ażeby ulżyć ludzkości cokolwiek i pamiętać zawsze, że w naturze wszyscy równi jesteśmy, że bogactwa i wiadomości nabyte czynią tylko różnicę; że powinniśmy mieć wzgląd na ubogich i oświecać niewiadomość, prowadząc do dobrych obyczajów".

Przeświadczenie, że, wyjeżdżając na czas nieokreślony z ojczyzny, lud pokrzywdzony szlachetnym gestem ofiarności darzy, sprawiło mu radość spełnionego obowiązku. — Kto wie, myślał, czy dobry przykład nie znajdzie wnet naśladowców? Wiem, że Anna zastosuje się do mej woli, że spełni również moją prośbę; poczciwej Zuzannie i Faustynowi do końca życia wygody zapewni, a być może i rada wuja, dana siostrzeńcowi, „aby w dzieciach swych cnoty sprawiedliwości, uczciwości i honoru zaszczepił", nie pozostanie bez echa. Chciałbym Polsce całej, jak długa i szeroka, powiedzieć: „bądź taką, jaką cię widzieć pragnę: bądź sprawiedliwą, uczciwą, dbaj o swój honor, nieszczęsna Ojczyzno moja!"...

Otrzymawszy wiadomość, że Orłowski, opuściwszy Kamieniec, do Galicji się wybiera, porozumiał się z nim, aby razem udać się w podróż do Sieniawy i do Lwowa. Rad był mieć przy sobie miłego towarzysza i serdecznego druha.

— Uchodzimy z kraju, jak dwóch zbiegów—rzekł raźno Orłowski—czy przypuszczasz, kochany Tadeuszu, że wrócimy jak triumfatorzy?... Chociaż — dodał wnet — ty już masz za sobą taką praktykę wojskową, jakiej nikt inny u nas nie posiada. Masz uznanie, masz sławę, budzisz uwielbienie, gdzie mi tam z tobą się mierzyć!

— Wolne żarty, Józefie. Dlaczego widzicie we mnie wszyscy więcej, niż jest w istocie? Wszak nie uczyniłem nic oprócz tego, co sumienie i powinność każe. Nie moim zasługom przypisać należy te zachwyty, ale wewnętrznej potrzebie społeczności, pragnącej widzieć zjednoczone w kimś swe ideały.

Przybywszy do Galicji, Kościuszko był nie tylko rozczulony, ale niekiedy nawet zakłopotany niezmiernie czcią, okazywaną mu na każdym kroku.

Chwalby bez końca. Festyny, wieńce, przemowy, toasty, wszystko to mówiło mu nieustannie: „Jesteś wielki!"

Można było dostać zawrotu głowy, wbić się w nadmierną pychę, wykorzystać dla osobistych celów rosnący wciąż zapał.

Kościuszko wszelako pozostał sobą.

Hołdy i pochlebne słowa nie upajały go, przeciwnie, coraz bardziej czuł ciążącą na sobie odpowiedzialność, lękał się, czy potrafi sprostać w razie potrzeby włożonemu na jego barki zadaniu. Wskazywano już nań, jako na przyszłego wodza polskiej armji.

Wielką natomiast odczuwał radość, spotykając się wciąż podczas pobytu swego w austrjackim zaborze z objawami szczerego i szeroko pojętego patrjotyzmu.

Sieniawa, galicyjska siedziba ks. Czartoryskich, stała się ogniskiem najgorętszych uczuć narodowych od czasu, gdy przed gwałtami Targowicy usunęli się za kordon.

Tam też naprzód podążył Kościuszko z Orłowskim, tam starano się otoczyć go najżyczliwszą opieką, osłodzić gorycz tułaczej doli.

Gwarno było i niezwykle świątecznie w przededniu 28 października w sieniawskim pałacu. Obchodzić miano uroczyście imieniny najmilszego gościa. Księżna Marja Wirtemberska i księżniczka Zofja przyjmowały czynny udział w przygotowaniach do tej fety. Obie zamierzały podać solenizantowi wieniec z liści dębowych, a księżna Marja bardzo starannym rysunkiem piórkowym przyozdobiła wiersz, przez siebie ułożony.

— Sama uplotę wieniec—upierała się Zofja—milszy mu będzie stokroć życzliwą ręką uwity. Zobaczy mama, że lepiej zrobię, niż najwprawniejszy ogrodnik.

— Dowiedz się, mój Adasiu, czy już przywieziono z Wysocka gałęzie dębowe — mówiła księżna Izabella do syna, dorodnego młodzieńca, podpułkownika wojska litewskiego, który z Kościuszką oraz innymi podał się również do dymisji, a w nagrodę męstwa, okazanego pod Grannem, otrzymał krzyż „Virtuti Militari".

— Wszystko będzie na czas, niema o to obawy—odrzekł ks. Adam. Regularne, szlachetne rysy jego twarzy miały w tej chwili wyraz wewnętrznego rozradowania.

— Koniecznie muszą być liście z tych dębów, które król Sobieski zasadził—zawołała żywo księżniczka. — Czy wieniec podamy generałowi zrana, czy wówczas, gdy się już wszyscy na obiad zbiorą? — zwróciła się do matki.

— Cały program jest już ułożony — odrzekła księżna. — O południu zbierzemy się razem dla złożenia życzeń. A czy pamiętacie dobrze słowa pieśni, która ma być odśpiewana?

— Pozwolę sobie stanąć tuż obok dostojnej autorki, aby mi się nie splątały wyrazy — rzekł z uśmiechem Orłowski, również do przygotowań dopuszczony.

— Mój wiersz mu wręczę, a słowa pieśni są układu Morskiego—odrzekła; jednocześnie smutne oczy księżny Marji zwróciły się ku drzwiom, w których ukazał się Kościuszko.

— Jakże się dziś czujesz, generale? — pytała troskliwie księżna Izabella. — Mówiono mi, że od wczesnego rana widziano cię przechadzającego się nad Sanem, a to wcale niedobrze dla zdrowia.

— Któżby się mógł czuć źle w Sieniawie? — odrzekł Kościuszko, całując wyciągniętą ku niemu rękę księżny. — Ranny spacer doskonale mi zrobił. Lubię niekiedy podumać w skupieniu, wsłuchując się w szum rzeki i szelest zwiędłych liści... Pędzą one gdzieś, pędzą, od pnia ojczystego oderwane, same nie wiedzą, dokąd ich wiatr zagna, jak i nas, bezdomnych tułaczy, los żenie...

— W naszym domu, generale, winieneś czuć się zupełnie, jak u siebie. Pocóż te smutne myśli? Staramy się wszyscy, abyś był wśród nas, jak w rodzinie — zapewniała księżna.

Kościuszko odpowiedział wdzięcznem spojrzeniem i skłonił głowę w milczeniu. Wzrok jego padł na rysunek, który Marja trzymała w ręku.

— Utrafione podobieństwo — rzekł, poznając swój wizerunek. Pod nim drobnem kobiecem pismem nakreślone były słowa: „Dobry i waleczny, choć nieszczęśliwy". — Trafne zwłaszcza to ostatnie — rzekł z westchnieniem.

— Komuż z nas dobrze teraz? — szepnęła Marja — Wszystkich dziś przytłacza jeden ból, jedna troska...

— Musimy się wszelako krzepić. Da Bóg, zerwiemy pęta, podniesie się, być może, wkrótce naród z upadku i pohańbienia!

W głosie jego i wyrazie twarzy, gdy mówił te słowa, było coś tak niezwykle podnoszącego ducha, że wszyscy obecni spojrzeli nań z radosnem zdumieniem.

— Czy jakie pomyślne wieści z Lipska lub z kraju? — zapytał młody książę Adam. — W takim razie do Anglji nie jadę — dodał pośpiesznie.

— Nic pewnego narazie, mgliste nadzieje, ale mogą wydać plony.

— W tobie, generale, cała nasza otucha i nadzieja — szepnęła księżna Marja, podając mu obie dłonie, które ucałował gorąco.

A Zosieńka nastawiła wnet obie swe rączki, wołając:

— Niechże będzie równy podział pomiędzy siostrami, bo mię zazdrość bierze!...

Zaśmiała się swobodnie z dziecinną żywością i wdziękiem.

Podczas gdy Kościuszko rozmawiał z młodem gronem, księżna Izabella szepnęła Orłowskiemu:

— Mam od męża wiadomość z Wiednia, że rząd austrjacki, który początkowo ofiarował generałowi szarżę w swem wojsku, niechętnem nań teraz patrzy okiem i zapewne lada dzień przyjdzie rozkaz wydalenia go z kraju.

— Powinien Tadeusz, uprzedzając wypadki, usunąć się co rychlej — odrzekł Orłowski zasmucony.

— Jutrzejsze imieniny będą zarazem pożegnaniem naszego drogiego gościa — mówiła księżna — ale mam w Bogu nadzieję, że uda się jeszcze go zatrzymać. Starania wszelkie czynimy. Jeśli zaś opuści nas, to nie na długo. Być może, powrót jego będzie zarazem triumfem ojczyzny kochanej. I my natenczas będziemy mogli do Puław powrócić.

Zarówno rząd rosyjski jak i Targowiczanie uważali Czartoryskich za osobistych swych wrogów, nie taili oni bowiem nigdy patrjotycznych uczuć, co przyczyniło się do zawziętego ich prześladowania. Książę Adam, dobrze natomiast w Wiedniu widziany, mieszkał tam stale i chwilowo tylko zjeżdżał do Sieniawy.

* * *

W dzień św. Tadeusza od rana ruch był w całym książęcym dworze.

O godz. dwunastej zagrzmiała kapela. Wszystkie panie ubrane były w białe suknie, zdobne we wstęgi niebieskie

z czarną obwódką, takie właśnie, na jakich obrońcy ojczyzny nosili order „Virtuti Militari", zniesiony przez Targowiczan. Kościuszko wszakże krzyża nie zwrócił i drogą pamiątkę na zawsze zachował.

Marja i Zofja podały solenizantowi wieniec, wszyscy składali mu życzenia, poczem, wziąwszy się za ręce, otoczono go szerokiem kołem i zgodnym chórem popłynęła pieśń, wyrażająca gorące uczucia patrjotyczne i pokładane w bohaterze nadzieje.

— A teraz młody poeta niech wypowie swój wiersz — rzekła księżna Izabella, znana protektorka sztuk pięknych, zwracając się do nieśmiało stojącego na uboczu Felińskiego.

— Znowu nowy talent wydobywa księżna z ukrycia?...— rzekł z uśmiechem Orłowski.—Słyszałem o jakimś niezwykle uzdolnionym rysowniku, noszącym moje nazwisko, którego księżna przypadkowo poznała i zaopiekowała się jego losem.

— O tak, Norblin [1]) powiada, że młodzian ten jest niepospolicie od natury uposażony i że wielka przyszłość go czeka. Pan Feliński zaś już podczas sejmu czteroletniego dał się poznać pięknie ułożonemi poemami. Wiersz jego do generała Kościuszki godzien jest jak najszerszego rozpowszechnienia. Ma być drukowany w „Dzienniku patrjotycznych polityków" we Lwowie. Ciszej dodała: — Pan Feliński jest obecnie nauczycielem Jasia Tarnowskiego, siostrzeńca Czackiego Tadeusza, i z nimi chwilowo tu bawi.

Alojzy Feliński wystąpił naprzód zmieszany i zapłoniony. Liczył natenczas rok dwudziesty pierwszy.

Ze wzruszeniem wypowiedział w rymach uczucie uwielbienia dla ukochanego generała, kończąc w te słowa:

---

[1]) Norblin de la Gourdaine, znakomity malarz, sprowadzony do Polski przez ks. Adama Czartoryskiego na nauczyciela rysunków do dzieci. Następnie założył w Warszawie szkołę malarską i był malarzem nadwornym Stanisława Augusta.

«Kościuszko! jakikolwiek Bóg nam los przeznaczy,
Nie chciejmy się nikczemnej oddawać rozpaczy,
Jeszcze w czułych Polakach chęć do cnoty pała,
Nie będzie nad sercami rozpacz panowała.
Szczęście kraju od cnoty mieszkańców zależy,
Można jeszcze mieć ufność w rosnącej młodzieży.
Ty żyjesz! Jeszcze słodką cieszmy się nadzieją,
Że pomyślniejsze dla nas chwile zajaśnieją,
Że od ziomków dla ciebie głoszone pochwały
Najodleglejsze kraje będą powtarzały.
Póki miłość wolności w sercach pałać będzie,
W najpierwszych jej obrońców ty zostaniesz rzędzie!
Sam Petersburg posągi twej poświęci chwale,
Jeżeli kiedyś ludźmi zostaną Moskale!»

— Jakie to prześliczne!... – zawołała Zofja, ocierając łezką zaszłe oczy.

— Nieprawdaż, że z niezwykłą siłą pan Feliński myśl swą wyraził? — dodała księżna Izabella.

— Pozwól, że cię do serca przycisnę za tyle radości, jaką mi sprawiłeś, tyle dobrych nadziei, jakie wypowiedziałeś waszmość w imieniu polskiej młodzieży!

To mówiąc, Kościuszko ujął uszczęśliwionego młodzieńca w ramiona.

— Bądźcie ufni i cnotliwi — dodał — rozpacz bowiem odbiera siły do czynu, a nam mocy i hartu potrzeba. I ja również z wami „cieszę się nadzieją, że pomyślniejsze dla nas chwile zajaśnieją".

— Ale już z posągu w Petersburgu skwitujesz może, Tadeuszu?...—wtrącił Orłowski ze zwykłym sobie humorem.— Gdybyś żył matuzalowe lata, tobyś jeszcze z pewnością nie doczekał spełnienia ostatniego proroctwa, zawartego w tym pięknym wierszu pana Felińskiego.

Uśmiechnęli się wszyscy na tę uwagę eks-komendanta, całe towarzystwo oddawało pochwały poecie, który potrafił swemi słowy wstrząsnąć serca do głębi.

Przybyła na uroczystość kasztelanowa Kossakowska zbliżyła się do Kościuszki i z serdeczną rubasznością ująwszy go pod ramię, uprowadziła nieco na stronę.

— Jesteś dziś jedyną personą, w której ręce moglibyśmy złożyć bezpiecznie losy kraju — mówiła żywo, szeleszcząc jedwabiami. — Nie masz pojęcia nawet, jakie uwielbienie budzi twe imię we Lwowie.

— Na tyle względów doprawdy nie zasłużyłem—odparł Kościuszko, ale niczego bardziej nie pragnę, jak mieć sposobność dobyć jeszcze szabli ku obronie praw naszych i odpowiedzieć godnie na ziomków moich zaufanie.

— Wiemy, wiemy dobrze, coś wart, mości panie generale, a skromność twa wkrótce przysłowiową się stanie w Polsce, gdzie próżność na próżności jedzie, a pycha pogania! Pozwól teraz, abym i ja ze swej strony obywatelowi Francji i Ameryki, a przedewszystkiem wzorowemu synowi własnej Ojczyzny złożyła upominek według serca potrzeby. Chcę ci oddać w dzierżawę wieś, przynoszącą znaczną intratę. Gaży cię pozbawiono, niechże wiem, że nie będziesz potrzebował troszczyć się o codzienne potrzeby, oddany wielkim zamysłom i celom.

— Sługą pokornym kasztelanowej dobrodziejki zawsze mienić się będę i żywą wdzięczność dla niej zachowam — odrzekł Kościuszko—ale tak szczodrej pomocy w żaden sposób przyjąć nie mogę. Nauczyłem się poprzestawać na małem. O ile kasztelanowa dobrodziejka przeznaczenie ogólniejszej natury ofierze swej nadać raczy...

— O niczem innem słyszeć nie chcę—przerwała mu żywo kasztelanowa.—Jedynie dla ciebie, generale, chciałabym zabezpieczyć dochód stały.

— Jestem zmuszony odmówić—rzekł stanowczym tonem Kościuszko.

— Jakto? Żali to ma być ostatnie twoje słowo, generale?

— Tak jest, pani kasztelanowo—dodał, skłaniając głowę.

— Niepotrzebnie się upierasz, mości panie, — zawołała kasztelanowa, wzruszając ramionami.

Próbowała jeszcze skłonić Kościuszkę do przyjęcia jej ofiary, ale na nic się wymowa i argumenty nie zdały. Zwracając się więc znów do opuszczonego na chwilę towarzystwa, poczęła opowiadać różne krotochwilne żarciki, kursujące we Lwowie, ciskała gromy na Stanisława Augusta i na Szczęsnego Potockiego, z którym ustawiczną staczała wojnę.

— Oni mnie przezwali „mądralą" — śmiała się kasztelanowa — a wiecie jak teraz zowią Króla Jegomości? Nie Poniatowski, ale Pamiętowski, bo jedynie o sobie pamięta!

Wszyscy zkolei dorzucali jakieś dowcipne słówko lub trafną uwagę.

Przy sutym obiedzie toczyła się serdeczna, poufna rozmowa, jakgdyby w kółku rodzinnem, które odnalazło się naraz na wygnaniu.

— Król korzy się przed Sieversem — rzekła obecna tam Mierowa—a podobno poseł rosyjski coraz bardziej staje się wymagający. Zażądał pomiędzy innemi przerwania korespondencji pomiędzy królem i ks. Józefem, który przeciw Targowiczan wciąż stryja podburza.

— Książę „Pepi" urządza się na stały pobyt w Wiedniu — dodał Rzewuski. — Kupił tam dom i bawi się niezgorzej.

— Przekleństwem jego życia będzie zawsze, iż jest Poniatowskim, i w dodatku zależnym materjalnie od stryja — rzekł Orłowski.

— Mówią niektórzy, że król nasz jest mądry—odezwała się kasztelanowa kamieniecka. — Tfu, do licha z taką mądrością! Niechby nigdy takowej oczy nasze nie widziały, uszy nie słyszały! Po akcesie do Targowicy cała Europa przekonała się, co to za chorągiewka: co przez cztery lata chwalił, teraz gani. Nie dba o nic więcej, tylko, żeby królem był! Przestrzegałam, mówiłam, że zawsze Moskal w nim

siedział, nikt nie dawał temu wiary. A oto macie dziś czarno na białem. Ambasador rosyjski wodzi go na pasku, jak szpica. Nikt z porządnych ludzi nie pozostanie w stolicy, bo i jakże mieszać się poczciwym między bezwstydnych? [1])

Jędrne określenia Kossakowskiej, nie liczącej się nigdy ze słowami, budziły uśmiechy potakiwania.

— Mój kochany synowiec Ignacy to mądra głowa! — ciągnęła dalej. — On, ksiądz Kołłątaj i mości pan generał Kościuszko dziś nasze filary. Na nich musi stanąć nowy gmach Rzeczypospolitej.

Książę Adam wzniół toast za zdrowie i pomyślność walecznego generała Kościuszki, obywatela trzech mocarstw.

Solenizant dziękował gorąco każdemu zosobna i wszystkim razem.

— Radbym z duszy podźwignąć na swoich barkach ten gmach — rzekł, zwracając się do kasztelanowej, ale do tego trzeba mieć we wszystkich województwach mocne filary, na których oprzeć się można, a zarazem poruszyć szerokie masy, nauczyć kochać ojczyznę tych, którzy nawet nie wiedzą dotąd, że ojczyznę mają. Żal mi będzie opuścić Polskę kochaną, przyjaciół, tyle serc dla mnie łaskawych — dodał Kościuszko, obejmując spojrzeniem całe grono, lecz rychło mi stąd wyjechać dalej wypadnie. Myślą nieustannie z Ojczyzną związany, oczekiwać będę na znak jakiś, któryby mię powołał do czynu. Podtrzymywać mię będzie nadzieja, że rychło nadejdzie błogosławiona chwila odwetu, że Bóg dopomoże naprawić zło, przez zdrajców wyrządzone, i wywieść Ojczyznę z otchłani.

Kościuszko mówił z żarem, twarz jego mieniła się, odbijając przedziwnie każde drgnienie płonącej miłością duszy.

---

[1]) Z listu Katarzyny z Potockich Kossakowskiej do Ignacego Potockiego 15/X ze Lwowa.

Słuchano go w zbożnem milczeniu. Zofja chłonęła każde słowo, rozszerzone źrenice utkwiwszy w mówiącego.

Księżna Marja chusteczkę do ust przyciskała, jakby bojąc się wybuchnąć płaczem.

Gdy wstano od stołu, młody poeta zbliżył się nieśmiało do Kościuszki i rzekł:

— Jeżeli tylko nastąpi zbrojna obrona, pozwól mi, generale, pełnić jaką bądź służbę przy sobie.

— Dla każdego w obozie miejsce się znajdzie — odparł Kościuszko — a tymczasem piórem pełń waszmość słodką powinność budzenia dusz z uśpienia. Bóg ci dał niepośledni oręż do ręki i widzę, iż go nie marnujesz napróżno.

Przerwała im kasztelanowa, mówiąc do Kościuszki:

— Podobno za kilka dni masz być we Lwowie, generale. Proszę cię bardzo, odwiedź mnie. Dam ci w podarunku laskę, misternie odrobioną. Takiej drobnostki nie odmówisz. Kiedy cię już innej broni pozbawili, to i pałką potrafisz wyeksplikować wrogom, że są łotry!

Poczęto rozprawiać szeroko o politycznych widokach na przyszłość.

W powietrzu odczuwało się jakiś ferment, zwiastujący chwilę przełomu i duchowego odrodzenia.

* * *

We Lwowie nie miał Kościuszko jednej chwili wolnej, tak mu czas zabrały wizyty, narady i zgotowane mu owacyjne przyjęcia.

Udał się następnie generał w towarzystwie ks. Izabelli i ks. Marji do Zamościa, siedziby kanclerzyny Zamojskiej, wdowy po Jędrzeju, znanej ze szlachetnych i patrjotycznych uczuć. Miłe tam pod gościnnym dachem spędziwszy chwile, gotował się na dalszą wędrówkę, coraz bardziej bowiem miano go na oku.

W pobliskim od Zamościa Kraśniku stał garnizon rosyjski. Komendant, zawiadomiony, że Kościuszko przebywa w tej okolicy, kazał śledzić bacznie każde jego poruszenie, miał bowiem tajny rozkaz uwięzienia go w razie przekroczenia granicy. Nasz bohater nie zamierzał wszelako powracać do kraju, gdzie z dniem każdym zwiększał się ucisk i prześladowania.

Pewnego dnia wybrał się na wycieczkę konno do Wyźnianki dla odwiedzenia oddanego sobie wielce p. Joachima Owidzkiego, pełnomocnika kanclerzyny. Zabawił tam do późnego wieczora i powracał drogą, nieopodal kordonu wiodącą. Księżyc rzucał mdłe światło na rozległe pola i lasy. Kraśnik majaczył woddali.

Kościuszko, będąc tak blisko opuszczonego przed kilku tygodniami kraju, doznał uczucia ogromnej tęsknoty. Samotnym się czuł wśród tej długiej, wijącej się przed nim drogi. Wielkie, błotniste kałuże znaczyły się na niej jasnemi plamami, jakby nieforemne odłamki zwierciadła, rozrzucone po ziemi, w których przeglądało się szare, chmurami zasnute niebo.

Koń szedł stępa po wilgotnej ziemi. Kościuszko puścił myślom swym wodze.

— Bieda, smutek dokoła—szepnął do siebie.—Tam wejście mi wzbronione!... Do ojczyzny zawarte wrota!...

Ogarnął wzrokiem daleki horyzont. Ziemia rodzinna ciągnęła go nieprzepartym urokiem i mocą.

— Niebezpieczny jestem, ja republikanin, wolność ceniący nad życie, dla tych obrońców wolności złotej!... Do obcych teraz pójdę szukać sprawiedliwości, szukać ratunku dla Ojczyzny nieszczęśliwej!...

Umyślił przybrać nazwisko Tadeusza Biedy. W ten sposób otrzymywać będzie listy, przedostanie się do Krakowa, następnie do Wrocławia i do Lipska. Kto wie, czy i tam pozwolą mu pozostać dłużej? Elektor saski pono niebardzo

chętnem na Polaków patrzy okiem. A więc do Anglji, do Francji, do Włoch, być może, udać się wypadnie...

— Dlaczego tak dziwnie życie mi się składa?... „Waleczny, ale nieszczęśliwy",—przypomniało mu się określenie jego doli przez ks. Marję, która także, pomimo swej niezrównanej dobroci, tyle już goryczy zaznała. Naraz przyszedł mu na pamięć kojący wiersz Jana z Czarnolesia, który z młodych lat był mu nad wyraz miły. Nosił tytuł: *Nadziei nie trzeba tracić.*

Nie porzucaj nadzieje,
Jakoć się kolwiek dzieje;
Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,
A po złej chwili piękny dzień przychodzi.

a potem ostatnia, pełna pogody strofa:

Ty nie miej za stracone,
Co może być wrócone:
Siła Bóg może wywrócić w godzinie,
A kto mu kolwiek ufa — nie zaginie!

— Siła Bóg może wywrócić w godzinie! — powtarzał sobie Kościuszko i jakaś słodka otucha wstąpiła mu do serca.

Naraz wśród mroku i ciszy rozległ się strzał alarmowy. Zabłysły światła w kraśnickich koszarach.

Zdumiony Kościuszko nie zauważył nawet, że zbliżył się o parę staj do szyldwacha.

Żołnierz moskiewski poznał generała, którego tylokrotnie kazano w wojsku Kachowskiego brać na cel bezskutecznie. Zdjęty zabobonnym strachem, dał ognia, gdyż Kościuszko znikł mu z oczu, jakgdyby się zapadł pod ziemię.

Pułk zaalarmowany stanął pod bronią. Komendant sam przycwałował, aby się przekonać o przyczynie trwogi.

Szyldwach miał minę tak wystraszoną, że trudno było narazie wydobyć z niego słowo.

Skrzyczał go komendant, zasypując gradem przekleństw.

— Gadajże, co się stało, bo cię rózgami na śmierć zasiekać każę! — zagroził wkońcu.

— Generał Kościuszko tu był. Widziałem na własne oczy. Ale on potrafi być jednocześnie i tu, i tam. *Czort jewo znajet!* [1]) Podpatrzeć potrafi, wyśledzić przeciwnika w boju, a potem zwycięża.

— Pijany jesteś, jak noc! W głowie ci się mąci! Tu niema bitwy, strzeżemy tylko granicy. Chodzi o to, aby się Kościuszko do swoich Polaczków nie przedarł. W którą uszedł stronę?

Żołnierz patrzył wciąż nieprzytomnie przed siebie.

— O tu, tu, jechał tą drożyną, a potem skręcił w prawo. Widziałem doskonale, bo księżyc świecił jasno. Wystrzeliłem, naraz Kościuszko sczezł, a zamiast niego, kot pomknął do lasu. Przysięgam, panie pułkowniku, że to był właśnie sam pan generał Kościuszko, zamieniony w kota! *Koszka, jej Bohu, koszka probieżała!* [2]) — upewniał szyldwach uparcie.

— *Krugom durak!* [3]) — zawołał wściekły z gniewu pułkownik i kazał obić rózgami żołdaka za to, że owego kota nie postrzelił i dał mu umknąć.

Chociaż dowódca słowom szyldwacha nie dawał wiary, niemniej podwojono czujność, aby „czarodziej" nie przekroczył granicy, a wśród garnizonu utwierdziło się przekonanie, że polski generał potrafi przybierać różne postacie, ukazywać się i znikać bez śladu.

* * *

Śnieg sypał wielkiemi płatami, rozpościerając się grubą warstwą na miejskim bruku.

Lipsk wyglądał uroczyście jakoś i dostojnie przybrany w śnieżne puchy. Elstra, Pleissa i Partha pokryły się lodem.

---

[1]) Bies go wie! [2]) Kot, jak Boga kocham, kot przebiegł! [3]) Zupełnie głupi

Na ulicach było pusto, sklepy wcześnie pozamykano. Spokojni mieszkańcy radzi byli co prędziej pod dach rodzinny się schronić i zażyć błogiego spoczynku przy roznieconym na kominku ognisku, a następnie cieszyć się radością dzieci, dla których w każdym domu zapłonąć miała oczekiwana z upragnieniem choinka.

W wigilję Bożego Narodzenia zebrała się też liczna gromadka wychodźców polskich u wspólnego stołu. Nie zbrakło tu opłatka, nadesłanego z Ojczyzny. Marszałek Ignacy Potocki zaprosił najwybitniejszych rodaków, z podkanclerzem Kołłątajem na czele, by uczcić zarazem przybyłego niespodzianie generała Kościuszkę.

W Lipsku zogniskowało się pod koniec 1792 roku grono żarliwych patrjotów, ludzi światłych, po większej części duchem rewolucyjnym przesiąkniętych do głębi.

Kołłątaj górował nad innymi bystrym sądem, niezłomną wolą i umysłem niepospolitym. Wzrok, pełen ognia, przenikliwy był, niekiedy groźny.

W oddaleniu od rodzinnego kraju, pod wpływem coraz bardziej oburzających krzywd, wyrządzanych trwającym przy konstytucji trzeciego maja rodakom, jasno i wyraźnie zarysowywała się w myśli jego idea oswobodzenia Ojczyzny przez zbrojne powstanie.

Ignacy Potocki, o nieskazitelnym charakterze, gotów zawsze do największych poświęceń dla dobra kraju, duszą całą oddany był też sprawie narodowej.

Po wigilji zasiedli wszyscy do gawędy na temat tak żywo wszystkich obchodzący.

Weyssenhoff, powstały zaledwie po ciężkiej chorobie, jął ubolewać, że stan zdrowia nie dozwala mu jechać do Paryża, by z rządem francuskim wejść w porozumienie.

— Zwłoka jest dla nas wielce nie po myśli — zawołał gromko Kołłątaj.—Wprawdzie Wojciech Turski tam przebywa i za przedstawiciela narodu polskiego uchodzi, ale py-

szałek to jest, głównie na sławę łasy. Choć daru oratorskiego nikt mu zaprzeczyć nie może, wątpliwe, aby potrafił coś dla nas uzyskać.

— O Turskim dużo opowiadał mi Niemcewicz, który widywał go w Warszawie i w obozie księcia Józefa — rzekł Ignacy Potocki — a sami też pamiętamy go przerzucającym się łatwo z jednej na drugą stronę. W obronie zniesionego *liberum veto* i obieralności królów książkę wydał. Podczas wyprawy na Moskali ofiarował się znów działać przeciw Targowiczanom i z kilkuset ludźmi zniszczyć wojsko nieprzyjacielskie.

— Dziwne to było zaślepienie, że mu zawierzono — odezwał się Kościuszko — i że rząd nasz wymagane przez niego na ten cel dwa tysiące złotych wypłacił. Ks. Józef przypominał mu kilkakrotnie uczynione zobowiązanie. Ale w Kurowie pan Wojciech znikł z oczu, a wkrótce dowiedzieliśmy się, że w Paryżu wypłynął i z przewódcami rewolucji przyjaźń zawarł.

— *Albert le Sarmate* zwać się tam każe — uśmiechnął się Weyssenhoff szyderczo.

— Taki przedstawiciel szkody nam tylko przyczynić może — dorzucił Kościuszko. A Kołłątaj rzekł:

— Nie można upadać na duchu, należy wszelkiemi sposobami starać się ratować ginącą Ojczyznę, zanim zdobędziemy się na jakie wspaniałe wysilenie, któreby zmazało hańbę dzisiejszego pokolenia. Kto chce całości Ojczyzny, jej niepodległości, wolności i silnego rządu, z tym ja jestem!

— Wszyscy tegoż samego pragniemy — wtrącił Potocki — ale zamysły nasze winny być prowadzone umiejętnie, nie dopuszczając do bratobójczej rzezi.

— Trudno, bez krwawych rozpraw obejść się nie może! — odrzekł Kołłątaj ponuro.

— Nie powinniśmy rąk kalać zbrodnią — zawołał żywo Kościuszko. — Niech dzieje narodu naszego nie splamią się

krwią bratnią. Nie doprowadzimy do szczęścia naszego ludu, jeśli w nim rozdmuchiwać będziemy instynkta krwiożercze. Idźmy doń z miłością w sercu, oświecajmy z życzliwem na ustach słowem, a pociągniemy za sobą.

— Wszędzie wszelako lud czuje swoje więzy, należy dopomóc do potargania ich, aby sprawiedliwości stało się zadość—odparł Kołłątaj.

— Przedewszystkiem chodzi dziś o zbliżenie się z Francją, uwikłanie Rosji w wojnę z Turcją i Szwecją — utrzymywał marszałek Potocki.— Toby nam ułatwiło oswobodzenie się z pod wstrętnego jarzma. Piotr Parendier, mój dawny domownik — objaśniał Kościuszkę — przebywa tu obecnie w roli francuskiego agenta dyplomatycznego, a poseł Deschorches, zmuszony wyjechać z Warszawy po wkroczeniu tam wojsk rosyjskich, porozumiewał się też z nami w przejeździe przez Lipsk i działać będzie w naszej sprawie. Musimy wysłać niezwłocznie godnego przedstawiciela narodu do Paryża, aby plan akcji omówił. Tobie, którego za udział w walkach o niepodległość Ameryki Zgromadzenie Prawodawcze ogłosiło obywatelem honorowym Francji, najlepiej ta misja przystoi.

Obecni uważali, że wybór jak nie można lepiej odpowiada ogólnemu życzeniu.

— Niema tego złego, któreby na dobre nie wyszło — zakonkludował Weyssenhoff. — Opóźnienie wyjazdu, spowodowane moją chorobą, sprawi, że będziemy mieli świetnego i najdostojniejszego przedstawiciela w mości panie generale.

Stanęło na tem, że Kościuszko zaraz po Nowym Roku do Paryża wyruszy.

* * *

Wieści z Polski dostarczali obficie przejezdni, nawiedzający wychodźców.

Udzielano sobie nawzajem tych nowin, które nieraz przejmowały zgrozą i wstrętem.

Na Nowy Rok 1793 wydał Szczęsny Potocki odezwę do wojska, na którą wnet odpowiedział ks. Józef z Wiednia listem, pełnym szlachetnego oburzenia. Odpowiedź ta w licznych odpisach krążyła po kraju.

„Zachęcasz do subordynacji — wołał były wódz — a któryż na świecie żołnierz większe dał tej cnoty żołnierskiej dowody?... Mienisz się z woli narodu i rozumiesz, że uwierzy temu żołnierz, który wie doskonale, że jedynie dla dumy i pychy IMĆPana krew swą wylewać musiał; który wie, że czołganie się przed obcymi dało IMĆPanu władzę, nie narodu wola".

To śmiałe wystąpienie zyskało mu poklask patrjotów. Kościuszkę ucieszył gest rycerski księcia; przeczuwał, że narazi się tem królowi i wiele przykrości znieść będzie musiał, natomiast jednak wojsko odczuje wdzięczność dla obrońcy swego.

Wnet Potocki Szczęsny szyderczy list wystosował do ks. Józefa, zwracając się doń, jak do zarozumiałego młokosa, który wszedł do służby Rzeczypospolitej „na skutek jego zlecenia", zawiódł jednak pokładane w nim nadzieje tak, że „trzeba ratować teraz kraj, cierpiący z jego winy".

Książę Józef zażądał za tę zniewagę zadośćuczynienia.

Król, zatargiem niezmiernie przerażony, starał się załagodzić sprawę, przyrzekał bratankowi różne łaski, byleby myśli o pojedynku zaniechał.

„Twoja tkliwość i twoje dobrodziejstwa w tej chwili czynią mnie nieszczęśliwym!" pisał książę Józef do stryja, wypowiadając mu swe myśli bez ogródek.

Ukazała się też odpowiedź żołnierzy polskich do Szczęsnego, pełna oburzenia, iż Konfederacja wysuwa na czoło armji ludzi, których imiona niedawno oglądano na szubienicy.

Stosowało się to do Rudnickiego i podobnych mu odstępców, a świadczyło, że wojsko ze wstrętem odrzuca nawoływania do posłuszeństwa, że lada iskra może wzniecić pożar.

Iskry te rozrzucali umiejętnie wysyłani przez patrjotów z Lipska emisarjusze. Kościuszko zaś wyruszył do Paryża. Pilno mu było zbadać grunt, przekonać się naocznie, co Francja dla Polski uczynić może.

Paryż! Znał go dobrze przed laty. Jakże teraz był inny, ziejący nienawiścią, niby otchłań piekielna, pełna dzikiego rozpasania i wrzawy.

Lud szalał! Krwią ociekła gilotyna nie próżnowała. Co chwila przedstawiały się oczom Kościuszki ohydne obrazy: Tu wiodą środkiem ulicy wybladłych, ze śladami mąk przebytych, więźniów politycznych, pomawianych o sprzyjanie królewskiej rodzinie; tłum z zaciekłością obrzuca ich obelgami i błotem. Tam znów wloką sznurami jakąś pojmaną ofiarę, by ją bez sądu rzucić do Sekwany, wołając ochrypłym głosem: „Smierć tyranom!"

Dnia 21 stycznia spadła głowa króla Ludwika XVI, który, pomimo że nie był rozmiłowany w zbytku, poniósł karę za winy i nadużycia swych koronowanych poprzedników. Maczano chustki w krwi jego, by je następnie z fantazją zawiązywać na szyi, chlubiąc się okrucieństwem. Wkrótce i królowę Marję Antoninę stracono również na rusztowaniu.

Z kościołów powyrzucano świętości, a natomiast wznoszono w stolicy bałwochwalcze posągi.

Konwencja Narodowa czyli Zgromadzenie deputowanych ludu stanowiło najwyższą władzę. Robespierre, Danton i Marat, skrajni rewolucjoniści, rządzili z bezwzględnością niesłychaną.

Kościuszko nie zaniechał starań, aby przygotowującemu się powstaniu polskiemu pozyskać poparcie i pomoc, ale nie chciał poprzestać na obietnicach. Zażądał, aby Francja dostarczyła oręża oraz trzydzieści miljonów złp. pożyczki. Z ministrem spraw zagranicznych, Le Brun'em, wiódł tajne narady, lecz z głównymi przywódcami rewolucji wzdragał się obcować.

*
* *

Pewnego dnia w mroźny poranek marcowy wpadł do Ignacego Potockiego w Lipsku rozpromieniony Parendier, wołając:

— Przynoszę świetne nowiny! Czy nie ma tu ks. Kołłątaja? Musimy podzielić się z nim również ważną wieścią.

— Ks. Kołłątaj ma swój atak podagry, z domu nie wychodzi — odrzekł marszałek.

— A więc chodźmy doń co prędzej. Może radość skuteczniejszą się od leków okaże.

Ignacy Potocki, który właśnie zamierzał odwiedzić chorego, rad był, że dobrą wiadomością go powita.

Przybyli zastali ks. Kołłątaja siedzącego w głębokim fotelu przed biurkiem, zarzuconem papierami. Stos listów leżał przed nim. Nogi miał owinięte w białe płótno i trzymał je oparte na stołku. Twarz jego wyrażała ból i zniecierpliwienie.

Przed tygodniem przybył z Drezna, gdzie stałą miał siedzibę; śpieszno mu było powrócić, lecz choroba zatrzymała go dłużej, niż zamierzał.

Obok niego siedział zakonnik w sile wieku, o myślącej twarzy, zajęty przeglądaniem pokreślonego mocno rękopisu. Był to ks. Franciszek Dmochowski, pijar, sekretarz Kołłątaja, który z nim kraj opuścił i w Dreznie razem przebywał.

— Przeczytam panom list z Paryża [1]), przed chwilą otrzymany — rzekł Parendier.

Wszyscy ze skupioną uwagą słuchali, gdy rozpoczął czytać na głos:

„Ucisk, pod którym jęczy obecnie Polska, nie może trwać długo. Możesz zapewnić patrjotów, bawiących w Lipsku, że

[1]) List ministra Le Brun do Parendier'a, datowany 28 lutego 1793 r., przytacza w całości Wł. M. Kozłowski: «Misja Kościuszki do Paryża», wyd. 1899.

Rzeczpospolita francuska zajmuje się wielkiemi środkami, mogącemi wyzwolić ten sympatyczny naród z pod wstrętnego jarzma. Mieliśmy kilka konferencyj z samym generałem *Kościuszko* i z innymi patrjotami polskimi...

— Mogliby też kompatrjoci waszmości nauczyć się już wymawiać nazwisko generała, tak szeroko w całym świecie znane — przerwał Kołłątaj niecierpliwie.

Parendier uśmiechnął się na tę uwagę i czytał dalej:

„Odwagi, wytrwałości, a Polska będzie ocalona".

Westchnienie ulgi wyrwało się naraz z piersi słuchaczy.

— Daj to, Boże!... Daj to, Boże!... — szepnął ks. Dmochowski, pobożnie składając dłonie.

— Minister radzi zawiązać co najrychlej komitet rewolucyjny, z którego wychodzić będą wskazówki dla kierowników ruchu w Polsce—rzekł Parendier—a w razie utrudnień ze strony elektora, przenieść komitet do jednego z miast szwedzkiego Pomorza.

— Zbyteczne obawy — wtrącił Kołłątaj. — Potrafimy zachować związek nasz w najściślejszej tajemnicy.

— . . . „możesz zapewnić cnotliwych wodzów: Potockiego, Małachowskiego, Kołłątaja, że Rzeczpospolita przyjdzie im z pomocą na wydatki niezbędne" — czytał dalej Francuz. — Oto jest ustęp najciekawszy, mości panowie—dodał, wiodąc palcem po linji listu: . . . „Niedaleki może czas, w którym eskadra francuska ukaże się odrazu na morzu Bałtyckiem i w Archipelagu, a poparta siłami Szwecji i Turcji, również jak mężnych Polaków, obudzi w Prusach i Rosji niepokój o ich własne ogniska".

— Obietnica istotnie ważna! Sperandy[1]) nadspodziewanie pomyślne - rzekł poważnie marszałek. — Kościuszce udaje się przeprowadzić misję jak nie można lepiej. Człowiek to pod

[1]) Nadzieje.

każdym względem wyjątkowy. Im bliżej go poznaję, tem milszy on sercu memu.

— Na dobrej woli mu nie zbywa, to pewna — zauważył Kołłątaj — ale może niekiedy zbytkiem rozwagi zgrzeszyć. Potrzebna jest rączość w wykonaniu. Rozumowania osłabiają nieraz energję i zapał.

— Pozwólcie, mości panowie—rzekł Parendier—że wam jeszcze przytoczę te słowa ministra: . . . „mogę tylko zachęcać komitet rewolucyjny, aby przygotowywał w Polsce ruch wielki, który ma wybuchnąć za danem hasłem".

— Miałem dziś wieści niepocieszające. Przygnębienie wielkie w kraju — rzekł Kołłątaj. — Ale ufam w Bogu, że nas te wieloryby nie zjedzą i choć mają dużo śmiałości pochłonąć jaką część Polski, będą ją musieli wyrzucić jak niegdyś Jonasza... [1])

— A ja od Działyńskiego kilka słów otrzymałem—mówił Potocki. — Wyrzeka, że niepotrzebnie Monitor francuski przedwcześnie rozgłosił o „stowarzyszeniu patrjotycznem w Lipsku". Szpiegów pełno w Warszawie i po całym kraju.

Rozprawiano jeszcze długo o doniosłych planach, wyliczano ludzi, na których polegać można.

Generał Działyński, którego żona bawiła w Dreznie, miał okazję bez zwracania niczyjej uwagi zdawać wychodźcom częste relacje ze swych czynności.

„Ukrainę, Podole, Wołyń, Polesie, Litwę po Niemen Moskale nam zabierają. Dzieją się gwałty niesłychane! — pisał przez kuzyna, który, przybywszy wprost z kontraktów dubieńskich, opowiadał, że Działyński energicznie tam agitację prowadził. Janowi Ochockiemu, mającemu liczne stosunki, powierzył objeżdżać domy obywatelskie, przysposabiać umysły i obliczyć, ile w potrzebie ludzi i koni dostar-

[1]) Z listu H. Kołłątaja do Strassera, pisanego w lutym 1793 r.

czyć mogą, aby na ostatnie dni czerwca wszyscy byli w gotowości, gdyż „ruchawka się zacznie".

Przypuszczano, że się nie obejdzie bez walki krwawej, w czerwcu bowiem na żądanie wyraźne rosyjskiego ambasadora miał być sejm w Grodnie zwołany, dla potwierdzenia zawczasu już przez sąsiednie mocarstwa ułożonego rozbioru kraju.

Wojsko polskie w Kijowskiem i Bracławskiem było natenczas pod komendą generał-lejtenanta Lubowidzkiego, oddanego w zupełności Targowicy.

— W pierwszych dniach marca—opowiadał gość z kraju— Lubowidzki kazał komendantom polskim zebrać się u siebie. Przybyło 41 wyższej szarży oficerów, z generałami Wielowiejskim i Poupardem na czele.

Uderzyło ich na wstępie, że dziedziniec cały jest zapełniony kibitkami. Przy każdej czterech kozaków na koniach. Mimo to, przedostają się do pałacu, wpuszczają ich na salę. Lubowidzki wychodzi na ich spotkanie w mundurze rosyjskim, za nim moskiewscy oficerowie, ksiądz w komży i stule z krucyfiksem i ewangelją, dalej sześciu grenadjerów. Niecny sługa Targowicy oznajmia przybyłym, że wojsko polskie ma być wcielone do armji rosyjskiej z zachowaniem mundurów i płacy.

Wystąpił Wielowiejski i rzekł stanowczym głosem:

— Bez dymisji od króla, dawnej służby nie opuścimy i nowej przyjąć nie możemy!

Naraz pułkownik Dobraczyński, dowodzący pułkiem ułanów szefostwa Wirtemberskiego, mieni się na twarzy, oczy mu nienawiścią pałają, krew zawrzała Z dobytym pałaszem rzuca się na zdrajcę. Zakotłowało się dokoła. Oficerowie rosyjscy wyrwali pałasz z ręki pułkownika i, skrępowawszy mu ręce, wynieśli z sali. Dobraczyńskiemu rozpacz zmysły pomieszała, rzucał się wciąż, pienił, przeklinał i, nie odzyskawszy przytomności, w kilka dni życia dokonał. Lubo-

widzki zagroził pozostałym, że o ile przysięgi nie wykonają, wszyscy zostaną wywiezieni na Sybir. Ksiądz rotę przysięgi odczytał, nikt jej wprawdzie nie powtórzył, lecz każdy kolejno składał swój podpis w głuchem milczeniu. Lubowidzki chciał zatrzymać wszystkich na obiad, ale nikt zaproszenia nie przyjął. Rozjechano się do domów. W wojsku powstało takie oburzenie na dowódców, że omal nie rozniesiono na szablach tych, którzy rozkaz Lubowidzkiego z urzędu odczytać byli zmuszeni.

Z boleścią w sercu słuchali wychodźcy polscy tych relacyj. Zasępiła się szlachetnością tchnąca twarz byłego marszałka sejmowego. Ks. Dmochowski westchnął ciężko i szepnął:

— Boże, ratuj!... Boże, daj zerwać kajdany!

Kołłątaj tylko zdawał się być dobrej myśli. Oczy jego gorzały wiarą, że sprawiedliwości stanie się zadość.

— Niech robią, co chcą, nie dokażą zgubić Polski — zawołał głosem tak pewnym, jakby przed nim naraz uchyliła się przyszłości zasłona. Należałoby nam co najrychlej rozpocząć akcję, dopóki Francja tak widocznie ruch ów poprzeć rada. A wam, panowie bracia — zwrócił się do gościa z Ukrainy — przystoi jak najszerzej sieć rozciągnąć, porozumiewać się i zagrzewać ducha. Na Litwie prowadzą się już tajne przygotowania.

— Dla uniknienia nieszczęśliwych wypadków rewolucji francuskiej, musimy oddać ster w ręce jednego człowieka, któryby się cieszył powszechnem zaufaniem. Nie widzę zdatniejszego wodza nad generała Kościuszkę — zawyrokował Ignacy Potocki.

— Rzecz do omówienia — odrzekł Kołłątaj.

Ściągnięte brwi i wyraz twarzy skupiony wykazywały, że myśl jego pracuje z natężeniem.

— Bez wątpienia największy to wódz w Polsce. Niepospolite zdolności pułkownika Jakóba Jasińskiego mogłyby też być z pożytkiem dla sprawy zużytkowane. Posiada on

bystre objęcie i stanowczość w działaniu. Zbyt może krewki, ale dobra głowa. Jeden to z najdzielniejszych u nas ludzi!

Narady i dyskusje odbywały się wciąż w tem ściśle zespolonem gronie.

Po wyjeździe Kołłątaja pomiędzy Lipskiem i Dreznem korespondencja nie ustawała.

*

* *

Sejm grodzieński to bodaj najsmutniejsza karta naszych dziejów! W kwietniu stawił się tam Stanisław August, przez ambasadora Sieversa sprowadzony z Warszawy. Na sejmie tym zatwierdzona została naprzód umowa podziałowa z Rosją, następnie z Prusami. Austrja w drugim podziale Polski nie przyjęła udziału.

Napróżno występowali z rozpaczą w duszy posłowie Karski, Kimbor, Mikorski, Krasnodębski, oraz Szydłowski, który wołał:

— Niech przynajmniej cnota przy nas zostanie, niech ten głos da się słyszeć w całej Europie, że Polacy bezsilni, uciśnieni, ale cnotliwi i nieustraszeni nie chcieli ziomków swych obcemu poddać panowaniu!

Ale nieubłagany Sievers kazał wymierzyć na sejmujących armaty. Lonty zapalone były już w pogotowiu i miano je przyłożyć na pierwsze skinienie w razie dalszego oporu.

Ustanowiona została nowa forma rządu, przywrócono Radę Nieustającą, wojsko miało być zmniejszone do 15,000.

Rosja zagarnęła olbrzymi szmat najżyźniejszej polskiej ziemi!

Do Prus przyłączono natenczas Gdańsk, Toruń, Wielkopolskę, Kujawy i Mazowsze (z wyjątkiem województwa mazowieckiego). Pozostawało jeszcze Polsce dziesięć województw w Koronie i osiem na Litwie.

Stanisław August do końca okazał się tym samym marnym komedjantem, którym poniewierała już otwarcie Moskwa i Konfederacja.

Naród, upokorzony drugim rozbiorem, podzielił się na dwa skrajne obozy. Jedni, gotowi pogodzić się ze swym losem, schlebiali nowym władzom, przyjmowali urzędy i ordery, drudzy, zaciskając pięście, nawoływali do powstania.

— Zginiem, to przynajmniej nie przeżyjem ojczyzny! Szlachetna rozpacz podawała walecznym oręż do ręki. Jeden duch zagrzewał serca i rozpłomieniał umysły. Nienawistnym stał się dla prawych ludzi dwór spodlały, więc bez ogródek chłostano króla biczem szyderstwa i wzgardy. Kursował natenczas w odpisach ów wierszyk znamienny:

Alboż ten bałwan, co lat trzydzieści
Kraj go swą karmią rozpycha,
Podły z istoty, mądry z powieści,
Nie samą zdradą oddycha?

Nie chciałże raczej ten dziad zbabiały,
Chcąc tron swój własny zasłonić,
W czynach nikczemny, w słowach wspaniały,
Przedać Ojczyzny, niż bronić?..

Wrzał bunt tajemny w stolicy i w najodleglejszych zakątkach kraju. Na Lesznie w pałacyku „Pod Sfinksami" generał Działyński wiódł długie narady z Madalińskim, Czapskim, Niesiołowskim, z bankierem Kapostasem, z pełnym energji młodzieńcem Maruszewskim z Piotrkowa, a także z mieszczaństwem warszawskiem i młodzieżą rzemieślniczą. Ks. Meier, Pawlikowski, Aloe, Bars, Czyż i Konopka byli niezmordowani w tej kreciej pracy. Na Litwie Karol Prozor obożny lit., zamożny obywatel i pułkownik Jasiński z wielką oględnością i dobrem zrozumieniem doniosłości sprawy przygotowywali wybuch powstania. Związek warszawski rozsyłał ludzi energicznych i godnych zaufania do wszystkich prowincyj. Wśród wojskowych coraz bardziej zarysowywał się

plan zrzucenia pęt niewolniczych, u wszystkich jedno imię było teraz w sercu, w myśli, na ustach:

— Kościuszko!...

— On jeden!... Nikt inny, tylko on potrafi nas wyzwolić!— szedł pomruk głuchy po całej Polsce.

— Nikt nie wie jeszcze dnia ani godziny, kiedy się to zacznie, musimy czekać rozkazu, ale trzeba być w pogotowiu, jakgdyby to miało być dziś jeszcze o świcie, albo ciemną nocą...

— Wydrzemy, odbierzemy!... Ani piędzi polskiej ziemi nie pozostawimy w obcym ręku!...

— Do ostatniej kropli krwi walczyć będziem zapamiętale, do ostatniego tchnienia!...

Roziskrzał się duch coraz bardziej. Rosły siły. Sprzysiężeni mieli swoje umówione hasła, porozumiewali się niepostrzeżenie, umiejąc zatrzeć wszelkie poszlaki.

* * *

Podczas letnich skwarów pośpieszał Kościuszko do Lipska dla zdania relacyj ze swych misyj i powzięcia ostatecznego postanowienia.

Powracał ze zwątpieniem w duszy. Przyjrzawszy się zbliska nowym rządom we Francji, przekonał się, że nic dla Polski wykołatać się nie da. Okrucieństwa rewolucyjne, głównie zaś królobójstwo, wywołały protest innych mocarstw. Ucierpiały na tem mocno pokładane we Francji nadzieje.

Minister Le Brun został uwięziony w końcu maja przez swych współrodaków, inni przestali naraz troszczyć się o Polskę, zajęci własnemi sprawami i wojną domową. Projektowany wyjazd Kościuszki do Anglji nie przyszedł do skutku, jak również rozniecenie nowego zatargu pomiędzy Turcją a Rosją.

Z kraju tymczasem dochodziły rozpaczliwe nawoływania pod adresem ukochanego wodza:

— Wiedź nas na ratunek Ojczyźnie!

— Każda chwila jest droga! Dłużej wytrzymać niesposób!

Warszawski tajny związek patrjotyczny naglił, aby rozpocząć zbrojne powstanie, sztandar wolności wznieść wysoko, pomścić Ojczyzny pohańbienie.

Ignacy Potocki coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Kościuszkę wyznaczyła Opatrzność na przyszłego zbawcę swego ludu. Kołłątaj również wyrażał się o nim z rosnącym wciąż zachwytem.

„Nie rozpaczam—pisał doń—aby oczy moje nie oglądały tej pory, która da Go poznać Narodowi i Europie. Ojczyzna jeszcze Tobie ufa".

W istocie z dniem każdym ufność ta rosła i potężniała. Magiczny czar wywierało w kraju imię Kościuszki, natomiast miłość, jaką potrafił wzniecić książę Józef, stygła zwolna w sercu żołnierzy. Wiedziano, że przebywa teraz w Brukseli, zabawiając się w kołach najwyższej arystokracji międzynarodowej, i nie przyjmuje żadnego udziału w budzącym się w Polsce ruchu wolnościowym. Nić serdecznej przyjaźni, nawiązana pomiędzy nim i podwładnymi, rozluźniła się niepowrotnie. Zmuszony był przez intrygi Sieversa opuścić Wiedeń jeszcze zanim sejm grodzieński został zwołany, gdyż ambasador żywił obawy, żeby książę znów wodzem nie był ogłoszony.

Ale o tych wszystkich tajnych zarządzeniach ogół polski nie wiedział i ostro potępiali go związkowcy w swem przekonaniu.

Generał Zajączek, od czasu dymisji przebywający również zagranicą, uczestniczył niekiedy we wspólnych naradach z Kościuszką, Weyssenhoffem, Ignacym Potockim i Kołłątajem. Z tym ostatnim najbardziej zgadzał się w przekonaniach.

Małachowski i Niemcewicz tylko listownie z Włoch dawali znać o sobie i jednoczyli się we wspólnych wszystkim celach

* * *

W niedzielne sierpniowe popołudnie, gdy Kościuszko zajęty był załatwianiem korespondencyj, które miał tajną drogą przesłać do kraju, zapukano nieśmiało do jego drzwi.

Kościuszko odwrócił głowę, ściągnął brwi, poprawił na sobie kitajkowy szary płaszcz i rozpiętą pod szyją koszulę; widząc przed sobą obce twarze, zapytał krótko:

— *Zu wem?* [1])

Przypuszczał, że goście jacyś, nie trafiwszy do sąsiednich drzwi jego gospodarza, wtargnęli tu przez pomyłkę.

— Do generała Kościuszki — odpowiedzieli pośpiesznie dwaj przybyli.

W dźwięku ich młodocianego głosu tyle było świeżości, na twarzach odbijała się tak szczera radość, iż stoją oko w oko z samym Kościuszką, że generał z uprzejmym uśmiechem poprosił, aby się zbliżyli.

Obaj młodzieńcy mieli po lat osiemnaście najwyżej, oczy bystre i roztropność w spojrzeniu.

Przedstawili się generałowi:

— Wojciech Mączyński.

— Józef Wodzicki.

— Krewny może generała Wodzickiego?

— Syn jego brata, imć pana starosty krakowskiego — objaśnił Mączyński.

— Pragnieniem naszem gorącem było zawsze mieć szczęście ujrzenia imć pana generała—rozpoczął Wodzicki z wielką swadą—a że okoliczności przyjazne pozwoliły nam przebywać z nim w jednem mieście, więc, ośmieleni sławą jego wielkiej dobroci, przybywamy złożyć mu naszą czołobitność i wyrazić cześć, jaką dla niego żywimy.

---

[1]) Do kogo?

Szkolny kolega i towarzysz spojrzał na mówiącego z niedającym się ukryć podziwem i zachwytem, że tak gładko i składnie myśl jego własną wyrazić potrafił.

Kościuszko uścisnął serdecznie ich dłonie i prosząc, aby usiedli, dodał:

— Zawszem rad pomówić przynajmniej ojczystym językiem, kiedy nieszczęsne przeznaczenie już po raz trzeci mnie wydala z ziemi ojców. Lubię towarzystwo młodych i chętnie z wami pogwarzę.

Ośmieleni przez generała, poczęli chłopcy opowiadać o sobie i o rodzinnym Krakowie. Przybyli obaj do Lipska, aby w miejscowych szkołach nabyć wprawy w niemieckim języku.

— Tak postanowili ojcowie nasi — tłumaczył Wodzicki. — Gdyby od nas zależało, wolelibyśmy uczyć się w kraju. Ale wola rodziców jest zawsze dla nas świętem prawem.

— Słusznie — odrzekł Kościuszko. — Posłuszeństwo, moi chłopcy, przedewszystkiem!

To mówiąc, poklepał Józefka Wodzickiego po ramieniu.

Zuchowate miny młodych gości, ich szczerość i prostota usposobiły przyjaźnie dla nich generała. Rozgadał się z nimi o pobycie swym przed laty w Krakowie.

Przy pożegnaniu uprzejmie dodał:

— O ile czas wam pozwoli, nie leńcie się mnie odwiedzać. Powiadam: nie leńcie się, bo lenistwo to odwieczna nasza wada!

Chłopcy, uszczęśliwieni tak uprzejmem przyjęciem, przez całą drogę przypominali sobie każde słowo, wyrzeczone przez Kościuszkę.

— Wpiszę do księgi wspomnień wszystko, co dziś nam mówił — zawołał Wojtuś Mączyński. — Jaki on jest dobry, uprzejmy, mądry i miły! Czy podobna nie pokochać go od pierwszego wejrzenia?

— Musimy, nie odkładając długo, odwiedzić generała choćby pojutrze — rzekł żywo Wodzicki.

— Może to będzie zbyt wielkie natręctwo z naszej strony? — zawahał się Mączyński, nie wypada zabierać mu drogiego czasu.

— Nie wypada — powtórzył Józef echowo. — Trzeba już będzie uzbroić się w cierpliwość. Czy zauważyłeś — dodał — że generał ma przyzwyczajenie bawić się podczas rozmowy jakim bądź przedmiotem, leżącym na stole?

— Jakby od niechcenia, wziąwszy ołówek do ręki — rzekł Mączyński—podczas opowiadania twego o zamku krakowskim wyrysował głowę konia na brzeżku jakiejś gazety.

— Ach, jaka szkoda, że nie odważyłem się poprosić, aby mi ją dał! — zawołał żywo Wodzicki. — Byłaby mi drogą pamiątką na całe życie!

Chłopacy, nie odkładając długo, zjawili się znowu potem w kilka dni u generała. Przywitał ich serdecznie; rozmowa nie ustawała ani na chwilę. Zdumieni byli obaj wielką pobłażliwością Kościuszki, jaką wykazywał, gdy mowa była o ludziach, odmiennych z nim pojęć.

— Wada to nasza, iż jesteśmy o tyle niepohamowani w przedwczesnych pochwałach, ile zapalczywi w namiętnem potępianiu — rzekł, zauważywszy ich zadziwienie.

Wodzicki z ożywieniem jął opowiadać swoje poglądy na sprawy narodowe, poczem zawołał naraz:

— Przepraszam mocno pana generała, żem ośmielił się wystąpić z mojemi uwagami; wobec niego należało mi tylko słuchać w milczeniu.

Ale Kościuszko zachęcił go do dalszego wypowiadania się, mówiąc:

— Rozsądnych uwag młodych ludzi słucham z tą przyjemnością, z jaką słucha pasiecznik pszczoły w ulach brzęczące, bo to brzęczenie zawiadamia, iż w nich odbywa się praca, z której miód będzie.

Polubił Kościuszko tych dzielnych chłopaków, z przyjemnością widział, że mieli dobre zasady, starannem wycho-

waniem ugruntowane, że pełni są zapału i chęci najlepszych. Zachęcał ich do nauki i uprawiania talentów.

Nigdy wszakże nie mówił Kościuszko z młodymi swymi przyjaciółmi o gotujących się wypadkach, o zarządzeniach ku temu czynionych w kraju. Zauważyli tylko chłopacy, że generał był ostatniemi czasy jakiś chmurny i zamyślony. Nie przeczuwali nawet, jak doniosłe sprawy ciążyły mu teraz na sercu.

*

* *

We wrześniu przybyło do Lipska dwóch sprzysiężonych, wysłanych od Związku Warszawskiego: Aleksander Walichnowski oraz Eljasz Aloe. Oznajmili oni w gorących słowach Kościuszce, że związkowcy powierzają mu władzę, że zaciskana coraz bardziej obroża z dniem każdym staje się niemożliwsza do wytrzymania, że obiór przewódcy powstania zjednoczy najlepsze siły w narodzie.

Kościuszko nie mógł opierać się dłużej.

Porozumiawszy się w Dreznie z Zajączkiem i Kołłątajem wyruszył wraz z synowcem jego, Rafałem, na pogranicze galicyjskie do Podgórza. Umówione tam było spotkanie tajemne z Barsem i Pawlikowskim. Obaj gorliwi członkowie Związku Warszawskiego przedstawiali jego działalność w jak najświetniejszych kolorach. Bars był człowiekiem zamożnym i wpływowym. Odznaczał się już podczas sejmu czteroletniego jako obrońca spraw miejskich i niższych stanów. Kilka prac swych w tym przedmiocie ogłosił drukiem. Zasad niezachwianych, gorąco pragnący jak najszerszych swobód ludu, miał przytem wiele taktu i rozwagi w postępowaniu. Pawlikowski natomiast ognistego temperamentu, młodszy wiekiem, marzył o gwałtownych przewrotach.

— Warszawa powstanie wnet na pierwsze twe skinienie, dyktatorze! — zawołał. — Nie ociągaj się, chciej zrozumieć, że teraz jest sposobna chwila. Wojsko, zagrożone nową redukcją,

czeka tylko twego rozkazu. Działyński nagli, aby rozpocząć. Madalińskiego żadna siła nie wstrzyma.

— A środki?...

— Znajdą się. Działyński i Prozor zebrali już znaczne sumy wśród obywateli. Obowiązują się ze swej strony jak największe uczynić ofiary — zawołał Bars. — Ochocki zakupił już i dostawił do Warszawy znaczną ilość koni, a od ziemian uda mu się bezinteresownie dużo uzyskać. Składki płyną. Ochotników nie brak.

— W całym kraju, pomimo że kwatery wojsk naszych rozlokowane są według planu moskiewskiego w znacznem od siebie oddaleniu i komendantów mają na oku, udaje się wszelako związkowym porozumiewać z sobą — ciągnął Bars.

— Garnizon warszawski coraz niecierpliwiej dopomina się jawnego wystąpienia. Jasiński w Wilnie czeka z upragnieniem hasła do boju—dodał Pawlikowski zapalczywie.

— Nie czas, nie czas jeszcze!—zawołał Kościuszko. Ręka jego przepuszczała przez palce długie włosy, spadające mu na szyję, jak to miał we zwyczaju, gdy myśl z natężeniem pracowała. — Nie czas, powiadam! Zrozumiejcie, że musimy być zupełnie przygotowani, że nagłość byłaby zabójstwem dla sprawy.

— Jakiemi zasadami masz zamiar rządzić się, dyktatorze? — zapytał żywo Pawlikowski — sądzę, że nie pragniesz Ojczyzny wyłącznie szlacheckiej! My, na wzór rewolucji francuskiej, zachęcić chcemy szerokie masy do zrzucenia niewolniczego jarzma.

— Polska na zupełnie nowych podstawach podnieść się musi — odrzekł Kościuszko z mocą. — Teroru nie uznaję, okrucieństwem się brzydzę. To, na com patrzył świeżo we Francji, przejmuje mię wstrętem. Insurekcja musi być wyłącznie wojskowa. Chcę, abyśmy w imię sprawiedliwości szli drogą prawą, bez gwałtów i szaleństw.

— To, co gwałtem zostało odebrane, gwałtem tylko powrócone być może — zawołał żywo Pawlikowski.

— Wielkie zamierzenia nagłemi środkami przeprowadzić się dają — dodał Bars spokojnym, lecz stanowczym tonem.

— Wiedzieć macie, że za samą szlachtę bić się nie będę — wypowiadał dalej swój program Kościuszko. — Chcę wolności całego narodu i dla niej tylko wystawię me życie!

— Lud pójdzie z nami i my, mieszczanie, za lud walczyć chcemy—wołał Pawlikowski. Ciemne jego oczy płonęły żarem.

— Wszelako dotąd, jak widzę, chłopi po wsiach nie rozumieją, czego od nich żądają. Strach i niedowierzanie panują jeszcze między nimi, szlachta zaś nie wszędzie równomiernie do ruchu wciągnąć się daje. Potrzeba jednać ludzi nie przymusem, ale dobrem wyjaśnieniem im własnego interesu, zespolonego z ogólną sprawą. Waćpan jako jurysta pamiętać musisz ów przepiękny akt unji horodelskiej, poczynający się od słów: „Nie dozna łaski zbawienia, kto się na miłości nie oprze. Miłość promienna sama w sobie gasi zawiści, osłabia urazy, daje wszystkim pokój. Kto nią pogardzi, ten wszystko utraci". I my, jak natenczas praojcowie nasi, z miłością idźmy, wszystkich powołując do współdziałania. Ani lud, ani szlachta, ani mieszczanie zosobna nic nie zdziałają, ale zjednoczeni miłością dla Ojczyzny cudu dokonać mogą.

— Zapał związkowych, jak pochodnia gorejąca musi wzniecić pożar — gorączkował się Pawlikowski.

Kościuszko zaś ciągnął dalej:

— Dotąd nie odniosły skutku zabiegi, by pozyskać sobie potężnych sprzymierzeńców zagranicą. Bądźmy jednak czujni i czekajmy.

— Jakto? Jeszcze zwłoka?... Takąż odpowiedź zawieźć mamy zrozpaczonym żołnierzom, którzy, nie czekając hasła,

mogą szalony krok, popełnić, jak Dobraczyński, marnie zginąć?... Będzieszże mógł, dyktatorze, patrzeć na to spokojnie?...

— Sumienie moje czyste — odparł Kościuszko. — Pragnę z całej duszy ocalić Ojczyznę naszą, ale to, co do dziś zrobione, jest zaledwie zaczątkiem wielkiego dzieła wyzwolenia. Smutno byłoby nierozmyślnie zacząć, by upaść!

Związkowi oddalili się z ciężkiem sercem, dyktatorowi również smutek wielki padł na duszę, że zniewolony okolicznościami, hamować musi szlachetne porywy sprzysiężonych.

Po walnej naradzie patrjotów-emigrantów stanęło na tem, że generał Zajączek pojedzie do Warszawy i zbada na miejscu istotny stan rzeczy.

Ułożony został w głównych zarysach akt powstania.

W oczekiwaniu powrotu Zajączka Kościuszko przebywał czas jakiś we wsi Zabawie w Tarnowskiem w domu Wojciechowskiego [1]) pod przybranem nazwiskiem Milewskiego. Układał instrukcje, porozumiewał się z oddanymi sprawie obywatelami, wreszcie pewnego dnia przeprawił się pod Tyńcem przez Wisłę dla widzenia się z Wodzickim w Bronowicach.

Gdy mówił z towarzyszem broni o planach na przyszłość, Wodzicki zawołał:

— Mnie więcej jeszcze, niż wam, młodszym, śpieszno dobyć pałasza; lata płyną, nogi mi służbę wypowiadają, obyż prędziej rozpoczęła się ruchawka! Moi żołnierze gotowi choćby zaraz wyruszyć w pole. Obawiam się tylko, czy powołanie chłopów pod broń nie wywoła jakich zajść niepożądanych?

— Nigdy nie dozwolę, aby tłum instynktom rozpętanym puścił wodze. Chcę lud ująć w karby wojskowe — rzekł Kościuszko.

---

[1]) Gen. Paszkowski: Dzieje Tad. Kościuszki. Kraków, 1872, str. 49.

— Był w Krakowie w początkach czerwca wicebrygadjer Dąbrowski. Pod Madalińskim teraz służy — opowiadać jął Wodzicki. — Głębokiej jest nauki. Lecz wystaw sobie, z jakim planem do mnie przyjechał. Oto dla ratowania bataljonów od redukcji uważa za najlepszy sposób, aby na dane hasło przebili się komendanci nasi do Galicji, stąd podążyli do Francji i tam pod twem dowództwem, generale, sądzi, że winniśmy mieć armję własną w pogotowiu. Śmiałe przedsięwzięcie, co? Ale niewykonalne. Śmiechu warte! [1])

— Nie potrzebujemy zapędzać się tak daleko — odrzekł Kościuszko — da Bóg, zgromadzimy nasze siły pod Krakowem i tu zaraz rozpoczniemy działania.

— Kiedy mniej więcej myślisz rozpocząć, Naczelniku?— zapytał Wodzicki, mierząc go bystrem spojrzeniem.

— Nie jestem nim jeszcze, dopóki mnie cały naród nie obwoła — odparł Kościuszko. Twarz mu spłonęła żarem. — W każdym razie oznajmić ci muszę, mości generale, że o ile Zajączek zawyrokuje o dostatecznem w kraju przygotowaniu, wybuch powstania wyznaczyliśmy na 19 listopada. Plan nasz jest taki: Ściągnąć tu wojska i opanować Kraków. Pułkownika Łykoszyna zaskoczyć znienacka, aby mu nie dać czasu do opamiętania, zabrać stojące w rynku armaty.

— Załogę, nieprzygotowaną do obrony, łatwo się da rozbroić. Mają tu oni bataljon piechoty, szwadron dragonów i parę sotni kozaków; z tymi rozprawimy się na poczekaniu — rzekł Wodzicki.

Jego twarz marsowa ożywiła się. Wyprostował się.

— Wszystko będzie wykonane według rozkazu, Najwyższy Naczelniku Siły Zbrojnej Narodowej — rzekł, salutując.

---

[1]) Ten sam Jan Henryk Dąbrowski, którego projekt narazie wydrwiwano, utworzył po upadku powstania narodowego legjony polskie we Włoszech w 1797 r. i o nim popularna pieśń głosi: „Marsz, marsz Dąbrowski z ziemi włoskiej do Polski".

Słowa te zadźwięczały przedziwnie swojską nutą. Wśród melancholijnej ciszy jesiennego wieczoru zadrgała w nich jakby pobudka bojowa.

Szara Wisła szumiała u stóp zadumanego smętnie Naczelnika.

Kościuszko podniósł głowę. Zdjął go naraz dreszcz, jakgdyby szerokim rzutem postawiony na górskim szczycie ujrzał przed sobą nieskończoną dal...

Związek Warszawski obwołał go Dyktatorem, teraz z ust sędziwego towarzysza broni usłyszał owe miano, które wkrótce rozbrzmiewać będzie po całej polskiej ziemi.

— Zali podołam ciężarowi, który na moje barki włożono?... przeleciało mu w myśli błyskawicą.

Miljony serc bratnich przyzywają mnie, abym ich wywiódł z niewoli.

Zali podołam?...

Naraz jak cięcie szabli uderzyło go twarde słowo: Obowiązek!

Tak, musi spełnić to, czego naród od niego żąda.

Umrzeć lub zwyciężyć! To hasło będzie dla Ojczyzny błogosławionym stygmatem odrodzenia.

Ogarnął spojrzeniem w szarym mroku pogrążone bronowickie chałupy, doleciał go skądcić głos fujarki pastuszej.

Jakaś rzewność zalała duszę.

— Zbudzę cię, polski ludu! Sercem powołam! Pójdziesz za mną drogą zwycięstwa ku wolności! .. — szepnął, a twarz mu się mieniła jasnością wewnętrzną, w oczach zamigotały iskry złote.

Wodzicki obserwował go w milczeniu. Być może, odczuł, że w tej chwili skupienia przeżywał przyszły Naczelnik trwogę przyszłości i nadziei radość.

— Późno już, musimy się rozstać na dziś—rzekł gorąco, ściskając dłoń Kościuszki. — Do czasu jeszcze pozostawać będziesz w ukryciu, aby zabłysnąć nam tem jaśniej i olśnić

świat cały! A w razie przybycia do Krakowa — dodał — proszę cię, kochany generale, abyś dom mój za swój własny zawsze uważać raczył.

*

* *

Deszcz ulewny padał od rana. Niebo powlokło się gęstemi chmurami. Wiatr przeraźliwym jękiem huczał w kominie starego zabawskiego dworu.

Kościuszko odłożył na stronę czerwoną swą tekę, z którą się nigdy nie rozstawał; zapieczętował listy przygotowane do wysłania, a że zmrok zapadał i najpilniejsze sprawy były już na dziś załatwione, przyjął chętnie uprzejme zaproszenie gospodarza zagrania z nim partji szachów.

— Dobry to dla umysłu egzercyrunek — rzekł, rozstawiając figury.

— Muszę pomścić wczorajszego mata — zawołał Wojciechowski — ale z takim graczem niełatwa sprawa!

Wtem psy poczęły ujadać, a energiczne szurganie nogami w sieni oznajmiło przybycie gościa.

Wojciechowski poskoczył do drzwi i, otworzywszy je naścieżaj, wprowadził zdrożonego i przemokłego do nitki Zajączka.

— Jesteś nakoniec, kolego? Azard pomyślnie zakończony? — zawołał żywo Kościuszko, witając towarzysza.

Zajączek uścisnął dłoń jego w milczeniu. Stał chwilę zasępiony, ręką o stół wsparty.

— Nic pomyślnego nie przywożę — rzucił wkońcu, osuwając się na krzesło. — Związek składają ludzie pełni dobrych chęci, ale nazbyt niecierpliwi i gorący! Nie praktykowawszy wojny, wystawiają sobie, że dość zacząć, a wszystko pójdzie, jak z płatka!

— Czy istotnie mają łączność z wojskiem?

— Porozumiewanie się ich kończy się na Madalińskim, Działyńskim i kilku oficerach w różnych korpusach. Nie-

wiadomo jeszcze, jak się zachowa ta część armji, którą przymuszono wejść w służbę moskiewską. Kapostas twierdzi, że u nas wszyscy rzucą się do broni, skoro tylko wojsko da przykład. Obowiązałem najmocniej sprzysiężonych, aby unikali przedwczesnego wybuchu, a zjednywali wieśniaków, bo w tem ocalenia Rzeczypospolitej i prawdziwej siły Polski szukać należy [1]). Młodzież jest zapalczywa i nieostrożna. Wiele stąd złego wyniknąć może.

Zachmurzyły się twarze obecnych. Kościuszko raz po raz odgarniał włosy z czoła ruchem nerwowym, znamionującym myśli natężenie.

— Cóż Madaliński? — rzucił krótko.

— Z Madalińskim gadałem. Przyrzekł czekać „do ostatniej konieczności", powiada jednak, że na wszystko się waży, gdyby Moskale chcieli rozbroić jego brygadę. Ze wszystkiego jednak, com widział, wnioskuję, że nie należy przyśpieszać insurekcji, ale, przeciwnie, odłożyć ją do wiosny.

— Jest to także głębokie moje przekonanie — odrzekł chmurno Kościuszko.

Podano wieczerzę. Zajączek zabrał się do niej z wilczym iście apetytem. Rozpogodził się nieco i nabrał humoru.

— Muszę oznajmić ci, Naczelniku — rzekł naraz — że jesteś tak w kraju ubóstwiany i oczekiwany, jak Mesjasz drugi! Ukazanie się twe na granicy rozniosło się już szeroko. Poszedł szmer, iż przybyłeś dla uwolnienia Ojczyzny od ucisku. Komendanci nasi udzielili wiadomości oficerom, chcąc podtrzymać ich odwagę i nadzieję. Oficerowie powierzyli je swym przyjaciołom i tak, rzec można, kraj cały uszu nadstawia i czeka. Przychylność dla ciebie wielka.

— Liczą na mnie, a to odpowiedzialność ciężka! Trzeba się było zmóc z sobą, aby ją przyjąć, wszelako ufam, że

---

[1]) Słowa własne Zajączka z jego Historji rewolucji 1794 r.

z waszą pomocą, koledzy, zadaniu podołać potrafię—odrzekł Kościuszko z prostotą.

— Wypadło mi przyjąć nocleg w Wiszniewie u podkomorzego Prawdzica. Młody w kampanji brał udział. Chłopak dziarski. Żonkę ma śliczną! Ponoś był na ich ślubie? Gościli mnie, żem już nie wiedział, jak się wyprosić od jadła. Oni tam modlą się codziennie: „Boże, powróć nam Kościuszkę!" Na rękachby gotowi nosić, proch z pod stóp zmiatać. Konie, wozy, płótna, wszystko już w gotowości na pierwsze zapotrzebowanie.

— Zacni ludzie! — wtrącił Kościuszko przyjaźnie.

— Młody Prawdzic akcję tajną z powodzeniem prowadzi. Oddział ochotniczy uformować zamierza.

— Wszystko pójdzie składnie, byle raz już opanować Kraków — rzekł Wojciechowski, dolewając wina.

— W ciągu tygodnia niesposób było zbadać stan rzeczy należycie — zwrócił się Kościuszko do Zajączka. — Musisz przebywać jakiś czas w Warszawie, abyśmy mieli wciąż pewne relacje bez przesadnych przechwałek zapaleńców.

— Widziałem Ochockiego — rzekł Zajączek. — Robi się tam ruch na Wołyniu i Ukrainie, ale wielu z obywateli w jarzmo sami kładą głowę. Ulubiony twój Bukarek przysięgę złożył. Lubowidzkiego forytuje. W sierpniu, wezwany do Petersburga, wziąwszy z każdego pułku po dwóch oficerów, carycy ich przedstawił dla pokazania mundurów naszych [1]).

— Kościuszko brwi ściągnął. Ręką, na łokciu wspartą, cisnął mocno skronie. Zajączek ciągnął dalej:

— Z wiosny jeszcze posłany był do Petersburga Barcio Giżycki. Ten znów tak carycę zachwycił, że mu tabakierkę złotą ze swą cyfrą, brylantami wysadzaną, ofiarowała, dostał przytem rangę podpułkownika w pułku dragonów moskiewskich. Sanguszkowie obadwaj dostali rangi: wojewoda gene-

[1]) Seweryn Bukar «Pamiętniki», str. 116.

rała piechoty, książę Eustachy generał majora. Tem się od konfiskaty dóbr wywinęli.

Kościuszko chwycił się za głowę.

— Na Eustachego liczyłem — dodał chmurno Kościuszko — ale gdy zawodzą dawne, stworzymy nowe siły.

Zaległo ponure milczenie.

Naraz od strony ogrodu zapukano w szybę trzy razy.

Wojciechowski zerwał się i ku oknu poskoczył.

— Kto zacz? — huknął gromkim głosem.

Nie było odpowiedzi, więc chwycił pistolet i wybiegł szybko.

W niedługim czasie powrócił nieco zatrwożony.

— Przykazałem czuwać bacznie, czy kto nie szpieguje. Wartownik zauważył dwóch obcych całkiem ludzi, przemykających się chyłkiem koło dworu. Zanim zdążyłem wyjść, znikli bez śladu.

W niespełna godzinę przybył goniec z Bronowic, z kartką adresowaną do Milewskiego.

Kościuszko przeczytał ją szybko, zmiął w ręku i rzucił w tlejący na kominie ogień.

— Muszę oddalić się stąd niezwłocznie — rzekł do towarzyszy. — Wodzicki zawiadamia, że spotkanie nasze nie utaiło się. Podobno Łykoszynowi ktoś doniósł, ale pogłoskom nie dał wiary. Wodzicki wszelako radzi zejść im co prędze z oczu.

Kościuszko zamyślił się chwilę.

— Jeśli mam być kiedyś użyteczny Ojczyźnie, potrzeba, abym się zachowywał i był względem siebie ostrożny - rzekł z westchnieniem.

— Usłuchaj, generale, rady przyjaciół i opuść nie tylko Galicję, ale i Saksonję na czas pewien — rzekł Wojciechowski. — We Florencji Małachowski i Niemcewicz przyjmą cię z otwartemi rękami, będziesz się czuł jak w domu.

Kościuszko uśmiechnął się smutnie.

— Bezdomny dziś jestem! Jak zwierz tropiony coraz dalej uchodzić muszę!... Nie na długo, mam nadzieję — dodał raźniej. — Jeszcze przed świtem do Lipska, a potem dalej w świat wyruszę. Czekać będę od was wieści pomyślnych, że wracać pora.

* * *

— Jeszcze nie czas!...

Ta odpowiedź Kościuszki jak zgrzyt działała drażniąco na podniecone umysły sprzysiężonych.

Kiedyż wreszcie stanie się zadość życzeniom tych, którzy mu bezgranicznie zaufali!

Wyjechał do Włoch. Poco? Dlaczego?

Dręczące pytania rzucano sobie nawzajem, a war krwi gorącej coraz bardziej unosił młodzież.

Nie czas jeszcze? A kiedyż czas sposobniejszy do wywarcia zemsty?...

Moskwa nagli o umniejszenie wojska. Arsenał nam zabrać mają.

Czekać, żeby nam całą broń i ludzi zagarnął wróg, czekać w milczeniu, gdy duch płonie, ręka po pałasz bezwiednie sięga?...

Upłynął wyznaczony termin dziewiętnastego listopada.

Przebrała się miara zniecierpliwienia i rozpaczy.

Zali Dyktator waha się wrogom cisnąć rękawicę?

A więc musimy obrać innego wodza.

Przedewszystkiem na Działyńskiego oczy zwrócono.

— Wiedź nas! Kościuszkę zastąp! Niech już raz gra się rozpocznie! Niech świat się dowie, że upokorzeń dłużej Polska nie zniesie!

Działyński odmowną dał odpowiedź.

A więc Wodzicki? Madaliński? Obaj godni prowadzić zastępy w bój krwawy na śmierć i życie.

Odmowa — i tym razem stanowcza odmowa!

Żaden odpowiedzialności naczelnictwa na siebie wziąć nie chce. U każdego jedna i ta sama odpowiedź na ustach:

— Kościuszko, on jeden potrafi składnie poprowadzić.

Aż do Florencji pognali oficer Guszkowski i stolnik Jelski wślad za Kościuszką; pierwszy od wojskowych, drugi w imieniu sprzysiężonych błagał, zaklinał, molestował.

Kościuszko od Zajączka oraz innych miał jak najdokładniejsze, ale, niestety, niepomyślne wieści z kraju: „Zamęt, ładu dojść nie można!... Funduszów brak!..."

— Niesposób zaczynać z nikłemi środkami! — twierdził stale Naczelnik. — Niesposób!...

A tymczasem coraz groźniejsze gromadziły się chmury.

Nieostrożnie poczynali sobie młodzi zapaleńcy, obudzając tem czujność prześladowców.

Szef Działyński padł pierwszy jej ofiarą. Schwytany, uwięziony w Kijowie, stracony został bezpowrotnie dla sprawy.

Kapostas miał być zaaresztowany, udało mu się jednak przedostać zagranicę.

Jasiński z Litwy donosił o niepodobieństwie powstrzymania dłużej związkowych, gdyż bardziej jeszcze, niż gdziekolwiek, działy się tam gwałty niesłychane. Aresztowania, wywożenia, konfiskaty były na porządku dziennym.

Madaliński zapowiedział, że w ostateczności przebije się do Galicji i ofiaruje swe służby Austrji. [1])

Związkowcy, straciwszy nadzieję pozyskania wśród wojskowych zastępcy godnego Kościuszki, obrali naczelnikiem powstania obożnego lit. Karola Prozora.

Ten nie odmówił, aby do ostatecznej rozpaczy nie przywieść sprzysiężonych. ale z głębokiem przekonaniem twierdził:

---

[1]) Gen. Paszkowski. — Dzieje T. Kościuszki, str. 52.

— Tylko pod dowództwem Kościuszki przedsięwzięcie nasze udać się może! — I wnet po powrocie Naczelnika z Włoch pośpieszył doń do Drezna.

Było to w początkach marca 1794 r.

Oboźny litewski wraz z księdzem Dmochowskim do kolan Naczelnika przypadli.

— Ostatni czas! Ostatni czas! — wołali. – Każda chwila droga! Chociażby na śmierć pewną, wszyscy za tobą pójdziemy! Redukcja 15 marca musi być ukończona. Wojsko gotuje opór. Madaliński już dał hasło. Wyruszył z Ostrołęki, wzdłuż granicy pruskiej, wprost na Kraków zmierza. Odważnym Bóg sprzyja. W rozpacznym wysiłku podwoją się nasze siły!...

— Rozumiem doskonale, że już nic tej fali prącej naprzód nie powstrzyma — rzekł Kościuszko. — Przebrała się miara! Jeśli nie potrafimy zwyciężyć, to przynajmniej uczciwie zginiemy.

Na ostatnie odwołanie się do Francji wychodźcy w imieniu Republiki otrzymali odpowiedź: „że nie może skutecznie poprzeć uzbrojeń Polaków, gdyż nie pojmują oni wszechwładztwa ludu".

Robespierre stał natenczas u steru i wolę swą żelazną chciał wszystkim narzucić, wszędzie morderczą ku wytępieniu szlachty wprowadzić gilotynę!...

A Kościuszko bohaterskie swe posłannictwo brał z czcią, jak sakrament, z przeczystą pokorą dusz wybranych, modlił się w głębi serca:

— Panie! Nie jestem godzien być wodzem mego ludu!... A jednak... jeśli tak być musi, jeżeli Ojczyzna tego żąda ode mnie, Boże daj moc tej garstce zrozpaczonych wytrwać i zwyciężyć! Boże, dozwól mi wszystkie stany węzłem miłości bratniej złączyć na wieki!...

W oczach ku niebu duszę wznosił, serce gorzało mu płomieniem, który ogarniał całą Polskę od krańca do krańca.

Na zew jego dążyło wszystko, co było jeszcze najszlachetniejszego w Ojczyźnie naszej.

Szli, wiedzeni czarodziejskiem hasłem: Do Naczelnika! Do Kościuszki!

A on, raz powziąwszy niezłomne postanowienie, stał się jako orzeł, rozpuszczający skrzydła do lotu i wzbijający się coraz wyżej i wyżej. Padały rozkazy jak błyskawice, odezwy, wezwania gorącym warem rozpłomieniały krew w żyłach, serca struchlałe krzepiły nadzieją.

* * *

W mroźny poranek marcowy wyjeżdżał Kościuszko z Drezna przez Czechy ku Krakowowi. Przyjął chwilowo gościnę w domu obywatela Majewskiego na Podgórzu, stąd czyniąc tajemne przygotowania do zajęcia Krakowa.

Z sił zbrojnych liczyć mógł narazie jedynie na Wodzickiego, Mangeta, oraz bataljon Czapskiego.

Naraz, gdy w pogoni za Madalińskim popędził gen. Tormasow, pułkownik Łykoszyn otrzymał rozkaz niezwłocznie Kraków opuścić i podążyć do Radomia, by się z innemi oddziałami połączyć.

Jakby na dobrą wróżbę, szczęście sprzyjało na wstępie zamysłom Naczelnika. Nie tracąc chwili czasu, w kilka godzin po wyruszeniu Łykoszyna już stanął w Krakowie w pałacyku Wodzickich, a sprzysiężeni roznieśli wieść pomyślną po mieście, zachowując jednakże nakazaną ostrożność i nie zdradzając się przed niewtajemniczonymi.

Poznawano się po umówionych znakach. Wzięcie się za szyję, a potem złożenie nakrzyż małych palców oznaczało, że się ma do czynienia z należącym do związku patrjotycznego.

Cała noc zeszła na przygotowaniach do pamiętnego dnia, w którym miał być ogłoszony akt powstania.

* * *

Od wczesnego rana przy bramach miejskich postawiono warty z bataljonu Czapskiego.

— Rety!... rety!... Coś się stało! Żołnierze nasi nikogo z miasta nie puszczają! — wołała Maryśka służąca, wpadając z koszykiem prowjantów do mieszkania prezydenta Lichockiego.

— Co ona gada? Zmysły postradała! — odezwał się dostojnik miejski, przeciągając się na wygodnem łożu i wynurzając głowę z pod pierzyny.

— A niech ichmość ludzi zapyta — odrzekła Maryśka rezolutnie — taki ci na rynku rwetes, jakby cosik wielgiego stać się miało! Gadają, co jakiś pan Kościuszko przyjechał nocą i będzie ludzi do przysięgi wzywał.

— Brednie, brednie; głupie gadanie! — zżymał się prezydent, ubierając się pośpiesznie. — Niech mi tu zaraz chorąży miejski się stawi.

— Muszę ino narychtować śniadanie—mruczała służąca, przygotowując pośpiesznie zastawę do rannego posiłku.

— Czyń, co ci jegomość każe — ofuknęła ją pani prezydentowa, a zwracając się do męża, dodała: — Nie psuj sobie krwi naprożno, dobrze, że zawczasu jesteś powiadomiony i wydasz odpowiednie zarządzenia.

— Ja im pokażę, co to jest bramy miasta zamykać, ja Filip Nereusz Lichocki, prezydent miasta Krakowa. Może jakie jakobiny chcą rzeź wyprawić.

— Ależ, mój Filipie, bądź dobrej myśli! — uspokajała prezydentowa; — jednakże srebrny imbryk tak zadrżał w jej ręku, że przelała kawę na świeży obrus.

Zjawił się chorąży, którego Lichocki wysłał z zapytaniem do pułkownika Karczewskiego, ten zaś odpowiedział, że taki rozkaz z góry.

— A więc generał Wodzicki takich się dopuszcza ekscesów — syknął Lichocki. — Widziane to, słyszane rzeczy?

— Bądź mężny, Filipie! Mam przeczucie, że stanie się coś nadzwyczajnego. W powietrzu czuć wielkie rzeczy — wołała prezydentowa.

Naraz wpadł kapral zadyszany, ledwie mogąc przemówić.

— Przybywam od kupca Laszkiewicza. Polecił przestrzec, iż zanosi się na wielką ruchawkę. Niema chwili czasu do stracenia. Musi się pan prezydent ukryć w jakowem bezpiecznem schronieniu.

— Waćpan winieneś służby swej w ratuszu pilnować, a nie z plotkami przychodzić! Ruszaj waść, pókim dobry— ofuknął prezydent.

Aliści i sam Laszkiewicz wnet przybył.

— Nie wiń, dobrodzieju mój, kaprala, którego sam z życzliwości wysłałem. Ekskuzuję się, alem w dobrej myśl ową radę podawał, boć teraz u nas co godzina to nowina! Gadają, że będą nowe rządy, nowe prawa, kamień na kamieniu nie zostanie, duszę człowiekowi podszewką do góry wywrócą!

— Masz waszmość inklinację do szerzenia przesadnych wieści! — odrzekł prezydent, odymając usta — ja się tam nikogo, nie ulęknę!

Zaledwie kupiec oddalił się, gdy zameldowano jakiegoś oficera.

— Biegański jestem, adjutant generała Wodzickiego — przedstawił się wchodzący.

Prezydent skłonił się nisko.

— Czemu mam zawdzięczać bytność pana adjutanta w moim domu? — zapytał z lekkiem drżeniem w głosie.

— Generał żąda, iżby pan prezydent zwołał natychmiast urzędników miejskich i lud wszystek. Mają się zgromadzić przed ratuszem za godzinę najdalej. Tam będzie oświadczona wola narodu. Najwyższy Naczelnik generał Kościuszko i wszyscy obecni przysięgę złożą.

— Według rozkazu! — szepnął Lichocki, dziwnie naraz spokorniały. — Niech strzelec duchem do radnych wieść zaniesie; starszych cechowych też powołać każę. Ale powiedzże mi, dobrodzieju mój, co to za ruchawka? Skąd pan Kościuszko przyszedł naraz do takiego znaczenia? Toć wiem, że bił się dawniej w Ameryce i Moskalom się stawił mężnie, ale skąd tu, w Krakowie, jakieś rządy nowe sprawować zamyśla?

— Wolą narodu jest mieć Naczelnika Kościuszkę nad sobą. Wszystko pójdzie dobrze, gdy on z nami!

Biegański promieniał. Wyraz twarzy, gdy wymawiał imię Kościuszki, był już niemym hołdem dla Naczelnika.

— A może razem na miasto wyjdziemy? — zawołał Lichocki, rad mieć obok siebie wojskowego dla bezpieczeństwa.

— Kapitan Wasilewski, kwatermistrz regimentu generała Wodzickiego — zameldowano prezydentowi.

— Od dziś adjutant Naczelnika Kościuszki — dodał Wasilewski, z dumą opierając rękę na szabli.

— Jeśli, obywatelu, masz życzenie przedstawić się Naczelnikowi, możesz go zastać jeszcze w pałacu Wodzickich.

Lichocki spojrzał niespokojnie po obecnych.

— Jeśli mam życzenie?... — powtórzył odruchowo. Bezpieczniej na oczy mu się nie nawijać — pomyślał w duchu, a głośno dodał:

— Radbym z duszy, ale muszę przypilnować, aby wszystko było dopełnione według dyspozycji generała Kościuszki.

— Powiem więc Naczelnikowi, że obywatel Lichocki stawi się nieco później ..

Kapitan brzęknął ostrogami i oddalił się pośpiesznie, nie czekając odpowiedzi.

Prezydentowa, zaniepokojona podsłuchiwała pode drzwiami.

— Pójdziesz, Filipie kochany, do Wodzickiego? - zapytała trwożnie.

— Ani mi się śni! — odparł Lichocki, wzruszając ramionami. — Pan Kościuszko nie jest urzędnikiem koronnym, któremuby się atencja takowa należała od samego prezydenta!

Wydął usta z lekceważeniem.

Po rozmowie z radnymi wynikło wszakże, iż należy Kościuszkę, jako gościa dostojnego, powitać. Udał się więc Lichocki rad nierad z trzema towarzyszami do pięknej siedziby Wodzickich, obok klasztoru oo. Kapucynów położonej.

W sali pałacowej oprócz wojskowych było też kilkunastu obywateli z Galicji i Korony. Rozprawiano z ożywieniem, jednak głos przyciszając z nawyknienia do tajemnych narad. Ksiądz Dmochowski rozpromieniony opowiadał właśnie Tadeuszowi Czackiemu o niezapomnianej chwili, gdy Naczelnik z gen. Wodzickim wczesnym rankiem do kościoła Kapucynów podążyli i w loretańskiej kaplicy o. Gwardjan broń im poświęcił.

— Z Bogiem dzieło obrony Ojczyzny rozpoczął, niech mu Bóg szczęści — rzekł kasztelan Dembowski, przyłączając się do rozmowy.

— Dobrze jest, że nie poczyna sobie jak francuscy rewolucjoniści, którzy burzą ołtarze i trony. Tego się u nas najwięcej lękano — dorzucił Czacki.

Szambelan Linowski przeglądał na stronie akt powstania, który miał być wkrótce odczytany. Od czasu do czasu zwracał się do Naczelnika z wyrazem czci głębokiej.

Kościuszko czynił wrażenie wpatrzonego w głąb siebie. Odpowiadał krótko i zwięźle. W oczach malowało się wielkie skupienie.

Naraz drzwi się otworzyły i wszedł Lichocki. Starał się przybrać minę dostojną, ale widać było, iż jest mocno wylękniony. Nieśmiałym krokiem sunął ku Kościuszce, lecz Wodzicki zastąpił mu drogę i z marsem na czole ostro natarł:

— Wiedziałeś waćpan, że Moskale wyjdą, a znać mi o tem nie dałeś.

Stropił się Lichocki; przestępował z nogi na nogę i jął się sumitować pokornie:

— Jako żywo, nie wiedziałem, generale. Coś tam o tem bąkały przekupki, jakże mi było z ploťkami do komendanta śpieszyć? Aliści wczoraj dodnia wezwał mnie Łykoszyn, oddał mi klucz od pustego magazynu i zapytał: „A daleko stąd do Pińczowa?" „Czy na południe tam dociągniemy?" Dosiadł konia i z całym szwadronem ruszył przez Sławkowską bramę.

— Nie udawaj waść niewinnego baranka! — przerwał Wodzicki zapalczywie. — Nie tajnem ci było, że ciągną do Kozubowa, że o ruchu Madalińskiego uwiadomieni, taki pośpiech przedsięwzięli.

Obecni z pogardliwem lekceważeniem spozierali na Lichockiego, który bladł i czerwieniał naprzemian, plącząc się w odpowiedziach.

Kościuszko przystąpił naraz do niego i, wziąwszy go poufale za pas, rzekł z pogodnym uśmiechem, jakby łagodząc sprawę:

— Mospanie prezydencie, nie wchodzę w to, jaki byłeś dla Moskali, lecz spodziewam się, że i dla mnie będziesz grzecznym. Czy nakazałeś, obywatelu, wezwać urzędników i lud, aby się stawili przed ratuszem?

— Kazałem, mości panie generale, a jakże! Zgromadzają się — zawołał pośpiesznie Lichocki.

— Idźże waćpan na ratusz, a my też tam pośpieszymy.

Lichocki podążył wnet przodem, rad, że się wyrwał z pod biczowych spojrzeń zagniewanego komendanta.

Na rynku stał już bataljon Wodzickiego i tłum się gromadził.

Lichocki z trudem przedostawał się do tylnych drzwi ratusza, napełnionego już po brzegi mieszczaństwem rozradowanem.

Cała młodzież krakowska przybrana była w bandolety z napisami lub miała przypiętą z boku sylwetkę Kościuszki.

Napisy były rozmaite: „Wolność lub śmierć", „Równość i Wolność", „Jedność i Niepodległość", „Za Prawa i Wolność", „Za Kraków i Ojczyznę". Najczęściej jednak rzucały się w oczy: „Wiwat Kościuszko!"

— Patrzcie, Lichocki, lichota, moskiewski służka! — zawołał jakiś akademik, wskazując nań palcem.

— Filip Nereusz, Filipeusz! Jak to chyłkiem się skrada!

Ktoś gwizdnął wprost w ucho prezydenta, aż ten się żachnął, głowę w ramiona wcisnął bezradnie.

— Bez łeb go śmignij, Janek! — zachichotał jakiś żak.

— Tobie, Antek, poręczniej!

— Na latarnię go! Na szubienicę!—wołał Alojzy Kraus, kupiec krakowski, dawny kolega prezydenta.

— Stryczka mi jeno dajcie, to się z nim w mig rozprawię! — huknął ktoś, wywijając laską w powietrzu.

— Burdy tam nie robić! Spokojnie, bracia obywatele! Chwila doniosła! — zawołał komisarz porządkowy.

Na rynku naraz zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Chorągwie cechowe zakołysały się w powietrzu, a Białe Orły na tle purpurowem łopotały nad wojskiem. Deputacja żydowska usunęła się nieco na bok; młodzież akademicka rej wodziła w tłumie.

Huknęły trąby. Kapela zagrała marsza. Z ulicy św. Anny wchodził krokiem pewnym, z głową nieco wzniesioną do góry generał Kościuszko. Miał wyraz głębokiego skupienia. Moc wielka biła z jego oczu, patrzących prosto, jasno, z wiarą, że spełnia ciężki, włożony nań obowiązek, lecz że zadaniu według sił i możności sprostać potrafi. Obok niego postępował utykający nieco na nogę komendant Wodzicki, w paradnym mundurze, z wstęgą orderową na piersiach; tuż przy nim Linowski, również w stroju galowym; dalej kasztelan Dembowski, hr. Moszyński, Tadeusz Czacki, Jan i Andrzej Ślascy, Kapostas, oraz kilku oficerów wyższej szarży, stanowiących sztab Naczelnika.

Bataljon piechoty sprezentował broń i wykonał rotę przysięgi na wierność Narodowi polskiemu i posłuszeństwo Tadeuszowi Kościuszce, Naczelnikowi Najwyższej Siły Zbrojnej Narodowej, wezwanemu od tegoż Narodu do bronienia wolności, swobód i niepodległości Ojczyzny.

Zakołysało się morze głów, zalegające rynek. Dreszcz radosnego zachwytu przebiegł tłum cały. Wszyscy wytężyli słuch i utkwili wzrok w Naczelnika, stojącego w samym środku czworoboku, utworzonego przez żołnierzy.

Kościuszko wyciągnął z pochwy szablę i wzniósł ją w górę.

Zaległa taka cisza, że, zda się, każdy bicie własnego serca wyraźnie chwytał uchem.

I zabrzmiał naraz głos dźwięczny, donośny jak hejnał dla całego narodu:

— „Ja, Tadeusz Kościuszko, przysięgam w obliczu Boga całemu narodowi polskiemu, iż powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie jej dla całości granic, odzyskania samowładności narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna męka Syna Jego!"

Z wszystkich piersi wyrwał się okrzyk:

— Niech żyje Polska wolna, cała i niepodległa!... Niech żyje Kościuszko!"

Czuć było w każdym geście, w każdem spojrzeniu olbrzymi zasób energji, tłumionej długo, a wybuchającej dziś z żywiołową siłą.

Naczelnik, a za nim cały orszak, podążył teraz do wielkiej sali ratuszowej, gdzie w gorących słowach wzywał do walki w obronie ojczyzny wszystkie bez wyjątku stany.

Następnie Linowski odczytał głosem wzruszonym *akt powstania*, który miał być przez obecnych podpisany.

„Przytłoczeni ogromem nieszczęść, mając niezłomne przedsięwzięcie zginąć i zagrzebać się w ruinach własnego kraju, albo oswobodzić ziemię ojczystą od drapieżnej przemocy

i haniebnego jarzma... wszyscy *w duchu narodowym, obywatelskim i braterskim* łączymy w jedno siły nasze, wyrzekamy się wszelkich przesądów i opinij, które synów jednej Ojczyzny dotąd dzieliły, i zaręczamy sobie nawzajem nie oszczędzać wszelkich ofiar i sposobów, jakich tylko święta miłość wolności dostarczyć zdoła ludziom, powstającym w rozpaczy na jej obronę... Uwolnienie Polski od obcego żołnierza, przywrócenie i zabezpieczenie całości jej granic, ugruntowanie wolności narodowej i niepodległości Rzeczypospolitej, ten jest cel święty powstania naszego".

— Oj, to, to! Oj, tak, tak! — dawały się słyszeć przytakiwania słuchaczy.

. . . „Obieramy przeto i uznajemy niniejszym aktem naszym Tadeusza Kościuszkę za Najwyższego i jedynego Naczelnika i rządcę całego zbrojnego powstania naszego. On złoży zaraz Najwyższą Radę Narodową. Powierzamy obywatelskiej gorliwości jego wybór osób do tej Rady".

— Zgoda! Wiwat! Doskonale!—wołano zewsząd.

Po odczytaniu aktu powstał wielki gwar na sali.

— Precz z wizerunkiem Ciołka!—odezwał się Żukowski, patron miejski, wskazując portret królewski, wiszący na ścianie.

— Słusznie, słusznie! — podchwycił Gabrjel Taszycki. — Naczelnik rządy sprawować będzie! Precz z Ciołkiem! Precz z Pamiętowskim!...

— Niech akt powstania podpiszą wszyscy tu obecni obywatele!—wołał Żukowski. — Kasztelanie—zwrócił się do Dembowskiego — i wy, panowie radni, prosimy bliżej do stołu!

Zakotłowało się jak w ulu. W kilka minut już miejsca nie starczyło na akcie, kładziono więc coraz to nowe arkusze.

— Prezydenta tu bliżej! — huknął ktoś nad uchem Lichockiego, który się wcale do podpisu nie kwapił.

— Obywatelu Lichocki, a żywo!

Kilkanaście rąk wyciągnęło się naraz, potrącając i wypychając naprzód prezydenta.

— Podpiszę, a jakże, pocóż tyle turbacji? — jęknął Lichocki. — Ja insurgentem! Boże, zmiłuj się!—mówił w duchu, przerażeniem zdjęty. Położywszy podpis, zaczerpnął głęboko powietrza, jakby dokonał strasznego dzieła, i co tchu zmykał ku domowi, gdyż pogróżki i docinki złośliwe jeżyły mu włos na głowie.

— A tom się wyrwał z ciężkiej opresji! — zawołał do żony. — Rozjuszeni są na mnie. Jako Daniel wśród lwów się znalazłem!...

Gorzej jeszcze czuł się nieszczęsny Daniel, gdy Dembowski, Ślaski i Bernier przybyli dla zrewidowania jego dokumentów osobistych dla przekonania się, czy z Moskalami był w tajnem porozumieniu.

Skończyło się tylko na strachu, gdyż zarzut dowodami poparty nie był.

Uszczęśliwiony Lichocki pośpieszył ofiarować powstańcom cenne szable, karabelę, dwie fuzje tureckie, sztuciec srebrem nabijany, parę pistoletów; prezydentowa zaś dodała sztukę płótna oraz siodło z całym rynsztunkiem.

Krakowianki przyjmowały żywy udział w przygotowaniach do powstania i objawiały głośno zachwyt dla Naczelnika.

Nawet w uczesaniu pań zaszła nagła zmiana; przestały trefić włosy, układać wysokie fryzury. Dość krótko obcięte włosy zawiązywały wstążką, jak je nosił Kościuszko.

Wydana przez niego odezwa do kobiet podwoiła jeszcze ich zapał. Zaczynała się od słów:

„Ozdobo rodzaju ludzkiego, płci piękna!"

— To rozumiem, święta prawda, żeśmy ozdobą, a nie żadnym niższym tworem — wołała żona jednego z radnych, przyjaciółka prezydentowej, wpadłszy do niej zadyszana, podając odezwę.

Lichocka przebiegła szybko wzrokiem całą stronicę.

— Filipie!—zawołała, przywołując męża z sąsiedniej komnaty—posłuchaj, jak Naczelnik do kobiet pisze:

Jęła czytać na głos:

„. . . Bracia, synowie, mężowie Wasi uzbrajają się do walki. Krew nasza musi Wasze zapewnić szczęście. Kobiety! Niech onej wylew Wasze wstrzymają starania! Raczcie, proszę Was o to, na miłość ludzkości, robić szarpie i bandaże dla rannych. Ofiara ta rąk pięknych ulży cierpieniom rannych i męstwo samo zachęci!"

— Co mi tam po tem! — odrzekł Lichocki niechętnie — gdy tymczasem komisja powstańcza chce zabrać nam srebra i pieniądze, złożone w klasztorze. Straszne czasy! Dziś nikt nie pewny swego, a każdy szewc, rzeźnik, siodlarz, rymarz równy prezydentowi! Zachęca ów rząd nowy, żeby chłopy z kosami i kijami na armaty biegli, zagrzewa lud ciemny do wojowania. Koniec świata!... Koniec świata!... Wszystko dziś naopak!... Na wiór wyschnąć można od tych nowin!...

* * *

Po całym kraju rozniosła się wieść radosna o powstaniu. Wyrywano sobie z rąk odezwę Kościuszki do obywateli, pełną gorącego uczucia, porywającą siłą przekonania.

Ze łzami czytano te słowa:

„. . . Już to jest ostatni moment, w którym rozpacz pośród wstydu i hańby oręż nam do rąk kładzie. W pogardzie śmierci jedyna jest nadzieja polepszenia losu naszego i przyszłych pokoleń. Nie dajmy się zatrwożyć postrachem zmówionych na zgubę naszą nieprzyjaciół".

„. . . Pierwszy krok do zrzucenia niewoli jest odważyć się być wolnym; pierwszy krok do zwycięstwa poznać się na własnej sile".

„. . . Obywatele! Dało wam piękny przykład gorliwości województwo Krakowskie; ofiarowało Ojczyźnie kwiat młodzieży swojej, uchwaliło pobór pieniężny, przyrzekło wszelką pomoc dla obrońców kraju. Przykład ten godny jest naśladowania waszego. Wasze doświadczenie tylu przykrości od

żołnierza moskiewskiego powinno was przekonać, iż lepiej jest czynić chętnie dla Ojczyzny, coście pod groźbą dla jej nieprzyjacioł czynić musieli. Kto w takiej okoliczności pokaże się nieczułym na potrzeby kraju; ten słusznie cechą niesławy naznaczony będzie. Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam!"

Jan i Andrzej Ślascy formowali z zapałem oddziały kosynierów. Lud garnął się ochoczo do szeregów, a Kościuszko swem serdecznem zachowaniem budził zapał i rozgrzewał serca.

Powiew wolności, nadzieja ogólnego uszczęśliwienia ogarnęła umysły. Pilno było młodzieży stanąć pod bronią, każda godzina przysparzała oddziałom powstańczym nowe siły.

Kościuszko z błyskawiczną szybkością wydawał zarządzenia, wysłuchiwał każdego z przybyłych. Było teraz coś w jego wzroku, co działało jak prąd magnetyczny na umysły i serca. Rzecby można, przenikał głąb duszy jednem wejrzeniem. Pracował z wytężeniem od świtu do późnego wieczoru, a potem nocą pisał listy, rozkazy i odezwy na wsze strony.

Obaj Ślascy i generał ziemiański, Gabrjel Taszycki, zajęci byli w kwaterze Naczelnika spisywaniem nowozaciężnych. Radował oczy widok dziarskich, przeważnie z najbliższych okolic miasta przybyłych, Krakusów. Malowniczo i butnie przedstawiał się ten oddział niezwykły. Miast munduru — sukmana, wyszyciem ozdobiona, kołnierz spadający na ramiona, wyszyty złotemi blaszkami. Czapka niska, czworograniasta, barankiem okolona; pas skórzany, nabijany mosiężnemi ćwieczkami, którego jeden koniec z fantazją ku dołowi się spuszczał. U pasa na rzemyku nanizane kółka mosiężne. Buty wysokie, podbite podkówkami. Błysk zapału w oku, posłuszeństwo bezgraniczne i wiara w nadprzyrodzoną niemal potęgę Naczelnika cechowała tych ludzi.

— Na ile już głów liczyć dziś możemy? — zagadnął Taszycki.

— Za trzy tysiące do jutra ręczę, wciąż jeszcze napływają nowi — odrzekł młodszy Ślaski.

— A czy kos starczy?

— Nieoceniony Kapostas dostarczył ich pięć tysięcy. Są przytem piki i toporki. Góral potrafi rzucić go niby od niechcenia i wmig wrogowi łeb rozpłata.

— Były obawy, że broni palnej i białej zbraknie, wszelako odrazu posypały się hojne dary.

Ślaski jął czytać długą listę ofiar.

— Koni Naczelnikowi też dostarczą poddostatkiem. Czacki i tylu innych już je z zaprzęgami do armat zadeklarowali.

— A ile się uzbierało klejnotów! Zegarki, łańcuszki. Ani zliczyć!

— Zapisz, waszmość, moje srebra. Są tam misy, półmiski, lichtarze, będzie na jakich 20,000 złp. — zawołał Taszycki.

— Pod nieobecność waszą, obywatelu, złożyli tu ofiary Chwalibogowie. On dał cenny zegarek złoty, ona z wyprawnych sreber zastawę stołową. Jakaś panna Orlewska pierścień z diamentem...

Kościuszko stanął w tej chwili za poręczą krzesła, na którem siedział Taszycki.

— Chwalibogowa, Orlewska tu były, powiadacie? Żałuję, żem nie wiedział! A kto wie, może i lepiej — dodał, jakby do siebie, brwi ściągnąwszy nieznacznie. — Dobrze idzie robota, bracia obywatele! — zawołał, zmieniając nagle ton. Oczy mu ogniem zapałały. — Największą naszą chlubą jest, że głos nawoływań dotarł do strzech wieśniaczych, że tak chętni są nieść krew i mienie w ojczystej potrzebie.

— O tak, Obywatelu Naczelniku, ciżba wciąż się zwiększa, ludzie różnego stanu i kondycji dopominają się o przyjęcie do szeregów.

Męciszewski, komisarz porządkowy, starał się doprowadzić do ładu tłum, otaczający „Szarą kamienicę" na rynku, do której się przeniósł teraz Kościuszko.

Naczelnik nie dozwalał odstręczać nikogo.

— Niech przychodzą, niech każdy wypowie swe żądanie, złoży ofiarę. Za najdrobniejszy datek „Bóg zapłać" w imię Ojczyzny odpowiem.

— Czekają tu, Naczelniku, galarnicy z Czernichowa; ci sami, którzy po ogłoszeniu konstytucji 3-go maja pośpieszyli złożyć dar na potrzeby wojska — rzekł Męciszewski.

— Niech się zbliżą! — zawołał żywo Kościuszko.

Wysunęli się naprzód, mnąc w ręku czapki baranie, Wojciech Sroka, Tomasz Brandys i Jan Grzywa.

Na ogorzałych twarzach mieli wyraz powagi i skupienia.

Brandys odpasał pas skórzany i wytrząsnął z niego sporo dukatów. Podał je Kościuszce w czapce baraniej.

— Prosiewa na kiepsko wypchanego baranka — rzekł, kornie pochylając się do kolan Naczelnika.

— Niech żyją tacy obywatele! — zawołał Kościuszko i każdego zkolei brał w ramiona i uścisnął po bratersku.

— Wiwat Naczelnik! Wiwat Kościuszko! — rozległy się głośne okrzyki.

Tłoczono się tak naokół, aby choć na mgnienie oka przyjrzeć się zbliska Kościuszce, że już komisarz porządkowy nie mógł dać rady. Ciżba zwiększała się, okrzyki rosły. Nowozaciężne Krakusy krzyczeli najgłośniej:

— Niech żyje Polska! Niech żyje Kościuszko!

Serdecznem spojrzeniem i pogodnym uśmiechem dziękował Naczelnik wszystkim obecnym. Szukając wzrokiem tego, komu wręczył czapkę baranią Brandysa, dostrzegł, że to był znany mu z Lipska Wojciech Mączyński, który wraz z Józefem Wodzickim na pierwszą wieść o powstaniu do Krakowa pośpieszyli.

— Jesteście tu, chłopcy? Zaciągacie się do wojska? — rzucił krótko, a zwracając się do adjutanta, rozkazał dla obu wygotować patenta na szarżę podporucznika.

Mączyński stał z czapką baranią w ręku, z radości oniemiały.

Jakże to? Naczelnik wyczytał z twarzy myśl, nie obleczoną w słowa? Młody chłopak układał sobie przez całą drogę, jak będzie prosił o zaciągnięcie się do służby, a tymczasem rzeczywistość przeszła jego najśmielsze marzenia.

Radby, jak owi wieśniacy, do nóg Kościuszki przypaść i podziękować za tyle łask, ale Naczelnik rzekł pośpiesznie, wskazując na czapkę:

— Oddaj to księdzu Kołłątajowi — i znikł mu z oczu.

W sąsiednim pokoju ujrzał Mączyński Kołłątaja siedzącego przy stole. Chore nogi miał, jak zwykle, owinięte w płótno. Zliczywszy pieniądze, wpisał je natychmiast do leżącej przed nim księgi rachunkowej.

Pomimo że każde niemal poruszenie sprawiało mu ból wielki, nieomieszkał pośpieszyć do Krakowa, aby dopomagać czynnie Naczelnikowi i ład w mieście utrzymać.

— Dziś czekam cię przed wieczorem u siebie, kochany Naczelniku—rzekł generał Wodzicki, przyłapawszy Kościuszkę w przelocie.—Kołłątaj czegoś krzyw na mnie, do wszystkiego się wtrąca, a musimy walną naradę złożyć na osobności.

— Dobrze, lecz muszę być o szóstej u starościny. Mamy tam z Czackimi omówić sposoby przesłania tajnych rozkazów w Poznańskie — odrzekł Kościuszko.

— Starościna mego bratanka chce użyć w tym celu. Więc później czekam cię z wieczerzą — rzekł generał. — Linowski też przyjdzie.

Pożegnali się krótkiem skinieniem.

Dom starościny wolbromskiej był ogniskiem, gdzie się wciąż na tajne narady zbierano.

Gdy marszałek dworu wprowadził Kościuszkę na salę, wybiegł pierwszy na jego spotkanie mały Ludwiczek Mor-

sztyn,[1]) wychowanek starościny. Powitawszy Naczelnika, przyglądał mu się chwilę, a w jasnych oczętach chłopca malowało się zdumienie.

Kościuszko nigdy nie przeszedł obok dziecka obojętnie, gdyż świat dziecięcy miał dla niego wiele uroku.

— Cóż tak patrzysz na mnie, jakbyś ujrzał krokodyla?— zagadnął przyjaźnie.

— Mówią wszyscy, że pan generał jest teraz najwyższy w całym kraju...—odrzekł Ludwiczek rezolutnie, lecz w głosie jego zabrzmiało rozczarowanie.

Kościuszko rzucił okiem w zwierciadło i zrozumiał myśl chłopca niedopowiedzianą. Wydawało mu się, iż ujrzy naraz przed sobą olbrzyma, gdy tymczasem Naczelnik był zaledwie wzrostu średniego.

— Sądziłeś, że urosłem pod sam pułap? — żartował Kościuszko i, biorąc Ludwiczka za oba łokcie, podniósł w górę.—A teraz tyś wyższy ode mnie—śmiał się swobodnie.— I mnie tak naród mój wzniósł ponad siebie! Rozumiesz teraz jak to można urość w jednej chwili?...

Wszedł Czacki i wprowadził Naczelnika do gabinetu starościny. Siedziała przy biurku zarzuconem papierami, jakby w jakiem ministerjum. Oczy jej duże, wyraziste, łączyły w sobie łagodność niewieścią z męskim iście rozumem. W twarzy stojącej obok niej pani Tadeuszowej Czackiej malowała się dobroć niezmierna. Młodsza jej siostra, Salusia, zajęta była haftowaniem orła białego w krośnach.

— Umyśliłyśmy użyć kobiecego fortelu — rzekła starościna, gdy Kościuszko po przywitaniu obok niej zajął miejsce. — Oto poduszka toaletowa na szpilki będzie służyć za

---

[1]) Urszula z Morsztynów Dębińska, właścicielka Szczekocin, zacna matrona, której uczucia patrjotyczne ogólnie były znane, córkę wydała za Tadeusza Czackiego, cieszącego się wysokiem poważaniem dla głębokiej wiedzy i niezwykłych zalet charakteru.

bezpieczną schówkę na papiery. Józefek Wodzicki, którego siostra jest za Michałem Potulickim w Poznańskiem, chłopak rozgarnięty, dobrze się sprawi, a przytem wyjazd do krewnych niczyjej uwagi nie zwróci. Poduszeczkę niby w prezencie dla siostry zawiezie. [1])

— Dzięki za pomysł szczęśliwy! — rzekł Kościuszko, całując rękę starościny. — Jóźka znam z Lipska, do wojska dziś został zaliczony.

— W tej chwili właśnie przyszedł — rzekł Czacki i zaprosił młodzieńca do gabinetu.

Kościuszko dopisywał jeszcze naprędce słów kilka, poczem ważne dokumenta wsunięto w poduszeczkę i wręczono Wodzickiemu.

Chłopak, uradowany okazanem mu zaufaniem, smucił się jednak myślą, że w bitwie, mającej być stoczoną lada chwila, udziału nie weźmie. Nie śmiał jednak z tem się odezwać i otrzymawszy na drogę błogosławieństwo starościny i życzliwe przestrogi Naczelnika, oddalił się pośpiesznie.

Kościuszko opowiadał w poufnem gronie swe plany. Napływ włościan do wojska radował go niezmiernie.

— Pragnę z nich sformować w najbliższej przyszłości regiment grenadjerów krakowskich—zawołał pełen otuchy.— Krakowskie najlepiej z całego kraju do powstania jest przygotowane.

Obecni podzielali zapał Naczelnika. Czacki wypowiadał zdrowe i jędrne zdania.

Starościna położyła rękę na głowie Kościuszki, gdy całował jej rękę na pożegnanie.

— Niech Bóg cię wiedzie szczęśliwie — szepnęła głosem wzruszonym — w tobie cała ufność nasza, Naczelniku!

Zatrzymał go jeszcze na chwilkę w przedsionku Feliński.

---

[1]) O przewiezieniu w ten sposób ważnych dokumentów opisuje W. Mączewski „Kościuszkowskie czasy".

— Nie wiem, czy mię sobie mości pan generał przypomnieć raczy — szepnął zarumieniony. Głos mu się łamał od wzruszenia.

— Jakżeby nie! — powitał go przyjaźnie Naczelnik — autora tak pięknego wiersza zapomnieć niesposób.

— Takbym pragnął być u twego boku, Naczelniku! — szepnął pan Alojzy gorąco.

— Dobrze, wezmę cię za sekretarza, jeśli ochota — rzucił Kościuszko pośpiesznie — roboty teraz nie zbraknie!

Pożegnał go uprzejmem skinieniem i zbiegł ze schodów.

Zanim dopadł do „Szarej Kamienicy", ktoś mu naraz zastąpił drogę.

— Melduję Imć Panu Naczelnikowi, że przybywam z raportem od brygadjera Madalińskiego — rzekł smukły ułan, salutując.

Kościuszko, pomimo panującego zmroku, rozpoznał jego rysy.

— Prawdzic?... — rzucił wpół twierdzące pytanie.

— Tak jest, Naczelniku.

— Czy Madaliński połączył się z Mangetem? — rzucił żywo Kościuszko.

— Połączył się przedwczoraj w Pińczowie. Jest teraz w drodze do Koniuszy.

Weszli do kwatery.

— Opowiedz mi, jak się dostałeś? — rzekł Kościuszko, przebiegłszy szybko raport. — Jak dawno zaciągnąłeś się do wojska?

— Niespełna trzy tygodnie. Od chwili, gdy brygadjer Madaliński wyruszył z pod Ostrołęki, śledziliśmy jego ruch każdy z zapartym oddechem. Podczas pochodu złączyło się z jego oddziałem około stu ochotników. Byłem w ich liczbie. Prócz nakazanej przez Moskali pogoni, hetman Ożarowski wysłał za nami szwadron pod komendą Zborowskiego. Ten zamiast dopełnić rozkazu, wyruszył również ku Krakowowi.

21-go stoczyliśmy krwawą potyczkę pod Inowłodzią. Po drodze wzdłuż pruskiego kordonu udało się w kilku miejscach posterunki rozpędzić i kasy zabrać. Teraz poważne starcie z Moskalami nieuniknione.

— Doniesiesz, iż wnet wyruszam na pomoc. Musisz jechać, nie zwlekając.

Kościuszko pośpiesznie wygotował odpowiedź i rozkaz Madalińskiemu; następnie zapytał nagle z życzliwym uśmiechem:

— Jakoż ci było rozstać się z panią Malwiną?

— Malwinka jest w Krakowie u krewnej swej, siostry Magdaleny w klasztorze św. Jura.

— Znam ją — zawołał Kościuszko, którego twarz rozjaśniła się naraz, jakgdyby promień słońca padł na nią. — Czcigodna niewiasta, opiekunka sierot i nędzarzy. Ale cóż tam śliczna pani Prawdzicowa porabiać może?

— Uparła się tu czekać na mnie i czuwać w razie, gdyby mię przygoda jaka spotkała — dodał z pewną dumą i wzruszeniem. — Panna Tekla Orlewska również tam przebywa. Obie po całych dniach zajęte są wraz z siostrami przygotowywaniem szarpi i bandaży. Miałem okazyjnie wieści, ale Malwinka nic o mnie nie wie...

Kościuszko spojrzał na zegarek.

Dziś już spóźniona godzina, małżonki ci zobaczyć nie dadzą — rzekł, mierząc bystrem okiem Wacława — a do jutra pozostać nie możesz. Każda chwila droga...

— Według rozkazu — odrzekł Prawdzic, wytrzymując badawcze spojrzenie Naczelnika bez drgnienia. — Natychmiast siadam na koń i pędzę cwałem.

— Walny chłop z ciebie! — rzekł Kościuszko, biorąc go wpół — takich lubię! Wiem, jak jesteś do swej wybranej przywiązany, więc oceniam ofiarę, uczynioną dla obowiązku.

— Tyś nas tego nauczył, Naczelniku—zawołał Prawdzic gorąco. — Tyś nam rzekł: „Pójdźcie ze mną, czeka was sła-

wa i słodka pociecha być zbawcami Ojczyzny". [1]) Któżby mógł oprzeć się wezwaniu twemu? Gdzie jest miłość, tam nie ciężka ofiara. Żołnierze popłakali się jak bobry, gdym im czytał tę odezwę do wojska i teraz jedno tylko mają słowo na ustach: „Śmierć lub zwycięstwo!"

Kościuszce łza zamigotała pod rzęsą.

Uścisnął w milczeniu dłoń Prawdzica, który, zabrawszy listy, gotował się do wyjścia. Zatrzymał go Naczelnik, mówiąc:

— Postaram się odwiedzić siostrę Magdalenę i pani Malwinie powiem, żeś tu był zdrów i cały i że od dziś awansowany jesteś na podporucznika. Za Dubienkę jeszcze ci się ta nagroda należy.

Prawdzic brzęknął ostrogami, wyprostował się jak struna, salutując, i z ogniem radości w oku wypadł raczej, niż wyszedł, z kwatery Naczelnika, a dosiadłszy konia, pomknął jak wicher.

* * *

Lichocki od chwili, gdy ks. Hugo Kołłątaj do Krakowa zjechał, nie miał chwili spokoju, wciąż mu się zdawało, że go szubienica nie minie.

Spotkawszy dobrego znajomego, jął utyskiwać:

— Chcą mię rugować z magistratu! Niema już sprawiedliwości na świecie, jeśli najpierwszą dotąd personę w mieście taka krzywda spotyka! Powołują wszystkich bez wyjątku obywateli miasta do sypania okopów! Mam iść z całą tą zgrają oberwańców? — wołał zrozpaczony.

W tej chwili rozległy się okrzyki:

— Wiwat! Wiwat! Wiwat! — wołał tłum, biegnąc co tchu i łopocąc podkutemi butami po bruku, aż szyby drżały.

---

[1]) Z odezwy Tad. Kościuszki do wojska polskiego i litewskiego 24 marca 1794 roku.

— A cóż to za nowa heca? — zapytał prezydent pachołka.

Tak się radujom, co pan Kubecki, kupiec, z łopatą bez miasto wali!

Lichocki rad nierad przyłączył się do licznej gromady, śpieszącej Florjańską bramą, przy śpiewach, muzyce i okrzykach na jurydykę, zwaną *Wesołą*.

Było tam istotnie wesoło i gwarno, gdyż zapał ogólny dochodził do najwyższych granic.

Prezydent niezręcznie bardzo ujął łopatę i jął kopać, wzdychając i odpoczywając co chwila.

Docinkom i drwinom nie było końca:

— Łopaty, psia-kość słoniowa, w ręku trzymać nie umie, a chciało mu się miastu przewodniczyć!

— Niedołęga!

— Łyżką z pewnością zagarnia lepiej!

— Z misy do gęby! Ha, ha!

— Patrz, obywatelu Lichocki, co się nazywa porządna robota! O tak!...

To mówiąc, jakiś wyrostek głęboko zagarnął ziemię i podrzucił ją z impetem prezydentowi pod sam nos prawie.

Lichocki kręcił się, kulił, pot mu występował na czoło, zdawało się, straszne męki cierpi, ale wytrwał dzień cały.

— Cóż to, obywatelu, taką macie kwaśną minę, jakbyście tuzin cytryn połknęli? — zaśmiał się pracujący nieopodal Kubecki.

Lichocki stęknął:

— Darcie po kościach dolega. Wieczorna pora wilgoć po moich członkach rozprowadza. Chciałbym odpocząć, bo mi ręce całkiem ścierpły.

— A to fora stąd, nam tu chorych i jęczących nie potrza! Nam śpiewanie i radość, żeśmy nakoniec sami u siebie i sami dla siebie — zawołał jakiś rzemieślnik w szarym kubraku — śpiewajmy, bracia!

Dalej, chłopcy, dalej żywo,
Otwiera się dla nas żniwo...

zanuciło wesoło kilka głosów.

— Zaśpiewajmy inną pieśń, obywatele! — krzyknął jakiś akademik i zaintonował wnet:

Do broni, bracia, do broni.
Dzień sławy dla nas przychodzi,
Podnieś oręż w dzielnej dłoni,
Lepsza od ojców twych, młodzi!

brzmiały strofy pieśni bojowej, wlewając otuchę i krzepiąc siły.

— A gdzież ten niezdara, Lichocki? — Hej, hej, obywatelu! Nie zmykaj tak chyłkiem. Piosnek pięknych cię tu nauczymy!

I huknęli mu zaraz nad samem uchem:

Zdrajcy! bez Boga i wiary,
Brzydkie ojczyzny wyrodnie.
Już złość wasza doszła miary,
A karę odniosą zbrodnie.
Do broni! Stawcie się w roty i t. d.

Lichockiego aż ciarki przeszły po skórze.

— Jeżeli tylko który krzyknie: „rozprawić się z tym wyrodniem"! już będzie po mnie — błysnęło mu wmig przez mózg złowieszcze przeczucie.

Oparł się obu dłońmi na łopacie i zerkał przerażonym wzrokiem na wsze strony, jakby błagając zmiłowania.

— Śpiewaj, Nereuszu Filipie, bo ci żebra zaraz policzę!— syknął zwinny szewczyk w skórzanym fartuchu.—Toć wszystkim wiadomo, żeś z poręki Moskali na urząd burmistrza promowany! Pamiętają ludzie bal, coś dla nich wyprawił. Teraz śpiewaj z nimi!

Lichocki drżącym głosem ciągnął za innymi:

O rycerze, zwycięzycie!
Precz z serc wątpliwość i trwoga!

Już wszyscy inni skończyli strofę, tylko Lichocki ciągnął co sił i jakby echo słuszano głos jego ochrypły i jękliwy:

Przysięgamy stokrotnie
Nie dać się więcej ciemiężyć
I pójdziem wszyscy ochotnie
Z Kościuszkiem bić i zwyciężyć!

Wyglądał tak zabawnie w swem zacietrzewieniu, że stojący w pobliżu wybuchnęli głośnym śmiechem.

— A to ci zuch, obywatel Lichocki! Jak to się drze w niebogłosy! Gotów jeszcze w samej rzeczy pójść ochotnie z Kościuszkiem!

— Bić i zwyciężyć!

— Ha, ha, ha! Na koń i w pole! obywatelu Nereuszu! Ha, ha, ha!

— Pełen męskiej ochoty!...

— Nereuszu, Lichocjuszu, nie trać jeno animuszu — zanucił wesoły akademik.

— Trzeba go kapitanowi Dutkiewiczowi co rychlej posłać na naukę! — odezwał się ktoś z boku.

Lichockiemu w oczach pociemniało. Wiedział, że Dutkiewicz jest rzeźnikiem z zawodu, a teraz w wojsku przewodzi! Pewno zamierzają mu gardło poderznąć lub w najlepszym razie surowym bykowcem przetrzepać skórę.

— Wyzwoleni towarzysze i wy, akademickie mądre subjekta, — zwrócił się pokornie do młodzieży — pozwólcie mi odejść, abym wypoczęty przyszedł tu jutro od świtu do wspólnej pracy.

— A niech idzie na złamany łeb! Co nam tu po nim? — zawołała jakaś wesoła kumoszka, biorąc się w boki.

— Musi zostać i rozweselać nas swą uciesżną personą! Niech sobie tymczasem broń wybiera.

— Co ci, obywatelu, najlepiej do smaku przypadnie? berdysz, obuch, fuzyjska, kosa czy pika?

— A może lepiej widły?

— Szturmak, pistolet czy krócica?

— A ja radzę wiatrówkę...

— Widelce na drążku.

— Miotłę ratuszową!

— Dobrze, dobrze, obywatele, pójdę, dokąd każecie, wezmę broń, jaką wyznaczycie, ale pozwólcie mi już dziś oddalić się — błagał pokornie.

— Dać mu abszyt, niech sobie bez noc obmyśla, jaki oręż najlepiej pasuje jego dostojności, polsko-moskiewskiej patryjocie!...

Powrócił wreszcie strudzony i rozżalony Filip Nereusz do domu i z niemałą rozkoszą wsunął się pod pierzynę, klnąc w duchu wszelkie przewroty polityczne i rewolucyjne rządy.

* * *

W pogodny kwietniowy poranek, gdy obumarła jeszcze natura zdawała się już zrywać do życia, wyruszył Kościuszko na czele dwóch bataljonów piechoty traktem lubelskim w stronę Koniuszy.

Obóz pierwszy zatoczył Naczelnik o dwie zaledwie mile od Krakowa pod wsią Luborzycą. Tu nadciągnął Madaliński, Manget, Zborowski, oraz kilka pomniejszych oddziałów, które pośpieszyły do apelu, gorącemi odezwami Kościuszki porwane.

Do namiotu Naczelnika wszedł Andrzej Ślaski i z radosnym wyrazem oznajmił:

— Dwa tysiące rekrutów dymowych przywiodłem ci, Naczelniku.

Rozjaśniło się oblicze Kościuszki niezmiernem ukontentowaniem. Wyszedł natychmiast powitać przybyłych.

Huknęli wszyscy naraz, aż ziemia zadrżała:

— Niech żyje nasz Naczelnik, Tadeusz Kościuszko!

Błysnęły w słońcu piki, kosy i siekiery, jakby tysiące ogników srebrzystych zamigotało w powietrzu.

Powiało wonią świeżą pól ojczystych i lasów od tych krzepkich i rosłych, jak dęby, Krakusów, w malownicze przybranych sukmany.

Ślaski z dumą i zadowoleniem przyglądał się tej zwartej gromadzie.

— Mamy tu zuchów, którzy już po drodze, dla wprawy, z kozakami wmig się rozprawili — rzekł, obejmując wzrokiem w pierwszym rzędzie stojących kmiotków. — Oto Wojciech Bartos z Rzędowic, siły niezwykłej, a w odwadze mało który mu dorównać potrafi. A tu dalej Gwizdzicki, Świstacki, Dębowski, Kądziola. Każdy z nich, widać po minie, że w ogień i w wodę pójdzie za Naczelnika.

— Cóż? Pójdziecie bić się za Polskę, drodzy moi? — zagadnął Kościuszko.

— A pójdziewa!—zagrzmiało donośnie, aż się skowronki porwały nagle z ziemi i, wzbiwszy się wysoko, przyśpiewywały dźwięcznie, jakby do wtóru.

— Widać już tak Bóg zrządził i Najświętsza Panienka, że Panu Naczelnikowi Najwyższemu nas prostaków do wielgich rzeczy powołać się spodobało!—rzekł rezolutnie Bartosz z Rzędowic.

— A jakże to było z tymi kozakami?

— Niby nic. Nahajem mi jeno ściągnął jeden bez łeb, a ja kiej nie splunę w garść, a chycę za kosę... Stach za mną, a tuż Maciek i Grzela. Rach! ciach! Już ich trzech usiekaliśma, kieby kapustę!

— Dwóch żywcem wzięli — wtrącił Ślaski.

— Wiadomo; tak ci prosili: *Nie ubiwaj, brat, Bogaradi,*[1]) żeśmy, niedługo myślący, skrępowali ich i przywiedli z sobą całkiem już spokorniałe. A insze, co tam jesce było ich ze

[1]) Nie zabijaj, na Boga!

dwadzieścia, a może więcej, zmiatali bez pola, aż się kurzyło!

— Gracko spisaliście się—odrzekł Naczelnik.—A czy nie zlękniecie się, chłopcy, kiedy zagrają armaty i gradem luną kule?...

— A niechta! Komu śmierć dziś sądzona, to i tak go nie minie.

— Chyci go i w pierzynie... — zachichotał cicho jakiś młody parobczak, ukazując białe zęby w uśmiechu.

Żołnierze z różnych regimentów przyglądali się ze zdumieniem nowemu dla siebie widowisku.

Niektórzy z niedowierzaniem potrząsali głową:

— Gdzie im tam nieuczonym, bez nijakiego egzecyrunku iść w batalję!... — powiadali.

— Zobaczymy, zobaczymy, czy nie pierzchnie ich połowa, gdy powąchają prochu!

A Wojciech Bartosz, zasłyszawszy złośliwe uwagi, usta zagryzł, okiem łysnął i zawołał donośnie:

— Będziewa młócili Moskali, kiej snopy w stodole! Żywa noga stąd nie ujdzie, proszę łaski Naczelnika.

* * *

Przeszło cztery tysiące ludzi stało pod bronią, gdy Kościuszko dał rozkaz wymarszu i ruszył przodem w stronę Skalmierza. Tam ściągnęło z różnych stron wojsko rosyjskie pod wodzą generała Denisowa, posiadające trzy razy więcej od nas dział i dobrze wyćwiczonego żołnierza. Kolumna generała Tormasowa podążała wprost naprzeciw Kościuszki.

Wczesnym rankiem w dniu czwartego kwietnia nieopodal Racławic konnica nasza przegnała przednie straże tormasowskich kozaków. Kościuszko podzielił swą małą armję na trzy dywizje: jedną powierzył Madalińskiemu, drugą Zajączkowi, trzecią sam komenderował.

Moskale obrali sobie dogodną pozycję na wzgórzu, gdzie ustawili działa. Wojska nasze rozłożyły się poniżej. Środek zajął Kościuszko na czele kosynierów, poza nimi ustawiwszy piechotę dla wsparcia niedoświadczonych kmiotków w razie potrzeby. Po prawej stronie miał Madalińskiego, po lewej Zajączka. Oba te skrzydła oparte były o lasy i zabezpieczone ukrytemi w nich działami i strzelcami. Tormasow zwlekał z rozpoczęciem bitwy, oczekując posiłków. Kościuszko również nie nacierał, gotując się tylko do zażartej obrony.

Południowe słońce przygrzewało. Konie parskały i grzebały ziemię niecierpliwie, chorągiewki furczały, wiatrem poruszane. Kosynierzy stali w zwartych szeregach, w mrowie moskiewskie wpatrzeni; stali spokojni i cisi, jakby w wiejskim kościele w zbożnem skupieniu.

Od godziny pierwszej do trzeciej trwało tak wojsko bezczynnie w szyku bojowym. Wreszcie, jak kot przyczajony, rzucił Tormasow z góry na lewe skrzydło piechotę swą i artylerję. Zagrały nasze armaty, wielkie czyniąc wśród nacierających spustoszenie. Padały gęsto trupy, ale Tormasow gnał naprzód swoich żołnierzy, których nagłym zwrotem pchnął na pozycję samego Naczelnika.

Od Racławic jednocześnie ukazała się kolumna jegrów i kozaków pod wodzą Pustowałowa, zamierzająca w szalonym pędzie oskrzydlić dywizję Zajączka. Dwa jego szwadrony, wysłane na powstrzymanie impetu, nie zdołały dostatecznej wykazać energji i rozpierzchły się w popłochu. Trzykrotnie szarża naszej kawalerji została odparta, Madaliński z rozkazu Kościuszki dzielnie jął bronić placówki zagrożonej. Prawdzic siekł w prawo i w lewo, zagrzewając ochotników do walki. Zawrzał bój szalony. Rąbanina na zabój, gdyż posiłki rosyjskie wciąż przybywały. W sinej dali ujrzał naraz Kościuszko kolumnę Denisowa, sunącą jak groźna chmura. Miało się już ku wieczorowi.

Naczelnik ogarniał bystrem spojrzeniem cały ogrom niebezpieczeństwa, jednak, nie tracąc ducha, wysłał wnet adjutanta po Madalińskiego, aby powrócił na swą pozycję i gotował się na odparcie nieprzyjaciela. Tormasow tymczasem, puściwszy się ze wzgórza, począł formować swą kolumnę na polu pod osłoną baterji.

Jedna chwila miała teraz zdecydować o zwycięstwie lub zupełnej porażce. Chodziło o niedopuszczenie do połączenia się armji nieprzyjacielskiej, gdyż w przeciwnym razie najrozpaczliwsze męstwo nie mogłoby uratować od zguby.

Naczelnik schwycił sposobną porę: kilkanaście minut zaledwie dzieliło, być może, od klęski; on, wierny hasłu „Śmierć lub zwycięstwo", błyskawicznie wydaje rozkazy, Mangetowi poruczа uderzyć na piechotę Tormasowa, a sam staje na czele najśmielszych, gdyż całkiem z grożącego niebezpieczeństwa nie zdających sobie sprawy kosynierów.

— Do ataku broń! — brzmi głos donośny Naczelnika.

— Kapitanie — zwrócił się do Nideckiego — masz z dwoma kompanjami posiłkować kosynierów! Naprzód, wiara! Zabrać mi, chłopcy, te armaty!... Bóg i Ojczyzna!... zadźwięczało naraz w uszach Krakusów, nasłuchujących niecierpliwie hasła do boju.

Nareszcie! Przyszła ich kolej! Dowiodą wnet, że i oni nie „po próżnicy" tu przyszli i stoją bezczynnie od rana. Sam Naczelnik z nimi.

— Naprzód, wiara!...

Ruszyli z krzykiem ogłuszającym, jak stado olbrzymich ptaków, zrywające się nagle do lotu. Skrzydłom podobne rozwiane ich sukmany, twarze płonące, oczy roziskrzone.

Pędzą wprost przed siebie, w obłąk zgięci, nieustraszeni. Naczelnik rozkazał. Naczelnik patrzy. Ot tu! Na koniu tuż przy nich harcuje.

— A dalej! A żywo! — huknie czasem chłop który.

— Wojtek Bartos. Śmigaj przodem!

— Szymku!

— Maćku!

— A to ci padł, niezdara!

— Wiwat wolność! Wiwat naród!

— Wiwat Kościuszko!

Okrzyk powtarza naraz kilkaset głosów, przygłuszając na sekundę szczęk zwierającego się na lewem skrzydle oręża.

Trzystu dwudziestu kosynierów pędzi naoślep przed siebie, aż dech im w piersi zapiera.

A Kościuszko, zapatrzony w tę żywiołową moc wieśniaczą, oczom swym nie chce dać wiary.

Zali istotnie on swą wolą zdołał poruszyć ten huragan niepowstrzymany?...

Raz po raz zieją ogniem nieprzyjacielskie armaty.

Tu i owdzie padł jeden, drugi, krwią zbluzgany.

— A to ci prażą! psia juchy!...

— To i cóż? Gdzie drzewo rąbią, tam drzazgi lecą.

— Naprzód! Hejże, chłopcy! Jeszcze kroków piętnaście.

— Gdzie zaś! I dziesięciu nie będzie!

Wyścig śmiertelny ku zwycięstwu.

Dopadli.

Bartosz łysnął krwawem od wysiłku okiem. Żołdak moskiewski lont przykłada do armaty.

— A niedocekanie twoje!... — huknął Bartosz. Czapką swą nakrył panewkę, żołnierza kosą śmignął. Drugiemu góral toporkiem, zręcznie rzuconym, łeb rozpłatał.

Jakby nic. Prą dalej. Naprzód wiara!

Inni za nimi rzucili się na działa.

— Tsy harmaty nase!

— Obróćta ich na Moskala!—wołał góral, wskazując na konia, zaprzężonego do armaty.

— Wiwat wolność! Wiwat Kościuszko!

Jak orkan, wyrywający drzewa z korzeniem, tak ów lud, dopuszczony do wielkiego dzieła, jął teraz walić bez par-

donu kanonierów, piechotę kłuć, rąbać, siekać, miażdżyć wszystko dokoła.

Osiem dział jeszcze zagarnęli nasi „rekruci dymowi" w szalonej walce.

Przerażeni tą orgją krwawą, moskiewscy żołnierze rzucali broń, patrontasze, byle ujść z życiem. Kościuszko śpieszy teraz na skrzydło lewe, dwie kompanje prowadzi do ataku na bagnety. Łamią się nieprzyjacielskie szyki. Jeden jeszcze bataljon Pustowałowa broni się rozpacznie, aż runął wreszcie z konia podpułkownik, śmiertelnie raniony, a jego oddział legł posiekany i wykłuty. Dwunasta armata pozostała w ręku zwycięzców. Denisow cofnął się, pułkownik Muromcew dostał się do niewoli.

Ścichł bój. Mrok zapadł. Tylko jęki stłumione, tylko opary krwi i poszarpane trupy świadczyły wymownie o stoczonej tu pięciogodzinnej walce.

Przy tlejących łuczywach opatrywano naprędce rannych, ściągano broń i działa, znoszono Naczelnikowi szlify, ordery, pozostałe na placu boju, trofea wojenne, mające obwieścić światu o odniesionem zwycięstwie.

Kościuszko stał w środku pobojowiska i w milczeniu śledził jeszcze bystrym wzrokiem ustępującą woddali kolumnę Denisowa.

Madaliński i Zajączek spierali się o jakiś szczegół natarcia; bryg. Manger i major Lukke rozprawiali żywo, podziwiając nadzwyczajną odwagę kosynierów i ów dar niezrównany Naczelnika obudzenia błyskawicznie rycerskiego ducha w ludzie.

Naraz zmilkli wszyscy. Kościuszko mówi.

— Szczęśliwym, że mogę uwielbiać waleczność waszą i przewodniczyć wam, koledzy — zawołał, zwracając się do towarzyszy.

Oczy wszystkich rwały się ku niemu, zachwyt bił z każdego zwóconego na wodza spojrzenia.

— Chciałeś jeszcze ociągać się, Naczelniku? — odezwał się Madaliński z radosną dumą. — Rad jestem, że mój krok śmiały przyśpieszył upragniony wybuch uczuć narodowych.

— Cześć i sława tym oto bohaterom w siermięgach! — dodał Zajączek z żarem, wskazując na odpoczywających po znojnym dniu kosynierów.

A Kościuszko z twarzą od dymu i prochu sczerniałą, lecz z jasnością niezwykłą w oku, wzniósł rękę w górę i zawołał gromkim głosem:

— Wiwat naród! Wiwat wolność!...

W odpowiedzi runął krzyk wielki, niebosiężny:

— Wiwat Kościuszko!

Tłoczono się teraz dokoła Naczelnika, gwar zmieszanych głosów nie dawał słyszeć się nawzajem.

— Podporucznik Mączyński—zwrócił się naraz Kościuszko do młodego ochotnika, spotkawszy jego wzrok pełen uwielbienia — niech wnet pośpieszy do Krakowa z doniesieniem, że Bóg pobłogosławił naszym zamysłom. Pierwszy zamach nieprzyjaciół pokonany. Niech się modlą, aby zwycięstwo i radość powszechna wzmocniły w sercach święty zapał!

I znowu rozległy się, jak grom, okrzyki na cześć ukochanego Naczelnika.

Powtarzały je dalekie echa racławickich borów.

* * *

W chwili, gdy uszczęśliwiony zaszczytną misją Mączyński pędził ku rodzinnemu miastu z wieścią radosną, cwałował na spienionych koniach oddział jazdy narodowej, który za uchodzącym Tormasowem zapędził się o wiorst kilka. Nad głowami jeźdźców powiewał sztandar, wrogom wydarty, poszarpany.

Twarze młodych ochotników były butne i dziarskie; upajało ich doznane powodzenie. Oczy gorzały, serca biły przyśpieszonem tętnem. Gotowi byli na pierwsze skinienie puścić

się raz jeszcze w pogoń, wsiąść na kark zmykającym tchórzom, odwagą przerazić i w proch zetrzeć wroga.

Prawdzic jechał przodem. Trzymał w ręku sztandar. Blady był, ale z oczu, pałających gorączkowo, biła żarność młodzieńcza i animusz. Jedyny w tem gronie nowicjuszów z wojskowością obeznany, objął chwilowo dowództwo, rozkazywał, przewodził. Słuchano go. Był olśniony. Teraz dopiero, powracając z samowolnie przedsięwziętej wyprawy, uczuł pewne skrupuły.

Popędził, nie opowiedziawszy się nikomu, uniesiony zapałem, w wirze walki znikł z oczu dowódcy, pociągnął innych za sobą. Ale przecież chodziło o wydarcie sztandaru, dla wspólnej wszystkim chwały!...

Wciągał teraz pełną piersią upojną woń lasu w rozkosznem oszołomieniu.

Dopadli do pobojowiska. Kościuszko bystrem spojrzeniem ogarnął młodych junaków. Kilku z nich miało krwawe ślady na twarzy i mundurach; konie ranne wiedli z sobą.

Pochylił się drzewiec sztandaru przed Naczelnikiem. Kościuszko, zauważywszy Prawdzica, brwi ściągnął.

— Baczność!—zawołał. — Samowolą swą zachmurzyliście mi, waćpanowie, napiękniejszy dzień życia! Karność w wojsku to grunt, bez którego każde zwycięstwo byłoby tylko prostym trafem. Oto nasi dzielni kosynierzy, od wczoraj dopiero do służby zaciągnięci, dokazali cudu waleczności, a przedewszystkiem dali przykład ślepego posłuszeństwa, które ich postawiło odrazu w rzędzie najlepszych służbistów naszej armji. Waćpanowie postąpiliście wielce nieoględnie, dając z siebie wzór niekorzystny dla szeregowych. Zwłaszcza tobie, podporuczniku,— zwrócił się do Prawdzica — przykro mi jest wielce wyrazić naganę, widząc dawniej i dziś twoją odwagę w boju, godną pochwały.

Wacław utkwił wzrok w ziemi. Fala gorącej krwi uderzyła mu do głowy. Zawirowało wszystko przed oczyma omal nie zwalił się z konia.

— Tyś wodzem naszym, Naczelniku! Tyś więcej, niż król — (str. 382)

A Kościuszko ciągnął dalej:

— Pochwały tej wszelako w raporcie zdanym narodowi wyrazić nie mogę, ani też imienia zdobywcy sztandaru nie wymienię, wina bowiem jest większa nad zasługę [1]).

Zajączek przypadł do Kościuszki, raportując, że żołnierze łupem się dzielą i nie słuchają komendy oficerów, na co Naczelnik odpowiedział, zwracając się w dalszym ciągu do młodzieży:

— Fatalne skutki niesubordynacji omal nie przyprawiły nas o wielką klęskę. Kilka oddziałów kawalerji opuściło plac batalji i poszło w rozsypkę [2]). Infanterja i jazda tak są pomieszane, że jednej kompanji nie widzę w należytym porządku, co sprawia, że nie możemy puścić się w pogoń za nieprzyjacielem, ani też stawić mu czoła w razie, gdyby powrócił tu z nowemi siłami o świcie. Pomimo więc spóźnionej pory, rozkazuję wymarsz niezwłoczny pod Słomniki.

Zakotłowało się na pobojowisku. Zbierano pośpiesznie w kozły złożoną broń, w mgnieniu oka działa zaprzęgnięto, słychać było nawoływania i komendy.

— Szwadron trzema od prawego, stępa marsz!

— Baterja naprzód, równaj się.

— W lewo do frontu zachodź, marsz!

Żołnierze ściągali leniwie, unosząc z sobą pochwyconą zdobycz. Kosynierzy stanowili osobną grupę. Trzymali się na uboczu, zachowując przedziwny spokój i dostojność. Na

---

[1]) Kościuszko w raporcie o zwycięstwie racławickiem napisał tylko: «Młodzież z ochotników, pierwszy raz bitwę widząca, w ogniu z trzech stron na nas sypanym pokazała się prawdziwymi obrońcami swobód narodowych, to jest ludźmi za nic życie własne dla Ojczyzny ważącymi».

[2]) Wiele band kawalerji, opuściwszy plac batalji na początku potyczki, nie oparły się aż w Krakowie i tam rozgłosiły, że Kościuszko zginął, że armja zniesiona i że oni cudem prawie wymknęli się nieprzyjacielowi, przerzynając się przez jego szeregi». Zajączek, Historja Rewolucji 1794, str. 119.

pierwsze wezwanie stanęli pod bronią, karni, posłuszni i zrównoważeni.

Blask księżyca oświetlał ich jakby z granitu wykute postacie. Połyskiwały kosy, rozwiewał się sztandar, wiatrem kołysany. A po polach słały się mgły białe, jakby wielkie szkliste jezioro.

Było już blisko północy. Ziąb przejmował.

Kościuszko ku kosynierom poskoczył.

— Dać mi tam który zapasową sukmanę!—rzekł tak prosto i serdecznie, jak brat do brata, towarzysz do towarzysza.

Wmig białą siermięgę na mundur zarzucił. Wyglądał w niej dziarsko, swojsko, a zarazem niezwykle uroczyście. Naraz zawołał:

— Niech wyjdzie z szeregu Bartos z Rzędowic, który nadludzką odwagą dał przykład innym, jak za Ojczyznę walczyć należy. Zbliż się do mnie, Wojciechu Bartosie. Okazałeś, że masz głowę nie od parady. „Dobra głowa", mówią o tobie kmiecie. Niechże ku wiecznej rzeczy pamięci Głowackim cię zowią rodacy. Mianuję cię chorążym nowopowstałego regimentu grenadjerów krakowskich, a za szlachetność szlachectwem nagrodzę.

— Niech żyje Naczelnik! Wiwat Kościuszko!

— Wiwat chorąży Bartos Głowacki!

— Niech żyją dzielni grenadjerzy!

Powstał gwar nieopisany. Młodzi ochotnicy i rekruci cisnęli się do Kościuszki, ogarniając go pełnym zachwytu i podziwu spojrzeniem.

— Tyś wodzem naszym! Tyś więcej, niż królem!...—wołali.

— Królem przenigdy, lecz bratem wam chcę być, całą duszą oddanym bratem — odrzekł Kościuszko ze wzruszeniem. — Przyrzekłem przywdziać mundur tego oddziału, który najwybitniej odznaczy się w boju, i oto mię widzicie w tej białej sukmanie. Nie zdejmę już jej! Nad płaszcz królewski milszą mi ona! Pragnę choć w ten sposób wynagro-

dzić tymczasem waleczność i męstwo po raz pierwszy pod broń powołanego ludu — zwrócił się do generałów.

— Wiwat Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej! Niech żyje Tadeusz Kościuszko!

— Niech żyje wolna, niepodległa Polska!

— Wiwat wszystkie stany.

Najgłośniej wiwatował Ślaski.

Radość biła łuną z twarzy dowódcy grenadjerów.

A wtem do Naczelnika przypadł młody ułan. Blady był, włos miał nad czołem rozwiany, a płomień w oczach.

— Naczelniku—zawołał — daruj! Zemsta zagrała w duszy, oślepiła, jedna myśl gnała naprzód: upokorzyć wroga! Dopadłszy, siekliśmy, kłuli, rąbali bez pardonu. Depcąc trupy, pędziliśmy jak wicher, wciąż dalej i dalej, aż drzewco chorągwiane uczułem w mej dłoni. Odetchnąłem. Nie chełpliwość mię wiodła, na to przysiąc tu mogę, przed Bogiem i przed tobą, Naczelniku. Wszelako uznając mą winę, jakom, dając zły przykład niekarności, pociągnął innych za sobą, pozwól, abym twoim wzorem umocniony, dał z siebie zachętę do ścisłego złączenia się z podniesionym i umiłowanym przez ciebie ludem! Ojcowie nasi wpisywali się w księgi mieszczaństwa dla zaznaczenia zbratania się stanów, niechże ja z dobrej woli wpisan zostanę do regimentu siermiężnych braci. Pozwól pod twoim przewodem walczyć wraz z tymi bohaterami za niepodległość naszą!

— Ochotnie ci daję przyzwolenie z awansem na porucznika — rzekł Kościuszko wzruszony.

— Wiwat Prawdzic! — huknął Ślaski.

A Zajączek, mocno uścisnąwszy dłoń jego, mruknął przez zęby:

— Takich więcej, a Polska będzie wolna!...